

RICK RIORDAN

Taniec wdowca

Istnieje wiele sposobów
na wykoszenie konkurencji
w branży muzycznej



Taniec ★ wdowca

Rick Riordan



Przełożył Jacek Konieczny

Wydawnictwo Galeria Książki

Kraków 2017

Tytuł oryginału

The Widower's Two-Step

Copyright © 1998 by Rick Riordan Cover art copyright © by Nick Castle All rights reserved.

Permission for this edition was arranged through the Gina Maccoby Literary Agency.

Copyright © for the Polish translation by Jacek Konieczny, 2017

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Galeria Książki, 2017

Opracowanie redakcyjne i DTP

Pracownia Edytorska „Od A do Z” (oda-doz.pl) Redakcja

Marzena Kwietniewska-Talarczyk

Korekta

Katarzyna Kolowca-Chmura, Katarzyna Kierejsza Opracowanie okładki i DTP

Stefan Łaskawiec

Opracowanie wersji elektronicznej

mobisfera

Wydanie I, Kraków 2017

ISBN 978-83-65534-39-2

Wydawnictwo Galeria Książki www.galeriaksiazki.pl

biuro@galeriaksiazki.pl

Dla Becky

Podziękowania

Salud y muchas gracias wielu osobom, które pomogły mi w napisaniu tej książki: Dorothy Sherman, prezesowi GrayZone Investigations; Glenowi Batesowi i Billowi Chavezowi z ITS Investigative Agency; Wilejowi Alexandrowi z „San Antonio Express-News”; Jamesowi Morganowi z Bluebonnet Palace; sierżantowi Tony’emu Kobrynowi z biura szeryfa hrabstwa Bexar; Danowi Appersonowi z biura lekarza sądowego hrabstwa Alameda; Steve’owi Hansonowi, głównemu oficerowi śledczemu z biura lekarza sądowego hrabstwa Bexar; oficerowi śledczemu Jimowi Caruso z wydziału zabójstw policji w San Antonio; doktor Jeanne Reesman, szefowej katedry anglistyki Uniwersytetu Tekszańskiego w San Antonio; Alexandre Walsh z Amerykańskiego Stowarzyszenia Przemysłu Fonograficznego (Recording Industry Association of America); Katrine Hughes z Międzynarodowej Federacji Przemysłu Fonograficznego (International Federation of Phonographic Industries). Chciałbym również wyrazić nieustającą wdzięczność Ginie Maccoby i Kate Miciak; Jimowi Glusingowi i Patty Jepson za ich opowieści z południowego Teksasu; Marii Lunie za cierpliwą pomoc w *Español*; całej paczce z Presidio Hill School; Medina Mud Band; Lyn Belisle; a nade wszystko Becky i Harleyowi Riordanom.

*Więc trzymaj się, skarbie, muzyka brzmi złowrogo,
Kręć się, kręć w kołysce, aż zacznie palić cię dusza,
I nie mów, że to wirowanie zupełnie cię nie wzrusza.
Trudy nauki wdowiego tańca nie omijają nikogo.*

Taniec wdowca
Brent & Miranda Daniels

1



– Czy mógłby pan łaskawie uciszyć swojego dzieciaka?

Gość stojący przed moją ławką w parku wyglądał jak żywcem wycięty z okładki albumu Fleetwood Mac, tak gdzieś z 1967 roku. Sylwetką przypominał Lindseya Buckingham, postać z gabinetu krzywych luster – był nienaturalnie wysoki i pękaty nie tam, gdzie trzeba. Miał afro, brodę oraz luźne czarne wdzianko mistrza wschodnich sztuk walki, które niewątpliwie czyniły go pełnoprawnym członkiem subkultury modsów.

Na domiar złego zasłaniał mi niebieskiego mercury’ego cougara rocznik 1968 zaparkowanego siedemdziesiąt metrów dalej, po drugiej stronie parku San Pedro.

– No słucham. – Lindsey otarł czoło. Chwilę wcześniej przerwał prowadzone nieopodal zajęcia z tai-chi i sprawiał wrażenie zdyszanego, zupełnie jakby trochę przesadził z intensywnością wymachów i wykopów.

Popatrzyłem na zegarek. Jeżeli panienka siedząca w cougarze rzeczywiście była z kimś umówiona, ten ktoś powinien się już pojawić.

Spojrzałem na mistrza tai-chi.

– Jakiego dzieciaka?

Trzy metry na lewo ode mnie Jem wykonał kolejne wahnienie na huśtawce, zasypując uczniów Lindseya Buckingham gradem kul. Ile sił w płucach naśladował warkot samolotu, a tych sił miał naprawdę sporo jak na czterolatka. Wycelował palce u nóg jak lufy karabinów i rozpoczął ostrzał.

Niewykluczone, że faktycznie utrudniało to uczniom Lindseya

koncentrację. Jedna z nich, niska, jajowata kobieta w różowym dresie, próbowała właśnie przykucnąć do figury pełzającego węża. W pewnej chwili klapnęła na zadek, zupełnie jakby została postrzelona.

Lindsey Buckingham potarł się po karku i spiorunował mnie wzrokiem.

– Dzieciaka na huśtawce, głąbie.

Wzruszyłem ramionami.

– To jest plac zabaw. Dzieciak się bawi.

– Jest siódma trzydzieści rano. My tu ćwiczymy.

Spojrzałem na uczniów Lindseya. Różowa jajowata kobieta podnosiła się właśnie z ziemi. Obok niej drobna Latynoska rozcinała nerwowo dłońmi powietrze, zaciskając mocno powieki, jakby obawiała się tego, w co może trafić. Dwaj pozostali uczniowie, Anglosasi w średnim wieku, z brzuskami i kucykami, brnęli na miarę swoich możliwości przez zestaw ćwiczeń, ze zmarszczonymi czołami, oblewając się obficie potem. Nic nie wskazywało na to, aby któremukolwiek udało się osiągnąć wewnętrzny spokój.

– Powinien im pan zwrócić uwagę, żeby trzymali stopy pod kątem czterdziestu pięciu stopni – zauważyłem. – Przy równoległym ułożeniu nie da się utrzymać stabilnej pozycji.

Lindsey otworzył usta. Gdzieś w głębi jego gardła rozległo się ciche kasznięcie.

– Przepraszam. Nie miałem pojęcia, że rozmawiam z mistrzem.

– Tres Navarre – przedstawiłem się. – Zazwyczaj noszę koszulkę z napisem „Mistrz”, ale akurat poszła do pralni.

Wychyliłem się za niego, spoglądając na cougara. Kobieta siedząca za kierownicą nie drgnęła ani o centymetr. Na parkingu San Antonio College nie było nikogo innego.

Słońce zaczynało się dopiero wznosić nad białą kopułę uczelnianego

planetarium, ale chłód nocy zdążył się już ulotnić. Wyglądało na to, że czeka nas kolejny dzień z trzydziestostopniowym upałem. Z baru z *tacos* na Ellsworth zaczynały dolatywać aromaty chorizo i kawy.

Na huśtawce Jem zniżył lot do kolejnego ataku.

– Iiiiiioooooouuuuu! – zawołał. Zaraz potem zaterkotały karabiny maszynowe.

Lindsey Buckingham posłał mi zagniewane spojrzenie. Ani myślał się odsunąć.

– Zasłania mi pan widok na parking – zauważyłem.

– Och, najmocniej przepraszam.

Czekałem.

– Nie przesunie się pan?

– A nie uspokoi pan dzieciaka?

Ech, te poranki. Nie dość że mamy październik w Teksasie i człowiek wciąż czeka na nadejście pierwszego zimnego frontu, nie dość że szefowa wysłała go z jej czteroletnim synkiem na obserwację, to musi jeszcze znosić wiszącego mu nad głową Lindseya Buckinghama.

– Proszę posłuchać – powiedziałem. – Widzi pan ten plecak? Mam tam sanyo TLS 900. Obiektyw pozwala uzyskać ostrość do dwustu metrów. Niestety wśród jego funkcji nie ma prześwietlania idiotów. Jeżeli odsunie się pan na bok, lada chwila będę miał możliwość wykonania kilku efektownych ujęć panny Kearnes spotykającej się z osobą, z którą nie powinna się spotykać. Mój klient sporo mi za te zdjęcia zapłaci. Jeżeli się pan nie odsunie, wykonam co najwyżej kilka efektownych ujęć pańskiego krocza. Tak oto przedstawia się w skrócie sytuacja.

Lindsey otarł z brody kilka kropelek potu. Spojrzał w stronę plecaka. Spojrzał na mnie.

– No i chuj.

Jem wzbijał się coraz wyżej i pokrzykiwał coraz głośniej. Chudziutkie nóżki zacisnął w klepsydrę. Zatrzymując się w najwyższym punkcie, osiągał stan nieważkości. Jedwabiste czarne włosy unosiły się niczym kolce jeżowca, oczy miał szeroko otwarte, a jego buzię rozjaśniał uśmiech, który ledwo się tam mieścił. Zaraz potem twarzyczkę Jema ogarniał wyraz niecnej determinacji. Nurkował z powrotem w kierunku uczniów tai-chi, terkocząc karabinami maszynowymi. Luftwaffe w krótkich spodenkach.

– A nie moglibyście się przenieść gdzieś indziej? – zasugerowałem. – Tam nad strumykiem jest chyba miejsce w sam raz do ćwiczeń.

Lindsey zrobił oburzoną minę.

– „Tego, co mocno zakorzenione, nie sposób wyrwać”[\[1\]](#).

Wszystko mogłoby się jeszcze skończyć pokojowo, gdyby nie zacytował Lao Tzu. Drażni mnie, kiedy ktoś to robi. Z westchnieniem podniosłem się z ławki.

Lindsey musiał mieć ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Kiedy się wyprostowałem, moje oczy znalazły się na wysokości jego jabłka Adama. Z jego ust wydobywał się aromat indiańskiego koca.

– Sprawdźmy zatem, kto ma sprawniejsze ręce – oświadczyłem. – Potrafisz walczyć rękami?

Prychnął.

– Żarty sobie stroisz?

– Pójdę stąd, jeżeli mnie powalisz na ziemię. Jeśli ja powalę ciebie, ty sobie pójdiesz. Gotowy?

Nie wyglądał na specjalnie zdenerwowanego. Uśmiechnąłem się do niego. Potem go pchnąłem.

Na pewno wiecie, w jaki sposób popychają się faceci – uderzają w klatkę

piersiową, zupełnie jak osiłki w szkołach próbujące zastraszać innych uczniów. Idiotyzm. W tai-chi pchnięcie nosi nazwę *liu* – „wykorzenienie”. Trzeba przykucnąć, chwycić przeciwnika poniżej klatki piersiowej i wykonać ruch, jakby wrywało się drzewo z ziemi. Proste.

Kiedy Lindsey Buckingham znalazł się w powietrzu, wydał dźwięk przypominający ostry ton saksofonu tenorowego. Poleciał z pół metra w górę i dwa metry do tyłu. Rymsnął na tyłek przed swoimi uczniami.

Na huśtawce Jem zaprzestał ostrzału z karabinów maszynowych i zaczął chichotać. Faceci z kucykami przerwali ćwiczenia i wlepili we mnie wzrok.

– O rany – wykrztusiła kobieta w różowym dresie.

– Nauczcie się przewrotek – poradziłem im. – W przeciwnym razie upadki będą bolesne.

Lindsey zbierał się powoli z ziemi. We włosach miał trawę. Widać było jego bieliznę. Stał pochylony, dzięki czemu nasze twarze znalazły się na jednej wysokości.

– Do diaska – mruknął.

Jego twarz zrobiła się purpurowa. Zaciśnął dłonie w pięści, zaczął je unosić i opuszczać, jakby nie mógł się zdecydować, czy mnie uderzyć.

– Powinieneś teraz powiedzieć: „Zhańbiłeś moją szkołę” – podpowiedziałem. – A potem wezwać resztę chłopaków z nunczako.

Pomysł musiał się spodobać Jemowi. Wyhamował huśtawkę na tyle, żeby z niej zeskoczyć, po czym podbiegł i całym ciężarem uwiesił się na mojej lewej ręce. Uśmiechem dał mi znak, że jest gotów do walki.

Uczniowie Lindseya wyglądali na zakłopotanych, co skłoniło mnie do podejrzeń, że zapomnieli, jak się walczy nunczako.

Cokolwiek Lindsey zamierzał powiedzieć, przerwały mu dwa ostre trzaski, które dobiegły zza moich pleców. Ich dźwięk odbił się delikatnym echem od

budynków San Antonio College.

Wszyscy zaczęli się rozglądać, mrużąc oczy.

Kiedy mój wzrok padł w końcu na niebieskiego cougara rocznik 1968, którego miałem obserwować, zauważyłem smużkę dymu wypływającą przez okno po stronie kierowcy.

Wokół samochodu było pusto. Kobieta nadal siedziała nieruchomo z głową opartą o zagłówek, zupełnie jakby drzemała. Ogarnęło mnie przeczucie, że szybko się nie obudzi. Ogarnęło mnie przeczucie, że klient nie zapłaci mi sporej sumki za fotografie.

– Jezusie – powiedział Lindsey Buckingham.

Żaden z jego uczniów nie zdążył się chyba zorientować, co się stało. Brzuchacze popatrywali po sobie zdezorientowani. Jajowata kobieta w różowym dresie podeszła lekko wystraszona i zapytała, czy udzielam lekcji tai-chi.

Uśmiechnięty Jem nadal wisiał na mojej ręce; on również nie zdawał sobie z niczego sprawy. Spojrzał na swój kolorowy zegarek i wykonał kilka obliczeń z szybkością nieosiągalną dla wielu dorosłych.

– Dziesięć godzin, Tres – stwierdził uszczęśliwiony. – Dziesięć godzin, dziesięć godzin, dziesięć godzin.

Jem pilnował dla mnie czasu – odliczał godziny, które zostały do momentu, kiedy przestanę być praktykantem u jego matki i zdobędę prawo do własnej licencji prywatnego detektywa. Obiecałem mu, że kiedy wybije godzina zero, urządzimy sobie imprezę.

Przeniosłem wzrok na niebieskiego cougara, gdzie wąska smużka dymu nadal wydobywała się przez okno tuż obok głowy panny Kearnes.

– Chyba musimy wrócić do trzynastu, brachu. Dzisiejszy poranek raczej nie będzie się liczył.

Jem roześmiał się w taki sposób, jakby było mu wszystko jedno.

2



– Czy ty naprawdę nie potrafisz inaczej? – zapytał mnie komisarz Schaeffer. Zaraz potem zwrócił się do Julie Kearnes: – Czy on naprawdę nie potrafi inaczej?

Julie Kearnes nie skomentowała jego pytania. Spoczywała wygodnie w fotelu kierowcy cougar, z prawą dłonią na podniszczonym futerale na skrzypce zajmującym siedzenie pasażera, a lewą ściskającą leżący na kolanach, jeszcze gorący od wystrzału pistolet typu Ladysmith kalibru .22 z perłową rękojeścią.

Od tej strony Julie prezentowała się zupełnie dobrze. Siwiejące blond włosy upięła z tyłu kłamrą w kształcie motyla. Koronkowa letnia sukienka na ramiączkach podkreślała srebrne kolczyki i opaloną piegowatą skórę, tylko lekko obwisła pod brodą i na przedramionach. Jak na kobietę po pięćdziesiątce wyglądała znakomicie. Otwór wlotowy po kuli wyglądał niepozornie – jak czarna moneta przyklejona do skroni.

Twarz miała zwróconą w drugą stronę, ale malował się na niej chyba ten sam uprzejmy, zasmucony wyraz, z jakim spojrzała na mnie poprzedniego ranka, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy – lekki uśmiech, przyjazny, choć niepewny, otoczony napięciem wyrażającym się w zmarszczkach wokół oczu.

„Przykro mi – powiedziała wtedy. – Obawiam się, że... musiała zajść jakaś pomyłka”.

Ray Lozano, lekarz sądowy, przez kilka sekund przyglądał się oknu po stronie kierowcy, po czym zaczął rozmawiać po hiszpańsku z technikiem

zabezpieczającym dowody. Ray kazał mu zrobić wszystkie potrzebne fotografie przed przeniesieniem ciała, ponieważ druga strona twarzy kobiety trzymała się w jednym kawałku wyłącznie dzięki temu, że podtrzymywał ją zagłówek.

– A nie raczylibyście tak mówić po angielsku? – zapytał Schaeffer z przekąsem.

Ray Lozano i technik go zignorowali.

Nikt nie wyłączył magnetofonu kasetowego Julie Kearnes, z którego wydobywały się dźwięki muzyki country. Skrzypce, bas, pełne unisono. Zrywna muzyka jak na morderstwo.

Była dopiero ósma trzydzieści, a na parkingu zaczęła się już gromadzić spora widownia. Przecznice dalej ustawiał się wóz transmisyjny KENS-TV. Kilkudziesięciu studentów w klapkach, szortach i T-shirtach stało na trawniku za żółtą taśmą. Nie sprawiali wrażenia zainteresowanych punktualnym stawieniem się na poranne zajęcia. Sklepik 7-Eleven po drugiej stronie San Pedro sprzedawał ogromne ilości coli policjantom i widzom.

– Do cholery, śledziłeś jakąś skrzypaczkę? – Schaeffer nalał sobie z termosu herbaty ziołowej marki Red Zinger. Upał, trzydzieści stopni, a on pije gorącą herbatę. – Jak to możliwe, Navarre, że nie potrafisz nawet śledzić człowieka w taki sposób, żeby nie zginął?

Uniosłem do góry obie dłonie.

Schaeffer spojrzał na Julie Kearnes.

– Trzymaj się z daleka od tego gościa, złotko. Widzisz, do czego może doprowadzić jego towarzystwo?

To typowe zachowanie Schaeffera. Twierdzi, że człowiek albo gada z trupami, albo musi zalewać robaka. Mówi, że ma już wymyśloną gadkę, którą wygłosi do moich zwłok, gdyby przyszło co do czego. To jego sposób

na wyrażenie ojcowskich uczuć, jakie do mnie żywi.

Spojrzałem na drugą stronę parkingu, aby sprawdzić, co się dzieje z Jemem. Chłopak siedział w moim pomarańczowym volkswagenie kabriolecie, pokazując jakiemuś policjantowi magiczną sztuczkę z trzema metalowymi obręczami. Policjant wyglądał na zdezorientowanego.

– Co to za dzieciak?

– Jem Manos.

– Manos jak w Agencja Erainii Manos?

– „Twoja grecka detektyw – *full service*”.

Schaeffer zrobił skwaszoną minę i pokiwał głową, jakby imię Erainii wszystko wyjaśniało.

– Smoczyca nie słyszała o przedszkolach?

– Nie ma do nich przekonania – wyjaśniłem. – Chłopak mógłby czymś się zarazić.

Schaeffer pokręcił głową.

– Chcę się upewnić, że wszystko dobrze zrozumiałem. Twoja klientka jest piosenkarką country. Przygotowuje taśmę demo dla wytwórni, taśma ginie. Agent podejrzewa niezadowolonego członka zespołu, który zostałby pominięty w kontrakcie. Agent wpada na genialny pomysł, żeby wynająć ciebie i odzyskać taśmę. Zgadza się?

– Piosenkarką jest Miranda Daniels – odpowiedziałem. – Pisali o niej w „Texas Monthly”. Mogę panu załatwić autograf.

Schaeffer zdołał jakimś cudem ukryć ekscytację.

– Wyjaśnij mi tylko, jak to się stało, że mamy martwą skrzypaczkę na parkingu San Antonio College o siódmej trzydzieści w poniedziałek rano.

– Agent Mirandy Daniels wskazał Kearnes jako osobę, która najprawdopodobniej wykradła taśmę. Miała dostęp do studia. Dość mocno

różniły się z Daniels w sprawie planów dalszej kariery. Agencja uznała, że Kearnes mogła ukraść taśmę za namową kogoś innego; kogoś, kto mógłby zyskać na tym, że Miranda Daniels nie zrobi większej kariery i pozostanie lokalną piosenkarką. Według moich ustaleń było inaczej. Kearnes nie miała taśmy. Przez cały poprzedni tydzień nikomu o niej nie wspomniała.

– To nie wyjaśnia, skąd się wzięły zwłoki.

– Sam wiesz, jak to jest. Wczoraj udało mi się wreszcie spotkać z Kearnes. Powiedziałem jej wprost, o co jest podejrzewana. Zaprzeczyła, ale wydawała się czymś mocno podenerwowana. Kiedy dziś rano wybiegła ze swojego mieszkania, uznałem, że być może niesłusznie uwierzyłem w jej niewinność. Może po prostu zamąciłem i sprowokowałem ją do umówienia się z osobą, która skłoniła ją do wykradzenia taśmy.

Ray Lozano zdjął futerał na skrzypce z fotela pasażera i usiadł obok Julie. Pęsetą zaczął zbierać próbki włosów denatki.

– Zamąciłeś... – powtórzył Schaeffer. – Niezła, kurwa, metoda.

Podszedł do nas jeden z ochroniarzy kampusu. Był to zwalisty chłop, może nawet były bokser. Od razu dało się zauważyć, że nigdy wcześniej nie miał do czynienia z morderstwem. Zbliżał się do Julie Kearnes w taki sposób, w jaki robi to większość ludzi, którzy po raz pierwszy widzą zwłoki – jak osoba cierpiąca na lęk wysokości przysuwająca się do balustrady balkonu. Skinął głową na Schaeffera, po czym zerknął na Julie.

– Pytają, ile to jeszcze potrwa – powiedział przepaszającym tonem, zupełnie jakby owi „oni” nie mieli żadnego powodu, żeby o to zapytać. – Popełniła samobójstwo na miejscu parkingowym kwestora.

– Jakie znów samobójstwo? – zapytał Schaeffer.

Wielkolud zmarszczył brwi. Spojrzał niepewnie na pistolet spoczywający wciąż w dłoni Julie, po czym na otwór w jej głowie.

Schaeffer westchnął i popatrzył na mnie.

– Została zastrzelona z dużej odległości – wyjaśniłem. – Kiedy ktoś sam pakuje sobie kulkę, rana rozszcza się na podobieństwo gwiazdy. Zresztą w tym wypadku układ otworów wlotowego i wylotowego wskazuje, że kula nadleciała z góry. Prawdopodobnie była też innego kalibru. Strzelec znajdował się gdzieś tam. – Wskazałem na dach jednego z budynków kampusu, na którym z rzędu dużych, metalowych klimatyzatorów unosiła się para wodna. – Dwudziestkędwójkę zabrała ze sobą dla obrony. Spust nacisnęła w wyniku przedśmiertnego skurczu. Kula utkwiała prawdopodobnie gdzieś w desce rozdzielczej.

Schaeffer wysłuchał mojego wyjaśnienia, po czym pomachał dłonią w geście „coś koło tego”.

– Zajmij się lepiej czymś pożytecznym – rozkazał ochroniarzowi z kampusu. – Powiedz kwestorowi, żeby zaparkował na ulicy.

Wielkolud oddalił się znacznie szybszym krokiem, niż przyszedł.

Śledczy zajmujący się analizą miejsc zbrodni odciągnął Schaeffera na bok. Zaczęli rozmawiać. Śledczy pokazał Schaefferowi jakiś dokument i wizytówki z portfela denatki. Schaeffer wziął do ręki jedną z nich i się skrzywił.

Wrócił do mnie milczący. Popijał red zingera. Spoglądające znad termosu oczy miały tę samą czerwonawobrazową barwę co herbata i były równie mokre.

Podał mi wizytówkę.

– Twój szef?

Na szarym tle widniały rdzawoczerwone słowa: „LES SAINT-PIERRE, ŁOWCA TALENTÓW”. Pod spodem, na środku, mniejszym drukiem napisano: „MILO CHAVEZ, WSPÓLNIK”. Zatrzymałem wzrok na słowach

„Milo Chavez”. Nie budziły miłych wspomnień.

– Mój szef.

– Rozumiem, że nie natknąłeś się na żadne wskazówki, komu mogło zależeć na zabiciu tej pani? Tylko mi nie mów, że ta pieprzona taśma demo była aż taka dobra.

– Nie – przyznałem. – Nie była.

– Wciąż zajmujesz się szukaniem dłużników, zleceniami składanymi przez zazdrosnych chłopaków i tym podobnymi sprawami, którymi zajmują się detektywi z krwi i kości, kiedy nie niańczą akurat trzylatków?

Próbowałem zrobić urażoną minę.

– Jem jest dojrzałym czteroipółlatkiem.

– Ho, ho. Dlaczego miałyby się tu z kimś spotkać? Po co przejechała sto dwadzieścia kilometrów z Austin do San Antonio i zaparkowała przed college'em?

– Nie wiem.

Schaeffer próbował coś wyczytać z mojej twarzy.

– Chciałbyś mi jeszcze coś powiedzieć?

– Niekoniecznie. Najpierw muszę porozmawiać z klientem.

– Może powinienem ci umożliwić wykonanie tego telefonu z celi w areszcie?

– To zależy od pana.

Schaeffer wygrzebał z kieszeni spodni czerwoną chusteczkę wielkości sporego miasta i wysiąkał nos. Nie śpieszyło mu się. Nikt nie wyciera nosa równie często i równie starannie jak Schaeffer. Podejrzewam, że w ten sposób medytuje.

– Nie mam pojęcia, jak Erainia wplątała cię w tę sprawę, Navarre, ale powinieneś jej w rewanżu wpakować kulkę.

– Tak się składa, że jestem znajomym wspólnika tego agenta, Mila Chaveza. Wyświadczałem Chavezowi przysługę.

Ray Lozano omawiał z sanitariuszami sposób przeniesienia zwłok. Gromadka studentów za taśmą policyjną cały czas się powiększała. Dwóch kolejnych mundurowych opierało się o bok mojego volkswagena, patrząc, jak Jem łączy i rozdziela swoje magiczne obręcze. Przygrywały im kowbojskie skrzypki, których dźwięki wydobywały się z magnetofonu kasetowego panny Kearnes.

Schaeffer w końcu schował chusteczkę i spojrzał na Julie, która nadal ścisnęła kurczowo w dłoni dwudziestkędwójkę, jakby się bała, że pistolet spadnie jej z kolan.

– Ładna mi przysługa – mruknął.

3



W drodze powrotnej na North Side musiałem wygłosić krótkie kazanie, tłumacząc Jemowi, że nie powinien przyjmować od panów policjantów zakładów dotyczących swoich sztuczek iluzjonistycznych.

Jem kiwał głową, zupełnie jakby mnie słuchał. Potem oświadczył, że potrafi połączyć sześć obręczy naraz, i zapytał, czy chciałbym się założyć.

– Nie, brachu, dzięki.

Jem tylko się uśmiechnął i schował do kieszeni ogrodniczek trzy zdobyte chwilę wcześniej dwudziestopięciocentówki.

Do biura Erainii dojechalibyśmy szybciej autostradą McAllistera, ale ja skręciłem w San Pedro Avenue. Autostrada biegnie w kierunku północnym cały czas siedem metrów nad ziemią, dzięki czemu można oglądać okoliczne pagórki Olmos Basin, kilka milionów dębów, od czasu do czasu iglicę jakiejś katedry oraz dachy rezydencji w Olmos Park. Wszystko eleganckie i zalesione, zupełnie jakby w dole nie rozciągało się miasto. San Pedro dostarcza bardziej realistycznych wrażeń.

Przez jakieś trzy kilometry na północ od San Antonio College San Pedro odgradza dzielnicę Monte Vista i obrzeża West Side. Po prawej stronie widać stare hiszpańskie rezydencje, wielkie akacje i magnolie, ocienione trawniki, na których latynoscy ogrodnicy przycinają krzewy róż, cadillaki zaparkowane na wyłożonych kamiennymi płytami podjazdach. Po lewej piętrzą się bloki poprzetykane gdzieniegdzie małymi sklepikami oferującymi

świeże arbuzy i hiszpańskie gazety oraz małymi domkami, w których dzieci ubrane przez opiekę społeczną wyglądają zza drzwi balkonowych.

Po trzech kilometrach znikają dwujęzyczne billboardy. Przejeżdża się obok osiedli zamieszkałych przez białych przedstawicieli klasy średniej, podupadłych centrów handlowych, które czasy świetności przeżywały w latach sześćdziesiątych, oraz ulic nazwanych imionami bohaterów emitowanego jeszcze w latach pięćdziesiątych serialu *I Love Lucy*. Teren staje się coraz bardziej płaski, a stosunek asfaltu do drzew zmienia się na niekorzyść tych drugich.

W końcu dociera się przed pokryte lustrzanymi szybami biurowce i apartamentowce dla singli w rejonie obwodnicy 410. Tak zwana Obwodnicolandia mogłaby się równie dobrze znajdować w Indianapolis, w Des Moines albo hrabstwie Orange. Doprawdy klimatyczne miejsce.

Biuro Erainii znajdowało się w starym centrum handlowym przy 410 i Blanco, między restauracją a outletem ze skórzanymi meblami. Na parkingu stał tylko zardzewiały lincoln continental Erainii i w miarę nowe musztardowożółte bmw.

Zatrzymałem się obok lincolna. Jem pomógł mi zaciągnąć dach. Potem każdy z nas wyjął z bagażnika swój plecak i ruszyliśmy na poszukiwanie mamy Jema.

Na drzwiach znajdował się czarny, namalowany za pomocą szablonu napis: „AGENCJA ERAINII MANOS, TWOJA GRECKA DETEKTYW – FULL SERVICE”.

Erainia lubi być Greczynką. Powtarza, że Nick Charles we *W pogoni za cieniem* był Grekiem. Ja odpowiadam, że Nick Charles był bogaczem i postacią fikcyjną, więc mógł być, kimkolwiek mu się żywnie podobało. Grozę, że odejdę, jeśli zacznie nazywać mnie Norą.

Drzwi były zamknięte. Żaluzje w oknach od frontu zostały opuszczone. Erainia zatknęła kiedyś nad otworem na listy jedną z tych czarno-białych kartonowych dłoni z wyciągniętym palcem, który wskazywał na prawo.

Podeszliśmy do sąsiednich drzwi restauracji Demo's i niemal zderzyliśmy się z krępy m Latynosem, który akurat wychodził.

Miał na sobie trzyczęściowy granatowy garnitur ze złotym łańcuszkiem od zegarka i szerokim wiśniowym krawatem. Na palcach połyskiwały mu cztery złote pierścionki, na krawacie spinka z cyrkonem. Roztaczał intensywny zapach wody kolońskiej Aramis. Jeżeli nie liczyć wyrazu twarzy buldoga, przypominał gościa, który mógłby zaoferować wam linię kredytową na zakup drogiego pierścionka z brylantem.

– Barrera. – Uśmiechnąłem się. – Co u ciebie słyhać, Sam? Przyszedłeś zasięgnąć porady u konkurencji?

Samuel Barrera, kierownik regionalnego przedstawicielstwa I-Tech Security and Investigations, nie odwzajemnił uśmiechu. Jestem przekonany, że na jakimś etapie życia Barrera musiał się choć raz uśmiechnąć. Nie mam również wątpliwości, że dołożył wszelkich starań, aby pozbyć się wszystkich świadków tego wydarzenia. Skóra wokół jego oczu była o dwa odcienie jaśniejsza od reszty brązowej twarzy – okręgi te były pozostałością po wielu latach noszenia okularów przeciwsłonecznych, standardowego elementu wyposażenia FBI, zanim odszedł ze służby i trafił do sektora prywatnego. Od tamtego czasu przestał nosić okulary. Nie było takiej potrzeby. Lśniaca nieprzeniknioność wtopiła mu się w rogówki.

Spojrzał na mnie z lekkim obrzydzeniem, po czym obrzucił podobnym spojrzeniem Jema. Ten uśmiechnął się i zapytał Barrerę, czy nie chciałby obejrzeć sztuczki iluzjonistycznej. Barrera wyraźnie nie miał ochoty. Skierował wzrok ponownie na mnie i oświadczył:

- Tylko porozmawiać z Erainią.
- W takim razie do zobaczenia.
- Nie wątpię.

Powiedział to w taki sposób, jakby przyznawał, że chorego konia trzeba będzie jednak zastrzelić. Potem przepchnął się obok mnie, wsiadł do musztardowego bmw i odjechał.

Stałem, wpatrując się w skrzyżowanie 410 i Blanco, tymczasem Jem pociągnął mnie za koszulkę, przypominając mi, gdzie jesteśmy. Weszliśmy do restauracji.

Dwie godziny przed szczytem przypadającym na porę lunchu Manoli stał już za ladą, odcinając paski mięsa z wielkiego obracającego się walca jagnięciny. Miałem wrażenie, że ilekroć tamtędy przechodzę, walec jest trochę chudszy, a Manoli odrobinę grubszy.

W lokalu pachniało grillowaną cebulą i świeżo upieczonymi spanakopitami. Odtworzenie śródziemnomorskiego klimatu w przydrożnym centrum handlowym nie było łatwym zadaniem, ale Manoli robił, co w jego mocy – pobielone ściany, dwa plakaty zachęcające do odwiedzenia Aten, kilka greckich instrumentów na ścianach, butelka uzo na każdym stoliku. Ale i tak nikt nie przychodził tam dla wystroju.

Erainia siedziała na stołku przy kontuarze i rozmawiała z Manolim po grecku. Była ubrana w szpilki i obcisłą sukienkę do kolan, oczywiście czarną. Podniosła wzrok, kiedy wszedłem, po czym uniosła kościstą dłoń i machnęła nią w powietrzu, jakby wymierzała mi policzek.

– Ach, to znów on – stwierdziła z niesmakiem, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

Manoli wycelował we mnie tasak i wyszczerzył zęby.

Jem podbiegł do mamy i przytulił się do jej nogi. Erainia zmierzwiła mu

włosy i powiedziała, że jest cudownym chłopcem, ani na chwilę nie przestając posyłać mi morderczego spojrzenia.

Erainia duże ma tylko oczy. Są wprost wielkie, a pośrodku każdego znajduje się czarna tęczęwka – można by je niemal nazwać wyłupiastymi, gdyby nie to, że malujące się w nich skupienie jest zbyt poważne. Wszystko inne u Erainii jest drobne i żylaste – czarne włosy, koścista sylwetka opięta sukienką, dłonie, nawet skrzywione usta. Można odnieść wrażenie, że jej ciało jest zbudowane z wieszaków.

Erainia zsunęła się ze stołka przy barze, podeszła do mnie i jeszcze bardziej się skrzywiła. Ma z metr pięćdziesiąt w szpilkach, ale nie przypominam sobie, aby ktokolwiek nazwał ją niską. Ludzie mówią o niej najróżniejsze rzeczy, ale nikt nie twierdzi, że jest niska.

– Dostałaś wiadomość? – zapytałem.

– Dostałam.

– Czego chciał Barrera?

– Siądźmy przy stoliku – powiedziała.

Usiedliśmy. Manoli posadził Jema przy barze i zaczął opowiadać mu coś po grecku. O ile mi wiadomo, Jem nie zna greckiego, ale najwyraźniej nie przeszkadzało to żadnemu z nich.

– No dobra – powiedziała. – Opowiadaj.

Zrelacjonowałem jej swój poranek. Mniej więcej w połowie opowieści zaczęła kręcić głową i nie przestała do samego końca.

– Ajajaj, nie wierzę własnym uszom – stwierdziła. – Jakim cudem mnie przekonałeś, żebym ci powierzyła tę sprawę?

– Męski urok?

Skarciła mnie wzrokiem.

– Może nieźle wyglądasz, złociutki, ale znów bez przesady.

Uśmiechnęła się. Odwróciła wzrok w stronę witryny restauracji, za którą widać było jej biuro. Nikt nie dobijał się do Agencji Erainii Manos. Tłumy nie waliły drzwiami i oknami zwabione full-service'em greckiej pani detektyw.

– Co tu robił Barrera? – zapytałem ponownie.

Erainia machnęła lekceważąco ręką w powietrzu.

– Nie zwracaj sobie głowy tym *vlaka*, złociutki. Po prostu lubi patrzeć mi na ręce, pilnować, czy nie podkradam mu klientów.

Erainia lubiła się w ten sposób łądzić, dlatego przytaknąłem ochoczo, zupełnie jakbym również w to wierzył. Zupełnie jakby Barrera potrzebował do przeżycia spraw rozwodowych i zleceń sprawdzania pracowników, czym normalnie zajmowała się Erainia. Zupełnie jakby nie wystarczały mu kontrakty na ochronę podpisane z połową firm w mieście.

Po raz tysięczny próbowałem sobie wyobrazić Erainię z dawnych czasów, kiedy rzeczywiście ze sobą konkurowali. Z czasów kiedy jej mąż Fred Barrow żył i kierował agencją. Z czasów kiedy Erainia nosiła zanglicyzowane imię Irene i pełniła funkcję usłużnej asystentki męża, dość znanego prywatnego detektywa. Zanim jeszcze wpakowała mu kulkę w pierś. Od czego stał się dość martwy.

Działała w samoobronie, stwierdził sędzia. Niech Bóg ma w opiece Freda, stwierdziła Irene. Zaraz potem spieniężyła udziały męża i wyjechała do ojczyzny. Rok później wróciła jako Erainia (rymuje się z Transylwania) Manos, opalona i bardzo grecka matka adoptowanego muzułmańskiego sieroty z Bośni, któremu nadała imię na cześć jakiejś postaci z przeczytanej niegdyś powieści. Przejęła dawną agencję męża i została prywatnym detektywem, zupełnie jakby od początku było jej to przeznaczone. Od tego czasu interesy szły coraz gorzej.

Dwa lata temu, zaraz po tym jak wróciłem do miasta i zacząłem się zastanawiać, czy nie zdobyć licencji prywatnego detektywa, jeden z dawnych kolegów mojego taty z policji w San Antonio polecił mi Freda – nie wiedząc nic o jego śmierci – jako drugiego najlepszego prywatnego detektywa – zaraz po Samie Barrerze – u którego mógłbym odbyć szkolenie.

Ponieważ z Samem już wcześniej wyraźnie nie przypadliśmy sobie do gustu, udałem się pod adres biura Freda Barrowa, gdzie po trzydziestu sekundach rozmowy nabrałem przekonania, że Erainia będzie dla mnie idealną nauczycielką.

„Czy zastałem pana Barrowa?”

„Nie. Był moim mężem. Musiałam go zastrzelić”.

– No nic, to zamyka sprawę Kearnes – oświadczyła Erainia. – Ile ci tam zostało... dwadzieścia godzin?

Zawahałem się.

– Jem twierdzi, że dziesięć.

– Och, tylko dziesięć? Moim zdaniem dwadzieścia. A zresztą czekają na ciebie inne sprawy.

– Powiedziałaś, że mogę się zająć tą.

Erainia bębniła palcami po plastikowym laminacie blatu. Wydawały ostry dźwięk, jakby były zbudowane z samych kości.

– Powiedziałaś, że możesz spróbować, złociutki. Doszło do morderstwa i to kończy nasz udział. Sprawa przechodzi w ręce policji.

Wpatrywałem się w wiszące za jej głową zdjęcie Aten.

Westchnęła.

– Co więcej, nie chciałbyś ponownie odbywać tej rozmowy, prawda?

– Jakiej rozmowy? Tej, w której tłumaczysz, dlaczego w tym tygodniu nie możesz mi zapłacić ani centa, a potem prosisz, żebym zaopiekował się

dzieciakiem?

Jej oczy zrobiły się bardzo ciemne.

– Nie, złociutki, tej, w której omawiamy powody, dla których chcesz wykonywać ten zawód. Sądysz, że kilka lat wykręcania ludziom rąk w San Francisco na zlecenie jakiejś prawniczki czyni cię prywatnym detektywem? Uważasz, że zwykli klienci nie są godni twojej uwagi, i zamierzasz brać tylko te przypadki, które cię interesują?

– Masz rację – przyznałem. – Nie mam ochoty odbywać ponownie tej rozmowy.

Erainia wymamrotała coś po grecku, po czym nachyliła się w moją stronę nad stołem i w połowie zdania przeszła na angielski.

– ...i coś ci powiem. Uważasz się za nie wiadomo kogo, wracając do miasta z tym swoim doktoratem z Berkeley czy co tam takiego masz. W porządku. Uważasz, że nie musisz się szkolić, bo spędziłeś dużo czasu na ulicy. W porządku.

– Przyznasz chyba, że nauczyłem cię sztuczki z superglue.

Tym razem uniosła obie ręce i zaczęła poruszać nimi po obu stronach twarzy w taki sposób, jakby policzkowała jakieś siedzące obok niej osoby.

– No dobrze, czegoś mnie tam nauczyłeś. Nie mam nawet pretensji, że chcesz się tym zajmować, skoro twój tata był gliniarzem. Chciałbyś od czasu do czasu wyświadczyć komuś przysługę, zrobić coś z dobroci serca. No i w porządku. Tyle że w ten sposób nie zarobisz na życie, złociutki. W tej robocie trzeba ostro zasuwać, o czym wyraźnie nie chcesz pamiętać. Poza tym mało co ma wymiar osobisty. Siedzisz w aucie przez osiem godzin, ponieważ właśnie za to płaci ci jakaś menda. Przeglądasz stare dokumenty i rozmawiasz z jakimś pierdzielem z agencji kredytowej, który nie jest nawet przystojny. Próbujesz nie narażać się policji, co oznacza, że trzymasz się z

daleka od wszystkich sytuacji, w których ktoś może zginąć. Zazwyczaj nie zarabiasz zbyt wiele, więc rzeczywiście czasami musisz zabrać w teren swojego dzieciaka. Mówię o szarej codzienności. Nie wiem, złociutki, czy akurat z tym sobie poradzisz. Wciąż nie jestem tego pewna co do ciebie.

– Jeżeli nie zamierzasz zarekomendować mojej kandydatury radzie, powiedz mi to lepiej teraz – zażądałem.

Wieszaki, z których zbudowane było ciało Erainii, lekko się poluzowały. Rozparła się na krześle. Ponownie wyjrzała przez okno, rozglądając się za klientami. Przed biurem nadal nie stała kolejka.

– Sama nie wiem – stwierdziła. – Może nie, skoro nie potrafisz wziąć dobrej sprawy, a pozbyć się złej. Działasz w oparciu o moją licencję, a ja nie pozwolę, żeby mi ją odebrano.

Przyglądałem się jej twarzy, próbując ustalić, dlaczego groźba, którą wcześniej wyrzucała z siebie wielokrotnie, tym razem zabrzmiała ostrzej.

– Barrera o czymś ci powiedział – domyśliłem się. – Ma wpływy w radzie. Naciskał na ciebie w związku z moją osobą?

– Nie pleć głupstw, złociutki.

– Przed chwilą na moich oczach zginęła kobieta. Chciałbym się tylko dowiedzieć dlaczego. Mógłbym przynajmniej...

– No właśnie – przerwała mi, prostując się na krześle. – Jednego dnia nastraszyłeś tę całą Kearnes, ona następnego uciekła i ktoś ją zabił. Jaki z tego płynie wniosek na temat twoich metod pracy, złociutki? Jak dla mnie wynika z tego, że powinieneś mnie czasem posłuchać. Nie wolno ci rezygnować z prowadzenia obserwacji, ponieważ straciłeś cierpliwość. Nie wolno pukać do drzwi obserwowanej osoby i prosić, żeby przyznała się do winy.

Poczułem pieczenie w czubkach uszu. Skinąłem głową.

– Okej.

Palce na blacie.

– Co okej?

– Okej, może odejdę. Zrezygnuję. Przerwę praktykę. Jakkolwiek chciałabyś to nazwać.

Machnęła lekceważąco dłonią.

– Ajajaj, po tylu miesiącach?

Wstałem.

Wpatrywała się we mnie przez kilka sekund, po czym skierowała wzrok na okno, jakby nie miało znaczenia, czy zdecyduję tak, czy inaczej.

– Jak sobie chcesz, złociutki.

Ruszyłem w stronę wyjścia.

Zawołała mnie, kiedy znalazłem się przy drzwiach.

– Jeszcze się nad tym zastanów, złociutki – powiedziała. – Możemy uznać, że bierzesz wolne. W przyszłym tygodniu powiesz mi, co zdecydowałeś.

Spojrzałem na Manolego, który opowiadał coś Jemowi po grecku. Biorąc pod uwagę ton głosu i gesty, musiała to być bajka.

– Już ci powiedziałem, Erainia.

– W przyszłym tygodniu. – Nie ustępowała.

– Jasne – przytaknąłem.

Zanim zdążyłem wyjść, Jem spojrzał w moją stronę i zapytał, jaką urządzimy imprezę, kiedy liczba moich godzin spadnie do zera. Chciał wiedzieć, jakie będzie ciasto.

Powiedziałem mu, że muszę się jeszcze zastanowić.



Kiedy wróciłem pod numer dziewięćdziesiąty na ulicy Queen Anne, mój gospodarz Gary Hales stał przed domem, podlewając chodnik. Wyglądało na to, że nieźle mu idzie. Na chodniku wykwitło sporo nowych rys. Kilka płyt, które w zeszłym tygodniu zaczynały się wybrzuszać, teraz wybrzuszało się jeszcze bardziej. Gary ma dobrą rękę do betonu.

– Czołem – rzuciłem na powitanie.

Spojrzał na mnie tak, jakby nie do końca mnie kojarzył.

Gary jest blady, trochę rozedrgany, jego skóra ma barwę wypłowiełego błękitu, a twarz wydaje się całkowicie płynna. Kiedy widzi się go z węzłem ogrodowym w ręku, człowieka może ogarnąć lekka dezorientacja, ponieważ nie wiadomo, w którym miejscu zaczyna się strumień wody, a kończy Gary.

– Ta... uhm – wybąkał. – Zajrzała tu ta twoja przyjaciółka.

Westchnąłem.

– Wpuściłeś ją?

Przez jego usta przebiegł skurcz. Kto wie, może to był uśmiech. Gary ma słabość do przymilnych panienek.

– Ty stary capie! – zrugąłem go. – Co ci tym razem obiecała?

Kolejny skurcz.

– Ta... uhm. Tak sobie myślę, że powinienem jej dorobić klucz.

Ruszyłem w kierunku prawej strony domu. Trawnik był usłany chrupiącymi pekanami, łuskami fasolek jadłoszynów i czerwonymi płatkami bugenwilli. W południowym Teksasie nie można liczyć na bardziej jesienny

krajobraz.

Numer dziewięćdziesiąty na Queen Anne to rozpadający się dwukondygnacyjny dom zaprojektowany w stylu Arts and Crafts, który nie umiał się pogodzić z upływem czasu. Zachował pełną godności fasadę, misternie rzeźbioną stolarkę wokół okien, wielką, obrośniętą bugenwillą werandę, na której można przesiadywać wieczorami, popijając margaritę. Ale biała farba zaczęła odłazić ze ścian już dawno temu, a zielony, kryty gontem dach zapadł się w środkowej części. Gdzieś w latach pięćdziesiątych cały budynek przesunął się na fundamentach, przez co jego prawa połowa opadła lekko do tyłu. Moja matka twierdzi, że wygląda na sparaliżowany. Ja wolę go traktować, jakby był niezwykle zrelaksowany.

Kiedy doszedłem przed werandę mojej przybudówki, zobaczyłem Carolaine Smith. Stała w drzwiach, wypuszczając chłodne powietrze z klimatyzowanego wnętrza. Wyciągnęła w moim kierunku słuchawkę telefonu.

Caroline była ubrana w kostium prezenterki telewizyjnej – białą jedwabną bluzkę, skromną niebieską spódnicę i marynarkę. Utapirowane włosy w kolorze ciemnego blondu miała zaczesane do tyłu, by nie zasłaniały twarzy z mocnym telewizyjnym makijażem. Do stroju nie pasowały tylko tanie okulary. Duże, czarne oprawki były pozostałością po czasach, kiedy z wyglądu przypominała szarą myszkę i pracowała jako lokalna reporterka. Wtedy nazywała się jeszcze Carolyn. Teraz zakładała te okulary tylko wtedy, kiedy chciała coś zobaczyć.

– Kto to jest Annie z First Texan? – zapytała. – Ma uroczy głosik.

– Bez komentarza.

– Dupek.

Caroline podała mi słuchawkę.

Annie z First Texan zadała mi podobne pytanie jak Carolaine, niemniej w końcu zgodziła się przekazać mi informację na temat Julie Kearnes, o którą poprosiłem ją w poprzedni piątek.

Carolaine poszła do kuchni, skąd dolatywał zapach spalenizny. Przystanąłem pośrodku salonu i rozejrzałem się dokoła. Ubrania zostały poskładane i odłożone na półki. Futon był złożony i ponownie zamienił się w sofę. Miecze zniknęły ze stolika i wróciły na wieszak na ścianie. Robert Johnson wdrapał się na szafę i leżał przyczajony między dwoma pudełkami na buty.

Spojrzał na mnie z nadzieją w oczach.

Pokręciłem głową na znak, że Carolaine jeszcze sobie nie poszła.

Wydał z siebie niski pomruk i zniknął w cieniu.

Annie zaczęła opowiadać o rachunku bieżącym Julie Kearnes. Co dwa tygodnie przychodziły na niego wpłaty z Paintbrush Enterprises – po dwieście pięćdziesiąt dolarów każda, regularnie przez co najmniej ostatnie dwa miesiące, czyli przez okres, który sprawdziła Annie. Kilka okazjonalnych wpłat za wykonanie dorywczych prac od jakiejś firmy z Austin. Prawdopodobnie wynagrodzenia za koncerty; same niewielkie kwoty. Trzy kredyty w H.E.B. Central Market. Opłacane co miesiąc rachunki. Aktualne saldo na koncie Julie wynosiło czterdzieści dwa dolary i trzydzieści trzy centy. Czyli ze czterdzieści dolarów więcej niż u mnie.

Annie zapowiedziała, że liczy na prawdziwy rewanż, ponieważ ryzykowała dla mnie, że straci pracę.

– Może być Garth Brooks – zasugerowała. – Plus obiad w La Margarita.

Oświadczyłem, że nie mam nic przeciwko temu, aby zjadła obiad z Garthem w La Margarita. Mają moje błogosławieństwo. Annie obrzuciła mnie kilkoma epitetami i się rozłączyła.

Caroline wyjęła z piekarnika blachę.

– Cholera – powiedziała.

Podejrzewam, że w poprzednim wcieleniu na blasze znajdowały się *chiláquiles*. Kawałki kukurydzianych tortilli z bekonem pozwijały się i dymiły. Ser szerniał, a papryczki jalapeño zszarzały. Wszystko pachniało dość paskudnie.

– Następnym razem przykryj folią aluminiową – zasugerowałem. – I zmniejsz temperaturę do stu pięćdziesięciu stopni. To stary piekarnik, grzeje jak reaktor nuklearny.

– Cholera jasna! – Caroline wepchnęła na nos zsuwające się okulary. – Muszę lecieć do studia. W południe mam wejście.

– Mrrrau – poskarżył się Robert Johnson z szafy.

Przeniosłem wzrok ze spalonego jedzenia na wysprzątany salon.

– Nie musiałaś tego robić.

– Drobiazg.

– Nie o to mi chodziło. Miałem na myśli to, że nie powinnaś tak robić. Nie powinnaś nakłaniać Gary’ego, żeby cię wpuszczał, i nie powinnaś robić tu porządków. Nawet własnego mieszkania tak nie sprzątasz. Wszystko to budzi we mnie pewien niepokój.

Oparła się tyłem o zlew i uniosła brwi.

– Nie ma za co.

Spojrzałem na lagerstremię rosnącą za kuchennym oknem.

Caroline opuściła ręce na uda.

– Chryste, Tres, co niby powinnam była według ciebie zrobić? Prawie się nie widzieliśmy w tym miesiącu. Trzy razy z rzędu odwołałeś obiad w restauracji, przez ciebie czekałam godzinę pod Majestic z dwoma przeklętymi biletami na koncert, a kiedy po tym wszystkim próbuję zrobić

dla ciebie coś miłego...

– Przepraszam, Carolaine. Miałem trudny poranek.

Sarkastyczny uśmiech.

– Domyślam się. Wciąż uganiaasz się za tą babą po Austin? Zaglądasz jej nocą przez lornetkę w okna? Biedaczek.

– Została zamordowana.

Uśmiech błąkał się jeszcze przez chwilę w kącikach jej ust, potem zniknął.

Kiedy opowiadałem, co się wydarzyło, słuchała z łagodną, pełną zrozumienia miną, choć jej wzrok nie był w pełni skoncentrowany na mnie. Oczy poruszały się lekko na boki, zupełnie jakby czytała równania matematyczne – być może próbowała oszacować, w jaki sposób morderstwo mogło się przełożyć na moją karierę zawodową.

Kiedy skończyłem, skrzyżowała ręce na piersi.

– Co powiedziała Erainia?

– Że tak czy siak źle to poprowadziłem. Że sprawa jest zamknięta.

– A co ty powiedziałaś?

– Odszedłem.

Carolaine milczała przez chwilę zszokowana, po czym spojrzała na zegarek. Wzięła torebkę z blatu i zaczęła w niej czegoś szukać. Próbowwała nie pokazać tego po sobie, ale rozluźnione mięśnie ramion wskazywały, że poczuła ulgę.

– Co teraz zrobisz? – zapytała.

– Nie wiem. Wszystko zależy od tego, czego chce Milo Chavez.

– Czyli mógłbyś pracować dla niego bez licencji, na takiej zasadzie jak dawniej?

Powiedziała „dawniej” takim tonem, jakby to był eufemizm na określenie jakiejś sprawy, o której nie wypada wspominać w dobrym towarzystwie.

– Kto wie.

– Dobrze pamiętam, że o mały włos nie zginąłeś, kiedy ostatni raz wyświadczyłeś mi przysługę?

– Tak.

– Nie rozumiem... Dlaczego nie możesz po prostu...?

Przerwała. Kąciki jej ust delikatnie zadrżały.

– Dokończ – powiedziałem. – Dlaczego nie mógłbym wykorzystać mojego tytułu naukowego i znaleźć prawdziwej pracy jako nauczyciel angielskiego?

Pokręciła głową.

– To nie moja sprawa, prawda?

– Caroline...

– Muszę iść, Tres. – Westchnęła, po czym dodała bez większego entuzjazmu: – Mógłbyś pojechać ze mną do studia. Zamówilibyśmy sobie coś na wynos i spędzili popołudnie w mojej garderobie jak za starych dobrych czasów. Może by nam się to przydało.

– Muszę zadzwonić do Mila.

Zrobiło się lodowato.

– Jak chcesz.

Zamknęła torebkę i pocałowała mnie bardzo delikatnie, nie patrząc mi w zasadzie w oczy. Pachniała jak puder dla niemowląt. Na nosie miała kilka piegów, których nie zdołała zakryć makijażem.

– Przepraszam, że sprawiłam ci taki kłopot – powiedziała.

Drzwi wejściowe zatrzasnęły się za nią.

Robert Johnson zszedł z szafy, kiedy usłyszał, jak Caroline zapala silnik samochodu. Wyjrzał podejrzliwie przez okno, potem posłał mi mordercze spojrzenie, którego musiał się nauczyć od Erainii Manos.

– Jeśli podczas wizyt gości chcesz udawać Annę Frank, nie miej pretensji

do mnie – powiedziałem.

Podszedł, jakby od niechcienia ugryzł mnie w kostkę, po czym podreptał w stronę swojej miski.

Są takie dni, kiedy człowiek nie może się opędzić od innych.



O zachodzie słońca niebo przybrało barwę pieczonego bakłażana. Siedem milionów wilgowronów zleciało się na wiec na drzewa i linie telefoniczne nad miastem. Siedziały tak, wydając skrzekliwe, wysokie dźwięki, które prawdopodobnie wkurzały operatorów radarów na wszystkich łodziach podwodnych pływających w Zatoce Meksykańskiej.

Stałem w kuchni, czytając popołudniówkę „Express-News”. Otworzyłem właśnie trzeciego shiner bocka i zaczynałem odczuwać kojące odrętwienie w kończynach.

Julie Kearnes miała na tyle zdrowego rozsądku, żeby dać się zabić w dniu, w którym media nie miały wielu ciekawszych tematów. Poświęcono jej krótki materiał na dwunastej stronie gazety. Ja zasłużyłem na wzmiankę jako osoba, która zadzwoniła na policję. Dziennikarz przygotowujący wiadomość zadał sobie trochę trudu i ustalił, że czytelnicy mogą pamiętać Kearnes z piosenki *Three More Lonely Nights* nagranej przez Emmylou Harris w 1978 roku, a ostatnio z działalności skrzypaczki i wokalistki w chórze wschodzącej gwiazdy Mirandy Daniels. Policja nie dysponowała żadnymi poszlakami, narzędziem zbrodni ani świadkami, których zeznania wnosilyby cokolwiek do sprawy.

Dziennikarz nie wspomniał o innych okolicznościach – o mniej istotnych sprawach, które ustaliłem, krążąc za Julie Kearnes po mieście, rozmawiając z jej sąsiadami, grzebiąc w jej śmieciach. Nie wspomniał między innymi o tym, że Julie uwielbiała tajske jedzenie. Że robiła zakupy w tych samych

newage'owych sklepach, co moja matka. Że choć grała na skrzypcach w zespołach country od szóstego roku życia, tak naprawdę wolała słuchać Itzhaka Perlmana. Że piła tanie białe wino i miała papugę.

Żadna z tych informacji nie trafiła do „Express-News” – napisano tylko tyle, że ktoś zrobił jej dziurę w głowie.

Pod koniec wspomniano o wielkich utrudnieniach, jakie spowodowało zamknięcie na cały poranek parkingu San Antonio College w celu zbadania miejsca zbrodni. Przytoczono wypowiedzi paru niezadowolonych studentów, którzy musieli zaparkować kilka przecznic od uczelni.

Myślałem o Julie Kearnes siedzącej w swoim cougarze rocznik 1968, ładnie ubranej, ze skrzypcami u boku. Pomyślałem o prawdziwych minusach zawodu prywatnego detektywa – bynajmniej nie o nudzie związanej ze śledzeniem człowieka, ale o chwilach, kiedy taki człowiek staje się dla nas osobą z krwi i kości.

Pociągnąłem kolejny łyk piwa.

Niewiele więcej szczęścia miałem z telefonem. Wysłałem kilka wiadomości na pager Mila Chaveza, zadzwoniłem też do niego parę razy, ale sekretarka Gladys przekonywała, że nie może się z nim skontaktować. Milo podobno pojechał do Boerne, żeby się zająć jakąś ważną sprawą. Gladys przyznała, że „ważna sprawa w Boerne” to sprzeczność sama w sobie, ale że tak czy inaczej nie jest mi w stanie w żaden sposób pomóc. Owszem, słyszała o Julie Kearnes. Tak, agencję odwiedziła policja. Oczywiście, że Gladys nagrała wiadomość w tej sprawie na sekretarce automatycznej Mila. Nie, mimo wszystko nie zdołała się z nim skontaktować. Nie, skontaktowanie się z Lesem Saint-Pierre'em, Bogiem Łowców Talentów, również nie wchodziło w rachubę. Czy mógłbym zadzwonić jutro?

Podziękowałem i odłożyłem słuchawkę.

Uznałem, że więcej tego dnia nie zdziałam. Niestety nie mogłem uniknąć cotygodniowej kolacji w domu mojej matki.

Poszedłem do łazienki i spojrzałem na swoje odbicie w lustrze.

– Dasz radę – powiedziałem.

Robert Johnson łypnął na mnie spod kranu, którego używał jako poidła. Nie usłyszałem od niego żadnych słów wsparcia.

Wziąłem prysznic i przebrałem się w coś eleganckiego – dżinsy bez dziur, koszulkę z logo organizowanego w San Francisco wyścigu „Bay to Breakers”, mokasyny (nowsza parę, która nie przypominała jeszcze pieczonych ziemniaków).

Następnie złożyłem dach volkswagena i ruszyłem na północ przez Broadway w stronę Vandiver Street. Przez całą drogę do Alamo Heights słuchałem na pełny regulator latynoskiego *conjunto*. Kiedy zatrzymałem się na światłach na skrzyżowaniu z Austin Highway, kilku gości w smokingach i kowbojskich kapeluszach obejrzało się przez ramię w moją stronę.

Po wjechaniu na Vandiver łatwo dostrzec dom mojej matki – nawet w ciemności. Trzeba po prostu jechać wzdłuż białych, zbudowanych po drugiej wojnie światowej domów, dopóki nie natrafi się na różowy bungalow z cegły suszonej na słońcu, z oświetloną na zielono werandą. Czego się nie robi, żeby się wtopić w otoczenie.

Nikt nie otworzył drzwi, więc wszedłem sam do środka.

Tamtego wieczoru matka paliła kadzidełka. Bożonarodzeniowe lampki migały na ostrokrzewie, a jacuzzi na tarasie bulgotało radośnie samo do siebie w oczekiwaniu na imprezę. W domu dominował styl etnicznego eklektyzmu – meksykańskim bibelotom towarzyszyły japońskie kimona i afrykańskie maski pogrzebowe.

W salonie grało w bilard dwóch gości, których pierwszy raz widziałem na

oczy. Byli mniej więcej w moim wieku. Mieli na sobie obcisłe dzinsy, buty kowbojki i denimowe koszule z rękawami podwiniętymi na tyle wysoko, żeby zaprezentować tricepsy.

Skinęli mi na powitanie głowami i wrócili do gry.

Zszedłem schodami do kuchni, gdzie matka i Jess oglądali telewizję. Na ekranie Carolaine zapowiadała wiadomości o dziesiątej. Zapewniała widzów, że przekaże im najnowsze wieści na temat pożaru na North Side.

– Tres, kochanie. – Matka wstała, ścisnęła moje policzki i dała mi całusa. – Mam nadzieję, że zjesz zupę tortillową.

Mama była ubrana tak, jakby wybierała się do Zimbabwe. Miała na sobie wielokolorowy kaftan i długi czarny szal. Kolczyki z kości słoniowej miały kształt kamiennych głów z Wyspy Wielkanocnej, a na przedramiona założyła tyle srebrnych bransoletek, że przypominały sprężynki slinky. Mimo swoich pięćdziesięciu pięciu lat wyglądała góra na trzydzieści pięć.

Jess powiedział „heja” i wrócił do oglądania meczu oilersów. Skończył Alamo Heights dwa lata po mnie. Występowaliśmy nawet razem w reprezentacji uczelni. Był chyba młodzieńcem numer trzy albo cztery, z którym matka związała się po tym, jak dostała rozwód, spaliła przepisy na duszone mięsa z warzywami i przeobraziła się w newage’ową *artiste*.

– Masz mi zdać pełny raport – ciągnęła matka. – Co słyhać u Carolaine? Nie opuszczamy już żadnych wiadomości na KSAT. Powinieneś jej powiedzieć, żeby częściej nosiła tę zieloną sukienkę, Tres. Bardzo korzystnie się w niej prezentuje.

Wyjaśniłem, że Carolaine ma się dobrze, nie zamieszkaliśmy jeszcze razem, a ja nie mam pojęcia, czy i kiedy miałoby to nastąpić. Mamie niespecjalnie spodobało się to „czy”. Wydawała się rozczarowana, że nie zacząłem jeszcze żyć w grzechu. Stwierdziła, że poleca mi to z całego serca.

– He? – powiedział Jess, nie odrywając wzroku od meczu futbolowego.

Mama poszła zamieszać zupę. Dorzuciła do bulionu miskę duszonych pomidorów z kawałkami gotowanego kurczaka. Stanąłem przy blacie i zacząłem siekać kolendrę.

– A w pracy? – Mama spojrzała na mnie bacznie z ukosa.

– Raczej kiepsko. Została mi jedna sprawa do skończenia. A potem...

Skinęła głową usatysfakcjonowana, po czym zawinęła kosmyk czarnych włosów za ucho.

Z przyzwyczajenia próbowałem wypatrzeć jakiegokolwiek oznaki siwizny. Nie dostrzegłem żadnych. Bóg raczy wiedzieć, ile razy zaglądałem do jej szafki w łazience w poszukiwaniu farby do włosów, ale nie znalazłem tam nigdy nic bardziej kompromitującego od witaminy E, olejku rozmarynowego i kilku leczniczych kryształów. Mama posłała mi jeszcze jedno spojrzenie i się uśmiechnęła, jakby wiedziała, o czym myślę, i jakby ta świadomość sprawiała jej satysfakcję. Była to gra, w której odnosiła zwycięstwo nieprzerwanie od dobrych piętnastu lat.

– Tak się składa – stwierdziła – że rozmawiałam ostatnio z profesorem Mitchellem z Uniwersytetu Teksańskiego w San Antonio.

Rozciąłem kolendrę odrobinę mocniejszym ruchem.

– Mamo...

– Uspokój się, najdroższy, tylko sondowałam.

– Tylko sondowałamś.

– No przecież. Minęło już chyba z dziesięć lat, od kiedy urządzałam tę wystawę z jego żoną.

W sąsiednim pokoju któryś z młodych buraków rozbił trójkąt, a drugi zagwizdał z uznaniem. Jess cisnął puszką po piwie w stronę kosza na śmieci i trafił. Oilersi prowadzili.

– A więc zupełnie przypadkowo natrafiłaś w książce telefonicznej na numer Mitchella?

– Aha.

Zsunąłem do garnka resztki kolendry z ostrza noża. *Cebollas* zdążyły się już upiec, a śmietana była przygotowana. Paski smażonej kukurydzianej tortilli leżały obok w misce; wystarczyło je tylko wsypać do garnka.

Wytarłem ręce.

– A kiedy już sobie rozmawialiście... – ciągnąłem ją za język.

Mama wzruszyła ramionami.

– No dobrze, już dobrze. Zapytałam go, czy nie ma jakichś wolnych posad na anglistyce.

Spojrzałem tęsknie na duży kuchenny nóż, którego używałem chwilę wcześniej.

– Daj spokój, Jackson. On naprawdę chce pomóc.

Mama jest jedyną osobą, która może zwrócić się do mnie po imieniu i przeżyć. Najchętniej urobiłaby mnie tak jak pierwszych dwóch Jacksonów Navarre – mojego ojca i dziadka. Trzeciego w długiej linii bezradnych mężczyzn.

Zadzwoił telefon. Mama udała zaskoczenie, ale zupełnie jej to nie wyszło.

– Mój Boże, a któż to może być?

Postanowiłem stawić czoło temu, co nieuchronnie miało się zdarzyć, i zadeklarowałem, że odbiorę. Mama się uśmiechnęła.

Wyniosłem telefon na taras, postawiłem obok jacuzzi, podniosłem słuchawkę i powiedziałem:

– Profesor Mitchell?

Chwila zaskoczenia po drugiej stronie, po czym starszy głos odpowiedział:

– Czy to naprawdę ty, Tres?

Potwierdziłem. Roześmiał się i zaczął typowe dla starszków wspominki, jaki to szmat czasu upłynął, od kiedy mnie ostatni raz widział, i jak bardzo się cieszy, że mam już za sobą okres dojrzewania. Powiedziałem, że ja również się cieszę.

– Twoja mama mówiła, że rozglądasz się za pracą – przyznał.

– No właśnie, jeżeli o to chodzi...

Zamierzałem przeprosić za mamę, która najwyraźniej sądziła, że posady uniwersyteckie leżą na ulicy i wystarczy zadzwonić do dawnego znajomego, żeby załatwić jakąś dla swojego syna.

Zanim zdążyłem dokończyć, profesor Mitchell oświadczył:

– Umówiłem ci spotkanie na jedenastą w sobotę. To jedyny termin, kiedy wszyscy będziemy wolni, aby przeprowadzić rozmowę kwalifikacyjną.

Zamknąłem szklane drzwi do kuchni, aby odciąć się od dźwięków partyjki bilarda i telewizora.

– Słucham?

– Twoja mama jak zwykle wykazała się nadzwyczajnym wyczuciem czasu – wyjaśnił Mitchell. – Nastąpiły duże zmiany na wydziale, właśnie powołujemy komisję rekrutacyjną. Tak się składa, że jestem jej członkiem. Widzimy się o jedenastej. Godzina ci pasuje?

Wystarczyłoby uprzejmie podziękować. „Przepraszam, matka po raz kolejny postanowiła wtrącić się w cudze sprawy, a mnie czeka świetlana przyszłość w branży detektywistycznej”. Spodziewałem się, że lada chwila wypowiem te słowa. Przez szklane drzwi zobaczyłem, że Carolaine ponownie pojawiła się na ekranie telewizora, tym razem ze skrótem najnowszych informacji.

Być może właśnie widok twarzy Carolaine osłabił moją determinację. Być

może powodem był fakt, że nie spałem niemal od tygodnia, prowadząc obserwację i niańcząc czterolatka. Albo to, że ilekroć zamykałem tego dnia oczy, widziałem Julie Kearnes w jej niebieskim cougarze z 1968 roku, ludzi w białych lateksowych rękawiczkach wyjmujących pęsetami kawałki mózgu z jej włosów. Kiedy w końcu udzieliłem odpowiedzi profesorowi Mitchellowi, nie była to odpowiedź odmowna.

– Jedenasta w sobotę. Dlaczego nie.

Z aparatu na piętrze dobiegł głos matki:

– Własnym uszom nie wierzę – powiedziała, wzdychając.

Profesor Mitchell wybuchnął śmiechem.



Wtorkowy poranek przyniósł dobrą wiadomość: Gladys zdołała wynegocjować dla mnie lunch z Milem Chavezem. Tak naprawdę Milo spotykał się z kimś innym, ale Gladys uznała, że mógłbym dołączyć do nich na kilka minut – w związku z tym że mieliśmy do omówienia kwestię zabójstwa i tego typu sprawy.

Zła wiadomość była taka, że za lunch trzeba było zapłacić.

Próbowałem skorzystać z bankomatu na rogu Broadway i Elizabeth, ale okazał się nieugięty. Poinformował mnie, że moje saldo jest mniejsze od minimalnej dwudziestodolarowej wypłaty. Usiłowałem skorzystać z linii kredytowej. Gdzieś w New Jersey rozległ się gromki śmiech pracowników VISA.

Plan C. Zadzwoiłem do dobrych znajomych w Manny Forester & Associates. O dziewiątej trzydzieści trzymałem w ręku trzy wezwania do sądu, których nie zdołali dostarczyć gońcy Manny'ego. Do jedenastej odnalazłem dwóch rzekomo nieuchwytnych mężczyzn, rzuciłem im dokumenty pod nogi i czmychnąłem, narażając się tylko na kilka przekleństw oraz widok noża do steków, którym pomachano mi przed nosem. Nie tak wyobrażam sobie stałą, dającą satysfakcję pracę, ale przy stawce pięćdziesięciu dolarów za wezwanie było to całkiem przyzwoite źródło awaryjnego zarobku.

Trzecie wezwanie miałem dostarczyć do stałego klienta – Williama Burnetta, alias Sierżant. Dostarczałem mu pozwy co najmniej raz w miesiącu dzięki nieustępliwości, z jaką Manny Forester reprezentował interesy żony i

wierzycieli Sierżanta. Ten z kolei z uśmiechem na ustach podpalał sobie kolejne cygara wezwaniami do sądu, przenosząc się z baru do baru. Nasza relacja weszła na taki poziom, że ilekroć udawało mi się go odszukać, stawialiśmy sobie po piwie, a on opowiadał mi o czasach, kiedy służył w Morskiej Straży Granicznej w Corpus Christi.

Za sprawą opowieści Sierżanta i gościnnych progów Cantina Azteca spóźniłem się trzydzieści minut na lunch.

Kiedy w końcu dotarłem do Tycoon Flats na North St. Mary's, przy stolikach w ogródku burgerowni siedział tłum studenciaków z Trinity College oraz biznesmenów, którzy wyszli z pracy na lunch. Było pochmurno i wilgotno. Z kuchni wylatywał gęsty dym i wznosił się między gałęziami jadłoszynów ku sznurkom na białinę zawieszonym na nieotynkowanych domach za restauracją. Cała okolica śmierdziała dobrze wysmażonymi cheeseburgerami.

Nietrudno było wypatrzeć Mila Chaveza. Przy zielonym piknikowym stoliku pośrodku ogródka spoczywał stusześcdziesięciokilogramowy ludzki głaz, elegancko zapakowany w szare spodnie z zaszewkami, o obwodzie stu trzydziestu dwóch centymetrów, i białą koszulę frakową, na którą zużyto prawdopodobnie większą część materiału z balonu. Strój uzupełniały złote dodatki: od kolczyków po klamerki w mokasynach od Gucciego. Włosy miał świeżo przystrzyżone na rzadkiego czarnego jeża, przez co jego miedziana twarz wydawała się jeszcze większa. Latynoski Budda z wyczuciem stylu.

Naprzeciwno Mila siedział starszy Anglosas pozujący na pilota marynarki wojennej. Być może dałbym się nabrać na wyprasowane spodnie khaki i awiatory, ale skórzana kurtka była już ewidentną przesadą. Jak na żołnierza marynarki wojennej miał zbyt delikatne usta i zbyt ruchliwe jasnoszare brwi.

Robił groźne miny i trzymając przed sobą rozłożone dłonie, przemawiał do

Mila cichym, ale natarczywym tonem. Do moich uszu doszło kilkakrotnie powtórzone: „Nie zgadzam się”.

Próbowałem coś wyczytać z twarzy Mila, ale nie dostrzegłem tam nic poza typowym dla niego ospałym, niemal gamoniowatym spokojem.

Oczywiście nie należało z tego wyciągać żadnych wniosków. Milo sprawiał wrażenie spokojnego, kiedy tydzień wcześniej spotkaliśmy się przypadkowo w Mi Tierra, gdzie opowiedział mi o problemie z kasetą demo, który mógł sprawić, że jego agencja straci kontrakt wart milion dolarów. Robił wrażenie spokojnego na imprezie pod koniec szkoły średniej, kiedy wpakował twarz Kyle'a Mavery'ego do miski z dipem za złośliwe uwagi pod adresem rodziców Chaveza, którzy przebywali w Stanach dzięki zielonym kartom. Sprawiał wrażenie spokojnego na studiach, po tym jak zostaliśmy ostrzelani przez właściciela pewnego domu w Berkeley, skąd próbowaliśmy uratować niedożywnego psa. Sprawiał wrażenie spokojnego nawet dwa lata później, kiedy został wylany z pierwszej pracy w Terrence & Goldman Law Offices, po tym jak jego genialny pomysł na namierzenie ważnego świadka skończył się dla mnie wizytą na oddziale intensywnej opieki medycznej w szpitalu San Francisco General. Mimo wielu lat przyjaźni naznaczonej rozmaitymi perypetiami wciąż nie potrafiłem określić, czy Milo zamierza zażartować, rzucić się na kogoś, czy namówić mnie do zrobienia czegoś niebezpiecznego i głupiego, co w jego ustach zabrzmiałoby jak najbardziej logiczne rozwiązanie pod słońcem. Dłuższe przebywanie w jego towarzystwie nie wpływało korzystnie na poziom zadowolenia Tresa Navarre.

Klapnąłem obok niego z butelką shiner bocka i koszykiem kręconych frytek.

– Proszę o zgodę na wejście na pokład. – Zasalutowałem.

Pilot wlepił we mnie wzrok.

– Kim, do diabła...

Milo skinął lekko głową w moją stronę.

– Tres Navarre. Przedstawiam ci Johna Creeę. Producenta Mirandy Daniels.

– Byłego producenta – poprawił go Crea.

– Nie posiadam się z radości. – Spojrzałem na Mila. – Wydzwaniam do ciebie od wczoraj rano, Chavez. Zacząłem już nabierać podejrzeń, że dałeś mi kosza.

Milo uniósł dłoń, po czym zwrócił się z powrotem do Crei.

– Nie możesz tak po prostu odejść, Johnny. Zrezygnowałbyś ze swoich dziesięciu procent od finalnego projektu?

Crea się roześmiał. Jego brwi zaczęły podskakiwać.

– Nie będzie żadnego finalnego projektu, Chavez – powiedział. – Do następnego piątku musieliby spędzić z pięćdziesiąt godzin w studiu. Na samych technikaliach. To jakaś abstrakcja. Nawet gdybym nie miał już serdecznie dość atmosfery zagrożenia wytwarzanej przez tych buraków... Chryste, Milo, widziałeś dziurę po kuli?

– Les pracuje nad sprawą – zapewnił Milo.

Crea zaczął dźgać stół środkowym palcem.

– Jeżeli Les zajmuje się sprawą, wyjaśnij mi, dlaczego nie mogę się z nim skontaktować, kiedy ktoś do mnie strzela. Gdzie się ten skurwiel podziewa?

– Już ci mówiłem. Pojechał do Nashville. Rozwojowy kontrakt z Century...

– Rozwojowy kontrakt to już historia. Przyszedłem tu, żeby zobaczyć się z Lesem, dostać część pieniędzy i uzyskać jakieś poważne zapewnienie, że mogę liczyć na ochronę. – Crea zerknął na mnie i prychnął. – Nic takiego się nie zdarzyło – ciągnął. – Mam inne sprawy na głowie, Milo. *Adios*.

John Crea wstał, poruszył szczęką, poprawił okulary, rozprostował kurtkę i oddalił się w oparach old spice'a. Uczynił to w takim tempie, że zapomniałem stanąć na baczność.

Milo wpatrywał się w swoje jedzenie, potem przeniósł wzrok na mnie. Wyciągnął rękę, przywłaszczył sobie największą frytkę z mojego koszyka i zaczął rozwijać ją z namysłem swoimi grubymi palcami.

– Gość ubiera się niemal równie szykownie jak ty – zauważyłem.

Mięśnie twarzy Mila poruszają się powoli, jeżeli w ogóle. W praktyce można polegać wyłącznie na jego oczach. Teraz były ciemne i skoncentrowane. Gniewne.

– Johnny był kiedyś menedżerem Mela Tillisa – powiedział. – Dali raz koncert na lotniskowcu i cała ekipa dostała te kurtki lotnicze. Johnny trochę za bardzo wczuł się w rolę.

– O czym on przed chwilą mówił?

Milo zjadł małego kawałeczek frytki.

– Kolejne problemy z kontraktem Mirandy z Century Records. W niedzielę wieczorem ktoś oddał kilka niecelnych strzałów w kierunku Crei, kiedy ten około północy wychodził ze studia. Usłyszał „bam, bam” i dopiero po kilku sekundach zorientował się, że ktoś strzela. Przyjechała policja, znalazła kulkę w drzwiach, powiedziała, że się tym zajmie.

– Snajper. Jak w wypadku Julie Kearnes. Dzięki, że mnie uprzedziłeś.

– Naprawdę zamierzałem to zrobić, stary.

– Jasne. Zaraz po złożeniu wiązanki na grobie Julie.

Milo posłał mi beznamiętne spojrzenie.

– Ta Kearnes piekielnie skomplikowała mi życie. Okradła nas. Czego ode mnie oczekujesz? Że się popłaczę?

– Nie. Tego bym od ciebie nie oczekiwał. Tyle że Julie Kearnes nie

ukradła tej choliernej kasety demo, Milo.

Opowiedziałem mu o kilku ostatnich dniach, kiedy obserwowałem Julie. Zakończyłem na moim odejściu z agencji Erainii i poczuciu, że w nieodległej przyszłości powinienem być może poszukać pracy w innej branży.

Milo skończył rozkawałkować i pożerać frytkę. Wyjął z kieszeni paczkę wilgotnych chusteczek, otworzył ją i zaczął starannie wycierać palce z tłuszczu, usuwając go nawet spod paznokci. Wyczułem zapach cytryny.

– Przykro mi, Navarre. To właśnie chciałeś usłyszeć? Nikt nie będzie cię zatrzymywał, jeżeli się wycofasz i zostawisz sprawę policji. Coś wykombinujemy z Lesem.

– Akurat.

Czarne oczy Mila obróciły się z powrotem w moją stronę.

– Słucham?

– Niczego, do cholery, z Saint-Pierre'em nie wykombinujecie, Milo, a twój problem nie polega wyłącznie na skradzionej taśmie demo. Ktoś strzela do twoich ludzi; jedna z tych osób nie żyje. Co tu się, kurwa, dzieje?

Łypnął na mnie jak byk, który jest odrobinę zbyt leniwy, żeby natrzeć na ofiarę.

– Masz świadomość, kim jest Les Saint-Pierre, prawda, Tres? Organizował występy albo pracował jako menedżer wszystkich artystów z Teksasu, którzy po 1980 roku zrobili większą karierę. Miranda Daniels nie jest pierwszą piosenkarką, przez którą oberwał za ograbienie z zysków lokalnych patronów, za wypromowanie jej do pierwszej ligi. Radził sobie z poważniejszymi sytuacjami.

– Dlaczego jakoś mnie to nie przekonuje?

Milo położył dłoń na blacie stolika. Zaczął powoli bębnić kolejnymi palcami, jakby się upewniał, czy wszystkie pozostają sprawne.

– Lubię swoją pracę, Navarre. I nie chodzi wyłącznie o prowizje od czynności prawnych, wiesz? Zaczynam sam sprzedawać koncerty za piętnaście procent wpływów. Kiedy Miranda Daniels podpisze kontrakt z Century Records, ludzie zaczną kojarzyć moje nazwisko.

– Nadal nie usłyszałem odpowiedzi na moje pytania.

– Jesteś gotów dalej dla mnie pracować?

– Pracowałem dla wielu prawników, Milo. Wiesz, czego w tym nie znoszę? Ich potrzeby sprawdzania moich kompetencji. Powierza się człowiekowi wycinek sprawy i patrzy, jak sobie poradzi. Czasami tego rodzaju ostrożność wychodzi na dobre, częściej jednak człowiek działa w oparciu o niebezpiecznie niepełny zbiór danych. A potem ktoś przez to obrywa. Ponieważ znamy się od piętnastu lat i przerabialiśmy razem podobne sytuacje, miałem nadzieję, że tym razem darujesz sobie sprawdzanie moich kompetencji. Najwyraźniej się pomyliłem.

Milo nadal bębnił palcami.

– No dobra.

– Co „no dobra”?

– W ostatnim tygodniu wykonałem kilka telefonów w twojej sprawie, po tym jak zgodziłeś się przyjrzeć Julie Kearnes.

– Telefonów? – powtórzyłem. – Jakich znowu telefonów?

– Na przykład do Rogera Schummana. Przyznał, że nieźle się sprawdziłeś. Podobno z wielką wprawą wyrzuciłeś jakiegoś lichwiarza przez okno jego biura. Manny Forester również miał o tobie wiele dobrego do powiedzenia. Wygląda na to, że potrafisz dyskretnie namierzyć poszukiwanego człowieka. Stwierdził, że gdyby wszystkie zbiry miały doktorat, być może byłyby równie niezawodne jak ty.

– Zwróciłeś się do różnych ludzi po referencje. Dotyczące mojej osoby.

Milo wzruszył ramionami.

– Od San Francisco upłynęło trochę czasu, Navarre. Podejrzywałem, że zacząłeś sobie niezłe radzić z tego rodzaju zadaniami. Ucieszyłem się, kiedy okazało się to prawdą.

– Koniec z testami, Milo. Co się dzieje?

Milo zaczął coś mówić, ale przerwał. Wrócił do bębnienia palcami w blat.

– Les wcale nie pojechał do Nashville. Zaginął dwa tygodnie temu.

Wziąłem plastikowy nóż, wyciągnąłem rękę przez stół i odciąłem połowę nienapoczętego cheeseburgera, który leżał w koszyku przed Milem.

– I nie poinformowałeś policji nawet po tym, co spotkało Julie Kearnes?

– To nie takie proste. Les... – Milo szukał odpowiednich słów, czegoś o neutralnym wydźwięku prawnym. W końcu dał za wygraną. – Les często daje dupy. To dziwak. Pije, ma też parę innych złych nawyków. Czasami idzie w tango na kilka dni, a wtedy musimy go kryć, mówiąc, że wyjechał z miasta. Tak jak teraz. Nie mam pewności...

– Czy kiedykolwiek wcześniej zniknął na tak długo?

Milo pokręcił głową.

– Mimo wszystko... – Przerwał rozczarowany, sam nie wierząc w to, co zamierzał powiedzieć.

– Myślę, że jego zniknięcie może się jakoś wiązać z zaginioną taśmą demo – powiedziałem. – Oraz ostrzelaniem Johna Crei. Ale porozmawiajmy o morderstwie Julie Kearnes. Sądysz, że to może być element większej całości? Ktoś mógł się wkurzyć z powodu kontraktu, nad którym pracujesz?

– Tego się właśnie obawiam.

– Żona Lesa nie zgłosiła jego zaginięcia?

Odraza, jaka pojawiła się w jego oczach, uzmysłowiła mi, że osoba pani Saint-Pierre nie należała do jego ulubionych tematów.

– Chcesz wiedzieć, jak to jest z Lesem Saint-Pierre'em, jego żoną i policją? Jakies sześć miesięcy temu, podczas poprzedniego zniknięcia Lesa, Allison udała się do biura osób zaginionych. Wiesz, co jej powiedzieli?

Odgryzłem kęs cheeseburgera. Milczałem wyczekująco.

– Poinformowali ją, że Les już ma status zaginionego. Od siedmiu lat. Najwyraźniej jego poprzedniej dziewczynie również przydarzyła się identyczna sytuacja, zgłosiła jego zniknięcie, po czym zapomniała powiadomić policję, kiedy wrócił do domu. Biuro nigdy nie zamknęło sprawy, nie usunęło go z listy poszukiwanych. Nie do uwierzenia, co?

– Słyszałem o takich przypadkach. Biuro osób zaginionych zмага się z nawałem spraw rodzinnych, które w dziewięćdziesięciu procentach zostają rozwiązane, zanim jeszcze ktokolwiek zostanie przydzielony do sprawy.

– No wiem. Tym razem Allison się nie śpieszy. Lesowi zdarzało się żartować, że ucieknie kiedyś do Meksyku. Allison podejrzewa, że być może faktycznie to zrobił, i nie zamierza po nim płakać.

– Tyle że tym razem nie chodzi wyłącznie o biuro osób zaginionych, Milo. Wydział zabójstw będzie chciał z nim porozmawiać. Musisz im powiedzieć prawdę.

Milo położył sobie dłoń na karku.

– Sprawa jest bardziej skomplikowana, Navarre. Nie chodzi tylko o to, że nasi klienci uważają Lesa za dziwaka, że od czasu do czasu zapada się pod ziemię. Że żona zgłasza jego zaginięcie po jakiejś kłótni. Ludzie wykazują się pewną wyrozumiałością, ponieważ chodzi o słynnego Lesa Saint-Pierre'a. Ale kiedy tylko ktoś usłyszy choćby pogłoskę, że naprawdę zaginał, że tym razem to ja go szukam, że Milo został sam na gospodarstwie... – Uniósł dłonie z blatu. – Muszę znaleźć Lesa. Szybko i po cichu. I nie mam czasu, żeby rozglądać się za kimś nowym do tej roboty.

– Ty to umiesz powiedzieć komplement.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął zwitek banknotów, jaki tylko w spodniach Mila mógł nie tworzyć obscenicznego wybrzuszenia. Były to pięćdziesiątki tworzące rulon o grubości puszkę coli.

– Skoro sprawa nie podoba się twojej szefowej, obejźmy się bez pośredników.

– Nie – powiedziałem. – Nie mam licencji. I zaczynam podejrzewać, że nigdy jej nie zdobędę.

– Mnie to nie robi różnicy.

– Powiedziałem ci, że rozważam zmianę profesji.

Milo położył walec banknotów na stoliku i potoczył go w moją stronę.

– Tak czy inaczej, będziesz się zajmował morderstwem Kearnes, Navarre. Dobrze cię znam, nie puścisz płazem czegoś, co zdarzyło się pod twoim okiem. Dlaczego miałbym ci za to nie zapłacić?

Może miałem poczucie, że jestem mu coś winien. A może miałem w pamięci to, że znamy się od dawna, że nasze ścieżki nieustannie się przecinają od czasów szkoły średniej, że zbiegają się zawsze w najmniej odpowiednich chwilach niczym pogłos w sali o złej akustyce.

A może sam siebie oszukuję. Może przekonał mnie ten zwitek pieniędzy, który pozwoliłby mi wreszcie zapłacić w terminie czynsz i nie pożyczać pieniędzy na jedzenie od matki.

Usłyszałem, jak mówię:

– Co dokładnie miałbym dla ciebie zrobić?



Agencja Artystyczna Lesa Saint-Pierre'a mieściła się w szaroceglonym wiktoriańskim budynku przy West Ashby, naprzeciwko domu Koehlerów.

Nawet bez szyldów byłoby oczywiste, że został przerobiony na biura. Wyraziste kolory, jednakowe żaluzje w oknach, zadbane, choć całkowicie pozbawiony charakteru pas zieleni, teksańska flaga powiewająca na pustej werandzie – wszystko to świadczyło wyraźnie, że mamy do czynienia z „biurowcem”.

U stóp pagórka przed budynkiem stały zaparkowane dwa samochody. Jednym z nich było jasnobrązowe volvo kombi. Kiedy podszedłem do stojącego na chodniku Mila, on wpatrywał się w drugi samochód – lśniącego czarnego pikapa, który wyglądał jak przerobiona wielkim nakładem kosztów półciązarówka. Koła miał prawie wielkości tych z monster trucka, okna przyciemniane i opatrzone w narożnikach naklejkami firmy ochroniarskiej, pomarańczowe wzory na karoserii i chlupacze ze srebrnymi sylwetkami lalek Barbie. W szoferce mogłyby się chyba wygodnie przespać ze cztery osoby.

– To nie jest mój dzień – powiedział Milo.

Zanim zdążyłem zapytać, co ma na myśli, odwrócił się i zaczął wchodzić po schodach.

Wnętrze wiktoriańskiego budynku składało się z parkietów z twardego drewna i kremowych ścian. Z holu na piętro prowadziły okazałe schody. Za dwuskrzydłowymi drzwiami po prawej stronie znajdowała się recepcja wyposażona w dwa wiklinowe krzesła, mahoniowe biurko, kominek i turecki

dywan. Na krawędzi biurka przysiadł ogromny Anglosas po pięćdziesiątce i rozmawiał z Gladys, recepcjonistką.

Kiedy określam kogoś mianem „ogromnego” w obecności Mila, muszę się poprawić w myślach. Nawet jeśli gość nie dorównywał rozmiarami Milowi, był ze wszech miar wielki. Wysoki, z wydatnym torsem. Szeroki kark. Masywne dłonie. Figura operatora żurawia portowego.

Mimo upału miał na sobie dżinsową kurtkę, pod nią białą koszulę, nowe niebieskie dżinsy i czarne skórzane trzewiki. W palcach obracał kowbojski kapelusz.

Na widok Mila uśmiech zniknął z jego twarzy.

– *Hola*, Mario.

Milo podszedł spokojnie do biurka i wziął do ręki stosik listów, nawet nie spoglądając na gościa.

– Spierdalaj, Sheckly. Dobrze wiesz, jak mam na imię.

– Dajże... – Sheckly mówił z nosowym, mocnym, niemiecko-teksańskim akcentem człowieka, który dorastał w górzystych okolicach Fredericksburga, gdzie w wielu rodzinach nadal mówiono odmianą kowbojskiego *Deutsch*. – Nie pogrywaj sobie ze mną, chłopcze. Wpadłem tylko, żeby sprawdzić, jak się mają sprawy. Żeby się upewnić, że robisz wszystko, co trzeba, dla mojej dziewczyny. Przypomniałeś Lesowi o kontrakcie?

Milo przeglądał listy.

– Les nadal siedzi w Nashville. Przekażę mu, że wpadłeś. Kontrakt leży tuż obok toalety, dokładnie tam, gdzie go zostawił.

Śmiech Sheckly’ego miał postać niskiego chichotu. Nieprzerwanie obracał w palcach kapelusz.

– Dajże spokój, chłopcze. Jeśli chcesz podważyć naszą umowę, skontaktuj mnie ze swoim szefem. W przeciwnym razie oczekuję, że Miranda

pierwszego listopada stawi się w Split Studio. Powiem ci coś jeszcze: spróbuj pokazać tę taśmę demo Century, a prześlę im kopię mojego kontraktu. Przekonamy się, czy będą chcieli łądować pieniądze w dziewczynę, która da do wiwatu ich wydziałowi prawnemu.

Milo otworzył kolejny list.

– Wiesz, jak trafić do drzwi.

Sheckly wstał powoli z biurka, rzucił do recepcjonistki: „Zastanów się nad tym”, po czym ruszył w stronę wyjścia.

Przystanął przede mną i wyciągnął rękę.

– Tilden Sheckly. Większość ludzi mówi do mnie Sheck.

Z bliska można było odnieść wrażenie, że wszystkie niepotrzebne pigmenty na twarzy pana Sheckly’ego zlały się z jego opalenizną, która była ciemna i nieskazitelna. Oczy miał w tak jasnym odcieniu niebieskiego, że wyglądały niemal jak białe. Jego usta były całkowicie wyzbyte czerwieni. Można było przypuszczać, że w przeszłości miał gęste ciemnobrązowe włosy, ale od tego czasu spopielwały do brązowoszarych, nieujarzmionych kępek, które przypominały zlepki ćmich skrzydeł.

Podąłem mu swoje nazwisko.

– Wiem, kim jesteś – odparł. – Znałem twojego ojca.

– Wiele osób znało mojego ojca.

Sheck wyszczerzył zęby, ale w niespecjalnie przyjazny sposób. Jego uśmiech sugerował, że nie zrozumiałem aluzji.

– No podobno. Większość z nich nie tak dobrze jak ja.

Założył kapelusz i się pożegnał.

Kiedy wyszedł, Milo zwrócił się do Gladys:

– Co miał na myśli, kiedy powiedział: „Zastanów się nad tym”?

Gladys wyjaśniła, że Sheck zaoferował jej pracę sekretarki i

pięćdziesięcioprocentową podwyżkę. Powiedziała, że odrzuciła jego propozycję. Sprawiała wrażenie lekko rozżalanej.

Milo wpatrywał się w miejsce na biurku, gdzie chwilę wcześniej siedział Sheck. Odniosłem wrażenie, że rozważa roztrzaskanie pięścią tego kawałka mahoni.

– Zadzwoń już, gdzie ci kazałem?

Gladys pokręciła głową i zaczęła długą opowieść o tym, że dzwonił właściciel jakiegoś klubu z San Marcos i narzekał, że Eli Watts and His Sunrisers zdemolowali pokój hotelowy, który dla nich wynajął, i że on się spodziewa, iż agencja pokryje koszty. Gladys poświęciła cały poranek na załagodzenie sytuacji.

Spodziewałem się już, że tym razem biurko naprawdę oberwie, ale mięsiste pięści Mila powoli się rozluźniły. Wymruczał coś pod nosem, po czym zaprowadził mnie korytarzem do gabinetu.

Dawny salon został urządzony w ten sposób, żeby pod każdym względem zapewniać wygodę Milowi – dwa ciężkie krzesła obite czerwoną skórą, ważące pół tony dębowe biurko z dwudziestojednocalowym monitorem i miską z cukierkami wielkości piłki do koszykówki, sięgające sufitu półki zaczynające się na wysokości, na której kończy się większość biblioteczek. Jedynym przedmiotem niewielkich rozmiarów była stojąca w kącie palisandrowa akustyczna yamaha Mila – ta sama gitara, którą zabierał na studiach na nasze pijackie wycieczki do winiarni w Sonomie. Obok otworu rezonansowego nadal znajdowało się wgłębienie w kształcie półksiężyca, w miejscu gdzie wylądowała rzucona przeze mnie puszka piwa. Celowałem wtedy w Mila.

Usiadłem po przeciwnej stronie biurka.

Na ścianie po prawej wisiały oprawione w ramki zdjęcia Lesa Saint-

Pierre'a i artystów, którymi zajmował się w przeszłości i obecnie. Rozpoznałem kilka znanych postaci muzyki country. Żadnej wschodzącej gwiazdy. Nikogo, kogo uważałbym za wielką gwiazdę.

Na honorowym miejscu pośrodku umieszczono zdjęcie zespołu Mirandy Daniels – sześć osób we wnętrzu jakiegoś małego klubu, wszystkie zwrócone twarzą do aparatu i starające się zachowywać naturalnie, zupełnie jakby co wieczór ustawiały się w ten sposób w szeregu. Julie Kearnes i Miranda Daniels siedziały obok siebie na barze w kowbojskich butach skrzyżowanych na wysokości kostek i w dżinsowych spódnicach podciągniętych specjalnie w ten sposób, żeby odsłaniały łydki.

Miranda wyglądała na jakieś dwadzieścia pięć lat. Opadające na ramiona ciemne włosy były lekko kręcone, przez co wyglądały na splątane. Nijaka twarz. Uśmiechała się, zerkając na Julie Kearnes, którą fotograf złapał w chwili, gdy wybuchnęła śmiechem. Dzięki retuszowi w zasadzie nie było widać, że Julie jest starsza od Mirandy.

Na prawo od nich stało dwóch oldbojów po sześćdziesiątce. Jeden miał równo przystrzyżoną białą brodę i wydatny brzuch. Drugi był wysoki, całkowicie pozbawiony tkanki tłuszczowej, z rzędnącymi, tłustymi, czarnymi włosami. Mężczyźni po lewej stronie byli młodszy – obaj po czterdziestce, jeden z długawymi jasnymi włosami i masywną sylwetką, w T-shircie z opartowym nadrukiem; drugi z ciemnymi kręconymi włosami, w czarnym kowbojskim płaszczu i czarnym kapeluszu, z gniewnym spojrzeniem, które miało go zapewne upodobnić do Jamesa Deana, co niespecjalnie zdawało egzamin. Kowboj przypominał nieco Mirandę Daniels, tyle że miał dwadzieścia lat więcej.

Na ścianie wokół fotografii widać było brzegi większej, jasnej, kwadratowej plamy, z czego wynikało, że zdjęcie zespołu wisiało w miejscu

nieco większej podobizny kogoś innego.

Milo spojrział w tym samym kierunku.

– Oni się nie liczą – zapewnił mnie. – Stary pierdziel z białą brodą to Willis, ojciec Mirandy. Gość w stroju Wyatta Earpa to jej starszy brat Brent. Julie kojarzysz. Chudzielec z przetłuszczonymi włosami to Ben French. Przysadzisty surfer z odzysku to Cam Compton.

– Brat i ojciec Mirandy grają w jej zespole?

Milo rozłożył ręce.

– Witaj w krainie wsioków. Co zabawne, jeszcze dwa lata temu Miranda miała opinię najmniej utalentowanej osoby w rodzinie. Do czasu kiedy zainteresował się nią Tilden Sheckly, czyli ten uroczy człowiek, którego miałeś okazję poznać.

– Sheckly jest częścią twoich problemów.

Milo sięgnął ręką do miski z cukierkami.

– Karmelowy czy miętowy?

– Zdecydowanie karmelowy.

Rzucił mi rolkę dropsów, po czym wziął dwie dla siebie.

– Sheck jest właścicielem tej wielkiej knajpy na trasie do jeziora Medina. Indian Paintbrush. Kojarzysz to miejsce?

Skinąłem głową. Każdy, kto choć raz pojechał nad jezioro Medina, znał Indian Paintbrush. Tancbuda postawiona obok autostrady pośrodku kilkuset akrów skał i ziemi przypominała gigantyczną przenośną toaletę – białe, pokryte blachą falistą pudło, w którym mogłoby się zmieścić centrum handlowe.

– Paintbrush Enterprises – domyśliłem się. – Firma, która raz na dwa tygodnie wysyłała Julie Kearnes przelew.

Milo wlepił we mnie wzrok.

– Czy powinno mnie zainteresować, w jaki sposób uzyskałeś dostęp do jej konta bankowego?

– Nie.

Uśmiechnął się.

– Sheck słynie z promowania swoich pupilów. Zazwyczaj młodych, ładnych kobiet. Daje im możliwość wystąpienia w weekend przed koncertem ich klubowej kapeli. Prędzej czy później zaciąga je do łóżka. Kieruje ich karierami, pobierając pięćdziesiąt procent zysków, wyciska z nich tyle, ile się da. Julie Kearnes była kiedyś jedną z jego dziewczyn. Wykazywała się stosowną potulnością, więc nawet kiedy przestała przyciągać tłumy, Sheckly nadal jej płacił. Robiła mu rozpiski występów, projektowała materiały promocyjne, czasami supportowała czyjś koncert. Miranda Daniels miała być jego następnym projektem. Tyle że Les podpisał z nią kontrakt i sprzątnął ją Sheckly'emu sprzed nosa.

– A Sheckly nadal uważa, że ona należy do niego.

Milo skinął głową.

– Z czym ty i Les się nie zgadzacie.

Milo rozwinął dropsy i wrzucił je sobie do gardła. Otrzepał dłonie, wysunął jedną z szuflad w biurku i wyciągnął z niej jakiś dokument.

– Słyszałeś, jak Sheckly wspomniał o kontrakcie?

Skinąłem głową.

Milo popchnął dokument w moją stronę.

– Zanim podpisaliśmy kontrakt z Mirandą Daniels, Sheck miał względem niej wielkie plany. Zamierzał wydać jej pierwszy album w swojej regionalnej wytwórni Split Rail Records. Planował zorganizować występy w klubach na terenie całych Stanów i w Europie, odgrywać rolę jej promotora. Prawdopodobnie zarobiłby na niej z ćwierć miliona. Miranda głównie by

miała z tego układu. Płyta sprzedałaby się w niewielkim nakładzie, nie zostałaby wypromowana na krajowej scenie. Takie plany miał wobec niej Sheck, tyle że nigdy nie podpisali umowy. Pewnie nie przeszło mu nawet przez myśl, że Miranda odważy się mu sprzeciwić. A potem Les podpisał z nią kontrakt. Sheck krzyczał i wrzeszczał, ale niewiele mógł wskórać. Zespół składał się głównie z dawnych podopiecznych Shecka: Julie, Cama Comptona, Bena Frencha, ale oni również nie mieli wielkiego pola manewru. Pogodzili się z nową sytuacją. Dopiero kiedy Les doprowadził do tego, że Century Records wyraziło zainteresowanie solowym demo Mirandy, Sheckly niespodziewanie wparował do naszego biura z tym czymś.

Przebiegłem wzrokiem dokument. Była to marnej jakości fotokopia umowy z lipca, podpisanej przez Tildena Sheckly'ego i Lesa Saint-Pierre'a pełniącego funkcję menedżera Mirandy. Wszystkie zapisy sprowadzały się do jednego: przez następne trzy lata Tildenowi Sheckly'emu przysługiwało prawo pierwokupu wszelkich występów albo nagrań Mirandy Daniels.

Spojrzałem na Mila.

– Czy z tego wynika, że Sheckly może się nie zgodzić na kontrakt z Century Records?

– Tak właśnie.

– Umowa jest prawdziwa?

– Oczywiście, że nie. Les chciał go zamordować, kiedy ją zobaczył. To fałszywka, klasyczny bluff. Sheckly próbuje po prostu wystraszyć potencjalnego kontrahenta, a Les nie zamierzał na to pozwolić.

– W czym zatem problem?

– Problem w tym, że to niezwykle skuteczny bluff. Duże wytwórnie niechętnie podpisują kontrakty z nieznanymi artystami. Aby udowodnić nieprawdziwość umowy, Les musiałby iść do sądu, zmusić Sheckly'ego do

przedstawienia oryginału. Sheckly mógłby przeciągać sprawę miesiącami, aż Country straciłoby zainteresowanie Mirandą albo znalazło sobie innego artystę, w którym mogłoby utopić trochę pieniędzy. Okazje do podpisania tego rodzaju umów dość szybko stają się nieaktualne.

– Tymczasem Les zniknął i nie może zająć się sprawą.

Milo wyciągnął rękę po umowę. Oddał mu ją. Spojrzał na papier z obrzydzeniem, po czym go złożył i wrzucił do szuflady.

– Les twierdził, że ma pomysł, jak złapać Sheckly’ego za jaja i zmusić do wycofania roszczeń. Twierdził, że Sheck musiałby zrobić wszystko, czego tylko Les sobie zażyczy. Od czasu kiedy zaczęliśmy kierować karierą zespołu, Les spędzał sporo czasu z Julie Kearnes. Twierdził, że ona mu pomoże.

– Szantaż?

– Znając Lesa, niewykluczone. Ostrzegałem go, aby uważał na Julie. Zbyt długo pracowała z Shecklym i nadal dostawała od niego pieniądze. Julie zachowywała się wobec niego milusio, ale ja miałem okazję poznać ją od innej strony. Była zgorzkniała, wybuchowa i zazdrosna jak diabli. Zrzędziła, że Miranda pójdzie w jej ślady, że to tylko kwestia czasu. Julie twierdziła, że Miranda powinna okazać więcej wdzięczności i zatrzymać ją w zespole po podpisaniu kontraktu z Century ze względu na jej doświadczenie. – Westchnął. – Les nie chciał słuchać moich ostrzeżeń w sprawie Kearnes. W ostatnim miesiącu bardzo się do siebie zbliżyli. Prawdę mówiąc, nie jestem pewien, jak bardzo. Potem on zniknął. Miałem nadzieję, że jeśli będziesz miał Julie na oku... – Milo stuknął cicho knykciami w blat. Skrzywił się. – Nie wiem, na co liczyłem. Ale wygląda na to, że Sheckly znalazł eleganckie rozwiązanie swoich problemów. Najpierw Les. Teraz Julie. Cokolwiek razem planowali, aby uniemożliwić Sheckowi położenie łapy na karierze Mirandy,

już się nie ziści.

Ponownie spojrzałem na fotografię wiszącą na ścianie – na nijaką twarz Mirandy Daniels. Milo musiał odgadnąć moje myśli.

– Nie słyszałeś jej głosu, Navarre. Uwierz, jest warta tego całego zachodu.

– W okolicy muszą działać inni piosenkarze country. Dlaczego gość pokroju Tildena Sheckly’ego miałby się wściekać z powodu jednej dziewczyny, która uciekła mu ze stajni?

Milo otworzył usta, po czym je zamknął. Wyglądało, jakby przeformułowywał w myślach swoją wypowiedź.

– Nie znasz Shecka, Navarre. Mówiłem ci już, że posłusznych artystów trzyma niekiedy dłużej, nawet kiedy ich kariera jest w schyłkowym etapie. Jedna z mniej potulnych dziewczyn Shecka skończyła na dnie basenu przy jakimś motelu. Przytrafił jej się przedziwny wypadek. Inny piosenkarz, który próbował wywinąć się Sheckly’emu, został złapany z gramem kokainy w schowku w samochodzie. Dostał trzy lata ciężkiego więzienia. Obie sprawy prowadzili zastępcy szeryfa z hrabstwa, w którym mieszka Sheck. Połowa biura szeryfa z Avalon pracuje po godzinach w Paintbrush w charakterze ochrony. Teraz rozumiesz?

– Mimo wszystko...

– Lesa i Shecka łączy wspólna przeszłość, Tres. Nie znam wszystkich szczegółów, ale wiem, że od lat skaczą sobie do gardeł z powodu kolejnych kontraktów. Podejrzewam, że tym razem Les odrobinę za mocno nastąpił Sheckly’emu na odcisk i ten postanowił rozwiązać problem w taki sposób, jaki zna najlepiej. Chciałbym, żebyś sprawdził, czy rzeczywiście tak było.

Odwinąłem karmelka i włożyłem go sobie do ust.

– Pod trzema warunkami.

– Mów.

– Po pierwsze, nie będziesz mnie okłamywał. Nie będziesz więcej zatajał żadnych informacji. Jeżeli poproszę cię o wyjaśnienie dziesięciu spraw, chcę usłyszeć jedenaście odpowiedzi.

– Zgoda.

– Po drugie, znajdź lepsze cukierki.

Milo się uśmiechnął.

– A po trzecie?

– Powiadomisz policję. Porozmawiaj z jego żoną, sprzedaj jej to w taki sposób, jaki ci pasuje, przedstaw sprawę w możliwie korzystnym świetle, powiedz klientom, że to tylko głupia formalność. Ale nie ukrywaj przed policją, że Saint-Pierre zaginął. Jego nazwisko musi trafić do systemu. Nie zamierzam węszyć przez kolejne dwa, trzy tygodnie, a potem usłyszeć, że nie zgłosiłem kolejnego morderstwa. Albo mordercy.

– Nie sugerujesz chyba, że Les...

– Powiedziałeś, że się zbliżyli z Julie. Ona nie żyje. Co według ciebie pomyśli policja, kiedy zacznie badać sprawę i nie będzie mogła namierzyć Saint-Pierre'a? Musisz być z nią szczery.

– Mówiłem ci już... nie mogę tak po prostu...

Podniosłem z podłogi plecak i rozpiąłem boczną kieszeń.

Stary, zielony, nylonowy plecak był pozostałością po czasach studiów na Berkeley. Dobrze mi służył w pracy prywatnego detektywa. Nikt nie zwraca uwagi na studentów z plecakami. Nikt nie przypuszcza, że mogą nosić przy sobie wytrychy, dyktafony albo grube zwitki pięćdziesięciodolarówek.

Wyjąłem pieniądze, które chwilę wcześniej dostałem od Chaveza, i położyłem je na biurku. Wstałem i odwróciłem się w stronę wyjścia.

– Fajnie się gadało, Milo.

Milo rozparł się na krześle i przycisnął dłoń do czoła, jakby sprawdzał, czy

nie ma gorączki.

– W porządku, Navarre. Siadaj.

– Zgadzasz się?

– Nie mam wielkiego wyboru.

Zadzwonił telefon. Milo podniósł słuchawkę i powiedział: „Słucham”, co zabrzmiało raczej jak warknięcie.

Zaraz potem jego nastawienie uległo całkowitej przemianie. Z głosu zniknęły jakiegokolwiek emocje, twarz pobladła do koloru café latte. Nachylił się ku słuchawce.

– Tak. Tak, oczywiście. Och... to żaden problem. Les, ee... Nie, nie, proszę pana. A jeśli... Nie, najmniejszego.

Rozmowa ciągnęła się w ten sposób przez jakieś pięć minut. Mniej więcej w połowie rozsiadłem się wygodnie na krześle. Starłem się nie patrzeć na Mila. Przypominał roztrzęsionego dziesięciolatka słuchającego swojego idola tłumaczącego, dlaczego nie może dać mu autografu.

Milo odłożył słuchawkę i wbił wzrok w aparat telefoniczny. W niemal opiekuńczym geście otoczył palcami rolkę banknotów.

– Century Records? – zapytałem.

Skinął głową.

– Sytuacja staje się dla ciebie coraz trudniejsza?

– Nie chcę mieć na głowie całej agencji, Navarre. Mamy obecnie w trasie siedmiu innych artystów. Promotorzy obsiedli mnie w sprawie kontraktów, o których Les nie zdążył mi nawet powiedzieć. A teraz Century Records... Nie mam pojęcia, czy zdołam ocalić kontrakt, kiedy się dowiedzą o zniknięciu Lesa.

– W takim razie odejdz.

Wyglądało, jakby Milo obracał moje słowa w głowie. Najwyraźniej

toczyły się nierówno niczym kamienie wrzucone do bębna pralki.

– Co przez to rozumiesz?

– Jeżeli nie da się inaczej, niech agencja upadnie. Skończyłeś prawo.

Sprawiasz wrażenie zorientowanego człowieka. Po co ci ta cała farsa?

Milo pokręcił głową.

– Nie poradzę sobie bez wpływów Saint-Pierre’a.

– Rozumiem.

– Nie wierzysz mi.

Wzruszyłem ramionami.

– Ktoś mi kiedyś powiedział, że moim problemem jest nieumiejętność myślenia w szerszej skali, że powinienem korzystać z okazji i po prostu zacząć robić to, co sprawia mi przyjemność, i mieć gdzieś, co powiedzą inni. Dzięki tej radzie tydzień później zostałem oczywiście pchnięty nożem w klatkę piersiową. Może nie warto, żebyś szedł w tę samą stronę.

Milo omiół wzrokiem całe pomieszczenie, jakby wodził nim za wagonikami kolejki elektrycznej. Kiedy ponownie skierował spojrzenie na mnie, w jego głosie pobrzmiwał gniew.

– Pomożesz mi czy nie? – wycedził.

– Kontrakt z Century Records jest dla ciebie aż tak ważny?

Milo zacisnął dłoń w pięść.

– Niczego nie kapujesz, co, Navarre? Miranda Daniels dostaje w tej chwili jakieś półtora tysiąca za występ. To gaża dla całego zespołu, i to jeśli jej się poszczęści. W Teksasie w zasadzie nikt jej nie zna. Tymczasem Century Records, jedna z największych wytwórni w Nashville, twierdzi, że Daniels zainteresowała ich na tyle, że są gotowi zaproponować jej rozwojowy kontrakt. Dają pieniądze na przygotowanie wersji demo albumu, trzydzieści dni w studiu, a jeżeli spodoba im się to, co zostanie zarejestrowane,

gwarantują duży kontrakt na płytę. Czyli ponad milion dolarów zaliczki. Jej stawka za koncert podskoczyłaby dziesięciokrotnie, w związku z czym wzrosłaby również moja prowizja. Inni ludzie z branży zaczęliby mnie traktować poważnie; nie byłbym już tylko ubogim pomagierem Lesa Saint-Pierre'a. Masz pojęcie, co to znaczy napotkać taką szansę? A przy okazji mieć świadomość, że jakiś buc pokroju Tildena Sheckly'ego może ci pomieszać szyki?

Skinąłem głową.

– Do kiedy masz czas?

Milo spuścił wzrok, rozluźnił zaciśnięte palce i przetaił rozpostartą dłonią blat biurka.

– Kasetę demo Mirandy powinna trafić do Century do przyszłego piątku. Do tego czasu muszę doprowadzić do przygotowania nowej taśmy i znaleźć sposób na uciszenie Shecka w sprawie tej podrobionej umowy. W przeciwnym razie Century prawdopodobnie wycofa ofertę. Dziesięć dni, Navarre. A potem, jeżeli wszystko pójdzie dobrze, być może pójde za twoją radą, poproszę Mirandę, żebym mógł ją reprezentować, i dam sobie spokój z resztą agencji.

Ktoś zapukał do drzwi. Gladys wsunęła głowę do pokoju i powiedziała, że Conwell and the Boys przyszli na pięciominutowe spotkanie, które Milo obiecał im tydzień wcześniej. Przynieśli taśmę.

Milo zaczął już tłumaczyć Gladys, żeby ich odesłała, ale zmienił zdanie. Niech wprowadzi ich do biura.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, Milo wyjaśnił:

– Niechciane taśmy demo. Mógłbym wybudować dom z tych, które mam tu na zapleczu, ale nigdy nie wiadomo, co nie? Staram się nie spławiać ludzi.

– Popchnął pieniądze z powrotem w moją stronę. – Wychodząc, poprosz

Gladys o akta. Będzie wiedziała, o co chodzi. Znajdziesz tam trochę przydatnych informacji o sprawie, które udało mi się zgromadzić.

– Założyłeś, że przyjmę propozycję.

– Zapoznaj się z aktami. Poza tym najwyższy czas, żebyś poznał Mirandę Daniels. Jutro wieczorem występuje w Cactus Cafe w Austin. Wiesz, gdzie to jest?

Skinąłem głową.

– Nie odwołasz koncertu w związku ze śmiercią Julie Kearnes?

Moje pytanie spotkało się z tak znikomą reakcją, że równie dobrze mógłbym kichnąć.

– Idź posłuchać Mirandy. Zrozumiesz, skąd to całe zamieszanie. Potem pogadamy.

Nie protestowałem. Wrzuciłem zwitek pięćdziesiątek z powrotem do plecaka i obiecałem zastanowić się nad sprawą.

Kiedy doszedłem do drzwi, Milo zwołał za mną:

– Navarre!

Odwróciłem się.

Wzrok miał utkwiony gdzieś obok mnie, w głębi korytarza.

– Tym razem będzie inaczej. Musisz wiedzieć, że... wcale nie podoba mi się to, w jaki sposób sprawy potoczyły się poprzednio, rozumiesz?

Na nic bardziej zbliżonego do przeprosin nie mogłem liczyć.

Skinąłem głową.

– W porządku, Milo.

Zaraz potem otoczyli mnie Conwell and the Boys, uśmiechnięci, ze świeżymi fryzurami, w kurtkach i pod krawatami. Milo Chavez przełączył się w inny tryb i zaczął zapewniać muzyków, jak bardzo się cieszy z ich wizyty i jak niezmiernie jest mu przykro, że Lesa Saint-Pierre'a nie ma akurat w

mieście.

Idąc korytarzem w kierunku recepcji, słyszałem wybuchy radosnego śmiechu.



Przy wyjściu Gladys wręczyła mi grubą szarą kopertę i życzyła miłego dnia.

Szansa, że to życzenie się ziści, zmałały znacząco, kiedy wyszedłem na zewnątrz i zobaczyłem stojącego nadal przed budynkiem czarnego pikapa Tildena Sheckly'ego. On sam znajdował się po drugiej stronie ulicy, rozwalony na siedzeniu pasażera mojego garbusa.

Popołudnie było tak wilgotne, że z karoserii obu samochodów unosiła się para. Przy podniesionym dachu w moim volkswagenie panowały równie przyjazne warunki jak w szybkowarze. Myśl, że Sheck prawdopodobnie siedział tam od jakiegoś czasu, przyniosła mi pewną pociechę.

Obszedłem samochód, ale nie wsiadłem do środka. Sheck czytał książkę, którą zostawiłem na podłodze. Zdjął kapelusz i dżinsową kurtkę, a na desce rozdzielczej położył rewolwer Smith & Wesson.

– Zdaję sobie sprawę, że nasze samochody są do siebie podobne – stwierdziłem ze zrozumieniem – ale do pana należy tenomalowany.

Sheck posłał mi uśmiech znad książki.

Kiedy chodziłem do trzeciej klasy, znałem dzieciaka, który lubił z zaskoczenia coś podpalić. Człowiek siedział sobie spokojnie obok niego w klasie, omawiając najzabawniejsze fragmenty ostatniego odcinka serialu *H.R. Pufnstuf*, aż tu niespodziewanie chłopak przytykał płonąca zapalkę do kawałków podartej gazety wrzuconych do klatki ze świnką morską. Wyraz jego twarzy nie ulegał zmianie – błyszczące oczka przypominające płomyki

gazu w palniku kuchenki, szeroki, przyjazny uśmiech, w żaden sposób niepowiązany z tym, co działo się w jego mózgu. Wyglądał tak uroczo, że nauczyciele tolerowali jego zachowania, do czasu kiedy oblał benzyną piaskownicę pełną przedszkolaków i próbował ją podpalić.

Uśmiech Shecka skojarzył mi się z tamtym chłopakiem.

Uniósł do góry moją książkę poświęconą średniowiecznemu teatrowi.

– Naprawdę rozumiesz coś z tych bredni?

Przewrócił stronę, po czym próbował przeczytać na głos kilka linijek z *Kaina i Abla* Wakefielda.

– Nieźle – zauważyłem. – „I” nie wymawiano wtedy „aj”, lecz „iii”. Jak „Iii... zastanawiam się, co ten gość robi w moim samochodzie”.

Sheck poklepał fotel kierowcy.

– Wskakuj.

– Z zasady nie siadam obok ludzi uzbrojonych w broń palną.

Wyglądało, jakby dopiero wtedy zdał sobie sprawę z istnienia rewolweru.

– Do diabła, chłopcze... Opuść staruszkowi... Sam się przekonaj, dlaczego go przy sobie noszę.

Chwycił rewolwer za bębenek i podał mi go kolbą do przodu.

– Nie powinno się najpierw opróżnić komory?

Roześmiał się.

– Na jakim świecie ty żyjesz, chłopcze? Weźże go do ręki.

– Nie, dziękuję.

Wzruszył ramionami, po czym odłożył broń na deskę rozdzielczą.

– Będzie mi żal, kiedy rewolwery przejdą do historii. Wszyscy napalają się dziś na półautomaty, muszą mieć dwunastopociskowe magazynki. Prawda jest taka, że staruszek nie miał żadnych szans. Najwspanialszy rewolwer, jaki kiedykolwiek powstał. Wiesz, co to jest?

– Smith & Wesson M58 – powiedziałem. – Model dla wojska i policji.

Sheck skinął z aprobatą głową.

– Jesteś miłośnikiem broni.

– Znam się na broni, ale niespecjalnie za nią przepadam – poprawiłem go.

Moja deklaracja najwyraźniej była dla niego równie niezrozumiała jak średniowieczny angielski. Próbował ją zinterpretować, bezskutecznie, w końcu zdecydował się kontynuować rozmowę.

– Kaliber .41 popchnął ewolucję rewolweru w najwłaściwszym możliwym kierunku, rozumiesz? Łączy moc czterdziestkiczwórki i prędkość trzystapięćdziesiątkisiódemki. To pistolet, który twój tata nosił na służbie w latach siedemdziesiątych. Wiesz, dlaczego się ich pozbyli?

Powiedziałem, że nie wiem.

– Policja używała wzmocnionej amunicji, równej tej stosowanej w magnum. Ogień buchający z lufy wzbudzał przerażenie u pań policjantek. – Roześmiał się. – Potem piarowcy zaczęli się obawiać gniewu obywateli, że policjanci uzbrojeni w magnum rozwalają bezbronne ofiary porządku społecznego w latynoskich gettach. Aż żal w człowieku wzbiera, że tak to się potoczyło.

– Czego pan ode mnie chce, panie Sheckly?

Sheck włożył palec między strony książki i ją zamknął, jakby zamierzał za chwilę wrócić do lektury. Może chciał mi przypomnieć, jak się potoczyły sprawy między Kainem a Bogiem?

– Ciekawi mnie, jakich to historii naopowiadał ci twój *compadre*. Uznałem, że wyjdiesz stamtąd z pokaźną zaliczką i jeszcze większym stekiem bzdur.

– Niby dlaczego doszedł pan do takich wniosków?

Sheck zerknął na prawo i się uśmiechnął, zupełnie jakby chciał podzielić

się z kimś swoim rozbawieniem.

– Daj spokój, chłopcze. Staruszek Milo uwielbia mnie obsadzać w roli diabła odpowiedzialnego za wszystkie jego kłopoty.

– Kłopoty. Na przykład ostrzelanie producenta Mirandy Daniels, kradzież jej kasy demo, zamordowanie Julie Kearnes. Takie kłopoty miał pan na myśli?

Uśmiech ani na moment nie zniknął z twarzy Sheckly'ego.

– Do diabła, chłopcze, nie ja wpadłem na pomysł, że trzeba wypromować Mirandę w skali całego kraju. Masz świadomość, że Century Records interesuje tylko ona, prawda? Jeśli chodzi o resztę zespołu... Chłopaki mogą liczyć co najwyżej na uścisk dłoni. Chcesz wiedzieć, kto miał powód, żeby się wkurzyć na Mila Chaveza? Chcesz wiedzieć, komu zależy na tym, żeby namieszać? Zastanów się chwilę nad treścią tego cholernego kontraktu z Century.

– Zabawne – powiedziałem.

– Co?

– Wciąż mówi pan o Milu. Agencja należy do Lesa. Ma pan jakiś powód, żeby się go nie obawiać?

Uśmiechniętemu Sheckowi nie drgnęła nawet powieka.

– No dobra. Pozwól, że zadam ci inne pytanie. Jeżeli Les Saint-Pierre rzeczywiście jest tak nieskończenie inteligentny, dlaczego najął stu pięćdziesięciokilogramowego robota, żeby sprzedawać muzykę w barach dla wsiaków? Czy to ma dla ciebie jakikolwiek sens z biznesowego punktu widzenia? – Uniósł dłoń. – Pytam serio, nie próbuję być złośliwy. Po prostu nie rozumiem, co chodziło po głowie Lesowi. A już na pewno nie wyjeżdżałbym tak często z miasta, zostawiając kierowanie interesem grubasowi. Nie zrozum mnie źle, jestem gotów robić interesy z każdym, ale

niektórzy właściciele klubów nie są tak wyrozumiali. Wystarczy, że zobaczą Chaveza... – Pokręcił ze smutkiem głową. – Taki układ mocno zaszkodzi Mirandzie w karierze.

Spojrzałem na niebieskiego s&w leżącego na desce rozdzielczej mojego samochodu.

– Panie Sheckly, straszny dziś upał. Jedyna klimatyzacja, w jaką jest wyposażony mój kabriolet, nosi nazwę „czwarty bieg”. Wolałbym się stąd zabrać.

– Tylko tak mówię, Tres... Niepokoję się o losy moich przyjaciół Danielsów. Z Willisem znamy się kopę lat. Chciałbym, żeby jego córce dobrze się powodziło. Ta agencja pobiera dziesięć procent za organizację występów, a stary Les kolejne czterdzieści jako menedżer. Gdybym na miejscu Mirandy miał komuś oddawać połowę zarobków, oczekiwałbym lepszej obsługi.

– I pan mógłby zapewnić tę lepszą obsługę.

– Zgadza się.

– Słyszałem, że zdziałał pan cuda dla tej dziewczyny, którą pan sponsorował... tej, która skończyła w basenie.

Sheck wypuścił powietrze między zębami.

– Dla twojego dobra radziłbym ci zapomnieć o tych wszystkich bredniach, którymi nakarmił cię Chavez. Ja nie oszukam Mirandy. Myślisz, że jakiś Meksykaniec z dyplomem prawnika będzie z tobą szczery? Naprawdę sądzisz, że twój tata wypowiedziałby się w tej sprawie przeciwko mnie?

Odliczyłem w myślach do pięciu.

– Sheck... lubisz, jak się do ciebie mówi Sheck, prawda?

Skinął głową.

– Mówię szczerze, Sheck. Doceniam twoją troskę. Rzecz w tym, że jedyna

sterta łajna, z jaką się dziś zetknąłem, została zwalona na fotel pasażera w moim samochodzie. Chciałbym, żeby stamtąd zniknęła.

Twarz Shecka pociemniała, ale jego oczy pozostały równie błyszczące i bezbarwne jak wysokooktanowa benzyna.

– Popęlniasz błąd, chłopcze. Jestem gotów wybaczyć jeden błąd. Za młodu też się uważałem za twardziela.

– Wysiada pan z mojego samochodu czy nie?

Sheck odłożył książkę na podłogę. Wziął rewolwer z deski rozdzielczej i wysiadł z auta.

– Postanowiłem być z tobą szczerzy, Tres, ponieważ znałem twojego ojca. Nigdy nie miałem z nim żadnych zatargów i nie widzę powodu, żebym miał mieć jakieś zatargi z tobą. Jak będziesz chciał pogadać, wpadnij do mnie kiedyś wieczorem. Postawię ci piwo. Ale jeśli w sprawie Mirandy Daniels zapłaczesz się po niewłaściwej stronie drutu kolczastego, pożrę cię żywcem.

W jego głosie nie słychać było gniewu ani brutalności.

Odwrócił się i z naturalną pewnością siebie przeszedł na drugą stronę West Ashby, wracając do swojego pikapa. Nie zadał sobie nawet trudu, żeby schować s&w do kabury.



Do domu wróciłem o zmierzchu, przebrałem się w strój sportowy i przećwiczyłem podstawowe pozycje tai-chi, po pięć minut każdą, następnie poświęciłem dwadzieścia minut na trening rozwijania jedwabnego kokonu.

Ukończywszy ćwiczenia, położyłem się na podłodze, gdzie leżałem tak długo, aż pot zaczął na mnie wysychać i ponownie poczułem chłód klimatyzacji. Robert Johnson wdrapał się na moją klatkę piersiową i usiadł, wpatrując mi się w twarz.

– Co znowu? – zapytałem.

Ziewnął, prezentując czarne kropki na podniebieniu. Nie pachniało mu zbyt przyjemnie z pyska.

Przyrządziłem standardową kolację: friskies dla niego i *chalupas* dla mnie. Wziąłem prysznic i zmieniłem ubranie, po czym wypilem shinera przy kuchennym blacie.

Zielony neonowy zegar ścienny KMAC pokazywał siódmą pięć. Erainia Manos nadal była w biurze i przepisywała na maszynie codzienne raporty dla klientów. Profesorowie na Uniwersytecie Tekszańskim prawdopodobnie również przebywali w swoich gabinetach, przygotowując się do wieczornych zajęć albo poziewując nad nudnymi esejami studentów. Próbowałem sobie wyobrazić, że jestem w innym miejscu. Niespecjalnie mi to wychodziło. Jedynym obrazem, jaki miałem w głowie, była kreskówkowa wizja mnie jako Kojota Wilusia – stałem w rozkroku między dwiema górami lodowymi, wykonując coraz większy szpagat, w miarę jak się od siebie oddalały. W

dłoni trzymałem małą drewnianą tabliczkę z napisem: „Ała!”.

Spojrzałem na grubą szarą kopertę, która stała pionowo obok zlewu. W górnym prawym rogu widniał napis: „LES SAINT-PIERRE, AGENCJA TALENTÓW”. Brak adresu zwrotnego – podobnie jak na wizytówkach, gdzie nie było nawet numeru telefonu. Albo człowiek wiedział, jak się skontaktować z Lesem Saint-Pierre’em, albo nie zasługiwał na taką informację. Odważne.

Otworzyłem kopertę i zacząłem czytać.

Na samej górze pliku, na kawałku żółtej kartki Milo spisał wszystkie znane sobie informacje na temat życia osobistego zaginionego łowcy talentów. Była to zaskakująco krótka lista. Data urodzenia: 8 kwietnia 1952. Miejsce urodzenia: nieznane, prawdopodobnie okolice Texarkany. Szkoła średnia w Denton, rok akademii muzycznej na North Texas State. Później Saint-Pierre rzucił uczelnię i pod koniec wojny w Wietnamie zaciągnął się do lotnictwa. W roku 1976 zaczął karierę w branży muzycznej jako promotor pracujący dla dużego koncernu z Nashville. Był częściowo odpowiedzialny za wzrost popularności muzyki w Teksasie, do jakiego doszło w kilku następnych latach – za powstanie programu telewizyjnego *Austin City Limits* emitującego między innymi rejestrowane w studiu koncerty, za kariery Williego Nelsona i innych outlawsów, za nagłe zainteresowanie takimi miejscami jak Luckenbach czy klub Gilley’s i Kerrville. Przez wiele lat Les był zatwardziałym kawalerem, co skończyło się trzy lata temu, kiedy poznał w Nashville Allison Cassidy. Mieszkali razem w Monte Vista, niedaleko biura agencji.

Na odwrocie kartki Milo spisał ulubione bary Lesa i inne chętnie przez niego odwiedzane miejsca w San Antonio i Austin. Ta lista była znacząco dłuższa.

Pod żółtą kartką znalazłem wykonany w studiu fotograficznym portret Boga Łowców Talentów. Les Saint-Pierre wyglądał jak skrzyżowanie Barry'ego Manilowa i amatorskiego boksera. Jego usta były wypłowiałym łukiem Kupidyna, oczy miał ciemne i łagodne. Ktoś niezorientowany mógłby się w nich nawet dopatrzeć wrażliwości. Nos musiał mieć pierwotnie postać eleganckiego, wąskiego trójkąta, ale niewątpliwie został co najmniej raz złamany. Szyja, kości policzkowe i czoło były odrobinę zbyt szerokie, odrobinę zbyt neandertalskie jak na Manilowa. Włosy miał krótkie, tłuste i rzadzące; rozpięta koszula odsłaniała całkiem prężną klatkę piersiową, ale jednocześnie bladą, pozbawioną owłosienia i jakby pustą. Jego twarz wydawała się wymizerowana, miała w sobie też coś groźnego – ten rodzaj wszytkožernego głodu, który występuje u narkomanów, sprzedawców samochodów i prowadzących mało popularne talk-show.

Przejrzałem resztę zawartości koperty. Kopia menedżerskiej umowy Lesa z Mirandą Daniels, kopia rzekomo antydatowanej umowy między Tildenem Shecklym a Lesem, lista obecnych klientów, zestawienie wpływów agencji z tytułu prowizji za ostatnie sześć miesięcy – w sumie ponad milion dolarów. Harmonogram ostatnich koncertów, które Les osobiście uzgodnił. Lista osób, z którymi rozmawiał przed zniknięciem. Wśród nich: Tilden Sheckly i Julie Kearnes.

Ostatnią osobą, która widziała Lesa Saint-Pierre'a, była kobieta zajmująca się podlewaniem jego kwiatów. Les wyszedł ze swojego domu rankiem dwunastego października, polecił ogrodniczce, żeby wychodząc, zamknęła za sobą drzwi, po czym rozpląnął się w powietrzu. Żaden z jego dwóch samochodów nie opuścił garażu.

Milo sporządził listę dwudziestu, trzydziestu osób, z którymi Les w ostatnich latach miał jakieś zatargi. Nazwisko Tildena Sheckly'ego widniało

na samym szczycie. Kilka innych należało do znanych piosenkarzy country. W teczce nie znalazłem listy przyjaciół Lesa.

Zerknąłem na zegarek. Nadal było wcześnie. Włożyłem szarą kopertę i zwitek banknotów od Mila do plecaka, po czym wyszedłem z domu, aby zawrzeć kilka nowych znajomości z przedstawicielami branży usługowej.

Siedem barów i tuzin: „Daj mi napiwek, a może coś sobie przypomnę” później nie byłem ani trochę mądrzejszy niż na starcie. Wszystkim mówiłem, że jestem dobrym znajomym Lesa i próbuję się z nim skontaktować. Barman w Broadway 50-50 poskarżył się, że Les ma niezapłacony rachunek w wysokości dwustu trzydziestu dolarów. Kierownik Diamond Rodeo powiedział, że Les jest pijawką, ale że bym pod żadnym pozorem nie mówił Lesowi, że tak o nim powiedział. Piosenkarz Tony Dell w La Puerta opowiedział mi wspaniałą historię o tym, jak Les zostawił go kiedyś samego sobie w Korei w czasie ośmiogodzinnego występu w fabryce wyzyskującej siłę roboczą, co niemal doprowadziło Della do samobójstwa. Dell twierdził, że nie żywi wobec Lesa urazy i chętnie przekazałby mu kasetę z nowymi piosenkami. Wszyscy potwierdzili, że nikt nie widział Lesa w ostatnich dwóch tygodniach. Nikt najwyraźniej się tym nie przejmował i nikt nie traktował mnie przychylniej, gdy mówiłem, że jestem jego przyjacielem.

Było już zupełnie ciemno, kiedy zajechałem przed rezydencję Saint-Pierre'ów w Monte Vista – biały, dwupiętrowy, otynkowany klin z liczącym pół akra trawnikiem, garażem na dwa samochody i dostatecznie wielkim prześwitem z boku domu, aby odwiedzający nie miał wątpliwości, że na tyłach znajduje się basen i kort do tenisa. Przez pięć minut naciskałem dzwonek przy drzwiach.

Nie zastałem Lesa. Ani pani Saint-Pierre.

Wróciłem do volkswagena i usiadłem, zastanawiając się, co robić. Nocne

niebo pociemniało od chmur, które przybrały postać cedrowej kory. Krzyki wilgowronów zastąpiło spokojniejsze buczenie świerszczy.

W żółtym świetle tablicy rozdzielczej przesunąłem palcem po kartce z zapiskami Mila, szukając nazw klubów, których nie zdążyłem jeszcze odwiedzić. Mój palec co rusz powracał w stronę pewnego lokalu.

Do diabła, a co mi tam.

Pojechałem na północ, aby sprawdzić, czy Tilden Sheckly nadal chce mi postawić piwo.



Wjechałem na wzgórze San Geronimo i zobaczyłem poniżej Indian Paintbrush. Cały zarys metalowego budynku był podświetlony na biało, przez co przypominał wielki hangar dla UFO. Charakterystyczny, wysoki na siedem metrów neonowy kwiat mrugał kolejnymi płatkami, po czym rozbłyskiwał w całości.

Napis na tablicy przy drodze głosił: „DZIŚ TAMMY VAUGHN!”. Pod spodem, mniejszymi literami, których wyraźnie nikt nie zmienił od dłuższego czasu, napisano: „MIR NDA D NIELS W KAŻD SOB”.

Tammy Vaughn musiała przyciągać okazałą widownię, ponieważ pokryty żwirem parking był niemal całkowicie zapełniony, a z drogi dojazdowej wlewał się na niego sznur kolejnych pikapów, sedanów i kabrioletów. Parkingowi biegali, próbując kierować nowych gości w odpowiednią stronę. Wzbijające się na wysokość pasa chmury lśniącego pyłu przetaczały się przed krzyżującymi się światłami reflektorów.

Zaparkowawszy volkswagena, podszedłem do okienka z biletami, a następnie wszedłem w prowadzący do środka korytarz, który cuchnął jak klatka do uboju bydła. Wykidajło w T-shircie z konfederacką flagą przybił mi na grzbiecie dłoni małą zieloną gwiazdkę i skierował mnie w stronę głównej sali.

Nie był to niewielki lokal.

Małokalibrowy pocisk wystrzelony z okolic wejścia prawdopodobnie nie doleciałby do neonowych symboli piw umieszczonych na ścianie po

przeciwległej stronie sali. Również do sufitu strzelałoby się w ciemno.

Przy ścianie na końcu sali znajdowała się scena szeroka na piętnaście metrów i wysoka na półtora. Z sufitu zwisały głośniki wielkości trumien; wydobywała się z nich muzyka przypominająca od biedy nagrania zespołu Alabama.

Bar rozciągał się na dobre dwanaście metrów, a obsługiwała go armia barmanów w identycznych czerwonych koszulach. Niektórzy zajmowali się realizacją zamówień. Większość nie. Ruszyłem wzdłuż baru, aż w końcu wypatrzyłem kobietę o wyjątkowo znudzonej minie. Z plakietki wynikało, że ma na imię Leena. Zamówiłem mieszankę shinera z tequilą Cuervo.

– Zastałem Shecka? – zapytałem.

Leena prawie skrzywiła się z niesmakiem, ale zamarła, zdjęta nagłą nieufnością.

– Jesteś jego przyjacielem?

– To Sheck ma przyjaciół?

Uśmiechnęła się.

– Dobrze powiedziane.

Wyjaśniłem, że jestem łowcą talentów i chciałbym puścić Sheckowi kilka nagrań demo. Nie miałem pojęcia, co mówię, Leena zresztą też, ale chętnie wskazała mi, gdzie znajduje się Tilden Sheckly. Stał w odległości czterdziestu metrów, przy parkiecie, dyskutując zażarcie z rudą kobietą w błękitnym jednoczęściowym kombinezonie.

– Szybko się do niego raczej nie dopchasz – powiedziała mi Leena. – Chodzi o prawa do transmisji radiowej.

– To znaczy?

Wskazała głową na kobietę w kombinezonie.

– Menedżerka Tammy Vaughn. Będzie się domagała praw do transmisji

radiowej. Zrzuci winę na agencję, że to oni przeoczyli sprawę przy podpisywaniu umowy. Sheckly powie, że mówi się trudno. Tammy zagra mimo wszystko koncert, ponieważ musi się promować. A teraz poczytamy sobie kontrakt.

I rzeczywiście, dokładnie w tym momencie Sheckly wyjął kartkę i podsunął ją kobiecie pod nos takim gestem, jakby rzucał jej wyzwanie: pokaż mi choćby jeden paragraf, który uzasadnia twoje żądania. Menedżerka odtrąciła dokument i wróciła do dyskusji.

– Tydzień w tydzień to samo – stwierdziła Leena. – Najpierw przez pół wieczoru się z nią wyklóca, a przez drugie pół próbuje się do niej dobrać.

– W tej sytuacji zostawię mu chyba liścik w biurze – stwierdziłem.

– Pierwsze piętro dobudówki. Trzeba minąć byka i dojść do studia. – Wskazała na oddalone dwuskrzydłowe drzwi po prawej stronie lokalu, gdzie neonowy kowboj migotał na ujeżdżanym przez siebie neonowym byku. Nachyliła się nad barem i posłała mi przyjazny uśmiech. – Musisz zamówić kolejnego drinka, złociutki, albo będę musiała przerwać rozmowę.

Podziękowałem, włożyłem dolara do jej shakera i wstałem, zbierając się do odejścia.

Leena westchnęła.

– Wieczór nie mógł się lepiej zacząć.

Arena do ujeżdżania byków była pogrążona w ciemności. Siedemnaście albo osiemnaście rzędów pustych foteli schodziło ku okrągłej obniżonej scenie. Była pusta, jeśli nie liczyć kilku czerwonych plastikowych beczek, rekwizytów występującego na rodeo klauna, i dwóch metalowych boksów, w których trzymano byki przed wypuszczeniem ich na arenę. Bramki wisiły apatycznie uchylone. Ziemia była zryta śladami po ostatniej rundzie przytupywania obcasami i kopytami. Nikt jej od tego czasu nie zagrabił.

Zwykle niechlujstwo.

W ostatnim rzędzie mężczyzna i kobieta kłócili się o kogoś o imieniu Samantha. Kiedy mnie zobaczyli, umilkli i wstali. Odeszli kontynuować rozmowę na parkiecie, między tańczącymi ludźmi.

Odgłosy muzyki i tłumu wydawały się pobrzękiwać gdzieś daleko, przypominały echo dobiegające z dna tankowca. Obszedłem arenę, zmierzając w stronę metalowych drzwi, na których widniał biały napis: „NIEZATRUDNIONYM WSTĘP WZBRONIONY”. Rozejrzałem się w poszukiwaniu czujki alarmu. Nic. Ani nawet kamery monitoringu. Otworzyłem drzwi.

Za nimi znajdowało się puste biuro wyłożone tandetną orzechową boazerią i różową wykładziną. Stały w nim trzy metalowe biurka. Na ścianie wisały oprawione plakaty przebrzmiałych gwiazdek Tildena Sheckly’ego, między innymi Julie Kearnes. Na ścianie zostało dostatecznie wiele wolnego miejsca, aby za dwa lata mogła tam trafić Miranda Daniels. I prawdopodobnie wiele innych.

Z pomieszczenia wychodziło dwoje drzwi: jedno na lewo, drugie na prawo. Na tych po lewej znajdował się napis: „STUDIO”, na tych po prawej: „SHECK”. Obejrzałem drzwi z napisem „SHECK” w poszukiwaniu urządzeń monitorujących, ale żadnych nie zauważyłem.

W porządku.

Nacisnąłem klamkę.

Ledwie rzuciłem okiem na wystrój pomieszczenia, ogarnęła mnie pokusa, aby zamknąć drzwi i otworzyć je ponownie – tylko po to, żeby się upewnić, czy mnie oczy nie mylą.

Gabinet wyglądał jak skrzyżowanie namiotu myśliwego na safari i Hard Rock Cafe. Większą część podłogi okupował wielki dywan ze skóry zebry.

Ze ściany za biurkiem wpatrywała się we mnie głowa tygrysa. Sufit został przyozdobiony porożami jeleni, które przypominały stalaktyty. Na wschodniej ścianie wisiała zamknięta na kłódkę i podświetlona od wewnątrz gablota z bogatą kolekcją karabinów i pistoletów. Zachodnią ścianę zajmowała identyczna gablota, tyle że wypełniona instrumentami muzycznymi: skrzypcami, dwiema gitarami akustycznymi i czarną gitarą elektryczną. Przyjrzałem się uważniej instrumentom. Na skrzypcach widniało nazwisko Boba Willsa wypisane w masie perłowej.

Podszedłem do biurka.

Po kilku minutach poszukiwań nie dowiedziałem się zbyt wiele. Sheckly prowadził odręczne zapiski pochyłym pismem trzecioklasisty ze wszystkimi „b” i „d” skierowanymi w lewo. Nie stawiał kropek nad „i”. Lubił gryzmolić, opatrując marginesy gwiazdkami i zawijasami.

Sheck wykonał w ostatnim czasie kilka telefonów w sprawie firmy transportowej, której był właścicielem i która najwyraźniej traciła na wartości. Znalazłem również zapiski z rozmów telefonicznych z Lesem, a także innymi agentami, z którymi omawiał warunki kontraktów z wykonawcami mającymi wystąpić w Paintbrush. Jakby na potwierdzenie tego, co mówiła Leena, kilka notatek dotyczyło menedżerów i agentów oprostowujących przywłaszczone sobie przez Tildena prawa do transmisji radiowych koncertów w jego klubie. Wyglądało na to, że artyści nie dostawali udziału w zyskach ze sprzedaży praw i nie mieli nic do powiedzenia w sprawie sposobu miksowania muzyki ani programu zarejestrowanego występu.

Natknąłem się również na rachunki za bilety lotnicze do Europy z kilku ostatnich lat – głównie do Niemiec i Czech. Niektóre wystawiono na Tildena Sheckly’ego, inne na niejakiego Alexandra Blanceagle’a. Z dwóch

harmonogramów podróży z początku poprzedniego roku wynikało, że Alexander Blanceagle wyjechał w towarzystwie Julie Kearnes. Zabrałem je ze sobą.

Na końcu przejrzałem folder z listą zawierającą nazwiska artystów oraz daty ich występów z ostatnich dwóch lat. Przy niektórych widniały ptaszki, przy innych gwiazdki. Nazwisko Mirandy Daniels nigdzie się nie pojawiło. Nie natknąłem się również na podziurawione rzutkami zdjęcie Lesa Saint-Pierre'a.

Wróciłem do głównego biura i nacisnąłem klawisz drugich drzwi, tych z napisem „STUDIO”.

Otworzyły się bez problemu.

Pomieszczenie miało około trzydziestu pięciu metrów kwadratowych, było jasno oświetlone i pogrążone w całkowitej ciszy. Ściany i sufit pokryto białymi kafelkami akustycznymi, a podłogę jasnobrązową wykładziną. W kilku miejscach stały zestawy stojaków z mikrofonami; przypominały instalacje z gigantycznych wykałaczek. Pod lewą ścianą znajdowały się skrzynki po mleku, stosy drogiego sprzętu muzycznego i głośniki – wszystko poustawiane bez ładu i składu. Na wielu z nich zalegały sterty kubków po napojach z McDonalda.

Przy prawej ścianie znajdował się długi na trzy metry stół mikserski. Jakiś mężczyzna siedział przy nim bokiem w wysłużonym głębokim fotelu, ruszając suwakami i słuchając czegoś w niewielkich słuchawkach.

Był dziwacznie zbudowany – umięśniony, ale tykowały. Twarz miał kanciastą i głupkowatą, nos i okolice uszu pokryte piegami upodabniającymi go do szopa pracza. Uszy, gdyby nie były przyduszone słuchawkami, tworzyłyby po obu stronach głowy dwa idealnie okrągłe talerze radarów. Standardowy model prostaczka. Jedyne niekomiczne elementem jego

wyglądu było wybrzuszenie pod wiatrówką, w miejscu gdzie powinna się znajdować kabura pistoletu.

Niewątpliwie był pijany. Obok niego na konsoli stała niemal całkowicie opróżniona butelka rumu Captain Morgan. Oczy mu się przymykały, a palce z największym trudem przesuwwały heble.

Wszedłem do pomieszczenia.

Prostaczek w końcu mnie zauważył, ale dopiero po kilku długich sekundach mrugania i marszczenia brwi rozstrzygnął, że nie jestem kolejną stertą sprzętu muzycznego. Wyprostował się w fotelu i przez chwilę próbował postawić obie stopy na podłodze. Uruchomił ręce, zaczął obmacywać sobie głowę, w końcu odszukał słuchawki i je zdjął.

– Uszanowanie – powiedziałem.

Przyjrzał mi się dokładniej. Oczy mu poczerwieniwały.

– Cholerny Jean...

Imię „Jean” wymówił po francusku, w stylu Claude’a Van Damme’a.

Miałem go już poprawić, ale wstał i ruszył w moją stronę chwiejnym krokiem, sięgając rozedrganą dłonią po odsłoniętą czarną kolbę pistoletu.

Mniej więcej wtedy postanowiłem dać sobie spokój z dyplomacją.

11



Z Prostaczkiem spotkałem się pośrodku pomieszczenia. Kopnąłem go piętą w goleń, żeby wybić mu z głowy jakiegokolwiek pomysły związane z dobywaniem broni. Stęknął, wykonał jeszcze jeden chwiejny krok do przodu, sięgając instynktownie rękami w kierunku źródła bólu.

Chwyliłem go za ramiona i odepchnąłem w przeciwną stronę. Kiedy zawadził o brzeg fotela, kolana poleciały mu w górę, a tyłek zanurkował ku podłodze. Uderzył tyłem głowy w stół mikserski. Lampki equalizera rozbłysły na chwilę jak szalone. Butelka wywróciła się, zalewając stół rumem.

Prostaczek znieruchomiał z rozłożonymi rękami i kolanami na wysokości uszu. Z jego gardła wydobywało się ciche pomrukiwanie, zupełnie jakby chciał okazać dezaprobatę dla jakiegoś wyjątkowo niesmacznego żartu.

Wyciągnąłem mu z kabury rewolwer kalibru .38, opróżniłem komorę, po czym wrzuciłem pistolet i naboje do stojącej obok skrzynki po mleku. W kieszeni wiatrówki znalazłem jego portfel. Opróżniłem również jego zawartość. Miał przy sobie dwanaście dolarów, prawo jazdy na Alexandra Blanceagle'a, Mecca 1600, Hollywood Park, Teksas, oraz wizytówkę Paintbrush Enterprises, z której wynikało, że pełni w firmie funkcję dyrektora handlowego.

Spojrzałem na stół mikserski. Lampki equalizera nadal radośnie podskakiwały w górę i opadały w dół. Rząd nagrywarek CD i napędów do dysków optycznych mrugał do mnie świdrującymi zielonymi oczkami,

gotowy do działania. Na stole leżało sześć albo siedem jednogigabajtowych kaset. Podniosłem słuchawki, które chwilę wcześniej miał na uszach Alex – muzyka country, nagranie z koncertu, nieznany męski głos.

Za fotelem leżał rozpięty worek marynarski z kasetami, kablami do mikrofonów, stertą tekturowych teczek i dokumentów, których nie miałem czasu przeglądać.

Jęki Blanceagle'a zmieniły wysokość i nabrały pewnej uporczywości.

Pomogłem mu wyplątać nogi z za uszu i posadziłem go w fotelu. W swoim ubraniu przypominał łożko obleczone za krótkim prześcieradłem, a uprzednio elegancko uczesane włosy ułożyły mu się na czubku głowy w mały niesforny zawijas.

Rozcierał sobie goleń.

– Cholera, muszę się czegoś napić.

– Nie, cholera, nie musisz.

Próbował wstać, ale natychmiast uznał, że nie czuje się najlepiej, i opadł z powrotem na fotel. Usiłował wykonać w głowie jakieś skomplikowane, nieskładne obliczenia.

– Ty nie jesteś Jean.

– Nie – przyznałem. – Nie jestem.

– Ale Sheck... – Ściągnął brwi, próbując uruchomić myślenie. –

Przypominasz...

– Jeana – podpowiedziałem. – Na to wygląda.

Alexander Blanceagle podrapał się po brodzie i chwycił za dolną wargę. Na dziąśle pod jednym z zębów wykwitło zakrwawione „U”.

– Czegożeś chciał?

– Żebyś nie pomylił mnie z Jeanem i przypadkiem nie zabił.

Zmarszczył brwi. Nie zrozumiał. Z jego perspektywy naszych kilka

piruetów pośrodku pokoju równie dobrze mogło się przydarzyć sto lat temu albo zupełnie innej osobie.

– Przeszedłem w sprawie twojej znajomej – powiedziałem. – Julie Kearnes.

Nazwisko coś mu mówiło, ale musiało się precyzyjnie przecisnąć przez wiele warstw wywołanego rumem zamroczenia, zanim zaświtało, wybuchając niczym mina zanurzona głęboko pod powierzchnią. Piegi na twarzy Blanceagle'a pociemniały, formując czerwonobrazowy pas pośrodku nosa.

– Julie – powtórzył.

– Została zamordowana.

Brwi podskoczyły mu w górę. Usta złagodniały. Zaczął szukać wzrokiem czegoś odleglejszego, czego mógłby się ucześcić. Tryb nostalgii. Zostało mi najwyżej pięć minut, zanim straci ochotę odpowiadać na pytania.

Nie twierdzę, że pijani ludzie zachowują się zgodnie z przewidywalnymi cyklami emocjonalnymi, ale kto odpowiednio często przebywa w ich towarzystwie albo sam dysponuje podobnymi doświadczeniami, wie, że ich zachowania można opisać za pomocą szczególnej wersji teorii chaosu.

Odwróciłem skrzynkę po mleku, wytrząsnąłem znajdujące się w niej kable i usiadłem obok Blanceagle'a. Rozprostowałem jeden z rachunków za bilety lotnicze, które zabrałem z biurka Sheckly'ego, i podałem Prostaczkowi.

– Polecieście kilka razy z Julie do Europy na rachunek Sheckly'ego. Byliście sobie bliscy?

Blanceagle gapił się na rachunek. Wzrok ponownie mu się rozjechał. Oczy zaszczyły łzami.

– O Jezu.

Skulił się i przyłożył do czoła dłoń, w której trzymał kartkę, zupełnie jakby próbował telepatycznie odcyfrować jej zawartość. Oczy mu się zbiegły,

przełknął ślinę i zaczął dygotać.

Przyznaję, że jako mężczyzna odczuwam pewien dyskomfort, kiedy inny facet zaczyna na moich oczach płakać, nawet jeśli jest pijany, odznacza się zabawnym wyglądem i chwilę wcześniej próbował dobyć broni z zamiarem użycia jej przeciwko mnie. Siedziałem nieruchomo, czekając, aż Blanceagle odzyska panowanie nad swoim ciałem. Zacząłem odliczać. Jeden Muddy Waters. Drugi Muddy Waters... Trzydzieści siedem Muddych Watersów później usiadł i otarł wierzchem dłoni nos. Położył rachunek na oparciu fotela i poklepał go dłonią.

– Muszę iść. Muszę...

Spojrzał na konsolę, próbując sobie przypomnieć, czym się wcześniej zajmował. Zaczął zbierać jednogigabajtowe kasety, wtykać je do kieszeni wiatrówki, które były nieco za małe, żeby je pomieścić. Podałem mu jedną z kaset, która wciąż mu się wyślizgiwała.

– Kopiujecie tu duże ilości muzyki.

Włożył ostatni dysk do kieszeni, po czym podjął nieudolną próbę wytarcia kropli aromatyzowanego rumu marki Captain Morgan z konsoli, przesuając palcami między rzędami hebli.

– Sheck to wariat. Nie mogę tak po prostu... Tkwię w tym już od sześciu lat, nie może oczekiwać...

Alex poklepał się po kaburze i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że jest pusta.

– Tam – wskazałem. – Czego nie może oczekiwać Sheckly?

Blanceagle spojrział na swój pistolet leżący w skrzynce na mleko, potem na mnie, jakby zdziwiony, w jaki sposób udało mi się tego dokonać.

– Jak się nazywasz? – zapytał.

Powiedziałem mu. „Navarre”, powtórzył trzy razy, próbując skojarzyć

nazwisko.

– Znałeś Julie?

– Obserwowałem ją w dniu, w którym została zamordowana. Być może nawet przyczyniłem się do tego, wywierając na nią nacisk w nieodpowiednim momencie. Trochę mi to leży na sercu.

Alex Blanceagle wykrzesał z siebie dostatecznie wiele gniewu, żeby przez moment wydawać się niemal trzeźwym.

– Jesteś kolejnym oficerem śledczym, do cholery?

– Kolejnym?

Próbował podtrzymać gniewne spojrzenie, ale nie starczyło mu cierpliwości, energii i trzeźwości umysłu. Wzrok uciekł mu w dół i zatrzymał się na wysokości mojego pępka.

– Wynoś się stąd – wymruczał bez przekonania.

– Alex, rozumiem, że miałeś jakieś nieporozumienie z Sheckiem. Zabierasz swoje rzeczy. Musi się to jakoś wiązać z innymi sprawami, które się ostatnio wydarzyły. Może powinieneś mi o tym opowiedzieć.

– Wszystko się jakoś ułoży. Nie przejmuj się Sheckiem, rozumiesz? Les Saint-Pierre sobie z tym nie poradził, zajmę się tym sam.

– Czym się zajmiesz?

Blanceagle spojrzał na swój na wpół spakowany marynarski worek. W jego spojrzeniu gniew mieszał się ze smutkiem. Może gdybym miał więcej czasu i więcej captainów Morganów, udałoby mi się wzbudzić w nim na jakiś czas przyjazny stosunek do mojej osoby, ale właśnie wtedy otworzyły się drzwi do studia i do środka wszedł mój sobowtór.

Jean był do mnie dostatecznie podobny, żebym nie musiał uznać Alexa za kompletnego idiotę z powodu wcześniejszej pomyłki. Niemniej Jean był ode mnie w każdym wymiarze szerszy, do tego nieco wyższy, a jego czarne

włosy były bardziej kręcone. Miał na sobie ponadto mniej wygodne, droższe ubranie – czarne buty, obcisłe szare spodnie, czarny golf i szarą lnianą marynarkę. Wewnątrz tego ubranka musiała panować temperatura tysiąca stopni. W lewej dłoni trzymał od niechcienia szaroczną beretę, która idealnie pasowała do jego stroju. Oczywiście miał tej samej barwy co moje – orzechowe – ale były mniejsze i zawzięte jak u kraba. Pewnie wyglądałbym podobnie, gdyby ktoś kazał mi żyć na wysokokalorycznej i bogatej w błonnik diecie i zmusił do ubierania się w taki sposób.

Jean rozejrzał się ze spokojem po studiu. Zatrzymał wzrok na kaburze pod wiatrówką Alexa Blanceagle'a, uznał ją za niegroźną, potem spojrzął na wypchane kieszenie Blanceagle'a i jego marynarski worek. W końcu skierował wzrok na mnie. W tym wypadku obserwacja trwała trochę dłużej.

Nie odrywając ode mnie spojrzenia, Jean zadał Alexowi spokojne, złożone z trzech wyrazów pytanie po niemiecku. Blanceagle odpowiedział w tym samym języku – przecząco.

Jean wyciągnął rękę.

Alex zaczął się gramolić z fotela. Przykuśtykał w naszą stronę, oszczędzając obolałą goleń. Zaczął niezdarnie grzebać po kieszeniach, wyciągając kolejne kasety i podając je Jeanowi.

Dwie upadły ze stukotem na podłogę. Kiedy Alex pochylił się, żeby je podnieść, Jean wymierzył mu na tyle mocnego kopniaka w zębra, że Blanceagle upadł jak długi. W poczynaniach Jeana nie było gniewu, nie drgnęła mu nawet powieka – równie dobrze mógłby odtrącić karalucha.

Alex leżał na wykładzinie, mrugając i próbując odnaleźć się w przestrzeni. Dopiero po chwili uruchomił kończyny.

Kolejne pytanie Jeana, wypowiedziane również po niemiecku, było skierowane do mnie.

Wzruszyłem bezradnie ramionami. Jean spojrział na Alexa, który zdążył unieść swoje ciało na jednym łokciu i wyraźnie chwilowo nie zamierzał zmieniać pozycji.

Blanceagle przez dłuższą chwilę wpatrywał się we mnie spod przymrużonych powiek.

– To basista, na litość boską. Zapomniałem odwołać dzisiejszej sesji.

Jean raz jeszcze przyjrzał mi się dokładnie, próbując wypalić mi dziurę w twarzy swoimi krabimi oczkami. Starąłem się przybrać wygląd niepozbianego basisty. Część związana z niepozbianiem poszła mi nawet nieźle.

W końcu Jean wskazał głową na drzwi.

– W takim razie zjeżdżaj.

Mówił perfekcyjnie po angielsku z brytyjskim akcentem. Niemieckojęzyczny człowiek o francuskim imieniu i brytyjskim akcencie. Było to równie bezsensowne jak wszystko inne, co udało mi się ustalić do tej pory. Spojrzałem na Alexa Blanceagle'a.

– Nie przejmuj się tymi ścieżkami z basem – powiedział Alex. – Zajmę się tym.

W jego głosie nie słychać było jakiegokolwiek pewności siebie.

Kiedy wychodziłem, Jean i Alex pograżyli się w bardzo cichej, bardzo spokojnej rozmowie po niemiecku. Mówił głównie Jean, uderzając się szaroczną berettą po udzie z nonszalancją, która mocno kojarzyła mi się z jego szefem Tildenem Shecklym.

Wróciłem na główną salę. Mógłbym zostać trochę dłużej – Tammy Vaughn zaczynała właśnie pierwszą piosenkę, *Tata nauczył mnie tańczyć*. Nie byłem miłośnikiem muzyki country, ale słyszałem tę piosenkę kiedyś w radiu i uważałem, że Tammy ma niezły głos. Dwieście osób zgromadzonych

na parkiecie wydawało się niewielką gromadką w zestawieniu z ogromem hali, ale gwizdały i wykrzykiwały ile sił w płucach. Tilden Sheckly stał przy konsoli, nadal pogrążony w ożywionej dyskusji z kobietą w błękitnym jednoczęściowym kombinezonie. Mógłbym zająć się zadawaniem kolejnych pytań, potaćnować z paroma kobitkami, a może nawet poznać kilku innych sympatycznych dżentelmenów z pistoletami.

Zamiast tego pożegnałem się z barmanką Leeną. Była zajęta – w obu rękach trzymała butelki z tequilą – ale poprosiła, żebym został jeszcze trochę. Niedługo szła na przerwę.

Podziękowałem. Jak na jeden wieczór Indian Paintbrush zdążyło mi się przejeść.



We wtorek po przebudzeniu długo wpatrywałem się w sufit. Mdliło mnie, czułem się zdezorientowany, jakbym przez zbyt długi czas miał na nosie cudze okulary. Trzymając się parapetu, odszukałem wizytówkę z portfela Julie Kearnes. Nadal widniały na niej te same słowa.

LES SAINT-PIERRE, ŁOWCA TALENTÓW
MILO CHAVEZ, WSPÓLNIK

Plik pięćdziesiątek od Mila nadal znajdował się w plecaku, w niewielkim stopniu uszczuplony wypadem na miasto.

W końcu wstałem, wykonałem dłuższą wersję ćwiczeń chen w ogródku, wziąłem prysznic i przyrządziłem *migas* dla siebie i Roberta Johnsona.

Zajrzałem do ostatniego numeru „Austin Chronicle”. Miranda Daniels miała rozpocząć występ w Cactus Cafe o dwudziestej. Po umyciu kilku naczyń zadzwoniłem do mojego brata Garretta i nagrałem mu wiadomość: „Niespodzianka! Mamy wspólne plany na dzisiejszy wieczór”. Uwielbiam mojego brata. A jeszcze bardziej uwielbiam darmową metę w Austin.

Zadzwoniłem do Schaeffera z wydziału zabójstw policji San Antonio. Nie zastałem go. Nie zastałem również Mila Chaveza.

Wysupałem część pięćdziesiątek od Mila – tyle, aby starczyło na czynsz za październik – i zostawiłem je w kopercie na blacie. Gary Hales je sobie znajdzie. Gdyby do następnego piątku sprawy miały się układać po mojej myśli, być może będę mógł założyć za czynsz na listopad. Ale jeszcze nie

teraz.

Zostawiłem więcej niż zwykle wody i karmy na blacie w kuchni oraz gazetę, na którą Robert Johnson nieuchronnie zwymiotuje, kiedy tylko zda sobie sprawę, że nie wrócę na noc. Następnie udałem się do volkswagena.

Do Austin dotarłem wczesnym popołudniem i poświęciłem kilka bezowocnych godzin na odwiedzenie miejsc, do których lubił zaglądać Les Saint-Pierre, i na rozmowy z ludźmi, którzy nie widzieli go w ostatnim czasie. Tym razem podawałem się za autora piosenek próbującego dostarczyć Lesowi kasetę. Opowiadałem wszystkim, że napisałem stuprocentowego hiciora *Kochankowie z Lubbock*. Jakoś nie udało mi się wzbudzić w nikim entuzjazmu.

Po lunchu zaszedłem do Waterloo Records na North Lamar i znalazłem w koszu z przecenionymi kasetami album Julie Kearnes z 1979 roku. Kupiłem go. W sprzedaży nie było jeszcze żadnych nagrań Mirandy Daniels. W dziale „Artyści z Teksasu” znalazłem sporo płyt CD z logo Split Rail Sheckly’ego z takimi renomowanymi artystami jak Clay Bamburg i Sagebrush Boys, Jeff Whitney i Perdenales Polka Men. Nie kupiłem żadnej z nich.

Pojechałem na północ do Lamar, na Trzydziestą Ósmą Ulicę, do Hyde Parku, wybierając tę samą trasę, którą poruszałem się tydzień wcześniej, śledząc Julie Kearnes. Skręciłem w lewo w Speedway i zaparkowałem przed jej domem.

Okolica Hyde Parku nie jest bynajmniej aż tak ekskluzywna, jak by się mogło wydawać. Mieszkają tam studenci, ale też podstarzali hipisi i podstarzałe japiszony. Można tam również znaleźć mniej ciekawe przybytki: obskurne pralnie samoobsługowe, zdezelowane akademiki i baptystyczne kościoły. Wzdłuż cichych ulic rosną dęby, a za nimi kryje się uroczo podupadłe tanie budownictwo z lat czterdziestych.

Dom Julie Kearnes był podupadły, ale z pewnością nie uroczy. W latach sześćdziesiątych był zapewne tym, co mój brat określał mianem „hobbiciej nory”. Okrągłe okno witrażowe nad drzwiami było brudne i popękane, a komety i słońca niegdyś zdobiące krawędzie dachu i okien zostały zamalowane cienką warstwą białej farby. Żółty trawnik przed domem tonął w cieniu pekana do tego stopnia obsiadłego przez oprzędnice, że przypominał wielki patyk z watą cukrową. W zasadzie jedyną rzeczą, która sprawiała wrażenie zadbanej, była skrzynka z fioletowymi i żółtymi bratkami, którą Julie umieściła przed oknem salonu. Ale nawet one były lekko przywędłe.

Na Speedway utworzyły się spore popołudniowe korki. Wyminął mnie pomarańczowy autobus miejski. Pikapy marki Ford, wyładowane z tyłu kosiarkami do trawy, grabiami i całymi latynoskimi rodzinami, zmierzały w stronę zaniedbanych trawników przed domami. Ulicami sunęła też spora liczba rozklekotanych hond z lat siedemdziesiątych i garbusów, prezentując naklejone na zderzakach hasła w rodzaju: „NieodREAGANowalni” czy „CZCIJ BOGINIĘ”. Austin – jedyne miasto w całym Teksasie, gdzie mój samochód nie wyróżnia się z tłumu.

Nikt nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Nikt nie zatrzymał się przed domem Kearnes. Jeżeli policja odwiedziła to miejsce, nie zostawiła po sobie żadnych wyraźnych śladów.

Miałem już przejść na drugą stronę ulicy i wejść do środka, kiedy jakiś gość wsadził głowę przez okno po stronie pasażera i powiedział:

– Tak mi się coś zdawało, że to pan.

Mieszkający po przeciwległej stronie ulicy sąsiad Julie odznaczał się końską urodą. Wystarczyło, żeby się uśmiechnął, a człowiek spodziewał się, że zarzy albo trąci go pyskiem, prosząc o kostkę cukru. Przyprószone siwizną włosy miał założone za uszy, a na czubku głowy nażelowane i postawione na

sztorc. Jego strój składał się z niebieskiej koszuli wepchniętej do szortów w kolorze khaki, przewiązanych wielobarwnym gwatemalskim pasem. Kiedy wsadził głowę do samochodu, nie tyle wyczułem jego zapach, ile niejako doświadczyłem na własnej skórze jednej z tych surrealistycznych piętnastosekundowych reklam wody kolońskiej.

Wyszczерzył zęby.

– Wiedziałem, że pan wróci. Siedziałem akurat w swoim ukochanym foteliku, sącząc espresso, i pomyślałem: „Założę się, że ten komisarz wróci tu pewnego dnia”. I wtedy wyjrzałem przez okno i zobaczyłem pana.

– We własnej osobie. – Skinąłem głową. – Posłuchaj... Jose, dobrze pamiętam?

– Jarras. Jose Jarras – przeliterował.

– Wybornie, panie Jarras, ale...

Jose uniósł do góry palec, jakby przypomniiał sobie właśnie o czymś niesamowicie istotnym, i jeszcze bardziej nachylił się do wnętrza samochodu.

– A nie mówiłem panu? – Ściszył głos. – A nie mówiłem, że tu się dzieje coś podejrzanego?

– Tak – przyznałem. – Mówił pan.

Nie miałem pojęcia, o co mu, u diabła, chodzi. Może „Austin American-Statesman” opublikował informację o śmierci Julie. A może Jose odnosił się do którejś z niesamowitych teorii, którymi podzielił się ze mną w sobotni poranek – o tym, że panna Kearnes potrzebowała jego pomocy, ponieważ ściagała ją mafia, federalni albo Córki Republiki Teksasu.

Jose zmrużył porozumiewawczo oczy.

– Zacząłem się nad tym zastanawiać po rozmowie z panem. Zadałem sobie pytanie: dlaczego miałyby się nią interesować policja? Dlaczego policjant przesiaduje przed jej domem? Pewnie jej chłopak jest jednym z tych

handlarzy narkotyków, co nie? Będzie się musiała zdecydować na program ochrony świadków.

Zapewniłem Josego, że ma niesamowite zdolności dedukcji.

– Biedaczka żyje w stanie głębokiego stresu – tłumaczył. – Przestała mi robić ciasteczka z cukrem, o których panu mówiłem. Przestała mówić „dzień dobry”. Wygląda jak... no wie pan.

Machnął ręką, jakbym miał sobie dzięki temu wyobrazić zbrodnie przeciwko modzie, jakie popełniała w ostatnim czasie biedna sąsiadka. Skinąłem ze zrozumieniem głową.

– W sobotę wieczorem miała gościa.

– Wiem – zapewniłem go. – Obserwowałem dom.

Gościem była jedna z przyjaciółek Julie, aromaterapeutka amatorka o imieniu Vina, z której nieszkodliwą historią zdążyłem się już zapoznać. Vina przyniosła Julie swój zestaw olejków. Była u niej między ósmą a dziewiątą. Nie chciałem tłumaczyć Josemu, że istnieje naprawdę niewielkie prawdopodobieństwo, że Vina była zabójcą pracującym na zlecenie mafii.

Jose wsunął głowę jeszcze głębiej do mojego samochodu. Jeszcze dwa centymetry i mógłby mi ją położyć na kolanach.

– Włamię się pan do środka? – zapytał. – Żeby sprawdzić, czy nie ma jakichś pułapek?

Zapewniłem go, że to standardowa procedura. Nie ma żadnych powodów do niepokoju.

– Och... – Pokiwał energicznie głową. – W takim razie nie będę panu przeszkadzał. Nie powinien mi pan zostawić wizytówki, na wypadek gdybym sobie później o czymś przypomniał?

– Proszę mi podać rękę – powiedziałem.

Sprawiał wrażenie niezdecydowanego, ale po chwili wyciągnął ją w moją

stronę. Wziąłem z deski rozdzielczej niezmywalny flamaster i nagryzmoliłem na dłoni Josego rezerwowy numer automatycznej sekretarki Erainii, która informuje, że „dodzwoniłeś się do biura śledczego”.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się w zdumieniu swojej ręce.

– Cięcia budżetowe – wyjaśniłem.

Podszedłem do drzwi wejściowych domu Julie i przez jakieś dwie minuty szukałem odpowiedniego wytrychu. Oparłem się nonszalancko o framugę, próbując kolejne metalowe sztyfty i pogwizdując. Uśmiechnąłem się do pary starszków, którzy przeszli przed domem. Nikt nie zaczął krzyczeć. Nikt nie wszczął alarmu.

Każdy licencjonowany prywatny detektyw powiedziałby wam, że konieczność działania poza granicami prawa w tym zawodzie to mit. Prywatny detektyw zbiera dowody, których można później użyć w sądzie, a wszelkie dowody zdobyte z naruszeniem prawa z automatu szkodzą stronie, która próbuje je wykorzystać. Dlatego też prywatni detektywi to grzeczni chłopcy i grzeczne dziewczynki. Prowadzą obserwację z publicznie dostępnych miejsc. Trzymają się z daleka od kłopotów.

W dziewięćdziesięciu procentach jest to prawda. Przez pozostałych dziesięć procent prywatny detektyw stara się zdobyć jakąś informację albo jakiś przedmiot, który nie będzie wykorzystany w sądzie. Jego klient – zazwyczaj prawnik – ma gdzieś, jakie przepisy zostaną złamane podczas pracy nad sprawą, pod warunkiem że detektyw nie da się złapać i nie będzie można powiązać jego działań z klientem. Wybierają po prostu osobę pozbawioną zasad i licencji, która ma wprawę w dyskretnym poruszaniu się poza granicami prawa. Właśnie taką rolę odgrywałem przez pięć lat w San Francisco – nielicencjonowanego detektywa bez zasad. Potem przeprowadziłem się do Teksasu, gdzie dawni koledzy mojego ojca z policji

zaczęli wywierać na mnie coraz silniejsze naciski, abym zdobył licencję i pracował zgodnie z zasadami. Żaden z nich nie chciał przeżyć wstydu towarzyszącego aresztowaniu dzieciaka Jacka Navarre.

Wyważyłem boczny boleć. Następnie wyjąłem ze skrzynki gromadzące się w niej od dwóch dni listy do Julie i wszedłem do środka.

W kuchni pachniało cytryną i amoniakiem. Drewniana podłoga była zamieciona. Egzemplarze „Fiddle Playera” i „Nashville Today” leżały w równych stosach na przykrytej szybą skrzynce po owocach, która służyła za stolik kawowy. Na stole stał wazon z kwiatami. Julie zostawiła wysprzątane mieszkanie dla osoby, która miała nigdy do niego nie wrócić.

Usiadłem na sofie i przejrzałem pocztę. Rachunki. List od Toma i Sally Kearnesów z Oregonu wraz z fotką ich dopiero co urodzonej córeczki. Na kartce napisali: „Nie możemy się doczekać, kiedy wreszcie zobaczysz Andreę! Uściski, T. i S.”. Wpatrywałem się w pomarszczoną różową twarzyczkę. Następnie odłożyłem zdjęcie i list, odwrócone, na stolik kawowy.

Szybko przejrzałem pozostałe pokoje. Na automatycznej sekretarce nie było żadnych wiadomości. Kosz na śmieci nie zawierał niczego ciekawego poza zapleśniałą kawą. Jedyna interesująca rzecz znajdowała się na górnej półce szafy w sypialni Julie. Pod kocem leżała tam brązowa walizka w rodzaju tych, które widuje się na występach artystów wodewilowych.

W środku znajdowały się zdjęcia Lesa Saint-Pierre’a. Les pijący piwo z Merle’em Haggardem, Les przyjmujący nagrodę z rąk Tanii Tucker, młody Les w różowej koszulce z kołnierzykiem, z wielką czupryną kręconych włosów, w ogromnej ilości poliestru, stojący obok podobnie ubranego disco kowboja, którego nie rozpoznałem, mimo że prawdopodobnie był kiedyś znany.

Pod zdjęciami leżała spora ilość męskich ubrań w stanie takiego nieładku, jakby ktoś opróżniał w pośpiechu szuflady, a nie wybierał garderobę na podróż. Co dziwne, były to same skarpetki i bokserki. No chyba że tak właśnie ubierał się Les w czasie podróży. Może to ja jeździłem w nietypowe miejsca.

Odłożyłem walizkę do szafy.

W klatce na wypolerowanej gałęzi siedziała zielona, wygłodniała papuga, która zwyzywała mnie od hałaśliwych łajdaków, a następnie wróciła do zawziętego skrobania dziobem w wapienną kostkę.

Znalazłem dla niej w kuchni trochę pistacji. Potem usiadłem przed IBM-em PS/2 i wlepiłem wzrok w czarny ekran.

– Matoł – zaskrzeczała papuga. Rozłupała pistację.

– Miło cię poznać – odparłem.

Tablica korkowa na ścianie za komputerem była obwieszona kartkami. Znajdowała się tam pozaginana na rogach fotografia Julie Kearnes jako młodej skrzypaczki. Jej kasztanowe włosy były wtedy dłuższe, sylwetka szczuplejsza. Stała obok George'a Jonesa. Na tablicy wisiało również nowsze zdjęcie z zespołem Mirandy Daniels, na którym Julie stała na samym przodzie. Zdjęcie otaczały recenzje koncertu powycinane z lokalnych gazet; kilka zdań poświęconych grze Julie zostało zakreślonych różowym markerem. Artykuł z pierwszej strony działu rozrywki „Statesmana” ozdobiło zdjęcie samej Mirandy Daniels stojącej między basistą a kołem od wozu, na tle sztucznego zachodu słońca. Tytuł obwieszczał śmiało: „Odrodzenie zachodniego swinga: dlaczego nowe pokolenie teksańskich artystów zawojuje Nashville”.

Mniejsza tablica korkowa po lewej stronie zawierała bardziej prozaiczne informacje. Przyczepiono tam odcinki czeków na dwieście pięćdziesiąt

dolarów od Paintbrush Enterprises, a także grafik występów Julie i zestawienie jej stawek godzinowych z kilku zleceń, które przyjęła od Cellis Temps w ostatnich miesiącach, aby związać jakoś koniec z końcem – prosta obróbka tekstów i wprowadzanie danych do komputera dla kilku korporacji. Może Miranda Daniels rzeczywiście miała zawojować Nashville, ale nic nie wskazywało na to, aby Julie Kearnes miała się znaleźć na pierwszej linii frontu.

Przejrzałem dyskietki Julie. Otworzyłem poziomą szafkę i wyjąłem cienki stosik przypleśniałych niebieskich teczek. Zacząłem właśnie przeglądać tę z napisem: „Sprawy osobiste”, kiedy otworzyły się drzwi frontowe i męski głos zapytał: „Zastąpiłem kogoś?”.

Jose wszedł po cichu do gabinetu, uśmiechając się przeproszająco, jakby chciało mu się strasznie siusiać.

Rozejrzał się po wnętrzu i powiedział:

- Musiałem to zobaczyć na własne oczy.
- Masz szczęście, że cię nie zastrzeliłem.
- Och... – Roześmiał się. Potem zobaczył moją minę. – Nie masz chyba przy sobie pistoletu, prawda?

Wzruszyłem ramionami i powróciłem do przeglądania teczek. Nie noszę przy sobie broni, ale nie musiałem mu przecież tego mówić.

Jose otrząsnął się z osłupienia i zaczął myszkować po pokoju. Brał do ręki bibeloty, oglądał książki na półkach. Papuga przyglądała mu się, rozdziobując pistacje.

– Matoł – powiedziała.

Dałem jej kolejną porcję orzechów. Wierzę w warunkowanie pozytywne.

Teczka ze „sprawami osobistymi” Julie zawierała głównie informacje o jej długach. A tych było co niemiara. Znajdowały się tam również dokumenty ze

Statewide Credit Counseling, z których wynikało, że mniej więcej dwa miesiące wcześniej rozpoczęła negocjacje w sprawie swojego zadłużenia. Dom, papuga i cougar z 1968 roku, w którym została zamordowana, wydawały się jej jedynymi aktywami. Wyglądało na to, że dom był obciążony dwiema hipotekami i wystarczyło, żeby nie otrzymała jednej wypłaty od Sheckly'ego, by stała się bezdomna.

Włączyłem IBM-a Julie, planując, że przejrzę go tylko pobieżnie, zabiorę ze sobą twardy dysk i dopiero później sprawdzę na spokojnie, czy nie zawiera czegoś godnego uwagi.

W komputerze nie było nic godnego uwagi. Tak naprawdę nie było w nim w ogóle nic. Siedziałem, wpatrując się w pusty zielony ekran, podczas gdy DOS pytał mnie, czy nie wiem, gdzie się podział jego mózg.

Myślałem przez chwilę nad tą kwestią, po czym wyłączyłem komputer i otworzyłem obudowę. Dysk twardy znajdował się wciąż w swoim slocie. Ktoś go wykasował, ale nie usunął. Dobre i to. Wyszarpnąłem go ze środka, zawiązałem w gazetę i włożyłem do plecaka. Zadanie dla Brata Garretta.

– Co to jest? – zapytał Jose.

Podszedł do mnie od tyłu i zaglądał mi przez ramię, zafascynowany otwartą obudową komputera. Opłynął mnie intensywny zapach wody kolońskiej. Papuga kichnęła.

– Nic – odpowiedziałem. – I to w dużych ilościach. Ktoś próbował dopilnować, żeby nikt nie znalazł informacji znajdujących się w komputerze Julie Kearnes.

– To musiał być ten facet, który tu przyszedł – stwierdził Jose.

Wlepiłem w niego wzrok.

– Jaki znów facet?

Jose sprawiał wrażenie poirytowanego.

– Ten, o którym mówiłem panu na zewnątrz. Mężczyzna, który przyszedł tu w sobotę wieczorem. Mówił pan, że wie, o kogo chodzi.

– Chwileczkę.

Odtworzyłem sobie szybko w myślach wydarzenia z poprzedniego tygodnia. Sobota wieczór, czyli dzień przed tym, jak sam zdecydowałem się z nią porozmawiać. Julie nie odwiedził żaden mężczyzna. Prowadziłem standardową obserwację, stosując metody, do których nie przyczepiłaby się nawet Erainia. Obserwowałem dom do jedenastej pięć; odjechałem trzydzieści minut po tym, jak Julie zgasła światło. Po upływie takiego czasu można założyć, że obiekt śpi jak zabity. Okredowałem opony w samochodzie Julie na wypadek, gdyby przyszło jej do głowy wybrać się dokądś w środku nocy. Potem pojechałem do domu, przespałem się kilka godzin i wróciłem do Austin o czwartej trzydzieści następnego ranka.

– O której godzinie odwiedził ją ten mężczyzna? – zapytałem zdecydowanym tonem.

Jose aż się rozpromienił.

– Zaczął walić do drzwi Julie o jedenastej piętnaście. Specjalnie sprawdziłem godzinę.

Papuga nastroszyła piórka i zaskrzeczała:

– Kurwa, kurwa, kurwa.

– No właśnie – zgodziłem się.



Jeżeli chodzi o podglądanie sąsiadów, Jose był zawodowcem.

Pamiętał, że gość obudził Julie Kearnes dokładnie o jedenastej piętnaście w sobotę wieczorem. Pamiętał, że mężczyzna wszedł do środka i kłócił się z Julie w jej salonie przez osiem minut i dwadzieścia sekund. Jose widział całe zajście przez okno. Potrafił dokładnie opisać faceta: krępy Latynos, dobrze ubrany, pod sześćdziesiątkę. Ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, ze sto pięć kilogramów wagi. Przyjechał złotawym bmw. Jose podał mi numer rejestracyjny, choć kiedy usłyszałem opis mężczyzny, nabrałem przekonania, że numer rejestracyjny nie będzie mi do niczego potrzebny.

Jose wyjaśnił przepaszającym tonem, że zdołał usłyszeć tylko kilka zdań, które mężczyzna wypowiedział, kiedy wychodził wzburzony z domu Julie. Chodziło o pieniądze.

Kiedy Julie Kearnes wyszła po raz drugi na werandę, miała trzymać w ręku damską dwudziestkędwójkę, zupełnie jakby wypędzała swojego gościa z domu.

– Ale nie wystrzeliła. – Jose sprawiał wrażenie rozczarowanego.

Zapewniłem, że wykonał wspaniałą robotę dla dobra ojczyzny, i wypchnąłem go za drzwi. Przysięgał, że zadzwoni pod numer, który mu podałem, jeżeli tylko przypomni sobie coś jeszcze.

Wróciłem do wnętrza domu Julie i spojrzałem na rozmontowany komputer. Spojrzałem na papugę, która skończyła ostatnią pistację i przyglądała się mojemu nosowi. Głodna, spragniona, samotna.

– Robert Johnson by cię nie polubił – powiedziałem jej.

Papuga przechyliła głowę do góry nogami, starając się wyglądać jak kupka nieszczęścia.

– Cudownie... – Westchnąłem, wyciągając rękę.

Wzbiła się w powietrze i wylądowała na moim ramieniu.

– Hałaśliwy drań – zaskrzeczała mi do ucha.

– Frajer – poprawiłem ją.

Kiedy przyjechałem na Guadalupe Avenue, zwaną „Sztachem”, na chodnikach i przejściach dla pieszych tłoczyli się studenci wychodzący z popołudniowych zajęć. Ciągący się przez pięć przecznic rząd sklepów i barów zlokalizowanych przy zachodniej ścianie kampusu oblegała imponująca zbieranina dołów społecznych: posiwiiałych hipisów, bezdomnych, ulicznych sprzedawców i kaznodziejów, grajków oraz studentek. Po drugiej stronie, jakby dla równowagi, majestatyczne dęby i białe, wzniesione z wapienia gmachy Uniwersytetu Teksasńskiego pokryte czerwonymi dachówkami ciągnęły się po horyzont niczym Rzym albo Oklahoma City, czyli miejsca, gdzie pojęcie ograniczeń przestrzennych nie ma najmniejszej racji bytu.

Sztach zapewne nie był najodpowiedniejszym miejscem w Austin do prowadzenia głębokich przemyśleń, wiedziałem jednak, że nikt nie zwróci na mnie uwagi, jeżeli usiądę na krawężniku przed domem studenckim z papugą na ramieniu.

Kto wie, może Matoł obrzuci przechodniów kilkoma trafnymi epitetami. A gdybym położył na ziemi kapelusz, ktoś mógłby nawet wrzucić do niego parę drobniaków. Tymczasem ja obserwowałbym upływ czasu na zegarze na uniwersyteckiej wieży i dumałbym nad moją ulubioną nieżywą kobietą.

Sytuacja finansowa Julie Kearnes nie przedstawiała się najlepiej.

Wczytując się dokładniej w dokumenty, zrozumiałem, pod jak wielką znajdowała się presją. Nękał ją bank dopominający się spłaty hipoteki, nękały ją wszystkie największe firmy oferujące karty kredytowe, nękał ją związek zawodowy muzyków.

Negocjacje w sprawie uregulowania długów mogły w ostatecznym rozrachunku jej pomóc, ale nie w wypadku gdyby straciła otrzymywane co dwa tygodnie wypłaty od Shecka z powodu zbyt bliskich relacji z Saint-Pierre'em. Nie w wypadku gdyby straciła pracę w zespole Mirandy Daniels z powodu podpisania przez nią kontraktu z Century Records. Dorywcze zajęcia, którymi łątała budżet, nie wystarczyłyby jej na utrzymanie i spłatę kredytów.

Może zatem zdecydowała się na wykonanie jakiejś brudnej roboty. Może znalazła się w potrzasku między Lesem Saint-Pierre'em a Tildenem Shecklym, może musiała napuścić ich na siebie, żeby samej wyjść z tego cało. Ukraść kasetę demo dla Sheckly'ego albo zbankrutować. Wyciągnąć jakieś brudy Sheckly'ego dla Lesa Saint-Pierre'a albo stracić możliwość występowania.

Sheckly'ego znała od lat, przez większość tego czasu pracowała w jego biurze, latała do Europy z jego dyrektorem handlowym. Miała wiele okazji, żeby znaleźć jakieś haki na Sheckly'ego.

Być może odkryła coś zbyt niebezpiecznego. Les zniknął, zanim zdążył wykorzystać te informacje. Julie spanikowała. Przez cały weekend nachodzili ją niechciani goście, w tym ja. Postanowiła zatem zorganizować awaryjne spotkanie z kimś, kto mógł jej pomóc, ale komu nie ufała. Zabrała do San Antonio swoją dwudziestkędwójkę, ale nie przewidziała, że sama zostanie zamordowana.

Zdesperowani ludzie dopuszczają się różnych rzeczy, skaczą na głęboką

wodę i często tracą przez to życie. W tej sytuacji winy bez wątpienia nie ponosi dziarski prywatny detektyw, który wkroczył na scenę dopiero pod koniec piątego aktu.

Być może. Taki scenariusz wydarzeń nie przyniósł mi żadnej pociechy. Nie wyjaśniał również, dlaczego walizka pełna intymnych części garderoby Lesa Saint-Pierre'a spoczywała w szafie Julie dwa tygodnie po jego zniknięciu. Ani wizyty mężczyzny w złotym bmw, który na tyle dobrze znał się na prowadzeniu obserwacji, że zauważył mnie w sobotni wieczór przed domem Julie Kearnes i odczekał, aż odjadę.

Trzech gości w nabijanych ćwiekami skórzanych płaszczach i z zielonymi, postawionymi na sztorc włosami wyminęło mnie ulicą, paląc goździkowe papierosy. Grupa dziewczyn z długimi warkoczami i o białej skórze, ubranych w podobne pomięte flanelowe spodnie, przystanęła na chwilę, aby zapytać, czy nie znam gościa o ksywce „Orzeł”.

Noszenie flanelowych ubrań w Teksasie wymaga prawdziwego poświęcenia. Noszenie przed nadejściem zimnych frontów czegokolwiek poza szortami i klapkami wymaga naprawdę prawdziwego poświęcenia. Powiedziałem im, że jestem pod wrażeniem. Matoł nawet zagwizdał. Dziewczyny tylko przewróciły oczami i sobie poszły.

O siódmej niebo przybrało fioletową barwę. Wilgowrony zaczęły się zlatywać z południa, a z północy po niebie sunęła czarna łukowata chmura, przynosząc zapach deszczu. Przez Guadalupe przetoczyła się ostatnia fala studentów, rozchodząc się na boki w poszukiwaniu barów albo imprez.

Zajrzałem do swojego mózgu, aby sprawdzić, czy nie mam przypadkiem jakichś nowych przemyśleń na temat Lesa Saint-Pierre'a albo Julie Kearnes, ale ponieważ nie znalazłem żadnych, wstałem i otrzepałem dzinsy z ulicznego pyłu. Wróciłem do volkswagena i zamknąłem w środku Matoła

wraz z porcją pistacji i kubkiem wody.

Przeszedłem na drugą stronę Guadalupe Avenue do budki telefonicznej.

Wykręciłem numer własnej automatycznej sekretarki i usłyszałem głos Chico Marxa: „Oj, bracie, ależ ty masz wiadomości”.

Carolaine Smith odwołała nasze plany weekendowe, ponieważ musiała wyjechać za miasto w ważnych sprawach zawodowych. Nie sprawiała wrażenia szczególnie wstrząśniętej. Profesor Mitchell prosił, żebym na rozmowę kwalifikacyjną w sobotę przyniósł CV i swoje dossier.

Dzwoniła również Erainia, przypominając, że do przyszłego tygodnia muszę dać odpowiedź, czy zamierzam dla niej dalej pracować, a tak przy okazji czy nie mógłbym zabrać Jema na kilka godzin jutro wieczorem. Wiele to by dla niego znaczyło. Słyszałem Jema w tle – śpiewał na cały głos piosenkę dinozaura Berneya.

Następną rozmowę odbyłem na koszt odbiorcy w opcji z przywołaniem. „Z przywołaniem” wiązało się z najwyższą z obowiązujących stawek za rozmowę. Gene Schaeffer z wydziału zabójstw policji San Antonio jak zwykle uprzejmie przyjął rozmowę.

– Czuję się wyróżniony – oświadczył – że mam okazję zapłacić za przywilej rozmowy z tobą.

– Powinniśmy zorganizować kółko telefoniczne. Pan, ja i Ralph Arguello.

– Idźże się walić, Navarre.

Ralph Arguello to jeden z moich mniej szacownych znajomych. Popełniłem kiedyś błąd, przedstawiając Arguella Schaefferowi w nadziei, że pomogą sobie w rozwiązaniu sprawy morderstwa, do jakiego doszło na West Side. Problemy zaczęły się, kiedy Ralph zaoferował Schaefferowi znaleźne za wszystkie nieodebrane przedmioty, które śledczy ponoć wysyłał do lombardów Ralpha z policyjnego magazynu. Schaeffer i Ralph nie żywili

odtąd do siebie szczególnie ciepłych uczuć.

– Zakładam, że dzwonisz z jakiegoś istotnego powodu – powiedział Schaeffer.

– Julie Kearnes.

Zmieniły się światła na przejściu dla pieszych na Guadalupe. Przez ulicę popłynął strumień studentów; w zapadających ciemnościach ich twarze były już niewidoczne.

– Schaeffer?

– Pamiętam. Skrzypaczka. Uznałem, że wykażesz się dostatecznym rozsądkiem i odpuścisz sprawę.

– Ciekawi mnie po prostu, co udało się panu ustalić.

Zawahał się, prawdopodobnie rozmyślając, czy zakończenie rozmowy wystarczy, żeby mnie zniechęcić. Najwyraźniej uznał, że nie.

– Nic nie ustaliliśmy. Sprawa została załatwiona profesjonalnie; w budynku SAC przebywało w tamtym czasie tylko kilku stróżów i żaden niczego nie zauważył. Strzelano z karabinu o dużym zasięgu. Broni nie znaleziono i wątpię, aby to nastąpiło. Twój klient będzie musiał szukać gdzieś indziej swojej kasety demo.

– Sprawa jest nieco bardziej skomplikowana.

Opowiedziałem Schaefferowi o zaginięciu Lesa Saint-Pierre'a. Opowiedziałem mu o trudnościach, jakie napotkała Miranda Daniels, próbując wywinąć się spod wpływów Tildena Sheckly'ego, i o teorii Mila, że Les mógł uzyskać od Kearnes jakieś informacje i podjąć nieudaną próbę szantażu. Opowiedziałem mu o mężczyźnie, który kłócił się z Julie w sobotę w nocy.

Po drugiej stronie linii zapadła cisza. Za dużo danych naraz.

– Uznałem, że przyda się panu informacja o Saint-Pierre – ciągnąłem. –

Pomyślałem, że będzie chciał go pan znaleźć, wyjaśnić kilka powracających uporczywie kwestii, na przykład czy wciąż żyje. Czy kazał zabić Kearnes.

– Jasne, chłopcze. Dzięki.

– Facet w bmw. Kogo on panu przypomina?

– Nie rozumiem.

– Proszę nie udawać głupiego, panie Schaeffer. Doskonale pan wie, że chodzi o Samuela Barrerę. Odwiedził biuro Erainii niecałe dwie godziny po tym, jak Kearnes została zastrzelona. Alex Blanceagle w Paintbrush zasugerował, że sprawą interesuje się jakiś inny detektyw poza mną. Gdyby Barrera miał być zaangażowany... i to osobiście, a nie za pośrednictwem któregoś z jego dwudziestu pomagierów... Kiedy ostatnio zdarzyło się, że Sam dostał na tyle frapujące zlecenie, żeby sam się nim zajmował?

– Myślę, że nawyciągałeś masę pochopnych wniosków.

– Ale porozmawia pan z Samem?

Schaeffer się zawahał.

– Jeżeli dobrze pamiętam, Barrera nie zgodził się przyjąć cię do pracy. Kilka lat temu, kiedy rozglądałeś się za jakimś zajęciem.

– A co ma jedno do drugiego?

– Co ci wtedy powiedział? Że nie jesteś dostatecznie zrównoważony?

– Zdyscyplinowany. Użył słowa „zdyscyplinowany”.

– Musiało ci to niezłe zależeć za skórę, co?

– Mam trenera. Wytrzymałem w programie.

– Tak. Co i komu chciałbyś udowodnić? Chcę ci tylko powiedzieć, synu, że byłoby nierozważne z twojej strony, gdybyś zajmował się dalej sprawą Sheckly’ego, gdybyś traktował to jako element rywalizacji z Barrerą. Jako przyjaciel radzę ci: odpuść sprawę. Wiem z całą pewnością, że Erainia tym razem nie zamierza ratować ci tyłka.

Wpatrywałem się w linie telefoniczne nad moją głową. Przeliczyłem siedzące na nich wilgowrony.

– Użył pan określenia: „sprawa Sheckly’ego”. Czemu?

– Możesz ją nazywać, jak tylko chcesz.

– Rozmawiał już o tym z panem, prawda? Barrera albo któryś z jego znajomych w biurze. Co, u diabła, się dzieje, panie Schaeffer?

– Teraz już zachowujesz się jak paranoik. Myślisz, że można mnie tak łatwo wymiksować ze śledztwa?

Zastanowiło mnie, dlaczego użył akurat takiego określenia.

– Z pewnością nie. To mnie właśnie dziwi.

– Odpuść to sobie, Tres.

Wpatrywałem się w rząd wilgowronów. Co kilka sekund kolejnych łachmaniarz ciemności sfruwał z ciemniejącego nieba i dołączał do grupy. Nie można było zidentyfikować, które konkretnie ptaki tak pokrzykują ani nawet które grupy ptaków. W tle rozbrzmiewał bezcielesny, rozproszony szum. Odbijał się echem między sklepami a znajdującymi się za mną wapiennymi budynkami kampusu.

– Pomyślę o tym, co pan powiedział – obiecałem.

– Jeżeli się uprzesz, żeby nadal badać tę sprawę, a będzie coś jeszcze, o czym powinienesz mnie poinformować, cokolwiek wymagającego powiadomienia policji...

– Dowie się pan jako pierwszy.

Schaeffer umilkł. Potem roześmiał się szyderczo, ze znużeniem, jak człowiek, który wrzucił już tyle monet do jednej maszyny, że sama idea pecha zaczynała go powoli bawić.

– Jestem w tej kwestii pełen optymizmu, Navarre. Naprawdę.



Nie przyszło mi do głowy, że w środowe południe w połowie semestru na koncercie muzyki country w Cactus Cafe będą tylko miejsca stojące. Myliłem się. Mała biała tabliczka przed lokalem informowała: „MIRANDA DANIELS, wstęp 5\$”. Przed klubem stała kolejka około pięćdziesięciu osób gotowych wydać takie pieniądze na bilet.

Były to przeważnie pary po dwudziestce – wyelegantowane miastowe buraki z ładnymi fryzurami, w wyprasowanych dżinsach i butach od Tony’ego Lamy. Garstka studentów. Kilka starszych par, które chyba specjalnie na tę okazję przyjechały z rancza w hrabstwie Williamson i nadal próbowały przestawić się z towarzystwa krów na towarzystwo ludzi.

Na końcu kolejki dwóch gości toczyło zażartą dyskusję. Jednym z nich był mój brat Garrett.

Garretta trudno nie zauważyć z powodu wózka inwalidzkiego. Używa egzemplarza wykonanego na specjalne zamówienie – z czarno-białym siedzeniem z krowiej skóry, jajami psa dingo przywieszonymi z boku, jaskrawoczerwonymi uchwytyami na kołach, umieszczonymi zgodnie z życzeniem Garretta blisko osi, perską poduszką zaprojektowaną dla człowieka, który z powodu braku nóg ma inny rozkład masy.

Tył wózka ozdobił kolekcją naklejek: „RATUJMY BARTON SPRINGS”, „WOLAŁBYM JUŻ UPRAWIAĆ KONOPIE”, kilkoma reklamami Nike i Converse. Garrett lubi promować buty dla sportowców.

Wózek Garretta jest wyposażony w umieszczoną pod siedzeniem

chłodziarkę na piwo, kieszonkę na jego fajeczkę oraz rowerową antenkę z flagą, którą Garrett dawno temu wymienił na piracką trupa czaszkę. Garrett żartuje, że zamontuje sobie na kołach wysuwane szpikulce podobne do tych, których używano w rydwanach w *Ben Hurze*. A przynajmniej wydaje mi się, że żartuje.

Facet, z którym się kłócił, miał połataną dzinsy, czarny T-shirt i długawe włosy w kolorze słomy. Gdybym nadal przebywał w Kalifornii, wziąłbym go za surfera – miał odpowiednią sylwetkę, ogorzałą twarz i nerwowe ruchy głowy osoby, która od zbyt dawna obserwuje grzebienie fal. Wydmuchiwał dym z papierosa ku ziemi i kręcił głową, jakby mówił: „Nie, nie, nie”.

– No zgódź się, chłopie – protestował Garrett. – Dziewczyna nie jest Jimmym Buffettem, dobra? Po prostu lubię jej piosenki. O, cześć, braciszku, chciałbym ci przedstawić gitarzystę Cama Comptona.

Gitarzysta podniósł wzrok, poirytowany, że ma zostać komuś przedstawiony. Jedną z jego brązowych tęczówek była otoczona krwawą obwódka, zupełnie jakby ktoś próbował czymś w nią wyrznąć. Przyglądał mi się uważnie przez dobrych pięć sekund, po czym uznał, że nie jestem wart zachodu.

– Co, macie z bratem mózgi z tej samej fabryki? – Mówił z czysto południowym akcentem, ale za dokładnie wymawiał samogłoski, żeby mógł być z Teksasu. – Myślicie, że co? Że zostanie pożarta żywcem?

– Jasne – odparłem. – A o kim mówimy?

– Oj, chłopcze, chłopcze. – Compton wskazał głową na drzwi do klubu. Strzepnął popiół na dywan. – O pierdolonej Mirandzie Daniels, idioto.

– Ejże, Cam – zaprotestował Garrett. – Uspokój się. Mówiłem ci przecież, że...

– Uspokój się? – powtórzył Compton. Zaciągnął się głęboko papierosem,

posłał w moją stronę uśmiech, którego w żaden sposób nie mógłbym nazwać przyjaznym. – A nie jestem spokojny? Muszę tylko dać suce nauczkę, to wszystko.

Kilku młodych miastowych buraków z kolejki obejrzało się nerwowo przez ramię.

Compton wepchnął koszulkę do spodni, wygładził niebieskoszary nadruk nad kieszonką, który sześćset prań temu układał się prawdopodobnie w jakieś słowa. Wycelował dwa palce w Garretta i zaczął coś mówić, ale natychmiast zrezygnował. Garrett znajdował się trochę za nisko, żeby można z nim było skutecznie dyskutować. Człowiek miał poczucie, jakby rugał krasnalą. Cam odwrócił się i dźgnął mnie kilka razy delikatnie palcem w klatkę piersiową.

– Masz pojęcie, jakie układy panują w Nashville?

– A potrzebujesz tych palców do gry na gitarze?

Zamrugnął zbity z tropu. Odsunął palce od mojej piersi. Jego głowa poruszyła się kilka razy nerwowo na boki, jakby próbował się zorientować w swoim położeniu na falach, po czym spojrzał mi w oczy i po raz kolejny uśmiechnął się zaciśniętymi ustami. Znów w pełni się kontrolował.

– Jeżeli będzie miała szczęście, synu, wyda jeden album, pobaluje przez tydzień, a potem *adios*.

– *Adios* – powtórzyłem.

Cam skinął głową i machnął papierosem na podkreślenie wagi swoich słów.

– Stary Sheck wiedział, co robi, wiążąc ją ze mną. Ale jeżeli ona postanowiła rzucić Cama Comptona, nie przetrwa w tej branży nawet tygodnia.

– Och – powiedziałem. Nagle skojarzyłem, o kogo chodzi. – Jesteś tym Camem Comptonem? Przebrzmiały artysta ze stajni Sheckly’ego. No tak,

Milo mi o tobie opowiadał.

Uśmiechnąłem się uprzejmie i wyciągnąłem rękę do pożegnania. Czoło Cama zaczęło powoli przybierać szkarłatną barwę. Zerknął na Garretta, po czym uniósł na wysokość twarzy rozżarzoną końcówkę papierosa i dokładnie jej się przyjrzał.

– Co powiedział ten skurwysyn?

Garrett wodził między nami wzrokiem. Podrapał się po postrzępionej siwej brodzie, co robi zawsze, kiedy jest zaniepokojony.

– Możemy porozmawiać? – zwrócił się do mnie. – Sorki.

Garrett wyjechał z kolejki, kierując się w stronę męskiej toalety. Uśmiechnąłem się ponownie do Cama, po czym ruszyłem za bratem.

– Okej – powiedział Garrett, kiedy się z nim zrównałem. – Czy czeka nas powtórka z Texas Chili Parlor?

Przyglądał mi się gniewnym wzrokiem. Ze swoimi krzywymi zębami, długimi włosami, brodą i naćpanymi oczami szaleńca mój brat potrafi się niepokojąco upodobnić do Charlesa Mansona.

Próbowałem udąć oburzenie.

– Mógłbyś mi choć odrobinę zaufać.

– Kurwa. – Garrett podrapał się po brzuchu pod batikową koszulką z napisem: „Ten obok to idiota”. Wyciągnął jointa, zapalił, po czym zaczął mówić, nie wyjmując go z ust. – Kiedy ostatni raz poszedłem z tobą na miasto, musieliśmy zabulić trzysta dolarów za zniszczone wyposażenie. Od tego czasu nie wpuszczają mnie do Chili Parlor na wieczorki z tanim winem, rozumiesz?

– To była zupełnie inna sytuacja. Przyskrzyniłem wcześniej tego gościa za oszustwo związane z funduszem odszkodowawczym w pracy, a on mnie rozpoznał. To nie moja wina.

Garrett wydmuchnął dym.

– Cam Compton nie jest jakimś zwykłym bezrobotnym palantem, braciszku. Wystąpił w *Austin City Limits*, na litość boską.

– Dobrze go znasz?

– Człowieku, gość zna połowę miasta.

– Wygląda na zwykłego buca.

– No wiesz, jak rozdajesz dobry towar i przepustki za scenę na dużych koncertach, to masz trochę większą swobodę w kwestiach osobowościowych, dobra? To ty mnie tu zaprosiłeś, więc stawiasz piwo. I nie przynieś mi wstydu.

Odjechał, nie czekając na odpowiedź. Cam zniknął w klubie. Pewnie poszedł nawoskować gitarę albo nastroić deskę surfingową czy coś w tym stylu.

Garrett pokazał niebieską legitymację inwalidzką, wydał z siebie jakiś dźwięk i wkręcił nas na początek kolejki. Chwilę później znaleźliśmy się w klubie.

Cactus Cafe to dość nietypowy lokal do zorganizowania koncertu. Składa się z długiego pomieszczenia przylegającego do holu siedziby stowarzyszenia studentów, sceny niewiele większej od łóżka w królewskim rozmiarze i niewielkiego baru, gdzie można kupić piwo, wino i przekąski spełniające kryteria ekologiczności. Trudno mówić o specjalnej atmosferze, mimo to od piętnastu lat jest to jedno z najlepszych miejsc w Austin, jeżeli ktoś lubi małe zespoły albo występy solistów. A jak na Austin to nie byle co.

Wszedłem za Garrettem w tłum. Zmierzając w stronę baru i przeciwległej ściany, przejechał po tyłu stopach, po ilu tylko zdołał. Musiałem stać obok niego, przywierając plecami do kotar w kolorze czerwieni burgundzkiej i mając nadzieję, że okno się nie otworzy i nie wysypimy się wszyscy na

deszcz padający na Guadalupe Avenue. Stałem na jednej nodze, przyciskając mocno do piersi shiner bocka.

– Niezła zbieranina – zauważyłem, spoglądając na widownię.

– Widziałem ją w zeszłym miesiącu w Broken Spoke – powiedział. – Poczekaj chwilę.

Nie musiałem. Garrett próbował powiedzieć coś jeszcze, ale w tylnej części sali rozległy się oklaski i gwizdy. Zespół wyłonił się z zaplecza i zaczął się przeciskać przez tłum.

Pierwszy na scenę wkroczył pulchny mężczyzna z białą brodą ze zdjęcia na ścianie w gabinecie Mila. Willis, ojciec Mirandy. Wyglądał jak teksańska wersja Świętego Mikołaja – włosy i wąsy w kolorze mokrego betonu, radosna czerwona twarz, utuczone ciało wciśnięte w dżinsy marki Jordache i beżową koszulę bez kołnierzyka. Wkuśtykał na scenę, wspierając się na lasce, po czym zamienił ją na kontrabas.

Jako następny pojawił się Cam Compton z niespecjalnie uszczęśliwioną miną. Łypnął niechętnie na widownię, jakby żywił obawę, że ludzie zaczną się dopraszać autografów. Podłączając stratocastera, włożył sobie do ust niebieski plektron wraz z kilkoma kosmykami swoich kręconych włosów.

Za nimi weszła wystraszona kobieta o wyglądzie bibliotekarki, która najwyraźniej miała zastąpić Julie Kearnes na skrzypcach. Potem starszy, chudy jak patyk perkusista – czyli Ben French. Na koniec czterdziestoparoletni gość z gitarą akustyczną, w ciemnej koszuli w kratę, czarnych dżinsach i czarnym kowbojskim kapeluszu w nieco za małym rozmiarze jak na jego głowę – Brent, starszy brat Mirandy.

Sama Miranda jeszcze się nie pojawiła.

Ojczulek Święty Mikołaj oparł się na kontrabasie, poprawił słomkowy kapelusz i pomachał do jednej ze starszych par na widowni. Willis równie

dobrze mógłby stać na werandzie swojego domu, brzdąkając dla grupki znajomych, albo uczestniczyć w spontanicznym podśpiewywaniu w lokalnym klubie Łoś. Pozostali członkowie zespołu sprawiali wrażenie usztywnionych, podenerwowanych, zupełnie jakby na zapleczu ktoś trzymał pod pistoletem ich rodziny.

Po kilku minutach przeplatania kabli i brzdąkania wszyscy muzycy skierowali wyczekujące spojrzenie na brata Mirandy.

Brent podszedł niepewnie do mikrofonu i wymruczał: „Czołem”. Opuścił głowę, przez co jego twarz skryła się całkowicie pod rondem kapelusza. Bez ostrzeżenia zaczął brzdąkać na gitarze, jakby się obawiał, że mu ona dokądś ucieknie. Jego ojciec, basista, spojrzał niezrażony po pozostałych muzykach, uśmiechnął się i powiedział bezgłośnie: „I raz, i dwa, i trzy...”.

Reszta zespołu przyłączyła się i zaczęła brnąć z mazołem przez instrumentalną wersję *San Antonio Rose*. Skrzypaczka piłowała melodię w nijaki, choć dość kompetentny sposób.

Tłum klaskał do rytmu, ale bez specjalnego entuzjazmu. Wiele osób popatrywało w stronę tylnej części sali.

Żaden z muzyków nie bawił się szczególnie dobrze – z wyjątkiem Willisa Danielsa, który przytupywał sprawną stopą, szarpał bas i uśmiechał się do widowni, jakby słoń nadepnął mu na ucho i było to najwspanialsze przygrywanie, jakie kiedykolwiek słyszał.

Zespół zagrał kilka innych utworów – anemiczną polkę, swoją wersję *Faded Love*, w czasie której Camowi Comptonowi przypomniały się stare czasy i wykonał solówkę w stylu Led Zeppelin, a następnie *Waltz Across Texas* z partią wokalną Brenta Danielsa. Po drugiej zwrotce uznałem, że Brent śpiewa całkiem przyzwoicie. Wszyscy członkowie zespołu wydawali się zupełnie do rzeczy. Perkusja była odpowiednio miarowa. Bas całkiem

porządny. Cam lepiej sprawdziliby się w rock and rollu, ale niewątpliwie potrafił grać gamy. Nawet zastępcza skrzypaczka ani razu nie zafałszowała. Rzecz w tym, że nie sprawdzali się jako zespół. Nie tworzyli całości. A już na pewno nie byli warci pięciu dolarów za występ.

Widownia zaczęła się wiercić. Przemknęło mi przez myśl, czy nie zaszła jakaś pomyłka. Może wszyscy sądzą, że tego wieczoru ma wystąpić Jerry Jeff albo Jimmie Dale. To by wiele wyjaśniało.

W końcu z okolic baru dobiegło głośnie „iii-ha” i Miranda Daniels wyłoniła się z pomieszczenia na zapleczu w czarnym dżinsowym stroju, niosąc swoją maleńką gitarę marki Martin. Oklaski i gwizdy przybierały na sile, w miarę jak Miranda przeciskała się przez zgromadzony na widowni tłum.

Wyglądała dokładnie tak samo jak w materiałach prasowych – drobna, blada, z kręconymi czarnymi włosami. W żadnym wypadku nie mogła uchodzić za piękność, ale na żywo odznaczała się osobliwym, niepozbitym, sennym urokiem, którego nie potrafiły oddać zdjęcia.

Zespół przerwał raptownie walca po zakamarkach Teksasu, kiedy Miranda weszła na scenę. Po wejściu w światła reflektorów uśmiechnęła się niepewnie – wokół oczu dostrzegłem dosłownie cień zmarszczek jej ojca – poprawiła czarną koszulę i podłączyła martina.

Niewątpliwie roztaczała urok. Mężczyźni na widowni będą się w nią wpatrywać i myśleć, że perspektywa przytulenia się do Mirandy Daniels pod jakimś ciepłym kocem nie byłaby aż tak zupełnie niedorzeczna. A przynajmniej taka była moja bezstronna ocena sytuacji.

Ojczulek Mikołaj zaczął przyśpieszającą linię basu, przytupując jak szalony. Widownia zaczęła klaskać. Odezwała się rytmiczna gitara Brenta, z większym przekonaniem niż wcześniej, potem perkusja. Miranda nadal się

uśmiechała ze wzrokiem wbitym w scenę, ale zaczęła się delikatnie kołysać do rytmu. Podobnie jak ojciec przytupywała do taktu. Odgarnęła jedną ręką włosy za ucho, chwyciła mikrofon i zaśpiewała: „You’d better look out, honey...”.

Miała niesamowity głos. Czysty, seksowny i zniewalający, wyzbyty jakiegokolwiek niepewności. Ale nie tylko jej głos przygwoździł mnie do ściany na następnych trzydzieści minut. Miranda Daniels przemieniła się na scenie w inną osobę – pozbawioną nieśmiałości, pozbawioną niezdarności. Zapomniała, że stoi przed widownią, i wyśpiewała do mikrofonu wszystkie znane ludzkości uczucia. Złamała sobie serce, zakochała się, usidlała mężczyznę, aby w następnej piosence powiedzieć mu, że jest głupcem. Niemal przez cały czas śpiewała z zamkniętymi oczami. Teksty odznaczały się typową dla country poczciwością, ale w jej ustach przestawało to mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Na zakończenie tej części koncertu zespół zrobił sobie przerwę, aby Miranda mogła zaśpiewać solo kilka akustycznych piosenek – tylko ona i jej martin. Najpierw wykonała balladę *Señorita Billy’ego* o chłopcu z perspektywy jego meksykańskiej kochanki. Opowiedziała nam, co to znaczy kochać brutalnego mężczyznę, i sprawiła, że uwierzyliśmy, że widziała to wszystko na własne oczy. Następna piosenka była jeszcze smutniejsza: *Taniec wdowca*. Opowiadała o ostatnim tańcu pewnego mężczyzny i jego żony, wspominała również o jakimś chłopcu. Tekst nie precyzował, w jaki sposób kobieta umarła ani czy chłopiec również stracił życie, ale utwór miał równie mocny wydźwięk niezależnie od tego, w jaki sposób się go interpretowało.

Widownia zamarła. Pozostali członkowie zespołu mogliby spakować instrumenty i wyjść, ale wtedy już nikt nie zwróciłby na to uwagi. Większość

muzyków chyba zdawała sobie z tego sprawę.

Zerknąłem na Cama Comptona, który przysiadł obok Garretta na stołku użyczonym mu chętnie przez jakąś kobietę. W miarę jak przysłuchiwał się Mirandzie, rozbawiona pogarda, jaka wcześniej malowała się na jego twarzy, zamieniała się w coś jeszcze straszliwszego – coś między urazą a fizycznym pożądaniem. Na Mirandę spoglądał w taki sposób, w jaki wygłodniały wegetarianin gapi się na stek. Nie wiem, czy było to możliwe, ale lubiłem go w tej chwili jeszcze mniej.

Podczas przerwy muzycy wmieszali się w tłum. Miranda zniknęła na zapleczu. Próbowałem wymyślić, w jaki sposób mógłbym z nią porozmawiać, kiedy Cam Compton rozstrzygnął za mnie ten dylemat. Dokończył pewnie już czwarte piwo, które ktoś mu postawił, wstał, zachwiał się i powiedział do Garretta:

- Czas, żebym uciął sobie pogawędkę z tą dziewczyną.
- Chwileczkę – wtrąciłem.

Cam popchnął mnie na zasłonę. Zabrakło mi miejsca i czasu, żeby cokolwiek w tej sprawie zrobić.

Kiedy podniosłem się z podłogi, Garrett powiedział:

– Oj, oj, braciszku. Tylko spokojnie, dobrze? – Potem zobaczył moje spojrzenie i dodał: – Kurwa.

Cam zmierzał w stronę zaplecza krokiem człowieka z misją. Jakaś kobieta zagroziła mu drogę, żeby powiedzieć, jak wspaniale grał, ale on odepchnął ją na kogoś przy barze.

Podążałem za Camem w taki sposób, jakbym również był człowiekiem z misją. Zamierzałem spruć go na kwaśne jabłko.



Zaplecze Cactus Cafe trudno było nazwać wymarzonym miejscem dla osób, u których już główna sala wzbudzała klaustrofobiczne lęki. Po sufit piętrzyły się tam skrzynki z przekąskami spełniającymi kryteria ekologiczności i beczki z piwem, a tylna ściana była świadectwem nadprodukcji dokumentów, które całkowicie zawłaszczyły biurko menedżera klubu i dzięki pinezkom rozpełzły się po ścianach oraz po podłodze. W resztkach wolnego miejsca w kątach pomieszczenia stały futerały na instrumenty.

Miranda Daniels i blondynka, którą widziałem wcześniej na widowni, siadały właśnie przy stoliku do gry w karty, kiedy do pokoju wparował Cam Compton. Zaraz za nim pojawiłem się ja, a zaraz za mną menedżer klubu. Gdyby ktoś próbował wejść do środka za menedżerem, miałby prawdziwego pecha, ponieważ już teraz nie starczało miejsca, żeby zamknąć drzwi.

Wiele wydarzyło się w bardzo krótkim czasie. Miranda podniosła wzrok i spojrzała na nas zaskoczona. Druga kobieta przewróciła oczami i powiedziała: „Nie do wiary”, po czym zaczęła się podnosić, przygotowując gaz łzawiący przyczepiony do pęku kluczy.

Menedżer klepnął mnie mocno w ramię i powiedział:

– Przepraszam...

Cam podszedł do Mirandy, chwycił ją za nadgarstek i pociągnął w górę, zmuszając ją do powstania z krzesła. Uśmiechał się i mówił niemal spokojnym i fałszywie przyjaznym tonem, którym człowiek próbuje wywabić krnąbrnego psa spod werandy, żeby mu złoić skórę.

– Chodź, najdroższa – mówił. – Porozmawiajmy na zewnątrz.

Blondynka zaklęła, próbując wyplątać gaz łzawiący. „Ty skurwysynu...”, wymruczała kilkakrotnie. Miranda powtarzała tylko imię Cama, próbując zachować spokój. Starła się pozostać na tyle nisko, aby nie mógł jej do siebie przyciągnąć.

– Przepraszam! – powtórzył menedżer.

Przed drzwiami zgromadziło się kilka innych osób zainteresowanych tym, co dzieje się w środku – brat Mirandy, jej ojciec i paru widzów, którzy wyczuli okazję do bójki. Wszyscy pytali jeden przez drugiego, co, u diabła, się tam w środku dzieje, i napierali na menedżera, który z kolei napierał na mnie.

Miranda zerknęła nerwowo w moją stronę, nie mając pojęcia, kim jestem i czy przypadkiem również nie mam zamiaru jej napastować, po czym zaczęła z powrotem apelować do Cama, podważać palce zaciśnięte na jej nadgarstku, błagać go, aby przestał.

– Wyjdźmy na chwilę na zewnątrz, najdroższa – ciągnął Cam. – Po prostu wyjdźmy na zewnątrz.

Blondynka nadal nie potrafiła się uporać z gazem łzawiącym. Mogłem albo czekać, aż uda jej się go wydobyć, albo zrobić coś samemu. Zdecydowałem się na to drugie.

Chwyciłem Cama Comptona za jego kędzierzawe jasne włosy, odciągnąłem mocnym szarpnięciem od Mirandy, po czym wyrzuciłem jego głowę w beczkę z piwem.

Nie jestem pewien, czy ten miły dla ucha metaliczny pogłos wydała beczka, czy czaszka Cama, mogę tylko powiedzieć z całkowitą pewnością, że od tego momentu przestał się naprzykrzać Mirandzie. Jego nogi zgięły się do postawy modlitewnej, a twarz ponownie uderzyła w beczkę, zmierzając w

stronę podłogi. Zwinął się w pozycji embrionalnej na linoleum, mrużąc oczy i próbując w jakiś sposób zamknąć usta.

Jasnowłosa przyjaciółka Mirandy wlepiała we mnie wzrok. Udało jej się właśnie wyplątać gaz łzawiący z pęku kluczy. Wycelowwała go we mnie, spojrzała na leżącego na podłodze Cama, po czym uświadomiła sobie, że to nie mnie zamierzała spryskać.

– Kurwa! – powiedziała.

– Nie ma za co – odparłem.

Miranda przysiadła, a do pewnego stopnia upadła na krzesło. Chwyciła się za nadgarstek i zaczęła kołysać do przodu i do tyłu, zaciskając usta. Jej przyjaciółka położyła jej dłoń na ramieniu, ale Miranda się wzdrygnęła.

– Wszystko w porządku, wszystko w porządku.

Menedżer był zdecydowanie odmiennego zdania. Moja sztuczka z beczką wprowadziła go na chwilę w całkowite osłupienie, ale szybko doszedł do siebie, chwycił mnie za ramię i warknął: – Dość już tego!

Złapał słuchawkę telefonu wiszącego na ścianie. Stojący za jego plecami tata i brat Mirandy domagali się, aby w tej chwili wpuszczono ich do środka.

– Zaczekaj! – Głos Mirandy zabrzmiał zaskakująco donośnie.

Menedżer przerwał wykręcanie numeru. Krewni Mirandy przestali się wpychać do środka.

Miranda uniosła obie dłonie, jakby z ogromną niechęcią przygotowywała się do złapania piłki do kosza. Spojrzała na mnie, jej usta próbowały sformułować pytanie.

– Tres Navarre – podpowiedziałem. – Milo Chavez prosił, żebym tu dziś zajrzał. Zobaczyłem, że Cam zachowuje się w sposób odrobinę niezrównoważony, i...

Rozłożyłem ręce. Nie potrafiłem znaleźć eufemistycznego określenia na

wyrznięcie czyjaś głową w beczkę piwa.

– To mam wyrzucić tego gościa czy nie? – niecierpliwiał się menedżer.

– Oczywiście, że tak, do cholery! – ryknął ojciec Mirandy.

– Odo olely – zawtórował mu Cam.

Miranda i blondynka spojrzały na siebie. Miranda westchnęła z poirytowaniem, ale nakazała menedżerowi, żeby dał sobie spokój z dzwonieniem. Powiedziała ojcu i bratu, że wszystko jest w porządku, że prawdopodobnie nie jestem psychopatą i żeby byli tak mili i sobie poszli.

Ojciec Mirandy nie dał się tak łatwo przekonać. Córka musiała go kilkakrotnie zapewnić, że nic jej nie jest. Wyjaśniła mu, że przysłał mnie Milo Chavez. Staruszka nieszczęśliwie to uspokoiło. W końcu poczłapał z powrotem na salę, mruczając pod nosem przestrogi przed nieszczęściami, jakie sprowadzają na świat młodzi mężczyźni, którzy nie potrafią się porządnie ubrać i noszą plecaki.

Kiedy widownia się rozeszła, blondynka spojrzała na Cama Comptona, który nadal leżał na podłodze zwinięty w kłębek. Spojrzała na mnie i na jej twarzy zaczął powoli wykwitać uśmiech.

– A więc przysłał cię Milo?

– Najwyższej klasy usługi za rozsądną cenę.

– Niech mnie kule biją. Chavez w końcu zrobił coś do rzeczy. Postawić ci piwo?

Miranda spojrzała na blondynkę, jakby ta postradała zmysły.

– Zamorduję cię – wymamrotał Cam.

– Zaraz wracam – przeprosiłem obie panie.

Chwyciłem Cama za nadgarstki i wywlokłem na zewnątrz.

– Coś wspaniałego – skomentowała blondynka.

Kilka osób spojrzało na Cama, kiedy przeciągałem go obok baru w

kierunku drzwi wejściowych. Niektórzy się roześmiali. Ktoś powiedział: „Olé, Cam”.

Garrett zbliżył się i wyjechał za mną z lokalu.

– Cudownie. Rozumiem, że również to miejsce mogę skreślić z listy lokali, w których bywam. Powinieneś częściej mnie odwiedzać, braciszku. Chryste!

Kiedy znaleźliśmy się w holu domu studenckiego, złożyłem Cama bokiem na składanym stoliku. Mamrotał pod nosem jakieś mało przekonujące groźby i próbował wypluć z ust kosmyki własnych włosów.

– Wprost cudownie – warknął Garrett w drodze powrotnej. – Jimmy Buffett ma wystąpić za dwa tygodnie w Manor Downs. Cam zna keyboardzistę. Rozumiem, że mogę zapomnieć o wejściu za scenę.

Poprosiłem menedżera, żeby podał mojemu bratu shiner bocka.

– Pierdolić piwo – stwierdził Garrett. – Macie jakieś LSD?

Kiedy wróciłem na zaplecze, Miranda i blondynka piły świeżo otwarte lone stary i rozmawiały.

Na mój widok przerwały w pół zdania.

– Hej, skarbie – powiedziała blondynka. Podała mi butelkę z piwem i podsunęła krzesło. – Przypomnij mi, jak się nazywasz.

Powtórzyłem swoje imię i nazwisko.

– Jestem Allison Saint-Pierre. Pewnie się domyśliłeś, że to jest Miranda.

Allison Saint-Pierre. Żona Lesa. Zrobiłem wszystko, aby ukryć zaskoczenie.

Uścisnąłem niekontuzjowaną dłoń Mirandy. Uścisk był miękkiej, ciepły, ale pozbawiony jakiegokolwiek stanowczości.

– Jestem wielkim fanem... od dzisiejszego wieczoru.

Miranda posłała mi wystudiowany uśmiech.

– Pierwsza część poszła kiepsko.

– Wyjątkowo – stwierdziła Allison.

Dobrze się uzupełniały – Miranda ciemnowłosa, zdystansowana, drobna; Allison opalona i wysoka, z prostymi jasnymi włosami i uśmiechem, który nie zdradzał najmniejszych zahamowań. Biały obcisły top bez ramiączek i dżinsy uwypuklały znakomitą, niemal zbyt kształtną figurę Allison. Na sali gimnastycznej w szkole średniej sprowokowałyby serię gwizdów. Stariałem się myśleć o niej jako o pani Saint-Pierre. Nie do końca skutecznie.

– Masz imię z Chaucera – zauważyłem.

Allison upiła łyk piwa, spoglądając na mnie znad butelki. Miała zielone oczy.

– Jesteś pierwszy – stwierdziła. – Większość facetów zaczyna od Elvisa Costello.

Miranda uśmiechnęła się słabo, jakby przypomniawszy sobie tego rodzaju rozmowy ze wszystkich barów, do których kiedykolwiek zajrzała. Wyglądało również na to, że jest przyzwyczajona, że poza sceną to Allison przyciąga uwagę mężczyzn. Rozsiadła się na krześle i z wyrazem ulgi spuściła wzrok na butelkę z piwem.

– *Opowieść młynarza* – powiedziałem. – Allison zasłynęła tym, że namówiła pewnego gościa, żeby pocałował ją w dupę.

Oczy Allison pojaśniały, kiedy się roześmiała.

– W rzeczy samej! Już cię lubię.

– Jest pan profesorem anglistyki, panie Navarre? – zapytała Miranda, nie podnosząc wzroku. – Milo nazwał pana... jak to było?

– Dość inteligentnym łamignatem – podpowiedziała Allison. Mrugnęła do mnie.

– Bardzo mi miło – odparłem. – Gdzie jest Milo?

Allison się skrzywiła. Miała już podać mi jakąś mało korzystną dla Mila

hipotezę, ale ubiegła ją Miranda.

– Powiedział, że postara się przyjechać później. Ma jakiś kryzys w biurze.

Allison spojrzała na mnie zamyślonym wzrokiem, prawdopodobnie zastanawiając się, co może mi zdradzić.

– Pewnie słyszałeś o tych wszystkich przyjemnostkach, z jakimi ma ostatnio do czynienia: o niecelnych strzałach, skradzionych kasetach demo, sporadycznych morderstwach skrzypaczek.

– Nie wspominając o twoim zaginionym mężu.

Chciałem zobaczyć ich reakcję. Chciałem ocenić, czy Allison wie, że ja wiem, i czy Miranda została wprowadzona w sytuację. Wyglądało na to, że Milo zaczął się dzielić informacjami. Miranda sprawiała wrażenie zbolalej, ale nie była zaskoczona. Allison tylko się uśmiechnęła.

– Wróci, wróci – przekonywała bardziej Mirandę niż mnie. – Znam buca na tyle dobrze, że nie mam najmniejszych wątpliwości. Wróci, kiedy tylko skończy się faszerować pigułkami i bzykać z debiutantkami.

Próbowała na luzie okazać pogardę dla zachowań męża, ale niespecjalnie jej to wyszło.

Zapadła niezręczna cisza. Wypiłem łyk piwa. Miranda przyciskała kolejne palce do niebieskiej torebki z chłodzącym żelem, którą owinęła nadgarstek. Allison nie wytrzymała napięcia.

Nagle się roześmiała. Nachyliła się ku mnie nad stołem, włosy ułożyły jej się nad prawym ramieniem w aksamitną kurtynę. Przednia krawędź przesuwiała się po stole, aż zahaczyła o krąg wilgoci w miejscu, gdzie stało piwo.

– Zresztą walić Lesa. To ja odkryłam Mirandę. Wiedziałeś o tym, Tres?

Miranda zaczęła protestować.

– Przykro mi, kochana, ale nieczęsto się zdarza, żeby to mnie przypadły

laury za coś takiego. Muszę się pochwalić.

Chwyciła Mirandę za ramię. Miał to być przyjacielski gest, ale biorąc pod uwagę wyraz przygnębienia malujący się na twarzy Mirandy, wyglądało to raczej tak, jakby Miranda była małą dziewczynką, którą Allison zamierza wyprowadzić z supermarketu.

– Tilden Sheckly zrobił w swoim życiu jedną porządną rzecz – oświadczyła Allison. – Zeszłej wiosny pozwolił Mirandzie wystąpić na konferencji South by Southwest. Tak się złożyło, że miałam okazję ją tam usłyszeć. Spędziłyśmy potem dużo czasu na pogaduszkach, lepiej się poznałyśmy. Opowiedziałam potem o niej Lesowi. Tak to się wszystko zaczęło.

– Milo opowiedział mi coś innego – zauważyłem.

Allison przewróciła oczami.

– Dlaczego mnie to nie dziwi? Jeżeli zamierzasz strzec Mirandy, powinieneś najpierw zainteresować się wszystkimi ludźmi, którzy chcą wykroić z niej kawałek dla siebie. Ona sama nie skopie nikomu tyłka.

– Błagam cię... – Miranda skurczyła się jeszcze bardziej na metalowym składanym krześle. Zaczęła podnosić serwetkę, na której stawiała butelkę z piwem, zupełnie jakby chciała się pod nią ukryć.

– Mówię serio – powiedziała Allison. – Miranda powinna przepędzać na cztery wiatry wszystkich, którzy traktują ją w nieodpowiedni sposób. Tildena Sheckly’ego, Mila Chaveza, Cama Comptona...

– Nawet twojego męża? – zapytałem.

– Zwłaszcza jego. Skoro zostałeś jej ochroniarzem, mógłbyś mi pomóc przemówić jej do rozumu.

– Nie jestem jej ochroniarzem. – Spojrzałem na Mirandę.

– Nic takiego się nie... – zaczęła.

– Nie bądź taka pewna – przerwała jej Allison.

Zapytałem, co miała na myśli.

Allison posłała mi spojrzenie z gatunku „bądźmy ze sobą szczerzy”. Miała już rozwinąć wcześniejszą myśl, kiedy zauważyła, chyba po raz pierwszy, że piosenkarka dosłownie kuli się na krześle.

Allison postukała paznokciem w gwint butelki z piwem.

– Pogadamy przy następnej okazji. Miranda ma zaśpiewać drugą część koncertu. Nie ma sensu przywoływać...

Przerwała, najwyraźniej wyobrażając sobie jakieś wizualnie nieprzyjemne zdarzenie, po czym pokręciła głową.

– Dajmy sobie z tym spokój. Po prostu mam nadzieję, że będziemy cię częściej widywać, Tres. Przydałoby się rąbnąć jeszcze kilkoma innymi głowami w beczki z piwem.

Otworzyły się drzwi. Brat Mirandy wstawił jedną nogę do pokoju.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Brent Daniels sprawiał wrażenie, że postawiono mu więcej niż jednego drinka od czasu mojej sprzeczki z Camem. Jego kręcone włosy były w nieładzie. Kraciasta koszula wyłaziła ze spodni. Wzrok miał mocno zamglony, a twarz poczerwieniałą do tego stopnia, że niechlujny dwudniowy zarost wyróżniał się na jej tle niczym prawdziwa broda.

Spojrzał na mnie groźnie niczym opiekuńczy, choć niezbyt bystry pies. Odpowiedziałem uśmiechem.

– Wszystko w porządku, Brent. – Głos Mirandy zabrzmiał niespodziewanie twardo. Chłodno.

Brent zerknął na Allison, szukając potwierdzenia, następnie skinął z ociąganiem głową, jakby nadal nie wierzył w ich zapewnienia.

– Wchodzimy za jakieś dziesięć minut. Zagram partie Cama.

Zamknął drzwi.

– Mój starszy brat – wyjaśniła Miranda. Spojrzała w zamyśleniu na serwetkę od piwa, po czym podniosła wzrok na mnie. Próbowała wykrzesać z siebie uśmiech. – Za chwilę zaczynam drugą część.

– Chętnie bym z tobą porozmawiał. Teraz nie jest może odpowiednia...

– W piątek wieczorem u Danielsów będzie przyjęcie – podpowiedziała Allison. – Miranda na pewno nie miałaby nic przeciwko...

Allison spojrzała na przyjaciółkę, aby ta dokończyła zaproszenie. Miranda skinęła bez przekonania głową, po czym spojrzała mi prosto w oczy i zaproponowała inne rozwiązanie.

– Jutro rano mamy sesję nagraniową. Silo Studios na Red River. Mógłbyś tam zajrzeć, jeśli nadal będziesz w Austin.

Z jej głosu wynikało, że zależy jej na takim rozwiązaniu. Allison nie sprawiała wrażenia szczególnie uradowanej. Może właśnie dlatego się zgodziłem.

– O której?

– O szóstej – powiedziała Miranda przeproszającym tonem.

– Rano?

Skinęła głową, wzdychając.

– Nagrywamy w nietypowych godzinach. Musimy się dostosować do tego, co nam proponują.

– Co Milo wam proponuje – poprawiła ją Allison. – Na przykład trzy godziny snu i występy co wieczór w innym mieście. Ja też bardzo chętnie zamieniłabym z tobą kilka słów, Tres. Mam nadzieję, że uda ci się przyjść na przyjęcie.

Obiecałem, że spróbuję, po czym wstałem.

Zmierzając w stronę drzwi, odwróciłem się.

– A tak na marginesie, podobała mi się ta piosenka. *Señorita Billy’ego*.
Sama ją napisałaś?

Miranda spojrzała na mnie niepewnie. Skinęła głową.

– Podobał mi się wers o różach w kolorze siniaków. Sam nigdy bym tego nie wymyślił.

Jej twarz nabrała rumieńców.

– Dobrej nocy, panie Navarre. Powiem Milowi, że nas pan odwiedził.

Tym razem Allison nie odezwała się ani słowem.

Kiedy rozpoczynała się druga część koncertu, wyprowadzałem wózek Garretta przez drzwi, zapewniając go, że nie wydarzyło się nic złego i że Cam nie odniósł trwałych obrażeń, ponieważ uderzyłem go tylko w głowę. Na scenie perkusista gładził miotełkami talerze i tylko przy tym akompaniamencie Miranda śpiewała wolną piosenkę – jej głos był niski, zmysłowy i potężny, utwór opowiadał o utraconej miłości. Zaledwie raz otworzyła te swoje wielkie, brązowe oczy i byłem pewien, że popatrzyła prosto na mnie.

Zaraz potem zauważyłem Allison Saint-Pierre obserwującą mnie z miejsca przy barze. Uśmiechała się szyderczo, jakby wiedziała dokładnie, o czym myślę. Jakby wiedziała, że każdy facet w klubie myśli dokładnie to samo.



Odwożenie Garretta do jego mieszkania przypominało podróż przez inny świat. W czasie koncertu nad miastem przeszła burza i temperatura spadła gwałtownie do dwudziestu paru stopni. Ulice były lśniące i mokre, a powietrze czyste. To powinno wystarczyć, aby wprowadzić każdego w dobry nastrój – no może z wyjątkiem papugi.

Matoł wyzywał mnie od takich i owakich, wymachując skrzydłami oraz informując, co myśli o fakcie, że siedział uwięziony w moim volkswagenie przez większą część wieczoru.

– Jeszcze pięć minut cierpliwości – zapewniłem go. – I trafisz do swojego nowego domu.

– Hałaśliwy drań – zaskrzeczał.

Jechałem za furgonetką Garretta przez Dwudziestą Szóstą w stronę Lamar. Było około jedenastej wieczorem, mimo to sporo ludzi popijało wino przy metalowym kominku w Les Amis, rozmawiało przed Stop 'N' Go, paliło na parkingu Tuli. Wszyscy korzystali z chłodniejszego powietrza. Co jakiś czas ktoś rozpoznawał Carmen Mirandę i machał do Garretta. Ten trąbił na melodię *Coconut Telegraph*. Sterta plastikowych owoców przyklejonych do dachu wpadała w wibracje za każdym razem, kiedy zmieniał bieg. Mój brat – lokalny celebryta.

Budynek przy Dwudziestej Czwartej Ulicy, w którym mieści się mieszkanie Garretta, miał w sobie urok taniego motelu. Trzy rzędy po pięć skrzynek pocztowych z drewna sekwojowego. Wszystkie drzwi wejściowe

skierowane na południe i pomalowane na szarzielono. Aby dojść do mieszkania Garretta, trzeba było pokonać trzy piętra metalowych schodów i przebyć betonowy balkon. Windy nie było. Garrett wybrał oczywiście ostatnie piętro, aby pozwać właściciela za nieudostępnienie dojścia do mieszkania. Kiedy wspominał o tym po raz ostatni, sprawa podobno zmierzała w obiecującym kierunku. Zarządca nieruchomości go uwielbiał.

Garrett zatrzymał Carmen Mirandę między harleyem a zepsutą pralką. Ja zaparkowałem przed akademikiem po drugiej stronie ulicy.

– Czy ja naprawdę zasługuję na coś takiego? – zaczął narzekać Garrett, przesiadając się z furgonetki na wózek. – Wracam do domu przed północą. Dzięki za cudowny wieczór. – Zobaczył papugę i jego twarz zdecydowanie pojaśniała. – Jasny gwint! – wykrzyknął.

– Matoł – powiedziała papuga i przeleciała z mojego ramienia na oparcie wózka Garretta.

Miłość od pierwszego wejrzenia.

– Skąd ją, u licha, wytrzasnąłeś? – Garrett gładził ptaka po dziobie. Papuga wpatrywała się w brodę Garretta, jakby się zastanawiała, czy nie mogłaby sobie w niej uwić wygodnego gniazdka. Wyjaśniłem Garrettowi, że Matoł jest sierotą. Nie wspomniałem, że poprzednia właścicielka zginęła gwałtowną śmiercią. Jako że fani Jimmy’ego Buffetta określają się mianem „papuzich głów”, miałem poczucie, że Matoł i Garrett są sobie przeznaczeni. Albo przynajmniej że trafiła ich strzała Kupidyna.

– Zgadzasz się? – zapytałem.

Ptak skrzeczał Garrettowi do ucha jakieś urocze sprośności. Garrett wyszczerzył zęby i zaprosił mnie do siebie na piwo.

Tres Navarre, mistrz etykiety. Kiedy człowiek walnie kilka osób w głowę, powinien przygotować jakiś przemyślany prezent przeprosinowy.

Weszliśmy po schodach; Garrett pokonał je za pomocą rąk, wciągając za sobą wózek. Kiedy otworzył drzwi mieszkania, niemal zwałił mnie z nóg zapach paczuli. Nawet papuga pokręciła głową.

– Weź sobie shinera – powiedział Garrett. – Ja coś puszczę.

Mieszkanie mojego brata jest jednym długim korytarzem – zlokalizowany przy wejściu salon jest oddzielony od pozostałych pomieszczeń barem, a na tyłach znajduje się maleńka sypialnia. Jedynym powodem, dla którego człowiek nie dostaje w środku klaustrofobii, jest sufit wznoszący się od kuchni ku frontowi budynku pod kątem czterdziestu pięciu stopni. W dachu znajdują się świetliki.

Ruszyłem w stronę lodówki, a Garrett podjechał do ściany sprzętu elektronicznego, która pełniła podwójną funkcję komputera i centrum rozrywki. Kiedy włączył główny przycisk zasilania, przygasły światła w północnej części Austin. Wybrał płytę CD.

– Kto wygrywa? – zapytałem, póki słyszałem jeszcze własny głos.

Z mieszkania poniżej dobiegała muzyka. Grała Metallica. „Grała” to pewnie nieodpowiedni czasownik w odniesieniu do Metalliki. Może lepiej byłoby: zgrzytała. Tłoczyła.

Garrett westchnął.

– Dranie kupili sobie w zeszłym tygodniu nowe głośniki. Zrobiło się kiepsko. No ale mam takiego jednego znajomego... robił kiedyś system sensurround dla Dolby. Pamiętasz efekty trzęsienia ziemi instalowane przez kina w latach siedemdziesiątych? Sprzedał mi go po okazyjnej cenie.

– Świetnie – powiedziałem. – Trzęsienia ziemi. Po dziesięciu latach spędzonych w Kalifornii musiałem przyjechać do Austin, żeby przeżyć trzęsienie ziemi.

Rozejrzałem się po kuchni za czymś, do czego mógłbym się przypiąć.

Kiedy Garrett zwiększył głośność, regały z książkami na ścianie zaczęły się trząść, wypływając z siebie egzemplarze *The Electric Kool-Aid Acid Test* i *The Anarchist's Cookbook*. Zadygotały wiszące na ścianie plakaty Armadillo World Headquarters. Papuga zaczęła kręcić piruety.

Gdy na moment zapadła cisza i płyny ustrojowe mogły normalnie krążyć w moim mózgu, rozpoznałem piosenkę. Była to *Bodhisattva* zespołu Steely Dan. Nie tyle jej słuchaliśmy, ile doświadczaliśmy jej w alfabecie Braille'a.

Udało mi się jakimś cudem otworzyć piwo i upić łyk. Tymczasem budynek trzął się w posadach. Piosenka się skończyła, zapadła cisza, jeśli nie liczyć odgłosów wydawanych przez papugę, która wciąż próbowała wyrąbać sobie drogę ucieczki przez świetlik z pleksiglasu. Sprzęt grający w domu sąsiadów ucichł.

Garrett wyszczerzył zęby jak szaleniec.

– Mamy ich.

– Czy ktokolwiek... – przerwałem, żeby zmienić głośność, z jaką wypowiadałem słowa. – Czy ktokolwiek wzywa policję?

– Kogo? Freda?

Policjant Fred. Byli na ty.

– To chyba wyjaśnia moje wątpliwości.

Garrett machnął lekceważąco ręką.

– Jeżeli ktoś dzwoni do Freda, to jakby dopuszczał się oszustwa. Czasami ktoś nowy wprowadza się do sąsiedniego mieszkania i przez chwilę próbuje coś zrobić. Nigdy nie trwa to długo. No to gdzie ten dysk twardy, z którego mam coś wycisnąć?

Podąłem mu dysk zabrany z mieszkania Julie Kearnes.

Garrett podjechał do swojego komputera. Wystukał coś na klawiaturze. Ekran rozświetlił się na pomarańczowo, potem ożył przy dźwiękach

krótkiego riffu mandolinowego. Garrett zaczął pogwizdywać Steely Dan i łączyć kable SCSI, które wyjmował z szuflady z zapasowymi częściami.

Usiadłem obok niego w podniszczonym czarnym fotelu, który w przeszłości należał do ojca. Po dwunastu latach skóra nadal zachowała delikatną woń kubańskich cygar i rozlanego bourbona. Lewy podłokietnik był wydłubany w miejscu, gdzie w wieku siedmiu lat za pomocą scyzoryka drążyłem okopy dla mojej armii plastikowych żołnierzyków. Wygodnie się w nim siedziało.

– Cholera! – zaklął Garrett.

– Co?

Zaczął coś mówić, potem spojrzał na mnie, prawdopodobnie uświadamiając sobie, jak wiele wysiłku wymagałoby od niego przetłumaczenie tej myśli z języka informatyki na zwykły angielski.

– Nic.

Popijałem piwo, przysłuchując się, jak Garrett majstruje przy dysku. W końcu udało mu się go podłączyć do komputera za pomocą skleconej naprędce kolekcji kolorowego spaghetti. Wstukał kilka komend na klawiaturze.

– No, w porządku – oświadczył. – Daj mi chwilę.

Podpiął się do jednego z procesorów – Garrett ma ich osiem, tak na wypadek gdyby przyszło mu kiedyś do głowy urządzić przyjęcie. Ekran pociemniał, zaraz potem pojawiła się na nim szara strona WWW. Zamigotały lampki routera ISDN. Garrett wklepał kilka kolejnych komend.

– Nad czym teraz pracujesz? – zapytałem.

– RNI kieruje banda drani – poskarżył się.

Ilekroć Garrett opowiada o tej firmie, zaczyna od tego stwierdzenia, mimo że pracuje tam od tak dawna i zgromadził taką ilość udziałów, że sam jest

jednym z drani kierujących RNI.

– Kazali mi zapuścić GUI na programie zarządzającym kontami. Dzięki mnie to badziewie wygląda na zupełnie udany program, nie licząc tego, że wywała się podczas łączenia danych z różnych pól.

– No dobra, za to ci płacą – stwierdziłem. – Ale nad czym naprawdę pracujesz?

Garrett uśmiechnął się, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Przyniesź tequilę z kuchni, to ci pokażę. Bez tequili się nie obędzie.

Nie mam zwyczaju sprzeciwiać się bezpośrednim rozkazom. Przyniosłem z kuchni butelkę i nalałem nam obu po kolejce. Mamy z bratem identyczne podejście do tequili – powinna być marki Herradura Añejo, podawana solo, bez cytryny czy soli, najlepiej w dużych ilościach.

Papuga przysiadła na krawędzi stołka barowego i spojrzała z zazdrością na szklaneczki, przekrzywiając głowę.

– Przykro mi, ale nic z tego – powiedziałem do niej.

Kiedy usiadłem z powrotem w fotelu, Garrett miał już przygotowany do prezentacji inny program.

– No dobra – zaczął. – Powiedzmy, że masz jakieś dane, które są zbyt poufne, aby można je było przechowywać w komputerze. Co robisz?

Wzruszyłem ramionami.

– Ukrywam je gdzieś zapisane na dysku. Zabezpieczam go jakimś programem uniemożliwiającym odczytanie zawartości i jej skasowanie.

– No tak, ale ktoś może znaleźć dysk, a jeśli będzie się znał na rzeczy, włamie się do niego za pomocą schematu logicznego napędu. Albo generatora haseł. Taki dysk można również zniszczyć.

– A zatem...

– A zatem trzeba go zbumerangować. – Otworzył plik o nazwie

Garrett.jpg. – Oto moje poufne dane. Nie chciałbym, aby ktokolwiek mógł je obejrzeć. Dlatego też nie trzymam ich u siebie. Umieszczam je w sieci. Uploaduję drania, szyfruję go tak, żeby był niewidoczny i wyglądał niewinnie, a następnie programuję go w taki sposób, że przenosi się w losowo wybrane miejsca, z serwera na serwer, dzięki czemu nigdy nie przebywa w jednym miejscu dłużej niż pięć minut. Skacze po sieci, nienamierzalny, dopóki nie wyślę po niego specjalnego kodu odczytującego. Dopiero wtedy wraca do mnie.

Kliknął w zdjęcie, które na naszych oczach zniknęło w sieci, usuwając się jednocześnie z twardego dysku. Następnie Garrett wstukał serię cyfr. Dwie minuty później plik zmaterializował się z powrotem na jego komputerze.

– Widziałeś? Drań był w Norwegii. Zanim ktokolwiek by go tam zauważył, poleciałby dokądś indziej.

Zdjęcie się otworzyło. Przedstawiało Garretta siedzącego w jakimś barze z kobietą na kolanach. Miała na sobie dzinsy, kask motocyklowy i koszulkę z logo Harleya-Davidsona, którą podciągnęła, odsłaniając wyjątkowo obfite piersi. Garrett wznosił do obiektywu toast butelką budweisera.

– Zdjęcia rodzinne – powiedziałem.

– Motocyklówy – stwierdził z czułością w głosie. – One przynajmniej rozumieją, że są pewne rzeczy, które potrafi im zapewnić tylko mężczyzna bez nóg.

Starąłem się stłumić wyobraźnię. Pomogła mi w tym nowa kolejka tequili.

W narożniku komputera zamrugała czerwona lampka.

– Kaszana – stwierdził Garrett.

Podłączył się z powrotem do procesora, który przetrząsał zawartość twardego dysku Julie Kearnes z wytrwałością hiszpańskiej inkwizycji. Na ekranie pojawił się dokument tekstowy, generalnie w nienaruszonej postaci.

Tylko kilka bezsensownych znaków potwierdzało, że odbył podróż przez cyfrowy kosz.

– Nazwiska i numery ubezpieczenia społecznego – obwieścił Garrett. Przewinął dokument do końca. – Siedem stron. Daty zatrudnienia. Daty... zgonu. Co to ma być? Daty zgonu? Wygląda na to, że chodzi o kilka różnych przedsiębiorstw, dużych firm z Austin. Mówi ci to coś?

– Archiwa działów kadr, listy ludzi, którzy zmarli, kiedy byli zatrudnieni, oraz tych, którzy przeszli na emeryturę, a potem zmarli i należało zakończyć wypłacanie im świadczeń. Wygląda na to, że rejestr sięga dziesięć lat wstecz i zawiera nazwiska z niemal wszystkich firm, w których Julie Kearnes wykonywała dorywczą pracę. Ukradła te informacje.

Garrett machnął lekceważąco ręką.

– Amatorszczyzna. Każdy mógłby coś takiego skopiować. Żadna firma nie podchodzi poważnie do zabezpieczania danych byłych pracowników. Po co zatem zawracać sobie tym głowę? I po co usuwać plik?

Zacząłem się nad tym zastanawiać. Nieprzyjemna myśl zaczęła się formować w mojej głowie gdzieś pod miłym szumem herradury.

– Możesz mi to wydrukować?

Garrett uśmiechnął się szeroko.

Dwie minuty później siedziałem z powrotem w wygodnym fotelu z następną kolejką tequili i siedmioma stronami nazwisk zmarłych pracowników z najróżniejszych firm z Austin.

Garrett wyłączył komputer, poklepał klawiaturę, zupełnie jakby to była głowa ukochanego pieska, po czym odepchnął się od biurka. Zaczął czegoś szukać w worku przy wózku, w końcu wyciągnął torebkę marihuany. Wyjął pięciodolarowy banknot i zaczął sobie przygotowywać skręta.

– No to opowiadaj. O co chodzi z tymi plikami? Skąd to nagle

zainteresowanie muzyką country?

Zrelacjonowałem mu wszystko, co przydarzyło mi się w poprzednich dwóch dniach.

W rozmowach z Garrettem nie muszę się przejmować zasadami poufności. Nie chodzi nawet o to, że jest niesamowicie honorowy w kwestii dotrzymywania tajemnic. Rzecz w tym, że Garrett zapomina to, co mu opowiadam, zanim miałyby okazję z kimś się tym podzielić. Jeżeli sprawa nie dotyczy programowania, Jimmy'ego Buffetta albo narkotyków, Garrett nigdy nie kłopotczy się zapisywaniem informacji na swoim twardym dysku.

Kiedy skończyłem, Garrett powoli pokręcił głową. Wydmuchnął dym w stronę papugi. Ona nachyliła się w jego stronę.

Garrett podrapał się pod brodą, używając wszystkich dziesięciu palców.

– Widzę cię siedzącego w tym fotelu, popijającego tequilę i opowiadającego o swoich sprawach. Brakuje ci tylko cygara i dodatkowych pięćdziesięciu kilogramów.

– Nawet nie zaczynaj, Garrett. Wcale nie zamieniam się w ojca.

Wzruszył ramionami.

– Skoro tak uważasz. Cały czas bawisz się w detektywa, krążysz po dawnym terytorium naszego szeryfa, współpracujesz z jego przyjaciółmi z policji... Staruszek nie żyje, braciszku. Koniec sprawy. Możesz zdjąć pelerynę Supermana.

Próbowałem wzbudzić w sobie jakąś dozę irytacji, ale tequila i fotel utrudniały mi to zadanie. Wbiłem wzrok w czubki półbutów.

– Sądziś, że chcę uchodzić za dzieciaka Jacksona Navarre, ilekroć pracuję nad jakąś sprawą? Że mi to zawsze ułatwia robotę?

Garrett sztachnął się jointem.

– Może właśnie to ci się tak podoba. Nie musisz dorosnąć i zostać kimś

innym.

– Mój brat, specjalista od dorastania.

Wyszczерzył zęby.

– No wiem...

Rozsiadłem się jeszcze wygodniej w fotelu.

Garrett zauważył, że jego joint robi się coraz krótszy, i sięgnął za plecy po leżącą na popielniczce klamerkę do skrętów. Kikut jego lewej nogi wyrżał na moment z dżinsowych szortów. Był gładki, chudy i różowy – jak niemowlę. Nie dostrzegłem żadnych śladów blizn, które powinny zostać po tym, jak Garrett stracił na szynach jedną trzecią nóg.

– Pamiętasz Wielkiego Billa? – zapytał.

Była to jego ulubiona strategia. W razie wątpliwości przywołać jakieś wstydlive zdarzenie z dzieciństwa Tresa.

– Jezu, nie pamiętam. Może mi o tym opowiesz?

Garrett się roześmiał.

Wielki Bill był dereszem, którego tata trzymał na ranchu w Sabinal. Najjurniejszy i najwredniejszy ogier, jaki się kiedykolwiek urodził. Chodzi mi oczywiście o konia, nie o ojca.

Kiedy byłem dzieckiem, szeryf uparł się, że mam się nauczyć jeździć na Wielkim Billu – rzekomo miałbym sobie później poradzić z każdym innym koniem. Ilekroć go dosiadałem, Wielki Bill kierował się specjalnie w stronę nisko wiszących gałęzi i próbował strącić mnie ze swojego grzbietu. Przy trzeciej przejażdżce mu się to udało, ale ja podczas upadku tak mocno chwyciłem wodze, że nie potrafiłem ich wypuścić nawet po wylądowaniu na ziemi. Moje dłonie zaciskały się na skórzanych paskach, tymczasem Wielki Bill przegalopował dobre ćwierć mili, ciągnąc mnie przez wszystkie kępy kaktusów, jakie tylko zdołał wypatrzeć. Kiedy wróciłem do domu z

osiemdziesięcioma akrami chaszczu przyczepionymi do ubrań i włosów, ojciec ocenił, że przejażdżka miała „nieco zbyt szalony przebieg”.

– Miesiąc temu znalazłem na ranczu jego siodło – powiedział Garrett. – Kazałem je wypolerować. Jak chcesz je obejrzeć, wisi w sypialni.

– Nie wątpię, że motocyklowy je uwielbiają.

Garrett starał się zrobić skromną minę.

– Tak naprawdę skłoniło mnie ono do rozmyślań o moim braciszku. Nadal mam ten obraz przed oczami: dziewięcioletniego chłopca ciągniętego za galopującym koniem.

– Okej. Rozumiem.

– Ile masz teraz lat? Dwadzieścia osiem?

– Dwadzieścia dziewięć. A co za różnica?

Garrett się roześmiał.

– Przepraszam, że się nad tobą nie użalam. Po prostu w moim odczuciu wciąż masz czas, żeby spróbować czegoś nowego. Może zdołałbyś ułożyć sobie życie w taki sposób, żeby nie strzelano do ciebie tak często, żeby twoje dziewczyny się na ciebie nie obrażały, a starszy brat nie był wyrzucany z barów podczas twoich wizyt.

– Jestem dobry w tym, co robię, Garrett.

– Czy twój szef też uważa, że jesteś dobry w tym, co robisz?

Zawahałem się.

– No tak – powiedział Garrett. – Jak już wspomniałem, nigdy nie potrafiłeś odpuścić w odpowiednim momencie.

– Twierdzisz, że powinienem bardziej przypominać ciebie: wskakiwać pod wagon towarowy za każdym razem, kiedy sprawy w domu zaczynają przybierać zły obrót?

Zachowałem się podle, mówiąc coś takiego, ale Garrett nie zareagował.

Dalej palił skręta i wpatrywał się w jakiś punkt nad moją głową.

Chwilę potem u sąsiada na dole zabrzmiał ponownie metal. Zabrzęczała opróżniona do połowy butelka z tequilą stojąca na wojskowej skrzyni ojca, której Garrett używał w charakterze stolika.

Garrett spojrział na podłogę z podszytą znużeniem rezygnacją, po czym wyciągnął rękę po kolejną płytę CD.

– Mam nadzieję, że potrafisz spać przy muzyce – powiedział.



– Pan Navarro, prawda?

Tata Mirandy ścisnął moją dłoń między swoimi rękami i większą częścią reszty ciała. Była to godna podziwu sztuczka, biorąc pod uwagę, że musiał włożyć swoją laskę pod łokieć, nachylić się do przodu na zdrowej nodze, a jednocześnie utrzymać na tyle równowagi, aby się nie wywrócić.

– Navarre – poprawiłem go. – Ale proszę mi mówić Tres.

Willis Daniels nieprzerwanie potrząsał moją dłońią. Jego twarz była żywoczerwona i tak rozpromieniona, jakby właśnie ukończył triathlon i rozkoszował się każdą minutą zawodów.

– No jasne. Navarre. Przepraszam.

– Nic się nie stało – odparłem. – San Antonio. Navarro. Historyczny związek. Ludzie w kółko się mylą.

Staliśmy w drzwiach Silo Studios na Red River obok Siódmej Ulicy. Studio mieściło się w parterowym, odnowionym magazynie z oknami w metalowych ramach i ścianami pokrytymi brązowym tynkiem o fakturze wymłóconej pszenicy. Główne wejście znajdowało się na tyłach budynku, gdzie był również parking.

Staliśmy dosłownie w drzwiach: ja wchodziłem do środka, Daniels wychodził. Gość z wózkiem wypełnionym sprzętem elektrycznym czekający pół metra za Danielsem miał po prostu zwykłego pecha. Daniels w ogóle nie zwracał na niego uwagi.

Staruszek zmrużył oczy i nachylił twarz w moją stronę niczym

kaznodzieja, który zamierza przekazać ważne słowa pociechy przy wyjściu z kościoła. Pachniał wilgotną skórą i szamponem Pert.

– Przepraszam za wczorajszy wieczór – powiedział. – Sytuacja była trudna, kiedy Cam stracił nad sobą kontrolę. Żałuję, że niewłaściwie oceniłem pańskie zamiary.

– Naprawdę nie ma sprawy.

– Cam oczywiście wyleciał z zespołu.

Skinąłem uprzejmie głową.

Gość z wózkiem głośno chrząknął. Daniels wpatrywał się we mnie z rozpromienioną twarzą.

W grubej, czerwonej koszuli flanelowej, czarnych dżinsach i z kręconymi siwymi włosami – tym razem bez słomkowego kapelusza – Daniels jeszcze bardziej niż poprzedniego wieczoru przypominał Świętego Mikołaja. Był bardzo dziarski jak na gościa po sześćdziesiątce, który grywał koncerty do drugiej w nocy.

– Wiesz, że wyglądasz trochę na Latynosa? – stwierdził. – Pewnie dlatego myślałem, że nazywasz się Navarro. To przez te ciemne włosy. I śniadą cerę. Chyba się nie obrazisz, że mówię coś takiego?

Pokręciłem głową. Śniady. Może trzeba było zatrzymać papugę. I sprawić sobie drewnianą nogę.

– Słyszałem, że być może przyjdiesz do nas na przyjęcie jutro wieczorem – ciągnął. – Mam wielką nadzieję, że się pojawisz.

– Postaram się.

– Znakomicie.

Obaj skinęliśmy głowami, uśmiechając się do siebie.

Wskazałem na parking, w którego stronę zmierzał.

– Nie pomaga pan dziś przy nagraniu?

Sprawiał wrażenie zaskoczony, potem zachichotał, wyrzucając z siebie całą serię „nie”.

– Tylko podwiozłem Mirandę. Taki staruszek jak ja nie nadążałby z takim tempem pracy.

Pożegnał się kolejnym długim uściskiem dłoni i uśmiechem, po czym w końcu zauważył gościa z wózkiem. Daniels z przesadną uprzejmością ustąpił mu miejsca.

Patrzyłem, jak odjeżdża małym, czerwonym fordem sedanem. Gość z wózkiem zniknął za rogiem budynku.

Przykucnąłem i obejrzałem betonowe schody. Nic. Omiotłem wzrokiem mur po obu stronach drzwi. Dziura po kuli miała postać szarego wyżłobienia w brązowym tynku. Znajdowała się mniej więcej na wysokości metra dwudziestu centymetrów wewnątrz otworu drzwiowego. Mój palec wskazujący wszedł do środka na głębokość pierwszego stawu. Krawędź otworu była postrzępiona od zabiegów policji przy wydobywaniu kulki, mimo to mogłem z grubsza określić kierunek, z którego nadleciał pocisk. Spojrzałem na południe, zadzierając lekko głowę. Wielokondygnacyjny parking. Prawdopodobnie drugie piętro. Prawdopodobnie kaliber .22 – idiotyzm przy tak dużej odległości. Prędzej można nastraszyć, niż zabić, chyba że komuś by się poszczęściło. Policja pewnie przetrząsnęła parking w poszukiwaniu łusek.

Mimo wszystko...

Zrobiłem pięciominutowy wypad do sąsiedniego budynku. Odbyłem sympatyczną rozmowę z parkingowym na temat dni wywożenia śmieci, następnie udałem się na drugie piętro i od razu znalazłem to, czego szukałem – tuż obok windy. Włożyłem zdobycz do plecaka i wróciłem do Silo.

Hol studia mieścił się na zaadaptowanej platformie załadunkowej. W głębi

znajdowały się drzwi z napisem: „NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY”, a obok nich w kącie stał rachityczny fikus, który najwyraźniej spełniał funkcję popielniczki.

Obok fikusa, oparty o ścianę, stał Anglosas w koszulce bez rękawów marki Hole i szortach marki Op. Czytał „Nashville Today”, a jego głowa podskakiwała, jakby słuchał walkmana.

– W czym mogę pomóc? – zapytał.

– Złote płyty.

Podniósł tylko wzrok, jego twarz pozostała pochylona nad gazetą.

– Co?

– Na ścianach powinny wisieć złote płyty.

Podrapał się po nosie, potem skinął lekko głową w stronę drzwi z napisem: „NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY”, jedyne wyjście z holu poza drzwiami wejściowymi.

– Do studia tamtędy.

– Dzięki. Mógłbym się zgubić.

Wypełniwszy najwyraźniej swoje obowiązki jako strażnik budynku, wrócił do lektury i słuchania niewidzialnego walkmana.

Wszedłem w długi korytarz, po którego obu stronach znajdowało się kilkoro drzwi obitych tanią boazerią. Na każdym widniała identyczna tabliczka: „NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY”. Ktoś musiał dostać je na wyprzedazy.

Na końcu korytarza wisiała czarna kotara tak gruba, że równie dobrze mogłaby zostać uszyta z kamizelek kuloodpornych. Prześlizgnąłem się obok niej do dużego okrągłego pomieszczenia. Usłyszałem śpiewającą Mirandę, choć w pierwszej chwili nie potrafiłem jej nigdzie dostrzec.

W studiu śmierdziało spalonym styropianem. Posklejane taśmą kable

biegły po podłodze, po suficie między fluorescencyjnymi lampami, po ścianach, które na oko zbudowano z kartonów po jajkach.

Tu i ówdzie rozstawiono szare przenośne ścianki działowe, bufiaste i pękate, przez co przypominały raczej wielkie poduszki niż ścianki.

Pośrodku trójkątnej przestrzeni wydzielonej za ich pomocą stała Miranda Daniels. Na uszach miała wielkie czarne słuchawki, przez które jej głowa wydawała się dwukrotnie większa. W stronę jej twarzy zwrócony był wielki mikrofon pojemnościowy, a drugi ku jej gitarze. Patrząc na wszystkie kable i przewody, na ludzi przyglądających się jej zza oddzielonej szybą reżyserki, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że jestem świadkiem jakiegoś rodzaju egzekucji.

Okrzyżłem pomieszczenie i wszedłem do reżyserki, gdzie Milo Chavez i kilku facetów stało przy konsolecie, która podejrzanie przypominała transporter ze *Star Treka*.

Miranda była właśnie w połowie piosenki – jednego z szybszych kawałków, który słyszałem poprzedniego wieczoru. Z dwóch wiszących na ścianie głośników wielkości pudełka po butach wydobywał się krystalicznie czysty dźwięk, ale wydawał się jakby słaby. Akustyka studia wysysała wszelką nadmiarowość z jej głosu, przez co zanikał on zaraz po opuszczeniu ust.

Milo zerknął na mnie, wymruczał powitanie, po czym wrócił do wpatrywania się w Mirandę przez szybę z pleksiglasu.

Jeden z inżynierów stał pochylony tak nisko nad konsolą, że w pierwszej chwili uznałem, że musiał przysnąć. Głowę miał przechyloną na bok, ucho trzymał w odległości paru centymetrów od suwaków, zupełnie jakby chciał usłyszeć, jaki odgłos wydają, kiedy nimi porusza. Drugi nie odrywał wzroku od ekranu komputera. A dokładniej nie odrywał od niego palca, stukając nim

w migoczące kolorowe słupki, zupełnie jakby chciał jakoś w ten sposób wpłynąć na ich wartość. Po tłustych plamach na monitorze było widać, że robił tak stale. Trzeci mężczyzna trzymał się w pewnej odległości od konsoli. Z jego zachowania i poleceń, które wydawał inżynierom, wywnioskowałem, że jest nowym producentem, który zastąpił Johna Creeę. Z wyglądu przypominał raczej wicedyrektora szkoły – niebieska poliestrowa koszula, spodnie z podwójnie tkanej dzianiny, białe skarpetki i eleganckie buty. Włosy miał siwe, ale odrobinę za długie – konserwatywny styl z lat siedemdziesiątych. Muskularne, włochate ręce skrzyżował na piersi, a na jego twarzy malował się grymas takiego niezadowolenia, że z miejsca chciałem go przeprosić za spóźnienie na lekcję. Do kieszonki koszuli miał przypiętą małą amerykańską flagę.

– Przykro mi, że nie dotarłem do klubu wczoraj wieczorem – mruknął Milo. – Słyszałem, że zaprzyjaźniłeś się z Camem Comptonem.

– Gdzieś w San Antonio – powiedziałem – musi znajdować się duży sklep, na którym umieszczono tabliczkę upamiętniającą twoją osobę.

Milo zmarszczył brwi i spojrzał na swój strój – kiczowatą koszulę ze sztucznego jedwabiu, czarne spodnie, brunatne mokasyny, przy których moje wyglądały jak para ubogich kuzynów ze wsi. Ozdobny złoty łańcuch, który miał na szyi, przygniótłby pomniejszą istotę ludzką do ziemi.

– Jeżeli człowiek musi już zamawiać wszystkie ubrania u krawca – odparł – ma okazję przynajmniej zadbać o ich estetykę. Nie każdy może włożyć na siebie brudne dżinsy i podkoszulek, Navarre.

Sprawdziłem, czy na moim T-shircie z logo wyścigu Triple Rock nie widać jakichś plam.

– Mam takie dwa. Jakiż to kryzys rozwiązywałeś wczoraj wieczorem?

Miranda nadal śpiewała. Otwierała co jakiś czas oczy, zerkając nerwowo w

stronę reżyserki, jakby doskonale wiedziała, jak brzmi jej głos. Wyglądało, jakby wkładała w śpiewanie całe serce – brała głębokie wdechy przeponą, napinała twarz z wysiłku, wyrzucając z siebie słowa, tyle że z głośników w reżyserce nie wydobywała się energia, którą słyszać było na koncercie poprzedniego wieczora. Pierwszy inżynier przechylił głowę jeszcze bardziej na bok.

– Mówiłem wam, że mikrofony są źle ustawione – powiedział. – Wy i te wasze cholerne V87.

Wicedyrektor chrząknął. Drugi inżynier trochę intensywniej postukał w ekran.

Milo wskazał kciukiem na lewo. Odeszliśmy kilka kroków w stronę drzwi, wystarczająco, aby pozostali goście nie mogli nas usłyszeć.

– Powiedz mi, że postanowiłeś nas poratować – powiedział z nadzieją w głosie.

– Co się z tobą działo wczoraj wieczorem?

Podrapał się po kąciuku ust, znalazł tam jakąś niewidzialną cząsteczkę, która mu przeszkadzała, rozwałkował ją między palcami i wypstryknął.

– Miałem wprost cudowny dzień. Podzwoniłem do różnych osób, wyjaśniłem delikatnie, że być może wcale nie jestem pewien, gdzie się podziewa Les. Kilku większych klientów odeszło. Gliny były poruszone. Mniej więcej na tyle, na ile mogłem się spodziewać. Nie wątpię, że kiedy tylko się wyziewają, błyskawicznie rozpoczną akcję poszukiwawczą – mówił Milo, posyłając mi co chwilę gniewne spojrzenia.

– Szczerłość to cnota równorzędna z czystością – pocieszyłem go.

– Potem zadzwonił nasz księgowy. Jest kiepsko.

– Jak kiepsko?

Dwóch inżynierów kłóciło się o izolujące właściwości szerokich

mikrofonów kondensujących.

– Czy ona musi śpiewać z gitarą? – rozpaczał ten przy monitorze.

Wicedyrektor wzruszył ramionami, nie odrywając wzroku od wyimaginowanego kąta, do którego mógłby posłać za karę uczniów.

– Panienska twierdzi, że z gitarą czuje się pewniej.

– A brzmi, jakby czuła się pewnie? – mruknął drugi inżynier.

Milo patrzył przed siebie.

– Wychodzi na to, że Les nie informował mnie o wszystkim. Niektóre wpływy z tytułu prowizji nie szły na główne konto. Kilka dni temu jeden z wystawionych przez nas czeków za wypożyczenie sprzętu został odrzucony przez bank. Mamy na głowie kilku wierzycieli, o których nic nie wiedziałem.

– Jest bardzo źle?

– Dostatecznie. Koszty prowadzenia agencji wynoszą piętnaście tysięcy dolarów na miesiąc. I chodzi tylko o podstawowe wydatki: telefony, transport, wynajem biura, wydatki na promocję.

– Jak długo jesteś w stanie pociągnąć?

Milo roześmiał się gorzko.

– Wierzycieli mogę przez jakiś czas spławiać. Nie wiem, jak długo. Na szczęście to klienci nam płacą, a nie my im. Dlatego niekoniecznie od razu zorientują się w sytuacji. Tak czy inaczej, gdyby uwzględnić wszystkie okoliczności, agencja powinna się była zwinąć na początku miesiąca. Les złożył wtedy polecenia zapłaty naszych rachunków, a pod żadnym pozorem nie powinien był tego robić.

– Mniej więcej wtedy, kiedy zniknął.

Milo pokręcił głową.

– Naprawdę musiałeś to w ten sposób ujmować?

Miranda przebrnęła przez kolejną zwrotkę.

– Słuchajcie – tłumaczył jeden z inżynierów – to Roland VS880, okej? Problemem nie jest przechwytywanie. Nie potrzebowalibyśmy żadnego cyfrowego opóźnienia, gdyby, do cholery, śpiewała w odpowiedni sposób. Dziewczyna jest zimna jak ryba.

– Po prostu spróbuj – nalegał wicedyrektor. – Wpuść jej trochę do odsłuchu, zobaczymy, czy ją to rozkręci.

Zdałem Milowi relację z dwóch ostatnich dni.

Wpatrywał się we mnie uważnie. Kiedy skończyłem, wyglądało to tak, jakby policzył w myślach do dziesięciu, po czym spojrział ponownie na szybę z pleksiglasu i westchnął.

– Ani trochę mi się to nie podoba.

– Mówiłeś, że Les żartował o ucieczce do Meksyku. Jeżeli jego plan dorwania Sheckly’ego był niebezpieczny, jeżeli coś poszło nie tak...

– Nawet nie zaczynaj.

– Wyprowadzanie funduszy z agencji, wyciąganie danych nieboszczyków z akt osobowych. Na co ci to wygląda, panie Prawniku z Berkeley?

Milo przycisnął dłonie do skroni.

– Niemożliwe. To nie... Les by tego nie zrobił. Ucieczka nie jest w jego stylu.

Ton jego głosu ostrzegał mnie, żebym nie drążył tematu. Nie próbowałem tego robić.

Spojrzałem w stronę Mirandy, która kończyła właśnie ostatni refren.

– Jak się to odbije na niej?

Milo stał z zamkniętymi oczami.

– Wciąż może nam się udać. Opłaciliśmy Silo do przyszłego tygodnia. Century Records będzie wymagało konkretnego potwierdzenia wyników pracy, ale zaczeka do czasu, kiedy dostarczymy taśmę. Jeżeli uda nam się

przygotować na czas porządne nagranie, jeżeli pozbędziemy się Sheckly'ego...

Miranda skończyła piosenkę. Jej głos zamarł dokładnie w chwili, gdy zamknęła usta. Nikt nie odezwał się ani słowem.

W końcu jeden z inżynierów stwierdził bez przekonania:

– Robimy kolejne podejście? Moglibyśmy puścić jej tylko podstawowe ścieżki. Zmienić ustawienie przegród.

Miranda patrzyła w naszą stronę. Wicedyrektor pokręcił głową.

– Robimy przerwę.

Nachylił się nad konsolą i nacisnął guzik.

– Miranda, złociutka, zrób sobie kilka minut przerwy.

Ramiona Mirandy lekko opadły. Skinęła głową, po czym ruszyła powoli z gitarą w stronę wyjścia.

Milo patrzył, jak znika za czarną kotarą.

– Chciałeś z nią porozmawiać – przypomniał mi.

– Tak.

– To idź, pierwsze drzwi po lewej. Ja musiałbym tryskać przy niej optymizmem. W tej chwili nie potrafię.

Odwrócił się i skupił uwagę na konsoli, jakby się zastanawiał, ile wysiłku wymagałoby podniesienie jej z podłogi i ciśnięcie przez szybę z pleksiglasu.



Miranda leżała na łóżku polowym z ugiętymi nogami, zasłaniając ramionami twarz. Wyrzała zza nich, kiedy zastukałem w otwarte drzwi, i natychmiast ponownie zasłoniła oczy.

Wszedłem i położyłem plecak na małym okrągłym stoliku obok łóżka. Wyjąłem ze środka torebkę ciastek z Texas French Bread i pistolet marki Montgomery Ward kalibru .22. Miranda otworzyła oczy, kiedy broń zadźwięczała na blacie.

– Uznałem, że przyda ci się jakieś śniadanie – wyjaśniłem.

Zmarszczyła brwi. Kiedy się odezwała, trochę mocniej przeciągała samogłoski.

– Croissanty stawily opór, panie Navarre?

Uśmiechnąłem się.

– Nieźle. Nie byłem pewien, czy masz poczucie humoru.

Rozprostowała ręce i wyciągnęła je za głowę. Miała na sobie obcięty biały T-shirt z napisem: „COUNTY LINE BBQ”. Na brzuchu, w miejscu gdzie przylegała do niego gitara, przez materiał przebijała owalna plama potu. Skóra po wewnętrznej stronie jej ramion była tak biała, że kilkudniowe włosy pod pachami wyglądały jak kropki wykonane markerem.

– Po kilku ostatnich porankach spędzonych w studiu nie mogłabym się obejść bez poczucia humoru – stwierdziła.

– W studiu trudno uzyskać odpowiednie brzmienie. Inżynierowie wspominali coś o ustawieniu mikrofonów.

Miranda rozprostowała nogi. Spojrzała na swoje stopy, potem strąciła z

nich dużymi palcami żelowe sandały.

– To nie wina mikrofonów. Ale przecież nie o tym przyszedłeś ze mną porozmawiać, prawda? Powinam zapytać, dlaczego przyniosłeś pistolet.

Podąłem jej czekoladowego rogalika. Zastanawiała się przez chwilę nad propozycją, po czym zsunęła nogi na podłogę i usiadła. Potrząsnęła głową, a jej czarne włosy rozplątały się, układając się wokół ramion. Zwilżyła językiem usta. Zignorowała zupełnie croissanta z czekoladą i sięgnęła od razu po jedyną sztukę z szynką i serem. Cholera. Kobieta wie, co dobre.

Trąciła palcem dwudziestkędwójkę. Prawdziwa dziewczyna ze wsi. Nie odczuwała lęku na widok broni.

– No to słucham pana.

– To pistolet, z którego ktoś strzelał do Johna Crei. Znalazłem go w śmietniku na drugim piętrze parkingu, który znajduje się tuż obok.

Miranda odgryzła koniec rogalika.

– Ktoś go tam tak po prostu zostawił? A policja nie...

– Nie wolno lekceważyć głupoty sprawców – powiedziałem. – Policjanci wiedzą, że sprawcy są głupi, ale i tak czasami ich lekceważą. Potrafią przegapić możliwości, których nikt rozsądny by nie próbował, jak posłużenie się pistoletem marki Montgomery Ward kalibru .22 do strzału na odległość stu metrów i wrzucenie broni do śmietnika w drodze do windy. Policja sądzi, że strzelec posłużył się karabinem, że zabrał go ze sobą i pozbył się w innym miejscu. Tak postąpiłaby osoba mądra. Większość ludzi, którym zbrodnia uchodzi na sucho, wcale nie wykazuje się specjalną mądrością. Postępują w dostatecznie idiotyczny sposób, żeby zbić policję z tropu.

– A więc... oddasz ten pistolet policji?

– Prawdopodobnie. Prędzej czy później.

– Prędzej czy później. Po tym, co przydarzyło się biednej Julie Kearnes,

którą zastrzelono tego samego dnia...

Pokręciła głową.

– Biedna Julie została zastrzelona przez zawodowca. Ktokolwiek zostawił pistolet w koszu na śmieci, był zwykłym amatorem. Mimo podobieństwa obu zdarzeń i związku łączącego ofiary sprawcami były dwie różne osoby. Właśnie tego nie rozumiem.

– Gdybym mogła jakoś pomóc...

– Myślę, że możesz. Znasz Sheckly'ego lepiej niż ja.

Jej twarz spoważniała.

– Nie znam go aż tak dobrze. I od razu uprzedzam: on nie ma z tym nic wspólnego.

– Ktoś próbuje ci utrudnić życie, od kiedy zaczęłaś zabiegać o kontrakt w Century Records. Masz jakieś podejrzenia?

Odgryzła kawałek mojego croissanta z szynką i serem. Skinęła głową, przeżuując. Przełknęła i powiedziała:

– Chciałbyś, żebym przyznała, że Tilden Sheckly jest trudny w kontaktach. Tak, jest trudny. I bywa wybuchowy.

– Ale...

Pokręciła głową.

– Ale Sheck nie zrobiłby żadnej z tych rzeczy. Zna Willisa, do diaska, zna wszystkie rodziny mieszkające w hrabstwie Avalon od miliona lat. Wiem, co mówią ludzie, ale Sheck zawsze zachowywał się wobec mnie po dżentelmeńsku.

Spojrzała na mnie z lekką niepewnością, jakby się obawiała, że mogę zaprzeczyć, że będę się domagał dowodów.

– Jeżeli jest takim wspaniałym gościem – powiedziałem – dlaczego podpisałaś kontrakt z Lesem Saint-Pierre'em?

Miranda zacisnęła usta, jakby właśnie nałożyła na nie szminkę.

– Słyszałeś o kobiecie, która występowała w Paintbrush kilka wieczorów temu? O Tammy Vaughn?

– Widziałem jej występ.

Miranda uniosła brwi. Najwyraźniej nie zrobiłem na niej wrażenia miłośnika muzyki country. Miała za to u mnie plusa.

– Rok temu – zaczęła wyjaśniać – Tammy Vaughn była tam, gdzie ja teraz. Grała w małych klubach w południowym Teksasie, w Austin. Głównie na jakichś potańcówkach. Potem znalazła dobrego agenta i podpisała kontrakt z Century Records. Wiedziałeś, że są jedyną dużą wytwórnią z siedzibą w Teksasie? Zaczęli przyglądać się uważniej lokalnym artystom, wybierać najlepszych i wysyłać ich do Nashville. Teraz Tammy dostaje piętnaście tysięcy za wieczór. Wystąpiła przed koncertem LeAnne Rimes w Houston. Ma dom w Nashville i drugi w Dallas.

– A Sheckly nie mógłby ci tego zapewnić.

– Od kiedy pamiętam, tata z największym trudem spłacał kredyt hipoteczny zaciągnięty pod swoje ranczo. W ciągu dnia pracuje jako budowlaniec, a wieczorami występuje na scenie, mimo to nigdy nie będzie w stanie przejść na emeryturę. Nie wspominając już o Brencie. Myśl, że mogłabym im pomóc...

– Chcesz mi powiedzieć, że zrobiłaś to wyłącznie w nadziei na większe pieniądze?

Zastanawiała się chwilę, w końcu postanowiła chyba odpowiedzieć szczerze.

– Nie. Masz rację. Podpisałam kontrakt z Lesem przez to, w jaki sposób rozmawiał ze mną podczas naszego pierwszego spotkania. Jest w nim coś takiego, że człowiek po prostu nie potrafi mu odmówić. A zresztą Sheck czy

nie Sheck... czasami trzeba dokonywać wyborów, mając na względzie swoją karierę. Nie zawsze wszyscy będą zadowoleni.

– Allison – powiedziałem.

Miranda zmarszczyła brwi.

– Słucham?

– To słowa Allison Saint-Pierre, prawda?

Miranda wyglądała na zakłopotaną. Odłożyła niedojedzonego rogalika i wytarła palce. Wpatrywała się w dwudziestkędwójkę.

– A Cam Compton? – zapytałem.

Miranda oderwała wzrok od pistoletu. Powoli zmusiła się do uśmiechu.

– Czy ma coś do mnie? Nie. Cam... Wiem, że będzie ci trudno w to uwierzyć po wczorajszym wieczorze, ale Cam jest w zasadzie nieszkodliwy. Znasz to powiedzenie, że pies zawsze przypomina swojego pana?

– Aha.

– Cam jest zwyczajnie pudelkową wersją Tildena Sheckly'ego. Okropnie się stara sprawiać wrażenie podłego niegodziwca, który w każdej chwili może uruchomić drzemiące w nim pokłady brutalności, ale tak naprawdę na nic by się nie odważył, gdyby Sheck go na kogoś nie poszczuł. A nawet wtedy nie starczyłoby mu rozumu, żeby wykonać polecenie w odpowiedni sposób.

– Ty naprawdę tak uważasz. Nawet po wczorajszym wieczorze.

– No wiem, wiem. Cam sprawił sobie mały sklep muzyczny w San Antonio. Kupił go jakieś dziesięć lat temu, kiedy jego piosenka stała się wielkim przebojem gdzieś w Europie. Cam wróci do tego zajęcia, wróci do występów w Paintbrush. Za dwa tygodnie nie będzie już w ogóle pamiętał o Mirandzie Daniels. Mój ewentualny sukces i tak nie przyniósłby mu żadnych korzyści. – Zadowolona, jakby udało jej się ponownie przekonać samą siebie,

Miranda wyciągnęła się znowu na łóżku i zaczęła wpatrywać się w sufit. – Wiedziałeś, że Jimmie Rodgers zagrał swoją ostatnią sesję nagraniową na dwa dni przed śmiercią? Gruźlica tak mocno zajęła mu płuca, że między piosenkami musiał kłaść się w studiu na łóżku polowym, dokładnie takim jak to. Ciągle o tym myślę.

– Powinienem schować przed tobą pistolet?

Uśmiechnęła się sympatycznie.

– Nie. Chodzi mi o to, że te ostatnie sesje nagraniowe Jimmiego Rodgersa brzmiały niesamowicie dobrze. To przygnębiające.

– Sama nie radzisz sobie najgorzej.

Chyba jej nie pocieszyłem.

– Rodzina wspiera cię w karierze? – zapytałem. – Na przykład mama?

Przestudiowała dokładnie siedem czy osiem płytek sufitowych.

– Mama nie żyje. Zmarła dawno temu. Milo ci tego nie powiedział?

Pokręciłem głową.

– Przykro mi.

– Pewnie nie miał powodu, żeby o tym wspominać. Sama nie rozmyślałam o tym zbyt wiele. – Poruszała jeszcze przez chwilę ustami, jakby nie mogła zatrzymać ich w równym odstępnie od siebie. – Ale nie o to przecież pytałeś. Tak, tata naprawdę mnie wspiera. To niesamowite, że nadal jest w takiej świetnej formie. Możesz mówić, co chcesz, o Tildenie Shecklym, ale to Sheck zachęcił ojca, żeby wytrwał przy mnie, kiedy zakładaliśmy zespół, żeby grał wszystkie koncerty, kiedy tylko będzie mógł. Od tego czasu tata jest dla mnie największym wsparciem. W razie czego mamy innego basistę, który go zastępuje, kiedy gramy większe koncerty, ale ojciec to prawdziwy wół roboczy. Gdyby nie muzyka, której dzięki niemu słuchałam w dzieciństwie, wszystkie nagrania Ernesta Tubba i Boba Willsa, i gdyby nie

moja matka śpiewająca w kuchni...

Zatopiła się we wspomnieniach. Ja skupiłem się na rogaliku i pozwoliłem przez chwilę jej myślom podążać w tym kierunku, w którym najwyraźniej zapragnęły podążać.

– A Brent?

Wzrok Mirandy zrobił się ostrzejszy i chłodniejszy.

– Też mnie wspiera.

– Nie wydawałaś się z niego zadowolona wczoraj wieczorem.

– Masz rodzeństwo?

– Brata i siostrę. Oboje starsi.

– I zawsze ci się z nimi dobrze układa?

– Masz rację.

Uśmiechnęła się gorzko.

– Sprawiasz wrażenie miłego gościa. Pytałeś wczoraj wieczorem o *Señoritę Billy’ego*. To chyba jedyna piosenka, którą napisałam sama. Autorem pozostałych jest Brent, wiedziałeś o tym?

Przyznałem, że nie wiedziałem. Staralem się nie sprawiać wrażenia zbyt zaskoczonego.

– To zabawne, jak inaczej brzmią w studiu – powiedziała w końcu. – Ace mówił mi...

– Ace?

Cofnęła się w myślach do początku kwestii, po czym się uśmiechnęła.

– John Crea. Mój dawny... mój były producent. Lubił, jak się na niego mówiło „Ace”. Pasowało to do jego kurtki lotniczej i tak dalej.

– Nie wątpię.

– Tak czy inaczej, Ace mówił, że niektórzy piosenkarze muszą w jakiś sposób odtworzyć to coś, co sprawia, że tak znakomicie brzmią na scenie,

aby wypaść równie dobrze w czasie sesji nagraniowej. Narkotyki, rozwrzeszczana widownia, cokolwiek to jest. Niektórzy muszą odwrócić się tyłem do reżyserki albo śpiewać w ciemności. Ace opowiadał mi o jednym rockandrollowcu, który tuż przed występem w studiu wisiał do góry nogami, żeby krew zaczęła mu mocniej krążyć w żyłach. Mówię serio. Ace obiecywał, że zapewni mi wszystko, co tylko będzie potrzebne, żeby piosenki brzmiały w odpowiedni sposób.

– A wiesz, czego byś potrzebowała?

Widziałem, że szuka odpowiednich słów; jej twarz nieruchomiała w miarę wchodzenia na wyższe poziomy powagi, które nie wydawały się dla niej naturalne. W końcu spojrzała na mnie i zrezygnowała z wypowiedzenia słów, które zamierzała wypowiedzieć. Jej twarz ponownie się rozjaśniła, pojawił się na niej uśmiech.

– Nie, po prostu wyobrażam sobie, że wiszę do góry nogami w ciemności z butelką whisky, śpiewając: „Billy rode out last night...”. – Roześmiała się. – Nie pomaga mi to w uzyskaniu lepszego brzmienia, ale na pewno pozwala zapomnieć o niektórych smutkach.

W głębi korytarza, po stronie studia, rozległ się dzwonek. Miranda wydeła policzki i wypuściła głośno powietrze.

– To mój pan, wzywa mnie do siebie. Może zostaniesz...? Popatrzysz, jak się mozolę z kilkoma kolejnymi nieudanymi podejściami.

Pokręciłem głową.

– Powinienem odwiedzić kilka innych osób w mieście, zanim wrócę do San Antonio. Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

Spojrzała mi w oczy. Próbowwała podtrzymać wesoły uśmiech, ale okazało się to dla niej zbyt dużym wysiłkiem.

– A jak brzmiało to pytanie, panie Navarre?

– Kto sprawia ci tyle kłopotów, skoro nie jest to Sheckly ani Cam? Znasz kogoś, komu mogłoby zależeć, aby ta wielka szansa przeszła ci koło nosa?

Spuściła wzrok. Trzymała dłonie na krawędzi łóżka, jej ramiona wygięły się w literę U. Była na tyle niska, że mogła zwiesić nogi z krawędzi i szurać stopami po podłodze.

– Nie chciałam podważać zaproszenia na nasze przyjęcie, które wystosowała Allison – powiedziała. – Będzie pan jutro mile widziany.

– Dzięki.

– Allison była przez kilka ostatnich miesięcy moją najlepszą przyjaciółką. Była dla mnie naprawdę wspaniała.

– Nadal nie odpowiedziałś na moje pytanie.

Kiedy wstała, znaleźliśmy się tak blisko siebie, że moglibyśmy zatańczyć wolnego. Dostrzegłem w jej brązowych tęczówkach zielone plamki, których nie zauważyłbym w innych okolicznościach. Zaczęła mówić tak cicho, że ledwie ją słyszałem.

– Co zabawne, Allison Saint-Pierre jest chyba jedyną osobą, która śmiertelnie mnie przeraża. Zapytałeś, więc odpowiadam. Czy to nie straszne powiedzieć coś takiego o przyjaciółce?

Milo Chavez zapukał w drzwi.

– A... tu jest nasza mistrzyni.

Wyminął mnie i objął Mirandę swoim wielkim ramieniem. Miranda uśmiechnęła się do Chaveza. Jej głowa spoczęła na jego piersi. Pokazywała, jak bardzo jest znużona.

– Dość koszmarnie to idzie, Milo.

– Nie – zaprotestował. Odnalazł w sobie optymizm. Jego twarz rozpromieniła się w najwspanialszym uśmiechu, jaki kiedykolwiek u niego widziałem. O mały włos przekonałby również mnie. Byłem niemal gotowy

uwierzyć, że nasza niedawna rozmowa o jego zaginionym szefie i zaginionych funduszach tylko mi się przyśniła.

– Cierpliwości, Mirando. Daj sobie jeszcze tydzień, a zobaczysz. Będziesz zdumiona rezultatami. Posłuchasz swojego śpiewu na ukończonej taśmie i pomyślisz: „Kim jest ta gwiazda, której słucham?”.

Miranda próbowała się uśmiechnąć.

Kiedy szli razem korytarzem, Milo rozcierał jej ramiona niczym trener bokserski i powtarzał, że znakomicie sobie radzi. Miranda spojrzała na mnie raz przez ramię, po czym skupiła się na studiu. Ponownie zabrzmiał dzwonek, przywołując ich do środka.

19



Zadzwoiłem do mojej researcherki z budki telefonicznej w centrum handlowym Whole Foods Market na North Lamar. Telefon odebrała jedna ze współlokatorek Kelly Arguello, chyba Georgia. Była lekko zdyszana, jakbym zadzwonił w trakcie jej porannego aerobiku. Kiedy poprosiłem o Kelly, odpowiedziała: – Nie jestem pewna, czy jest w domu. A kto mówi?

Podąłem swoje nazwisko.

– Och... – Jej głos podskoczył o pół oktawy. – Kelly jest w domu.

Zaczekaj.

Słuchawka w coś trzasnęła.

Usłyszałem śmiech Kelly, na długo zanim podniosła słuchawkę. Mówiła Georgii, żeby ta się zamknęła.

Klik.

– Tres?

– Kelly. Jak tam uczelnia?

Z głębi jej gardła wydobyło się niemieckie „ch”.

– Połowa semestru. Prawo handlowe. Chciałbyś coś jeszcze wiedzieć?

– Muszę odszukać zaginionego gościa, potrzebuję na niego jakichś dokumentów. Jeżeli jesteś zbyt zajęta...

– Czy ja coś takiego powiedziałam? Jesteś w mieście?

Zawahałem się.

– Tak.

– To wpadnij. Chyba został mi jeszcze w lodówce shiner bock.

Wpatrywałem się w dach piętrowego parkingu po drugiej stronie placu. Udekorowano go wielkimi produktami spożywczymi z *papier mâché* – truskawką, bakłażanem, kartonem mleka.

– Mógłbym ci przesłać wszystkie informacje e-mailem, jeżeli musisz się uczyć czy coś w tym rodzaju.

– Nie pleć głupstw.

Kelly się rozłączyła, a ja stałem w budce, gapiąc się na wielkiego zająca z *papier mâché*. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych było całkowicie przypadkowe.

Kiedy zaczynałem staż, Erainia w dwóch słowach wyjaśniła mi, kto sprawdza się najlepiej w roli researchera: studenci prawa. Chętnie zarobią nawet niewielką ilość gotówki i nie zadają pytań poza sporadycznym: „Masz piwo?”. Są przyzwyczajeni do katorżniczej pracy i bystrzy oraz wiedzą, jak wyciągać informacje ze zbiurokratyzowanych instytucji. To znacznie więcej niż można się spodziewać po ludziach kierujących agencjami researchingowymi.

Niestety moja studentka prawa wносиła do naszej relacji nieco więcej, niż mogłem się spodziewać. Biorąc pod uwagę, że polecił mi ją jej wujek Ralph, nie powinienem być aż tak zaskoczony.

Kiedy podjechałem przed jej dom w dzielnicy Clarksville, Kelly stała na zewnątrz, przycinając potężne pnące wiciokrzewu, które obrosło zewnętrzną ścianę jej sypialni i zaczynało zapuszczać pędy przez okno.

Nietrudno zauważyć Kelly. Dziewczyna i tak przyciąga uwagę, ale efekt stał się dwa razy intensywniejszy, od kiedy przeprowadziła się do Austin i zrobiła sobie we włosach fioletowe pasemka.

– Uwielbiam go – powiedziała, kiedy zbliżyłem się do niej od tyłu. – Niestety pszczoły również.

– Jesteś uczulona?

Nie przerywając pracy, otworzyła szeroko oczy i pokiwała głową.

– Te małe skurczybyki bzycały mi pod oknem przez całe lato. Dziś jest pierwszy na tyle chłodny poranek, żebym mogła się zabrać do przycinania. Jeżeli mamy tu dalej mieszkać w semestrze wiosennym, muszę zamienić się pokojami z Dee.

Zaparła się mocniej nogami na drabinie i wychyliła nieco dalej w stronę drugiej połowy okna. Miała na sobie zieloną koszulę chirurgiczną i białe męskie spodenki kąpielowe, które powinny skutecznie skrywać jej figurę, ale jakoś tego nie robiły. Nadal mogła się pochwalić szczupłą, smukłą figurą nastoletniej pływaczki. Miała prawie dwadzieścia jeden lat, ale każdy rozsądny barman zażądałby od niej dowodu tożsamości. Fioletowo-czarne włosy upięła w kucyk, który kołysał się za każdym ciachnięciem sekatora.

– Spadniesz – zauważyłem.

– W takim razie przytrzymaj drabinę, głuptasie.

Chwyciłem drabinę i odwróciłem głowę, aby moja twarz nie znalazła się w spodenkach kąpielowych Kelly. Skupiłem wzrok na pobliskim domu.

– Widzę, że twoi sąsiedzi również są zapalonymi ogrodnikami.

Kelly powiedziała: „Ciii”, mimo że nikt nie mógł mnie usłyszeć. Trawnik przed domem sąsiadów składał się z ziemi, chwastów, starego podwozia chevroleta postawionego na pustakach oraz brązowej lodówki marki Frigidaire opartej o dąb.

– Mam taki pomysł... – Kelly wysunęła z ust czubek języka, próbując uciąć jeden z pędów wiciokrzewu. – Razem z Georgią i Dee zastanawiamy się, czy nie rzucić studiów prawniczych i nie wejść w branżę używanego sprzętu AGD. No wiesz, żeby handlować starymi zmywarkami i lodówkami, które ludzie wystawiają przed dom. Wystarczy pojeździć po tej części Austin,

a widać, że zapotrzebowanie jest wielkie. Co o tym myślisz?

– Myślę, że wujek byłby z ciebie dumny.

Uśmiechnęła się. Nieczęsto się zdarza, żebym dostrzegła podobieństwo łączące Kelly Arguello i jej wuja. Dzieje się tak, kiedy dziewczyna się uśmiecha. Choć, na całe szczęście, u niej ten uśmiech nie ma równie maniakalnego zabarwienia.

Wychyliła się w stronę ostatniego pędu pnącza, który zwisał przed oknem.

– No dobra. Na razie wystarczy. Na werandzie stoi lodówka. Weź sobie shiner bocka.

– Jest dziesiąta trzydzieści.

– Co, wolisz piwo bezalkoholowe?

Wybrałem shinera. Kelly otworzyła sobie ale marki Pecan Street. Usiedliśmy na werandzie na drewnianej huśtawce. Kelly włączyła swój mały, niebieski laptop, następnie zaczęła kopiować informacje, jakie do tej pory udało mi się zgromadzić na temat Lesa Saint-Pierre'a.

Laptop wydał z siebie serię nieprzyjemnych bipnięć. Kelly zaklęła, podniosła go za ekran, wsunęła bose stopy pod pośladki, po czym położyła z powrotem komputer na kolanach i wcisnęła kilkakrotnie klawisz „Delete”.

– Nowa zabawka? – zapytałem.

Zmarszczyła nos jak królik i siedziała tak przez kilka sekund.

– Ralph?

Skinęła głową.

– Powiedziałaś mu, że zbieram na coś takiego pieniądze. Zanim się obejrzałam, kupił mi go. Zawsze tak robi.

– Po prostu jest niezadowolony, że dostajesz te wszystkie stypendia. Od lat się cieszył, że opłaci ci studia.

– Pewnie sprząby moich profesorów na kwaśne jabłko, gdyby nie dawali

mi samych piątek.

– Nieprawda – zaprotestowałem. – Zapłaciliby komuś, żeby ich pobili.

Nie wyglądała na rozbawioną. Pisała, mrużąc oczy i próbując odszyfrować ręczne pismo Mila Chaveza.

– *Lo hace porque le importas*, Kelly.

Udawała, że mnie nie słyszy.

– Chcesz całą dokumentację na tego gościa? – zapytała. – Jak ostatnio?

– Zdobądź jego akt ślubu. Prawo jazdy. Historię kredytową. Poza tym służył w lotnictwie. Moglibyśmy zdobyć przynajmniej datę i powód zwolnienia ze służby. Sprawdź jego zestawienia podatkowe, zwłaszcza akty własności, pozwolenia na budowę...

– Czyli w praktyce wszystko – podsumowała. Przerzuciła kilka dokumentów, coraz bardziej przekonana o wykonalności zadania, dopóki nie natrafiła na akta personalne z komputera Julie Kearnes, całe siedem stron. – Ejże.

Przebiegła wzrokiem kilka linijek i podniosła głowę, otwierając szeroko oczy.

– Co to, do diabła, jest?

– Jeden z problemów, jakie możesz napotkać. Gość mógł specjalnie wyparować.

Pokiwała powoli głową, zastanawiając się, czy ma udawać, że zrozumiała sens moich słów.

– Tak?

– Powiedzmy, że zamierzałyś zrobić coś niebezpiecznego.

– Na przykład?

– Nie wiem. Ale masz świadomość, że narobisz sobie wrogów, i chcesz zostawić sobie furtkę. A może po prostu jesteś niezadowolona ze swojego

życia i od dłuższego czasu planujesz się z niego wymiksować. Potem dzieje się coś niebezpiecznego i uznajesz, że nadeszła odpowiednia chwila. Tak czy inaczej, chcesz zniknąć z powierzchni ziemi na jakiś czas, może na zawsze. Co robisz?

Kelly zastanawiała się przez moment. Studentom prawa zajmuje czasem trochę odwrócenie perspektywy, której zostali nauczeni, i dostrzeżenie możliwości podjęcia niezgodnych z prawem działań, a nie koncentrowanie się na wymogach prawa. Niemniej kiedy już przestawią się na takie odwrócone myślenie, rezultaty są piorunujące.

– Zaczęłabym tworzyć nową tożsamość – stwierdziła. – Nowe dokumenty, nowa karta kredytowa, całkowite odcięcie się od starych papierów. Może uśmiechnęłabym się do kogoś, kto ma dostęp do akt pracowniczych jakiejś dużej korporacji. Jak te. – Przyjrzała się uważniej wydrukowi. – Poszukałabym kogoś w podobnym wieku, kto zmarł daleko od miejsca swojego urodzenia, żeby akty urodzenia i zgonu nie znajdowały się w jednym urzędzie. Mogłabym zamówić odpis aktu urodzenia z hrabstwa takiej osoby, zdobyć za jego pomocą nowy numer ubezpieczenia społecznego, a potem prawo jazdy, a nawet paszport. Zgadza się?

Skinąłem głową.

– Piątka z plusem.

– Ludzie naprawdę robią takie rzeczy?

– Z dwieście razy w roku. Trudno o dokładne statystyki, ponieważ nikt się nie przechwala, że mu się udało.

– Co oznacza, że... – Zaczęła ponownie szacować zakres pracy, jaką miała wykonać. – O cholera!

– Co oznacza, że musimy zawęzić obszar poszukiwań. Musimy znaleźć najbardziej prawdopodobnych kandydatów z tego zbioru, którzy najlepiej

nadawaliby się na nowych Lesów Saint-Pierre'ów: mężczyzn pod pięćdziesiątkę urodzonych poza Teksasem i zmarłych w miarę niedawno. Nie powinno ich być aż tak wielu. Potem trzeba ustalić, czy któryś z tych nieboszczyków nie złożył w ostatnich sześciu miesiącach podania o wydanie nowego dokumentu tożsamości.

– Tak czy inaczej, może to oznaczać, że będziemy mieli pięć albo sześć nazwisk do namierzenia. A i tak możemy go jakoś przegapić. Jeżeli rzeczywiście postanowił zniknąć.

– To prawda.

– Ile mamy na to czasu?

– Do następnego piątku.

Wlepiała we mnie wzrok.

– To niewykonalne. Będę musiała podpiąć się do danych demograficznych jeszcze dzisiaj.

– Możesz to zrobić?

Uniosła brwi.

– Jasne. Mogę zrobić wszystko. Ale to cię będzie sporo kosztowało.

– Ile?

– Co powiesz na kolację?

Pstryknąłem w krawędź mojej butelki z piwem.

– Kelly, twój wuj ma ogromną kolekcję broni palnej.

– Co... czyli nie mogę cię zaprosić na kolację?

– Jasne, że możesz. Tyle że ja nie mogę przyjąć zaproszenia.

Przewróciła oczami.

– Pieprzenie w bambus, Tres.

Milczałem, popijając piwo. Kelly wepchnęła dokumenty z powrotem do teczki i zaczęła coś pisać na komputerze. Co jakiś czas zapach przyciętego

wiciokrzewu przelatował przez werandę – nietypowy zapach jak na połowę października.

Wyjąłem z plecaka pięć banknotów, które dostałem od Mila, i podałem je Kelly.

– Daj mi znać, gdybyś poniosła jakieś niespodziewane wydatki.

– Jasne.

Sięgnęła z powrotem do teczki i wyciągnęła z niej fotografię Lesa Saint-Pierre'a.

– Fuj.

Próbowała zrobić identyczną minę z Lesem, ale nie potrafiła ułożyć w odpowiedni sposób brwi.

Po drugiej stronie ulicy jakiś biznesmen wyszedł przez drzwi swojego domu, potknął się i wylał sobie kawę na krawat. Uniósł obie ręce, przez co przypominał przez chwilę Drakulę, zaklął, po czym ruszył ostrożnie w stronę swojego bmw. Jego bliźniak wyglądał, jakby budowę ukończono w poprzednich dwunastu godzinach – był pokryty białym sidingiem z aluminium, a trawnik nadal składał się z małych kwadratowych placków zieleni, które nie zdążyły się ze sobą zrosnąć. Tuż obok stała stara czerwona chałupa, do której dolepiiony był sklep, gdzie handlowano starymi wyrobami ceramicznymi i kryształami. Austin.

– Jak to jest dorastać bez matki? – zapytałem.

Kelly uniosła brew, po czym spojrzała na mnie, nie obracając głowy.

– Skąd pomysł, żeby mnie o to zapytać?

– Tak tylko. Z ciekawości.

Wysunęła dolną wargę, aby zdmuchnąć kosmyk fioletowych włosów, który zsunął się jej na twarz.

– Nie rozmyślałam zbyt wiele na ten temat, Tres. Nie spędziłam dzieciństwa

w poczuciu, że jestem inna czy coś podobnego. Tata zawsze kręcił się w pobliżu; miałam w domu pięciu czy sześciu wujków. Było, jak było.

Zakręciłem resztą piwa w butelce.

– Pamiętasz ją w ogóle?

Palce Kelly znieruchomiały na klawiaturze. Wbiła wzrok w drzwi i przez chwilę wydawała się starsza niż w rzeczywistości.

– Wiesz, co jest najtrudniejsze, Tres? Krewni ciągle ci coś opowiadają. Przypominają o rzeczach, które zrobiłeś, o tym, jaka była twoja mama. Łączysz to ze starymi fotografiami i szybko nabierasz przekonania, że to są twoje wspomnienia. Więc jeśli chcesz pozostać przy zdrowych zmysłach, musisz je głęboko schować.

– Dlaczego?

– Bo nie wystarczają. Dorastasz w otoczeniu mężczyzn, więc musisz nauczyć się postępować z mężczyznami. Ponieważ nie masz mamy... – Umilkła, jej wzrok nadal szukał czegoś w drzwiach. – Mama, jak się domyślam, zapewnia ci jakąś intuicję, jakieś zrozumienie, rozmowy. W domu pełnym facetów dziewczynka musi obrać inną drogę. Nauczyć się nakłaniać ich podstępem do robienia tego, na czym jej zależy. W sumie to dobra szkoła dla kogoś, kto zamierza pracować w kancelarii prawnej. Albo dla ciebie.

– Wielkie dzięki.

Kelly się uśmiechnęła. Przejrzała resztę przyniesionych przeze mnie dokumentów, znalazła niewiele informacji, które mogłyby jej ułatwić zadanie, po czym zakleiła kopertę. Zamknęła laptopa.

– Zadzwoń, kiedy tylko coś znajdę – obiecała. – Wracasz do San Antonio?

Skinąłem głową.

– Przekazać coś wujowi?

Kelly wstała tak szybko, że huśtawka zakołysała się na boki. Otworzyła drzwi z moskitierą.

– Jasne. Powiedz mu, że zamierzam cię kiedyś zaprosić na kolację.

– Życzysz mi śmierci?

Posłała mi taki uśmiech, jakbym odgadnął dokładnie jej myśli, po czym zamknęła za sobą drzwi, zostawiając mnie samego na rozkołysanej huśtawce.



Między Austin a San Antonio znajdują się dwa stanowe parkingi autostradowe, pozostałość po mniej skomplikowanych czasach, zanim deweloperzy obsadzili trasę sklepami spożywczymi i outletami stawianymi w stumetrowych odstępach.

Powstrzymałem się przed postojem na pierwszym z nich, mimo że wypity u Kelly Arguello shiner bock zaczynał docierać do drugiego końca mojego organizmu, niemniej kiedy przejeżdżałem przez New Braunfels, mój pęcherz zaczął się skręcać niczym balonik w różne zabawne zwierzątka. Postanowiłem zjechać na drugi rest stop.

W takim pośpiechu parkowałem volkswagena i gnałem w stronę kibla, że nie zwróciłem uwagi na pikapa z przyczepą do przewożenia koni, za którym się zatrzymałem.

Nie spojrzałem również w stronę gościa stojącego obok mnie przy pisuarze. Otaczał go delikatny zapach papierosowego dymu. Kraciasta koszula i profil twarzy wydawały się znajome, ale trudno wyobrazić sobie bardziej nienaruszalną przestrzeń niż ta, która dzieli dwóch sikających mężczyzn. Nie spojrzałem na niego, dopóki nie zapięliśmy rozporków i nie zabraliśmy się do mycia rąk.

– Brent, prawda?

Poklepał kilkakrotnie dłońmi w papierowy ręcznik, posyłając mi zdumione spojrzenie. Nie zmienił ubrania od poprzedniego dnia ani się nie ogolił. Wory pod jego oczami były podpuchnięte, jakby wlały się w nie nadwyżki tequili wypitej podczas ostatniego koncertu.

– Tres Navarre – przedstawiłem się. – W pewnym sensie poznaliśmy się wczoraj wieczorem w Cactus Cafe.

Brent wyrzucił ręcznik.

– Czoło Cama Comptona.

– Zgadza się.

– Teraz pamiętam.

Brent spojrzał na znajdujące się za moimi plecami wejście do kibla. Stałem między nim a drzwiami, utrudniając mu opuszczenie przybytku. Co niewątpliwie miał ochotę uczynić. Prowadzenie rozmowy z innym mężczyzną w toalecie jest tylko odrobinę mniej krępujące od wymiany ukłonów przy pisuarze. Może powinienem zrównoważyć ten dyskomfort, zapraszając go na piwo. Albo inicjując rozmowę na temat play-offów. Pogadać jak ziom z ziomem.

– Wieziesz Mirandę? – zapytałem.

Rozejrzał się z zakłopotaniem.

– Nie. Tylko sprzęt.

– Aha.

Przestąpił z nogi na nogę. Zlitowałem się i odsunąłem na bok, żebyśmy mogli razem wyjść na zewnątrz.

Na parkingu panował całkiem spory ruch jak na środek tygodnia. Jeden z końców trawiastej owalnej wyspy stołów piknikowych obsiadła wielka rodzina Latynosów. Grubi faceci w koszulkach bez rękawów pili piwo, podczas gdy kobiety i dzieci krążyły tam i z powrotem między stolikami i zdezelowanymi kombiakami, znosząc przenośne lodówki, pudełka z chipsami i pianki. Między nogami dzieciaków gonił mały piesek. W dalszej części parkingu stały ciężarówki. Szoferki były ciemne, w środku kierowcy spali, golili się albo jedli, wpatrując się w horyzont i rozmyślając o

wszystkich rzeczach, o jakich rozmyślają kierowcy ciężarówek.

Lokalny Kościół baptystyczny rozstawił stolik u podnóża schodów prowadzących do toalet. Kilka żwawych jasnowłosych kobiet rozdawało ulotki przestrzegające przed jazdą pod wpływem alkoholu, kieszonkowe Biblie oraz pączki i kawę. Zielona płachta materiału z napisem: „CHRYSTUS KOCHA TEŻ PODRÓŻUJĄCYCH” łopotała poruszana podmuchami wilgotnego wiatru.

Daniels nie był zachwycony, kiedy uświadomił sobie, że zaparkowaliśmy obok siebie – mój volkswagen stał tuż za jego pikapem i przyczepą.

Brent jeździł białym fordem w brązowe pasy. Okna były przyciemnione i wydawały się niemal całkowicie srebrne, co uniemożliwiało dostrzeżenie czegokolwiek w szoferce. W przyczepie mógłby się zmieścić koń. Była wykonana z brązowego metalu i opatrzona napisem: „ROCKING U RANCH” namalowanym cienkim pędzlem beżowobrązową farbą, która nie pasowała do reszty metalowej powierzchni.

– Sprzęt muzyczny w przyczepie do transportu koni – zauważyłem. – Pomysłowe.

Brent skinął głową.

– Tańsza od furgonetki. Willis kupił ją okazji.

Zatrzymaliśmy się. Nie byłem pewien, dlaczego Brent przystanął w trakcie mówienia. Wtedy uświadomiłem sobie, że z jakiegoś powodu chce, abym odjechał pierwszy.

Wyznaję zasadę, że kiedy człowiek uzyska już przewagę, powinien ją wykorzystać.

– Rozmawiałem dziś rano z Mirandą o twojej muzyce. Powiedziała, że napisałeś większość piosenek. I że okazałeś jej prawdziwe wsparcie, kiedy je nagrywała.

Brent położył palce na klamce forda i znieruchomiał. Nie potrafiłem w zasadzie niczego wyczytać z jego spojrzenia. Na twarzy Daniela malowała się głównie szorstka apatia, może z odrobiną ironicznego rozbawienia. Zarost miał dłuższy o dzień i odniosłem wrażenie, że dostrzegam w nim oznaki siwizny, jak u jego ojca.

– Wsparcie – powtórzył. – Serio?

– Miranda tak uważa. Próbowales sam coś nagrywać? Przebić się w Nashville? Masz niezłe piosenki.

Po moich słowach rozbawienie wychynęło nieco bliżej powierzchni. W lewym oku Brenta pojawił się tik, jakby próbował się uśmiechnąć, ale doszło do jakiegoś zwarcia w obwodach.

– Zapytaj o to Lesa – odparł. – Mam czterdzieści dwa lata, nie zacząłem nawet pisać... – Uświadomił sobie, co zamierzał powiedzieć, i postanowił zmienić taktykę. – Pierwszą piosenkę napisałem dopiero dwa lata temu. Większość artystów robi to... między piętnastym a osiemnastym rokiem życia, niektórzy nawet wcześniej. Miranda ledwo się łapie jako dwudziestopięciolatka. Les twierdzi, że artysta po trzydziestce zjeżdża w zasadzie na boczny tor.

– Ha, Les tak powiedział? Ile on ma... czterdzieści pięć?

Oko Brenta zaczęło drgać jeszcze bardziej.

– Widać tej zasadzie nie podlegają agenci.

Obaj spojrzeliśmy w kierunku autostrady, którą przemknęła kolejna półciężarówka z rykiem godnym silnika odrzutowego. Pojedyncze krople deszczu rozpryskiwały się bez większego entuzjazmu na asfalcie. Wiatr był słaby, gęsty i gorący, a chmury nie mogły się zdecydować, co ze sobą zrobić – rozproszyć się czy zgromadzić. Leżące pod nimi pagórki stały się jeszcze intensywniej zielone, niemal fioletowe.

– A reszta zespołu? – zapytałem. – Pan Sheckly najwyraźniej sądzi, że zostalibyście na lodzie, gdyby Miranda podpisała ten kontrakt. Ktoś poza Camem jest z tego niezadowolony?

Z twarzy Brenta zniknął jakikolwiek uśmiech, który mógł na nią wstępować. Potarł butem o krawężnik, co świadczyło o pewnym zniecierpliwieniu.

– Pewnie trzeba byłoby ich zapytać, prawda? Julie nie żyje. Cam wyleciał. Poza nimi zostaje tylko Ben French i rodzina, co nie?

Za naszymi plecami kierowca ciężarówki flirtował z kobietą z Kościoła baptystycznego, nazywając ją „słodką istotą”. Próbowła utrzymać na ustach plastikowy uśmiech, powtarzając, że Jezus chciałby, aby kierowca pozwolił się poczęstować kawą i uważał, żeby nie zasnąć w czasie jazdy. Jej słowa nie brzmiały zbyt przekonująco.

– Masz jakąś stałą pracę? – zapytałem Brenta.

– Nie. A ty?

Ach. Przytyk.

Brent ścisnął w dłoni klamkę, ale nie wyglądało na to, aby zamierzał otworzyć drzwi. Spojrzałem na metalizowaną szybę szoferki, ale zobaczyłem w niej tylko siebie: radosnego i rozmazanego na szkle.

– Coś mi się wydaje – powiedziałem – że z jakiegoś powodu nie chcesz przy mnie otworzyć tych drzwi.

Brent spojrzał na szoferkę, potem na kundla Latynosów, który wykręcał ciasne kółka wokół metalowych słupków podtrzymujących wiatę nad stołami.

Uśmiechnął się na widok psiaka.

– Pracujesz dla Mila? – zapytał.

– Zgadza się.

Skinął głową.

– W takim razie powinieneś się zabrać do roboty.

Otworzył drzwi szoferki i wsiadł, starając się, żeby nie wyglądało na to, że próbuje coś przede mną ukryć. Ja starałem się nie zaglądać do środka zbyt nachalnie, ale i tak nie było tam za wiele do oglądania – tylko opalone kobiece stopy skrzyżowane w kostkach, oparte o szybę przy miniaturowym tylnym siedzeniu. Wyglądało to zupełnie tak, jakby kobieta tam spała. Miała pomalowane paznokcie i cienki złoty łańcuszek nad kostką.

Brent zamknął drzwi, znikając za przyciemnioną szybą.

Pikap odjechał, a wielka kropla ciepłego deszczu wylądowała mi dokładnie na środku nosa.

Baptystka westchnęła z ulgą, ponieważ kierowca ciężarówki wreszcie sobie poszedł. Zawołała do mnie, proponując mi paczka. Podziękowałem, stwierdzając, że Jezus będzie musiał znaleźć sobie kogoś innego. Zostały jej tylko z dżemem.



– Jest zarejestrowany – powiedział Ralph Arguello.

Wsunął się za mną na tylne siedzenie swojego brunatnego lincolna, po czym odłożył pistolet Montgomery Ward kalibru .22. Chico wyjechał z parkingu przed lombardem i skręcił na południe w Bandera Road.

– Zajęło ci to pięć minut – zauważyłem.

– No wiem. Przepraszam, że musiałeś tyle czekać. Moja przyjaciółka w archiwum zarządza wszystkimi fiskami z informacjami o broni przechodzącej przez lombard. Kiedy nie chce mi się czekać, robi dla mnie wstępną weryfikację, wiesz? Dziś akurat była dość zajęta.

– Masz nazwisko i adres właściciela?

– A jak myślisz?

– Myślę, że prawdopodobnie znasz nazwisko panięskie jego babki i ulubiony smak lodów.

Ralph wyszczerzył zęby.

– *Que padre, vato.*

Na widok wyszczerzającego zęby Ralpa kot z Cheshire mógłby się co najwyżej schować. Obraz uśmiechniętego Ralpa wprawia psychopatów w stan podenerwowania. Być może wynika to z faktu, że nie widać wtedy jego oczu, które unoszą się za okrągłymi szklami o grubości cala. A może chodzi o czerwoną barwę, jakiej nabiera jego twarz – identyczną z pucułowatymi diabelskimi maskami, które można kupić na Piedras Negras. Kiedy Ralph wyszczerza zęby, może to oznaczać, że zarobił łatwe tysiąc dolarów, że zjadł

smaczny posiłek albo że właśnie postrzelił kogoś, kto go zirytował. Trudno wyczytać, o co konkretnie mu chodzi.

Podał mi świstek, który wyjął z kieszeni białej lnianej koszuli. Równym, drobnym pismem Ralpa napisano tam: „C. COMPTON 1260 PERRIN-BEITEL SA TX 78217”.

– Mogę ci co nieco opowiedzieć o tym gościu – zaproponował Ralph.

Nie było w tym nic zaskakującego. Ralph Arguello nie mógł czegoś opowiedzieć tylko na temat nielicznych, mniej ciekawych mieszkańców San Antonio.

Przeczytałem ponownie nazwisko: C. Compton.

– Opowiedz mi o nim.

Ralph wyjął jointa i zaczął go z uwagą ścisnąć po obu końcach.

– Ten twój Compton pracuje w tancbudzie Indian Paintbrush. Znasz lokal?

– Znam.

– A pamiętasz Robbiego Guerre, pomocnika z Heights?

Jak zwykle nie miałem pojęcia, do czego Ralph zmierza ani skąd bierze tego rodzaju informacje, ale skinąłem głową.

– Co tam u niego słychać?

– Nie żyje, ale to inna sprawa. Sześć miesięcy temu zawarliśmy fajną umowę z firmą zaopatrującą restauracje oraz z kilkoma lokalami, które obsługiwała. Jednym z nich było Indian Paintbrush. Co dziesiąta skrzynka miała być odkładana na bok, mieliśmy ją odbierać z Robbim, a wszyscy zaangażowani dostawaliby mały procent z zysków. Compton chyba na czymś grał, ale poza tym wyrabiał dniówki z dyrektorem handlowym. Gość nazywa się...

– Alex Blanceagle. Piegowaty. Duże uszy.

– ...otóż właśnie. Tak czy inaczej, Compton i Blanceagle wiedzieli o

układzie ze skrzynkami, dostawali działkę i wszystko szło jak po maśle. Aż pewnego wieczoru zgarnęliśmy z Robbim zły transport. To się czasami zdarza, rozumiesz? Weszliśmy jak zwykle, w momencie kiedy strażnik poszedł na colę. Wszystko wyglądało spoko, a my zaczęliśmy zdejmować wielkie, brązowe, cylindryczne kartony z platformy. Pomyśleliśmy, że są wypełnione miedzianymi rurami albo czymś podobnym, bo były ciężkie jak cholera, ale uznaliśmy, że towar to towar i nie ma co narzekać. Pięć sekund później gromada *gabachos* mierzyła nam w gęby z broni – Blanceagle, Compton i dwóch szwargoczących po ichniemu Niemców. Zrobili nam z Robbim wykład, w połowie po szkopsku, trzymając nas cały czas na muszce. Blanceagle wydzierał się tak, jakby nigdy wcześniej nie widział nas na oczy, powtarzał, że mamy wielkie szczęście, że nas tam nie rozwałą na miejscu. Powiedzieliśmy zatem: „*Chupa me*”. Tak zakończył się nasz układ z firmą zaopatrującą restauracje.

Ralph zapalił *mota* i zaciągnął się głęboko. Opowiedział mi o tym wszystkim z takim spokojem, że równie dobrze mógłby relacjonować przebieg swojego ostatniego przyjęcia urodzinowego.

– Jak wyglądali ci Niemcy?

Ralph dość wiernie opisał Jeana, czyli gościa z beretką, którego spotkałem w studiu Sheckly’ego. Drugiego Niemca nie kojarzyłem.

– Co znajdowało się w tych cylindrach?

Wydmuchnął dym z ust.

– *No se, vato*. Tylu buraków i nazistów mierzyło do nas z gnatów, że jakoś nie miałem ochoty zaglądać do środka. Pewnie zestawy szkoleniowe dla Ku Klux Klanu, co nie?

W milczeniu pokonaliśmy kilka kilometrów Bandera Road, przejechaliśmy pod obwodnicą i znaleźliśmy się w dzielnicy mieszkaniowej, gdzie domy

przypominały wojskowe bunkry – płaskie i przycupnięte za starymi ceglanyimi murami i wielkimi kępami trawy pampasowej. Ściany ozdabiała świeżo namalowane graffiti z symbolami gangów. Budka telefoniczna na rogu Callahan została wyrwana z ziemi i leżała przewrócona na ławce na przystanku autobusowym. Stał na niej rząd pustych butelek po słodkich winach marki MD 20/20, w które mały chłopiec bez koszulki rzucał patykami.

Niebo pogłębiało jeszcze wrażenie, że cała dzielnica została w nieodległej przeszłości przydepnięta. Powłoka szarych chmur napierała z góry niczym warstwa izolacyjna. Powietrze ponownie się nagrzało i wisiało nad okolicą nieruchome i ciężkie.

Kiedy minęliśmy kilka przecznic, Chico odchylił głowę do tyłu i zapytał Ralpa po hiszpańsku, czy chce się zatrzymać przy Numerze Czternastym, skoro i tak obok niego zaraz przejedziemy. Ralph spojrzął na swojego złotego rolexa i przytaknął. Następnie wyciągnął spod fotela kierowcy Pana Subtelnego i go załadował. Pan Subtelny to magnum kalibru .357.

- Lokalne chłopaki rozrabiają – wyjaśnił. – *Pinche* gówniarzeria.
- Numer Czternasty – powiedziałem. – Chwytna nazwa.
- Wiesz, jak człowiek ma dwadzieścia lombardów, stara się je jakoś ponazywać.

Wepchnął Pana Subtelnego za pas dżinsów, chowając go pod guayabere. Większość ludzi nie mogłaby w takim miejscu nosić magnum, nie wzbudzając podejrzeń. Ale większość ludzi nie ma w pasie tyle co Ralph ani nie nosi lnianych koszul w rozmiarze XXL.

Chico znalazł w radiu piosenkę Def Leppard i podkreślił głośność. W San Antonio prawdopodobnie nadal okupowała miejsce w pierwszej dziesiątce listy przebojów.

– Widziałeś się z moją siostrzenicą podczas wizyty w Austin? – zainteresował się Ralph.

– Dziewczyna dobrze sobie radzi. Miałeś rację, jest sumiennym pracownikiem.

Ralph się skrzywił.

– Przechodzi przez fazę *con crema*. Czasami zupełnie jej nie rozumiem.

– *Con crema?*

– Wiesz, o co mi chodzi. Nie chce mówić po hiszpańsku. Spotyka się tylko z białymi chłopakami.

– Żartujesz.

Ralph pokręcił głową i lekko się poruszył. Ja również się poruszyłem. Obaj skierowaliśmy wzrok na okno. Postanowił zmienić temat.

– A skoro już mowa o *con crema*, stary, to zadajesz się znów z tym *cabron*, Chavezem?

Nie wspomniałem Ralphowi ani słowem o sprawie, którą się obecnie zajmowałem. Co niczego nie zmieniało. Ralph prawdopodobnie dowiedział się o moim spotkaniu z Chavezem w dniu, w którym do niego doszło. Ralph zazwyczaj wiedział o wszystkim, co działo się w granicach miasta, na tyle wcześniej, aby móc obstawić wynik.

– Milo zaplątał się w jakąś poważniejszą sprawę, Ralphas. Obiecałem, że postaram się mu pomóc.

– Wiem. – Wyszczrzył zęby. – *Pinche* drań doszedł już do tego, kim chce zostać, kiedy dorośnie?

Nigdy nie byłem pewien, kiedy i w jakich okolicznościach Milo i Ralph się poznali. A znali się chyba od zawsze i od zawsze darzyli się niechęcią. Wszyscy trzej pojechaliśmy oczywiście razem do Alamo Heights, ale o ile było mi wiadomo, obaj panowie nie zamienili wtedy ze sobą ani jednego

słowa i żaden z nich nie nawiązał w jakikolwiek sposób do obecności drugiego. Nigdy nie przebywałem w jednym pokoju z obydwojma jednocześnie. Choć obaj byli Latynosami z North Side, trudno byłoby znaleźć większe przeciwieństwa. Ralph wychowywał się w biedzie, mieszkał w przyfabrycznych barakach, gdzie jego ojciec zmarł na pylicę od wdychania oparów cementu, a dzieci imigrantów wołały funkcjonować na zielonej karcie rodziców, ponieważ było to łatwiejsze niż przekonanie *La Migra* o ich narodowości. Ralph przetrwał szkołę średnią dzięki talentom, jakimi wykazywał się na boisku do futbolu amerykańskiego, przebiegłości, brzytwie i niezachwianemu przekonaniu, że pewnego dnia dorobi się miliona dolarów. Milo pochodził z normalnej, zamożnej rodziny. Był jednym z niewielu Latynosów, którzy zostali przyjęci do kręgów towarzyskich białych mieszkańców miasta, byli zapraszani na kadryle. Miał nawet białą dziewczynę. Wieści, że po szkole średniej próbował robić karierę muzyczną, potem biznesową, a wreszcie zdobył tytuł prawnika, ani nie zdziwiły jego dawnych znajomych, ani nie wzbudziły ich entuzjazmu. Nie mieli bynajmniej przekonania, że porywał się z motyką na słońce. Informacja, że ponownie zmienił pracę i wszedł do branży muzyki country, spowodowała co najwyżej kilka rozbawionych uśmieszków.

– Milo jakoś sobie radzi.

Ralph się roześmiał.

– Czy to on o mały włos nie stracił życia w San Francisco?

– To jedna z możliwych interpretacji.

– Taa... Pamiętasz ten syf, który wsypywaliśmy do wody na chemii? Co to było...?

– Potas.

– A właśnie. I robiło *bum!*, prawda? Ty i Chavez jesteście jak woda i

potas, bracie. Nie mogę uwierzyć, że znów rozmawiasz z tym *pinche* draniem. Zastanawiałeś się nad propozycją, którą ci kiedyś złożyłem?

– To nie dla mnie, Ralphas. Za dużo zmartwień na głowie.

Ralph wydmuchnął w okno smużkę marihuanowego dymu. Pokręcił głową.

– Nie rozumiem cię. Próbowałem cię zrozumieć od czasów szkoły średniej, wciąż bez skutku. Spychasz gościa z fabrycznego komina, z wysokości dziesięciu pięter...

– To były szczególne okoliczności. Próbował mnie zabić.

– Łamiesz nogę jakiemuś *pendejo*, ponieważ poprosiła cię o to jakaś staruszka. I nawet ci nie zapłaciła.

– Okradał ją z emerytury, Ralphas.

– Teraz pracujesz dla Chaveza, chociaż wiesz, że prędzej czy później cię wyrucha. Ja proponuję pięć łatwych stów tygodniowo za robienie dokładnie tego samego, a ty mi mówisz, że to nie dla ciebie. *Loco*.

Chico do tej pory zachowywał milczenie. Teraz odwrócił lekko głowę i powiedział: – Walić go.

Spojrzałem na Ralpha.

On ponownie się sztachnął.

– Chico jest nowy.

– Zauważyłem.

Chico patrzył przed siebie na drogę, lewą ręką trzymał kierownicę, a wielkie prawe ramię złożył na oparciu siedzenia. Na barku miał wytatuowany maleńkimi literami napis: „LA RAZA”. Jego włosy przytrzymywała żółta opaska, zawiązana po piracku z tyłu głowy.

– Walić go – powtórzył. – Do czego miałby nam się w ogóle przydać taki mięczak?

Ralph uśmiechnął się do mnie.

– Ej, Chico, ten gość jest naprawdę w porządku. W szkole średniej uratowałem mu skórę, kiedy kilku roboi chciało mu skopać dupę.

– Ty mnie uratowałeś skórę?

– No tak. Nie pamiętasz, stary? – Potem zwrócił się do Chica: – To odmieniło jego życie. Stał się zarabistym mistrzem wschodnich sztuk walki. Jest naprawdę niezły.

Chico mruknął bez przekonania.

– Spotkałem w pierdlu gościa, który znał taekwondo. Sprąłem go na kwaśne jabłko.

Jechaliśmy przez chwilę w milczeniu.

Lombard Numer Czternasty był jednym z pięciu punktów usługowych w małym budynku przy Hillcrest, wciśniętym między Mayan Taco King a salon piękności Joleen's. Na jaskrawożółtej markizie nad lombardem widniał napis: „SKUPUJEMY ZŁOTO!!!”. Na oknach namalowano dynie, wiedźmy i uśmiechnięte symbole dolara, które niespecjalnie pasowały do krat antywłamaniowych i prezentowanych na wystawie strzelb.

Z przodu budynku znajdowała się galeria przykryta metalowym daszkiem wspartym na czterech kwadratowych białych słupach. O słupy przed lombardem Numer Czternasty opierało się dwóch młodych Latynosów, na oko siedemnastolatków, w czarnych dżinsach i kurtkach firmy Rider. Gdyby chodzili do szkoły, mogliby z powodzeniem występować w drużynie futbolowej na pozycji obrońców. Między nimi na chodniku siedział oparty na łokciach znacznie szczuplejszy chłopak, który ewidentnie zaopatrywał się w ubrania w tych samych sklepach, co dwaj obrońcy. Ubrania wisiały na całej trójce, ale szczególnie na chudzielcu. Przypominali rodzinę słoni, która załapała się na grupową zniżkę na liposukcję.

Ralph i Chico podeszli do nich. Ruszyłem za nimi.

Żaden z chłopaków się nie poruszył; siedzący w środku chudzielec tylko się uśmiechnął. Miał najbardziej spiczastą brodę, jaką kiedykolwiek widziałem, ze strzępiastą kępką nastoletniego zarostu na czubku. Dolna połowa jego twarzy wyglądała zupełnie tak, jakby została zbudowana na planie strzemięcia.

– Szefie – powiedział. – *Que pasa?*

Ralph również się uśmiechnął.

– Vega. Nie mógłbyś zabrać stąd swoich *chiquitas* i bawić się gdzieś indziej? Przeszkadzacie mi w interesach.

Miałem poczucie, że Ralph i Vega odbyli wcześniej podobną rozmowę już kilka razy. Spoglądali na siebie, obaj uśmiechnięci, czekając, który szybciej się złamie.

Pierwsza skończyła się cierpliwość nowicjuszowi Chico. Odsunął się od Ralpa i powiedział: – Chuj z tym.

Podszedł do chudzielca i jedną ręką podniósł go za klapy kurtki. Mogłoby to ewentualnie robić wrażenie, gdyby dzieciak nie ważył z pięćdziesiąt kilo albo gdyby Chico nie rozstawił szeroko nóg, stwarzając Vedze idealną sposobność do przywalenia mu kolanem w jaja.

Kolano Vegi składało się głównie z kości, a niedostatki w masie chłopak nadrabiał zawziętością. Kiedy kopnął Chica, mięśnie jego twarzy się napięły, a zęby zacisnęły tak mocno, że kępka na brodzie niemal dotknęła dolnej wargi.

Chico stęknął, puścił chłopaka, pochylił się i zaczął w zwolnionym tempie obracać się wokół własnej osi. Twarz Chica miała teraz ten sam kolor, co jego bandana. Jeden z obrońców kopnął go od tyłu i Chico upadł na asfalt, jęcząc: – *Mierda, mierda.*

Spojrzałem na Ralpa.

– Jest nowy.

– Widzę.

Vega poprawił swoje workowate ubranie i usiadł, ponownie uśmiechnięty. Podrapawszy się po bródce, powiedział swoim kumplom, jakim to Chico jest wielkim, groźnym *pachuco*. Roześmiali się.

– Szefie – powiedział Vega – przyszło tu dziś kilku klientów, ale nie wyglądali na porządnym ludzi. Powiedzieliśmy im, żeby sobie poszli. Dbamy o twoje interesy, szefie.

Wymizerowany siwy mężczyzna wycłapał z lombardu, spojrzał na Ralpa z lekkim niepokojem i zaczął go przeproszać po hiszpańsku.

– Panie Arguello, przysięgam, nie wiedziałem, że tu siedzą. Przegnałem ich stąd dziś już dwa razy.

Starszy mężczyzna zaczął wygrażać chłopakom, wymachując zwiniętą gazetą i nakazując im bez przekonania, aby sobie poszli. Nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Chłopaki patrzyły na magnum .357, które chwilę wcześniej pojawiło się w dłoni Ralpa.

– Wiesz, *vato* – zwrócił się do mnie jakby mimochodem Ralph. – W dawnych czasach odwiedzała nas tylko *La Familia*. Ale to byli przynajmniej dorośli ludzie, prawda? Teraz mamy te *pinche* dzieciaki, którym wydaje się, że jeśli potrafią skopać tyłek nauczycielowi matematyki, to mają jakiegokolwiek prawo do wymuszania pieniędzy za ochronę. Smutne. To naprawdę smutne.

Vega patrzył na pistolet w dłoni Ralpa, jakby to był żart.

– I co, szefie, zastrzelisz mnie?

Vega się nie bał. Może człowiek nie odczuwa strachu, kiedy ma siedemnaście lat, może liczyć na wsparcie członków gangu i jest równie

biegły w posługiwaniu się bronią jak inne dzieci w jeźdźeniu na deskorolce.

Niemniej nie podobał mi się sposób, w jaki Ralph się uśmiechał. Widziałem kiedyś, jak użył dwudziestkidwójki w charakterze pistoletu do zszywek na gościu, który dotknął jego dziewczynę w barze. Ralph z identycznym uśmiechem na twarzy podziurawił wtedy kulami dłoń nieszczęśnika rozciągniętą płasko na drewnianym blacie.

– Też mamy broń – powiedział Vega. – To co, o północy? Przed twoim domem?

Chico zdążył się podnieść na kolana. Dyszał ciężko i mamrotał pod nosem, że ich pozabija.

Vega zerknął na niego.

– Grzeczny piesek – rzucił.

Wzbudziło to kolejną salwę śmiechu u jego kompanów.

Ralph nadal stał w całkowitym bezruchu, jak skamieniały. Zrozumiałem, że mam kilka sekund, zanim się zdecyduje, którą część ciała chłopaka przedziurawić.

– Powinniście sobie stąd pójść – powiedziałem.

Vega po raz pierwszy spojrział w moją stronę.

– A to kto, szefie? Twoja dziewczyna?

Zanim Ralph zdążył wystrzelić, chwyciłem Vegę za kostki i pociągnąłem. Rozparty chwilę wcześniej na łokciach chłopak poleciał do tyłu i uderzył głową w betonową krawędź schodów. Puściłem go w momencie, kiedy jego kumple zorientowali się, że powinni przystąpić do działania.

Rzadko używam techniki ujeżdżania tygrysa. Mało którzy przeciwnicy skaczą na mnie z góry, jakby to zrobił atakujący tygrys. Kiedy pierwszy z chłopaków skoczył na mnie, przyjąłem postawę łuku i strzały i wykonałem okrężny zamach rękami, podpierając prawą dłonią jego klatkę piersiową, a

lewą ręką nogę. Przeleciał nad moją głową, jakby został wyrzucony z wirującego koła. Nie obejrzałem się nawet, żeby zobaczyć, jak wylądował na asfalcie pokrywającym parking.

Drugi chłopak rzucił się na mnie z boku. Złapałem go za obszerną kurtkę, przekręciłem mocno dłoń i przerzuciłem go sobie przez kolano. Wylądował na tyłku, czemu towarzyszyło stłumione chrupnięcie.

Kątem oka dostrzegłem Vegę i błysk metalu; odwróciłem się, ale było już za późno na reakcję.

Wtedy usłyszałem kliknięcie.

Chłopak siedział nieruchomo, wsparty na łokciu, z długim nożem w dłoni. Ostrze zatrzymało się piętnaście centymetrów od mojego uda. Obok Vegi przykląkł Ralph ze spokojnym uśmiechem na twarzy, przyciskając mocno wylot lufy trzystapięćdziesiątkisiódemki do oka chłopaka. Głowa Vegi była przechylona pod tym samym kątem co lufa, zupełnie jakby zaglądał w okular teleskopu. Drugie oko drgało jak szalone.

– Zostałeś powalony na ziemię, *ese* – przypomniał mu uprzejmie Ralph. – Jeżeli masz choć trochę oleju w głowie, nie będziesz się z niej ruszał.

Trwaliśmy tak znieruchomiali w trójkę przez kilka stuleci. W końcu nóż Vegi zabrzączał na chodniku.

– Jesteś trupem, szefie. Rozumiesz?

Ralph wyszczerzył zęby.

– Ze dwudziesty albo trzydziesty raz, *ese*.

Ralph zabrał nóż Vegi, po czym wstał i cofnął Pana Subtelnego. Rozejrzałem się. Gość, którego przewróciłem na tyłek, nadal spoczywał na tyłku. Wpatrywał się we mnie. Oczy zaszyły mu łzami; przechylił się na bok, starając się zmniejszyć ból. Ten, którego przerzuciłem na parking, próbował wstać, ale jego lewe ramię wydawało się przyklejone do asfaltu. Być może

miął złamany obojczyk.

Pomogłem chłopakom się podnieść i odprowadziłem ich poza parking.

Poczępali Bandera Road. Vega wykrzykiwał, że wie, gdzie mieszkam i że moja rodzina jest już martwa. Krzyknąłem do Vegi, że jego kumpel powinien pójść z obojczykiem do lekarza. Vega pokazał mi środkowy palec. Jego oko wciąż drgało od kontaktu z zimnym, oleistym wylotem lufy magnum kalibru .357.

Kiedy wróciłem pod wejście do Numeru Czternastego, Chico siedział na chodniku, starając się nie zwymiotować. Spojrzał na mnie z urazą.

– Chłopak miał farta – powiedziałem. – Wyglądało, że już go dopadłeś.

Staruszek ze zwiniętą gazetą próbował wyjaśnić Ralphowi, że wszystko jest w jak najlepszym porządku i że od tej pory będzie panował nad sytuacją. Wyglądał na podenerwowanego.

Ralph posłał mi szeroki uśmiech, wyciągnął plik banknotów i wysupłał kilka.

– Przynajmniej tak mogę się odwdzińczyć.

Aktualna stawka za pobicie kilku nastolatków wynosiła dwieście dolarów. Znacznie więcej niż za kilka pocisków kalibru .357. Oddałem pieniądze Ralphowi.

– Dzięki.

Pokręcił ze zdumieniem głową.

– Naprawdę by cię to nie kręciło, *vato*?

Roześmiał się, po czym się odwrócił i wszedł do Numeru Czternastego, żeby sprawdzić, jak idą interesy.



Uczenie czterolatków posługiwania się zegarkiem ma pewne minusy. Kiedy o godzinie osiemnastej wszedłem do biura Erainii, Jem spojrział na mnie znad blatu, wskazał na zegarek i oświadczył, że się spóźniłem. Zostało nam trzydzieści minut do rozpoczęcia filmu w Galaxy. Nie chciał stracić zwiastunów.

Wyskoczył zza stołu i podbiegł do mnie. Zamiast jak zwykle rzucić mi się w ramiona, zawołał: „Uważaj!”, po czym zademonstrował swoje postępy w ćwiczeniach i wpakował mi kopniaka z wysokości prosto w krocze.

Uczenie czterolatków wschodnich sztuk walki również ma pewne minusy.

Otarłem kilka łez i pokuśtykałem do kuchni, zapewniając, że nauka podstaw idzie mu znakomicie.

W kuchni pachniało rozgrzanym piekarnikiem i przypalonym czosnkiem. Zawsze unosił się tam taki zapach, jakby Erainia właśnie skończyła gotować, mimo że nigdy nie widziałem, aby to robiła. Podejrzewam, że przemyciła z ojczyzny cały kontener greckich kucharzy i od czasu przejścia firmy trzymała ich pod kluczem w piwnicy. Ponieważ zdarzyło jej się kiedyś zastrzelić swojego męża, jakoś nigdy nie zebrałem się na odwagę, aby sprawdzić, co rzeczywiście dzieje się w jej piwnicy. Nie wiedziałem, co albo kogo jeszcze mógłbym tam znaleźć.

Erainia podała mi papierowy talerz z górą śródziemnomorskiego jedzenia. Był tak mocno owinięty folią spożywczą, że nie potrafiłem dokładnie określić, co się pod nią znajduje. Że jest to jedzenie, wiedziałem tylko

dlatego, że Erainia wręczała mi taki talerz za każdym razem, kiedy ją odwiedzałem. Niepewność, czy pozostanę jej pracownikiem, najwyraźniej nie wpłynęła na zmianę tego rytuału.

– W samą porę – powiedziałem. – Zacząłem się już obawiać, że w tym miesiącu będę musiał zrobić zakupy.

– Ech. – Machnęła ręką koło ucha, ale wykonała ten gest z taką apatią, jakby tego dnia nie potrafiła z siebie wykrzesać prawdziwych emocji. Miała na sobie czarną, wkładaną przez głowę bluzkę i czarne spodnie, co oznaczało, że była już wyszykowana na wieczór. Erainia rezygnuje z obcisłej sukienki tylko wtedy, kiedy wie, że czeka ją czołganie, bieganie albo włamywanie się.

– Same resztki. Kilka *kibbeh*. *Dolmades*. *Spanakopita*. Dodałam też *melitzanosalat*... czyli po twojemu pewnie sałatkę z bakłażana.

Pierwszym językiem Erainii był angielski, ale lubiła od czasu do czasu zapomnieć, jak przetłumaczyć jakieś słowo z greckiego. Twierdziła, że myślenie po grecku oczyszcza jej duszę.

Jem pobiegł do sypialni po adidas. Kiedy zniknął w głębi korytarza, Erainia zapytała:

– Podjąłeś już decyzję, złociutki? W sprawie pracy?

– Nadal się zastanawiam. Umówiłem się na rozmowę kwalifikacyjną. Posada na uniwersytecie.

Erainia skierowała na mnie swoje czarne oczy.

– Wydawało mi się, że nie potrafiłbyś znieść perspektywy pracy w zakurzonym gabinecie i w tweedowej marynarce.

– Może niepotrzebnie się tego obawiałem. Nikt mi nigdy nie zaoferował zakurzonego gabinetu i tweedowej marynarki.

Erainia machnęła ręką.

– Nie żeby mnie to obchodziło... nie żebym chciała cię tu z powrotem,

jeżeli miałbyś w nieodpowiedni sposób wykonywać pracę. Nie zamierzam stracić licencji tylko dlatego, że jesteś idiotą, złociutki.

– Sam Barrera rozmawiał z tobą od tego czasu?

– Nie wiem nic na temat spraw, które prowadzi Sam Barrera, nie wiem też nic na temat spraw, którymi zajmujesz się w wolnym czasie, rozumiesz?

– Jasne.

Erainia spojrzała gniewnie na ściereczkę do naczyń.

– Nie zamierzam też pozwolić, żeby ten *ouskemo* mówił mi, co mam robić. No i co z tego, że ma znajomych w różnych miejscach. Nie siedzę mu w kieszeni.

Skinąłem głową. Staliśmy w milczeniu, słuchając, jak Jem rzuca zabawkami i innymi ciężkimi przedmiotami w swoim pokoju, najwyraźniej szukając obuwia, które w odpowiedni sposób wyrażałoby jego gust.

– Przydałoby mi się trochę informacji na temat przeszłości niejakiego Tildena Sheckly’ego – powiedziałem. – Na temat transportów, które przechodzą przez jego tancbudę, zwłaszcza w kontekście jakichkolwiek powiązań z Europejczykami. Gdyby na przykład twoja znajoma w urzędzie celnym coś wiedziała... jak ma na imię?

– Corrie. Nie usłyszałam nic z tego, co mówiłeś.

Przyznałem jej rację.

Jem wrócił w fioletowych reebokach na nogach. Pokazał mi, jak światełka na piętach migają przy podskokach. Na twarz założył maskę duszka Kacperka; z otworów na uszy wystawały kępki czarnych włosów. Powiedziałem, że wygląda wspaniale.

Erainia zaczęła pakować torebkę, tymczasem Jem opowiadał mi, jak będzie wyglądało przebranie, które szykował na Halloween. Kostium bynajmniej nie miał mieć nic wspólnego z maską duszka Kacperka. Jem

poinformował mnie, za ile dokładnie godzin będzie szósta w niedzielę, kiedy wyjdzie zbierać cukierki. Następnie opowiedział mi o filmie, na który mnie zabierał – miała to być podobno historia o torbaczach, które zamieniają się w kosmicznych wojowników.

Erainia spakowała dyktafon, gaz łzawiący w sprayu, tradycyjnie paczkę gumy do żucia marki Chiclet w kolorze zielonym i pięć chusteczek higienicznych złożonych w trójkąty. Rozmyślała chwilę, pocierając kciukiem mały złoty kluczyk, który otwierał szafkę z bronią.

Podniosła wzrok i zdała sobie sprawę, że ją obserwuję. Jej spojrzenie stało się twarde niczym obsydian. Wpakowała klucze do torebki i zasunęła zamek.

– Dwie godziny wystarczą? – zapytałem.

Starąłem się zadać to pytanie mimochodem, jakbym niespecjalnie interesował się odpowiedzią. Erainia odpowiedziała tym samym tonem.

– Jasne, złociutki. Pewnie, że wystarczą.

Jem dał sobie spokój z wyjaśnianiem atutów torbaczy w przestrzeni kosmicznej. Wdrapał się z powrotem na krzesło przy blacie i zaczął kolorować rysunek przedstawiający Godzillę.

– Sprawa Longorii? – zapytałem.

Erainia zawahała się na tyle, że potwierdziła moje przypuszczenie.

– Nie masz się czym przejmować, złociutki. Nie zwracaj sobie tym głowy. Po prostu bez Jema będę mogła szybciej kilka rzeczy posprawdzać.

Jem narysował czerwoną aureolę wokół głowy Godzilli, koncentrując energię na końcówce markera z zawziętością nieosiągalną dla żadnego dorosłego.

– Erainia...

Przerwała mi spojrzeniem. Kiedy się odezwała, skierowała wzrok na czubek głowy Jema.

– Nie trać czasu na przejmowanie się nie tą osobą, co trzeba, złociutki. Opowiem ci wszystko dokładnie w przyszłym tygodniu, kiedy wrócisz do pracy.

Nie odpowiedziałem.

Erainia wymruczała coś po grecku, co zabrzmiało jak przysłowie. Westchnęła i założyła torebkę na ramię.

– Widzimy się tutaj o dziewiątej. Tylko nie jedzcie żadnych cholernych cukierków w kinie, dobra?

Jem skarżył się przez chwilę na ten zakaz, mówiąc, że zawsze dostaje dotsy i red vinesy, ale wiedział dobrze, że nie powinien przesadzać. W końcu zamknął buzię i zaakceptował nową, idiotycznie niesprawiedliwą zasadę wprowadzoną przez matkę. Wszyscy prędzej czy później uczyli się, że Erainii nie należy się sprzeciwiać.



Po kinie odstawiłem Jema do domu Erainii, po czym rzuciłem monetą: Compton czy Blanceagle. Skrycie miałem nadzieję, że moneta wyładuje na krawędzi i będę mógł wrócić do domu.

Wskazała na Blanceagle'a. Skierowałem się pod adres z jego prawa jazdy: Mecca 1600.

Ulica Mecca, podobnie jak miasto, od którego wzięła nazwę, to miejsce, które większość ludzi odwiedza raz w życiu, wyłącznie dzięki pomocy Allaha, i to po wielu udrękach. Kiedy już odnajdzie się tę ulicę, wiedzie ona bezsensownymi zakosami przez osiedle Hollywood Park, znikając i pojawiając się ponownie; biegnie wzdłuż nieistniejącego strumienia przez wzgórza po wewnętrznej stronie obwodnicy numer 1604.

Pojechałem drogą numer 281 na północ i kiedy tylko z niej zjechałem, zacząłem wznosić modły do Boga niczym pielgrzym zmierzający do Mekki, aby udało mi się w końcu znaleźć dom Alexa Blanceagle'a.

Od czasu mojego ostatniego pobytu w tej dzielnicy przed niemal dziesięciu laty Hollywood Park zdążyło się postarzeć. Udające rancza domy ciągnące się wzdłuż ulic wyglądały na nieco bardziej podniszczone, trawniki, w przeszłości usiane drzewami owocowymi, zostały w niektórych miejscach zastąpione przez chaszczę, jadłoszyny i kaktusy.

Nieskazitelny wizerunek zamożnego Gringolandu w większości kwartałów ustąpił miejsca widokom bliższym przyziemnej rzeczywistości: plastikowym wiatraczkom w ogródkach, werandom zastawionym trójkołowymi rowerkami, wiatrowskazom, tablicom z politycznymi hasłami, dyniom i

papierowym szkieletom.

Dom Blanceagle'a stał w jednym z elegantszych obszarów, gdzie przy domach znajdowały się miejsca do parkowania o powierzchni pół akra, drogie żeliwne skrzynki na listy i sporadycznie proste drewniane płoty. Budynek był dwukondygnacyjny, w połowie pobielony, w połowie wyłożony cedrowym sidingiem, odsunięty od drogi. Zaparkowałem przecznicę wcześniej przy Mecca, po czym przeszedłem, zabrawszy ze sobą plecak, przez wysypany żwirem podjazd w stronę frontowej werandy.

Na zewnątrz nie paliło się żadne światło. Słaba poświata wydobywała się zza zasłony na pierwszym piętrze; trochę mocniejsza z boku domu – może z kuchennego okna. Dopiero tuż przed wejściem na werandę zorientowałem się, że drzwi frontowe nie są pomalowane na czarno – były otwarte na oścież.

Stałem z boku werandy i odczekałem, aż moje oczy przywykną do ciemności. Potem wsunąłem się do środka i oparłem plecami o ścianę.

Typowo męski salon, oświetlony jedynie poświatą z korytarza po prawej stronie i ze schodów po lewej. W pomieszczeniu znajdowały się dwa duże fotele i niepasująca do nich sofa – wszystko brzydkie i нефunkcjonalne. Duży telewizor i szafka na zestaw stereo. Regał na książki był wypełniony głównie płytami CD poustawianymi na ukos. W kącie barek. Przesuwane drzwi prowadzące na werandę z tyłu domu. W pomieszczeniu unosiła się ponadto dziwaczna mieszanina zapachów, która ani trochę mi się nie podobała – starego dymu papierosowego, pleśni i martwego szczura.

Zacząłem nasłuchiwać. Z głębi korytarza, na którego końcu znajdowała się kuchnia, dobiegały stłumione brzęknięcia.

Powinienem był od razu stamtąd wyjść.

Tymczasem ruszyłem korytarzem i wszedłem do kuchni, gdzie znalazłem się dokładnie na linii ognia Sama Barrery, kierownika regionalnego

przedstawicielstwa I-Tech Security and Investigations. Siedział za drewnianym stołem, na którym stała wielka miska płatków kukurydzianych. W rękę trzymał małą dwudziestkędwójkę, którą wycelował dokładnie w miejsce, gdzie moja głowa wsunęła się przez drzwi. Na jego twarzy nie pojawił się na mój widok nawet cień zaskoczenia. Odłożył łyżkę i otarł ściekającą po brodzie kropelkę mleka.

- Rzuć plecak na ziemię. Wejdź do środka i zbliż się do stołu.
- Cześć, Sam. Miło cię widzieć.

Wykonałem jego polecenia. Bardzo powoli. Z gościem, który przez szesnaście lat był agentem specjalnym FBI, lepiej nie ryzykować. Sam wyszedł zza stołu i obszukał mnie. Jak zwykle pachniał wodą kolońską Aramis.

Wziął mój portfel. Słyszałem, jak grzebie w plecaku. Wysypał jego zawartość na blat, po czym usiadł z powrotem za stołem. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że płatki kukurydziane nie przestały nawet chrzęścić w misce.

- Spójrz na mnie – rozkazał.

Odwróciłem się.

Sam miał na sobie grafitowy trzyczęściowy garnitur i ceglasty krawat. Złote pierścionki na prawej ręce czyniły ją niemal zbyt masywną, aby mogła trzymać dwudziestkędwójkę. Standardowo zmarszczył brwi i utkwiał we mnie twarde, szkliste spojrzenie.

Wziął do ręki zwitek banknotów, które dostałem od Mila Chaveza, i pokazał mi go. Następnie zdjęcie Lesa Saint-Pierre'a. A potem wizytówkę agencji Erainii Manos.

Czekał na wyjaśnienia.

- Mnie również zżera ciekawość – powiedziałem. – Natknęcie się na

korporacyjnego chuja w czyjejs kuchni, pałaszującego łyżką mleko z płatkami kukurydzianymi i trzymającego dwudziestkędwójkę... Nieczęsto się spotyka taki widok.

– Byłem głodny. Pan Blanceagle nie będzie już ich potrzebował.

Spojrzałem na sufit. Zapach martwego szczura był w kuchni słabszy, ale nadal wyczuwalny. W końcu uświadomiłem sobie jego źródło – uświadomiłem je sobie całym ciałem.

Nie wiem, dlaczego czasami skręcają mi się bebechy, a czasami nie. Już z dziesięć razy widziałem zwłoki. Na moich oczach zginęły dwie osoby. Zazwyczaj reakcja przychodzi później, w środku nocy, pod prysznicem. Tym razem – mimo że nie widziałem Blanceagle'a, mimo że spotkałem go tylko raz – w mojej piersi coś osunęło się z takim impetem, jakby stoczyło się do zapadni. Myśl, że biedak leży na górze martwy, że jest to ten sam gość, którego spotkałem w studiu Sheckly'ego w stanie strasznego zanieczyszczenia, żalnego upodlenia i bezradności, który wyświadczył mi drobną przysługę, mówiąc, że jestem muzykiem, co pozwoliło mi spokojnie opuścić pomieszczenie – myśl, że został z niego tylko szczurzy smród, podziałała na mnie naprawdę przygnębiająco.

Wstyd, biorąc pod uwagę, że stało się to w obecności Sama Barrery. Musiałem przełknąć kilka razy ślinę i przycisnąć dłonie do chropowatej ściany za moimi plecami.

– Na górze?

Barrera skinął głową.

– Dwa dni temu – domyśliłem się. – Zastrzelony z beretty.

Barrera wpatrywał się we mnie, lekko zbity z tropu moimi domysłami.

– No widzisz? – powiedziałem. – Zrezygnowałeś z nie lada podopiecznego.

– Jakoś to przeżyję. Idź sobie obejrzeć. Zaczekam.

Było to niemal łatwiejsze od pozostania w kuchni. Przynajmniej gdybym zwymiotował na piętrze, nie zrobiłbym tego na oczach Barrery.

Na schodach moje nogi wydawały się cięższe niż zwykle.

Oddychałem tak płytko, jak to tylko możliwe, ale na nic się to nie zdawało. Po dwóch dniach w chłodnym domu smród nie powinien być taki słodki. Mimo to z każdym wdechem wydawał się paskudniejszy.

Alex leżał twarzą w dół na szerokim łóżku. Miał na sobie te same ubrania, co w Indian Paintbrush. Lewą rękę i nogę miał wyciągnięte, a prawe zwinięte pod ciało, przez co wyglądał, jakby wspinał się na skałkach. Pościel była w nieładzie, co pasowało do zajmowanej przez niego pozycji; w prawej ręce ścisnął kawałek materiału. Wilgoć wlepiła jego twarz w narzutę. Dookoła latały muchy.

Stałem w drzwiach dłużej czas, zanim namówiłem stopy do współpracy. Zmusiłem się, żeby podejść bliżej i obejrzeć rany wlotowe. Znalazłem dwie. Jedną idealnie okrągłą u góry beżowej wiatrówki – tu strzał padł z jakichś trzech metrów. Drugą na skroni, z poszarpaną, rozłazącą się krawędzią – w tym wypadku strzelano z bardzo bliskiej odległości. Trudno było to stwierdzić bez zdjęcia ubrania i obejrzenia plam opadowych, ale byłem w zasadzie pewien, że ciało nie zostało przeniesione. Wszedł do sypialni, ktoś podązał za nim. Strzelili mu w plecy. Padł do przodu na łóżko. Podeszli i dokończyli robotę. Proste.

Reszta pokoju wydawała się rozmyta, zupełnie jakby całe światło zakrzywiało się w stronę zwłok. Próbowałem skoncentrować wzrok na nocnym stoliku, na komodzie, obejrzeć wszystko, niczego nie dotykając.

Na komodzie leżało wypełnione listami pudełko po butach. Odniosłem wrażenie, że ktoś dokładnie je przejrzał. Szuflady były otwarte. Przez górną

przewieszono parę gumowych rękawiczek, a krzesło stało odsunięte, zupełnie jakby ktoś właśnie z niego wstał. Robota Sama Barrery, niedokończona. Może nawet Barrerę przeszły ciarki, kiedy siedział sam w ciemnym domu i przeglądał korespondencję martwego mężczyzny, który leżał tuż obok na łóżku. Może nawet Barrera podczas tego rodzaju roboty musiał sobie zrobić przerwę na płatki kukurydziane.

Nie zwymiotowałem. Udało mi się w jakiś sposób zejść po schodach i wrócić do kuchni, gdzie Barrera nadal zajmował się jedzeniem, trzymając w wolnej ręce opartą o blat dwudziestkędwójkę.

– Mogę usiąść? – zapytałem.

Barrera przyjrzał się uważnie mojej twarzy. Może dostrzegł, że cienko przedłem. Machnął pistoletem w kierunku krzesła naprzeciw niego.

Usiadłem i wziąłem kilka głębszych oddechów.

– Rozumiem, że nie zadzwoniłeś na policję.

Sam nadstawił lekko prawe ucho, jakby Bóg coś mu do niego wyszeptał.

– Blanceagle nie żyje od dwóch dni. Nic się nie stanie, jeśli zaczeka jeszcze kilka godzin. Zapytam cię teraz o to samo, o co zapytałem Erainię: dlaczego interesuje was Blanceagle? Dlaczego interesuje was Les Saint-Pierre?

Wpatrywałem się w miskę z płatkami Barrery, w złote tarcze unoszące się w białym płynie. Mój żołądek wykonał salto.

– Zjedz trochę – poradził Barrera. – Poczujesz się lepiej. Produkty z kukurydzy są zdrowe.

– Dzięki. Erainia nie interesuje się Blanceagle'em. Robię to na własną rękę.

– Na własną rękę – powtórzył.

– Zgadza się.

– Bez licencji.

Przytaknąłem. Sam przekrzywił głowę i zrobił kwaśną minę, zupełnie jakby potwierdzone zostały jego najgorsze przypuszczenia dotyczące ludzkiej natury.

– Powiedz mi wszystko – rozkazał.

– A potem?

– A potem zobaczymy.

Podąłem mu podstawowe fakty. Sam zadał kilka pytań – jak wyglądał Jean, co dokładnie Les Saint-Pierre powiedział Milowi Chavezowi w sprawie swojego planu zmuszenia Tildena Sheckly’ego do współpracy. Dwukrotnie nabrał garść kornfleksów z pudełka i schrupał je jeden po drugim.

Kiedy skończyłem mówić, oświadczył:

– Rozmawiałem już z komisarzem Schaefferem z policji San Antonio. Porozmawiam z policją z Hollywood Park. Nie było cię tu dzisiaj. Od tej pory nie badasz więcej tej sprawy.

– Tak po prostu.

– Powiedz panu Chavezowi, że będzie musiał zapewnić swoim artystom najlepszą opiekę, na jaką go stać. Powiedz mu, że Les Saint-Pierre prawdopodobnie prędzej czy później się pojawi i że na ile udało ci się ustalić, Tilden Sheckly nie przedstawia żadnego problemu.

– Oraz że Święty Mikołaj przyniesie mu trójkołowy rowerek pod choinkę.

Barrera skarcił mnie wzrokiem. Poruszył palcami; złote pierścionki otarły się o siebie, wydając odgłos pocieranych muszelek.

– Sprawa tej piosenkarki Mirandy Daniels – ciągnął – jest całkowicie poboczna. Zapomnij o tym. Jeżeli sądzisz, że ma to cokolwiek wspólnego ze zniknięciem Saint-Pierre’a, jeśli myślisz, że ktoś taki jak Tilden Sheckly marnowałby swój czas na mordowanie ludzi z powodu kontraktu na płytę...

– Przerwał. – Nie masz pojęcia, w co wdepnąłeś, Navarre. Mówię ci, żebyś się z tego wycofał.

– Przez Indian Paintbrush przechodzą jakieś transporty – powiedziałem. – Z Niemiec. Duże, ciężkie cylindry. Blanceagle powiedział, że trwa to od sześciu lat. Les Saint-Pierre dowiedział się o tym od Julie Kearnes, która prawdopodobnie dowiedziała się od Alexa Blanceagle’a. Les zagroził, że ujawni sprawę, aby odwieść Sheckly’ego od wysuwania roszczeń wobec Mirandy Daniels. I się przeliczył albo co do znaczenia informacji, albo co do brutalności, z jaką Sheck był gotów zareagować. Les zniknął, a dwie osoby, które pomogły mu w zdobyciu tej informacji, nie żyją. Jak mi idzie?

– Kiepsko – powiedział Barrera. – Stul pysk.

– Rozmawiałeś z Alexem Blanceagle’em co najmniej raz. Powiedział mi, że jakiś detektyw węszył po Indian Paintbrush. W sobotę wieczorem byłeś w Austin i po tym, jak zwinąłem się z punktu obserwacyjnego przed domem Julie, wszedłeś do środka. Sprzeczaliście się. Wtedy nie poszła na współpracę; wygoniła cię z domu, grożąc pistoletem. W niedzielę wieczorem po moim najściu, a może dodatkowo po jakichś telefonach od ludzi Shecka, była na tyle wystraszona, że umówiła się z tobą w San Antonio. Sheck w jakiś sposób się o tym dowiedział. Julie nadal ci nie ufała, więc zabrała broń i niczego nie zapisała. Przyjechała na miejsce spotkania trochę za wcześnie albo ty zjawiłeś się za późno, a ona zarobiła kulkę w łeb. Dotarłeś na miejsce, zobaczyłeś policję i uznałeś, że najbezpieczniej będzie się nie zatrzymywać i dopiero później ustalić, co się wydarzyło. Dla kogo pracujesz, Sam? Co takiego ukrywa Sheckly, że warto z tego powodu zabić kilka osób?

Barrera podniósł się powoli i spojrzał na swój złoty zegarek.

– Zbieraj swoje rzeczy. Wracaj do domu i się stamtąd nie ruszaj. Ja zgłoszę sprawę.

– Masz pięciu stałych pracowników w biurze w San Antonio, a w regionie z piętnastu. Masz tuzin klientów z poziomu krajowego zlecających ci śledztwa. Jeżeli siedzisz w salonie Blanceagle’a, robisz wycieczki do Austin, żeby osobiście posprzeczać się z Julie Kearnes, to musi chodzić o coś dużego. Coś, co być może zlecili ci dawni koledzy z FBI.

– Możesz wybrać rozwiązanie, które zasugerowałem, albo mogę cię przekazać jednej z zaangażowanych w sprawę agencji.

– Jednej z agencji?

– Ludziom, którzy funkcjonują na nieosiągalnym dla ciebie poziomie, Navarre. Mogliby cię uciszyć na trwałe. Mieliby również kilka pytań do Erainii Manos na temat trybu, w jakim działasz. Jej licencja mogłaby zostać cofnięta, a ty miałbyś pewność, że twój wniosek nigdy nie zostanie rozpatrzony. I to jeszcze zanim sprowadzilibyśmy prokuratora okręgowego.

– Byłbyś aż takim draniem?

Sam posłał mi pozbawione wyrazu spojrzenie. Nie zawierało ukrytej groźby. Był to zwykły test wielokrotnego wyboru.

– No dobrze. – Zacząłem zbierać ze stołu pieniądze, wytrychy, zdjęcia i dokumenty. Wepchnąłem je wszystkie do plecaka. Palce odmawiały mi posłuszeństwa. Żołądek nadal się burzył.

Sam Barrera patrzył, jak zapinam plecak. Przesadziłem, mówiąc, że się odprężył, ale z jego oczu zniknęło częściowo napięcie. Wsunął pistolet za pasek, pod kurtkę. Przechylił głowę na bok i naciągnął mięśnie szyi. Mała czarna kępka włosów na czubku jego głowy zaśniła w świetle lampy.

– Mówisz, że od sześciu lat – powiedział. – To by się zgadzało. Pewnego dnia może pokażę ci dokumentację moich spraw. Zobaczysz, jak się prowadzi prawdziwe śledztwo. Może zdołam ci wytłumaczyć, jak to jest, kiedy człowiek gromadzi informacje i dokumenty, po czym odkrywa, że

informator, którego próbował namówić do zeznań, znika, a inny zostaje postrzelony w głowę w dniu, kiedy mieliście porozmawiać. A potem do akcji wkracza ktoś taki jak ty i zachowuje się tak, jakby panował nad sytuacją. Nie pomagasz Erainii, drążąc tę sprawę, chłopcze. Nie pomagasz sobie. Wracaj do domu.

Podniosłem plecak i niepewnie wstałem.

– Aha, Navarre... – ciągnął Sam. – Niczego nie znalazłeś. Niczego, co mogłoby wskazywać miejsce pobytu Lesa Saint-Pierre'a. Żadnych papierów, których nie potrafisz wyjaśnić.

Dopiero po chwili zorientowałem się, że było to raczej pytanie niż kolejne polecenie. Wpatrywałem się w niego tak długo, aż uznał za stosowne dodać:

– Saint-Pierre miał mi przekazać pewne informacje. Nie było ich na górze w pokoju Blanceagle'a ani w domu Julie Kearnes.

Pokręciłem głową. Jedynym elementem historii, o którym nie opowiedziałem Barrerze, były akta osobowe, a one nie nadawały się do szantażowania nikogo. Uznałem, że warto je przemilczeć i tym samym w żałośnie mizerny sposób zemścić się na Barrerze.

– Nic – odparłem. – Nie znalazłem niczego. Było dokładnie tak, jak sądziłeś, Sam.

Przyjrzał się uważnie mojej twarzy, po czym skinął głową. Kiedy wychodziłem, rozmawiał już przez telefon z policją z Hollywood Park, wyjaśniając dokładnie, w jaki sposób ma się zająć sprawą.



Zielony jeep cherokee Mila zatrąbił na moim podjeździe o dziesiątej w piątkowy poranek.

Otworzyłem drzwi po stronie pasażera i powiedziałem:

– Oczom nie wierzę. Ona żyje.

Siedząca na fotelu bassetka Sassy ziewnęła. Jej język zwinął się w długą rynienkę z szynki. Przeciągnęła się lekko na przednich łapach i prychnęła. Może była to forma przyjaznego powitania. A może przeżywała właśnie psi zawał serca.

– Ile ty masz lat? – zapytałem. – Zawarłaś pakt z diabłem?

Sassy dyszała. Odwróciła głowę w lewo, próbując zobaczyć mnie mętym od zaćmy okiem. W miejscu gdzie powinno się znajdować drugie oko, widniał obwisły kanion szarego zeskorupiałego futra.

– Sassy zupełnie nieźle się trzyma – przyznał Milo. – Zrobił jej się ropień, który muszę drenować raz w tygodniu.

Pokazał mi jedwabiste ucho Sassy, z którego normalnie można byłoby wykonać wkładkę do buta o rozmiarze czterdzieści cztery. Dziś wyglądało, jakby ktoś wszył w nie żarówkę. Kiedy Milo oglądał ropień, Sassy nie przestawała szczerzyć radośnie zębów i dyszeć. Przechyliła głowę na bok, jakby usłyszała wołanie, ale nie potrafiła określić, z której strony dobiega.

Uważałem Sassy za starego psa, kiedy osiem lat temu wykradliśmy ją w Berkeley byłemu właścicielowi, który się nad nią znęcał. Teraz musiała dobijać do dwudziestki. W psich latach żyła od wojny secesyjnej.

Przeniesienie jej na tylne siedzenie nie było łatwe. Wyobraźcie sobie

worek kul do gry w kręgle z krótkimi nóżkami i nieprzyjemnym oddechem. Kiedy wreszcie ruszyliśmy, Milo otworzył dla niej paczkę wyjątkowo miękkich ciastek dla starszych psów, a dla nas piwo. Rozlał je do kubków po kawie.

Zjechaliśmy z obwodnicy numer 410 na Broadway i skierowaliśmy się na południe, przysłuchując się odgłosom wydawanym przez przeżuwającą Sassy. Większa część każdego z ciastek wypadła jej bokiem pyska, mimo to pożerała je z wielkim apetytem.

Podąłem Milowi zapisaną na maszynie kartkę.

Przyjrzał się jej na tyle, na ile mógł, nie rozlewając piwa i nie wjeżdżając do rowu.

– A to jest...

– Mój pierwszy raport.

Zmarszczył brwi.

– Twój raport? Mam ci za to dodatkowo zapłacić?

– Erainia Manos próbuje mi wpoić kilka paskudnych nawyków: postępowanie zgodne z procedurami, sporządzanie codziennych raportów dla klientów, tego typu sprawy.

Oddał mi kartkę.

– Wolę wersję audio.

Opowiedziałem mu o zamordowaniu Alexa Blanceagle'a. Potem powtórzyłem, w jaki sposób Samuel Barrera poinstruował mnie, co mam powiedzieć Milowi, aby wymiksować się z dalszego śledztwa. Sassy sprawiała wrażenie zainteresowanej. Co chwilę wsadzała nos między nasze fotele, wsypując mi resztki ciastek do piwa.

Kiedy skończyłem, Milo zapytał:

– A według ciebie Les zniknął z własnej inicjatywy?

– Uważam to za bardzo prawdopodobne. Myślę, że wykorzystywał Julie Kearnes na więcej sposobów. Namówił ją do wykradzenia danych osobowych z firm, w których wykonywała dorywcze prace, prawdopodobnie wciskając jej, że uciekną razem. Przyniósł nawet do jej domu walizkę jako akt dobrej woli. Potem ją rzucił.

– A ona nie mogła nikomu nic powiedzieć. Dlaczego?

– Nie mogła się przecież chwalić tym, że pomagała Lesowi szantażować Sheckly’ego. Może nie gasła w niej nadzieja, że Les po nią wróci. A może zwyczajnie nie chciała się przyznać, że została zrobiona w konia.

– Ale nie jesteś pewien żadnej z tych rzeczy.

– Właśnie dlatego chciałbym się rozejrzeć po domu Lesa.

– Wiesz, jaki jest Sheckly, Navarre. Alex Blanceagle nie żyje. Nie trzeba być geniuszem, żeby wymyślić, jaki los spotkał Lesa.

Przejechaliśmy kilka przecznic w milczeniu.

Milo mógł mieć rację. Myśl, że szef nie zostawił go świadomie z furą kłopotów na głowie, musiała być łatwiejsza do zniesienia. Również dla mnie znacznie łatwiejsze byłoby przyjęcie założenia, że Les Saint-Pierre to kolejne zwłoki, które trzeba odszukać. Zwłoki się nie przemieszczają.

Gdyby się jednak okazało, że Les Saint-Pierre stworzył sobie nową tożsamość dzięki pomocy Julie Kearnes, istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że uda nam się go odnaleźć – i to nawet gdybyśmy pracowali z Kelly Arguello na dwie zmiany. W zasadzie niemożliwe było namierzenie go do następnego piątku, kiedy taśma demo Mirandy miała trafić do Century Records. Gdyby Sheckly nadal próbował zrealizować swoje fikcyjne prawo pierwokupu, Milo nie miałby sposobu, żeby mu się skutecznie przeciwstawić. Miranda wróciłaby do stajni Shecka i prędzej czy później zamieniłaby się w kolejną przebrzmiałą gwiazdę.

– Nie posłuchasz rady tego Barrery i nie zrezygnujesz z zajmowania się tą sprawą – zawyrokował Milo.

– Nie, nie posłucham.

– Mimo że możesz mieć z tego powodu kłopoty. Ty i twoja szefowa. Dlaczego?

Nie miałem przygotowanej odpowiedzi. Rzuciłem kolejne ciastko na tylne siedzenie, z nadzieją że nos Sassy zdoła je wysledzić. Nie udało się.

Obracałem kubek po kawie na udzie i obserwowałem przez okno ulicę Broadway – zamknięty Whopper Burger, Witte Museum, sklep z kostiumami.

– Może nie spodobało mi się to, że Barrera nazwał problem Mirandy poboczną sprawą. Może nie spodobało mi się, że niektórzy ludzie lądują pod kołami, a Barrera traktuje ich jak pozbawione znaczenia trybiki w wielkiej maszynie. Jakaś korporacja płaci mu pięcio- albo sześciocyfrową gażę za naprawienie dla niej sytuacji, co do tego nie mam wątpliwości. Wciąż myślę o Julie Kearnes i Alexie Blanceagle’u, i o tym że wiele innych osób zginie, zanim Barrera uzna, że jego interwencja opłaci się finansowo jego klientowi.

Milo skinął głową.

– Nie stać mnie na pięcio- albo sześciocyfrową gażę.

– Piwo i kubki po kawie też się liczą.

Milo skręcił w prawo, w Hildebrand. Obracał kierownicę obszernymi ruchami, jakby sterował łodzią. Musiał się pochylać, żeby widzieć coś przez szybę dostosowaną do normalnej wielkości kierowców.

– Wiesz, że on nie ma racji.

– Kto?

– Barrera. Nie ma racji, że nie nadajesz się do takiej roboty.

Spojrzałem na niego.

– Znajdywania zwłok? Poświęcania większej części dnia na grzebanie po aktach w lokalnych sądach albo uchylania się przed zatraskującymi mi się przed nosem drzwiami? Naprawdę myślisz, że branża, w którą mnie wciągnąłeś, jest łatwa, Milo? Od siedmiu lat doświadczam czegoś podobnego jak żołnierze na froncie: godziny nudy poprzątkane kilkusekundowymi spiętrzeniami grozy. To zaczyna być wkurzające, jeżeli tak wygląda każdy kolejny dzień.

Milo uśmiechnął się z żalem. Pokręcił głową.

– Sam się oszukujesz, stary. Jak się nazywa ta sztuka walki, którą uprawiasz...? Tai-chi, prawda?

– No i?

– Najwolniejszy styl, jaki istnieje. Styl, który doprowadza większość ludzi do szaleństwa, przekraczając ich cierpliwość. A co studiowałeś na Uniwersytecie Kalifornijskim? Średniowiecze?

– No i?

– Nic dziwnego. Jesteś średniowieczny do szpiku kości, Tres. W dawnych czasach ślęczałbyś siedemnaście godzin nad iluminowanym manuskrytem albo przez dwanaście godzin wciskał się w zbroję na potrzeby trzysekundowego pojedynku na kopie. Taką masz naturę, Navarre. Gdyby osiągnięcie celu nie było trudne, nie sprawiałoby ci przyjemności.

– Coś mi się zdaje, że zostałem właśnie nazwany idiotą.

Kącik ust Mila drgnął w górę.

Przejechaliśmy nad autostradą McAllister, minęliśmy Trinity University i wjechaliśmy do Monte Vista. Milo skręcił w lewo, w Main.

– Twój ojciec wciąż tu mieszka? – zapytałem.

Skinął głową.

– W zeszłym roku został obwołany Reyem Feo na Fieście. Strasznie go to

podrajcowało.

Próbowałem sobie przypomnieć, w jakiej branży działał ojciec Mila. Chyba był właścicielem sklepów z częściami samochodowymi.

Postukałem w mały obrazek Matki Bożej z Guadalupe, który Milo przykleił do deski rozdzielczej.

– Widzę, że starsi ściągnęli cię w końcu z powrotem do Kościoła?

– Hę? Nie do końca. Matka Boża jest tu z powodów zawodowych.

– Słucham?

Milo pokręcił ze smutkiem głową.

– Nie opowiadałem ci nigdy, dlaczego Les mnie zatrudnił?

– Ponieważ reprezentowałeś go jako prawnik?

– Nie. To była dodatkowa korzyść, ale nie główny powód. Les chciał wejść na rynek muzyki Tejano. W końcu udało mi się go przekonać, żeby porzucił ten pomysł i oddał mi Mirandę Daniels, ale przez jakiś czas jeździłem po mieście, próbując podpisywać kontrakty z muzykami, którym marzyło się, że zostaną następną Seleną.

– Wiedziałeś coś na temat muzyki Tejano? – zdziwiłem się.

Milo uszczypnął się w przedramię. To tyle w kwestii wyjaśnienia.

– A potencjalni klienci lubili Matkę Boską?

Milo wzruszył ramionami i spojrzał na Matkę Boską z Guadalupe, jakby była inwestycją, która jego zdaniem nie zdążyła się jeszcze całkowicie zwrócić.

– Niektórzy. Uspokajała ich, dawała punkt odniesienia. Wystarczało, że im podpadałem, mówiąc do nich po angielsku.

Skinąłem głową. Kilka razy rozmawiałem z Milem po hiszpańsku i wiedziałem, że nie czuł się w tym języku równie pewnie jak ja. Wielu Latynosów musiało uważać nieumiejętność płynnego posługiwania się przez

Mila hiszpańskim za zniewagę. Za kulturową lobotomię. Wyobraziłem sobie szeroki uśmiech Ralpa Arguella.

– Nie mógł to być jedyny powód, dla którego Les cię zatrudnił – stwierdziłem.

Milo zrobił kwaśną minę.

– Nie. Nie był to jedyny powód. Les potrzebował również kogoś nowego, ponieważ zmusił właśnie poprzedniego współpracownika do odejścia. Nie potrafili dojść do porozumienia w sprawie decyzji biznesowych.

– A kto był tym poprzednim współpracownikiem?

– Allison Saint-Pierre.

Z niewiadomego dla mnie powodu Sassy szczerknęła, warknęła, po czym wróciła do zajadania się ciastkami. Może Milo nauczył ją tej reakcji.

– To tak *à propos* tego, jaką byli szczęśliwą parą – dodał Milo.

Zatrzymaliśmy się przed otynkowaną na biało rezydencją Saint-Pierre'ów.

Na podjeździe nie stało żadne auto, ale przy chodniku zobaczyłem brązowo-białego pikapa Brenta Daniela z przyczepą do transportu koni.

Milo skrzywił się na widok samochodu.

– Po cholere miałby zrobić coś takiego?

– Co?

– Brent przywiózł tu sprzęt. Co za głupota.

– Może...

Nie zdążyłem dokończyć, kiedy Milo zaczął kręcić głową.

– O tej porze dnia nie powinno tu być nikogo może poza sprzątaczkami. Chodź.

– Ale...

Milo zdążył już wysiąść z samochodu. Sassy potrzebowała pomocy w zejściu na ziemię, ale potem podreptała za nim w całkiem przyzwoitym

tempie.

Chavez wyjął klucz do drzwi wejściowych. Zakładając, że nikogo nie ma w środku, przekręcił zamek. To był błąd.

Drzwi wejściowe prowadziły prosto do salonu wielkości małego prezbiterium. Białe ściany były ozdobione kolumnadą okien poprzedzielanych tkaninami ściennymi z meksykańskiego stanu Oaxaca, z których każda musiała być wynikiem roku pracy jakiejś wioski. Przy jednej ścianie znajdował się zbudowany z cegieł kominek, a przy drugiej pełnowymiarowy bar. Trzy białe sofy ustawione przed kominkiem zajęłyby większą część normalnego salonu, ale tu wydawały się śmiesznie małe, jakby stłoczyły się w kącie terakotowego pustkowie. W pozostałej części pomieszczenia rozstawiono w pozornie przypadkowych miejscach cokoły z dziełami sztuki – coś z rzemiosła ludowego, rzeźba z brązu, kilka ceramicznych waz. Wszystko cenne, ale bez jakiegokolwiek związku z resztą.

Na skraju najbliższej białej sofy znajdowały się dwie osoby, ale zanim mój mózg zdążył przetworzyć ten widok, Brent Daniels poderwał się i zaczął poprawiać kraciastą koszulę i dżinsy.

W rezultacie na krawędzi sofy pozostała tylko Allison Saint-Pierre, która leniwie zaciągała pasek białego frotowego szlafroka.

Włosy miała w nieładzie, twarz pokrytą pięknym pąsem, jakby wyszła właśnie z ożywczej kąpieli w lodowatej wodzie.

– Kochany – zwróciła się do mnie. – Wypadałoby chyba zapukać.



Allison wyjęła papierosa z tekowego pudełka, które leżało na stoliku kawowym. Zapaliła go ceramiczną zapalniczką w kształcie strusia (płomień wydobywał się z dzioba), a następnie chwyciła papierosa wszystkimi pięcioma palcami, jakby to było cygaro.

Siedzieliśmy wokół kominka na wielkich białych sofach. Milo skrzyżował ręce na piersi i spoglądał gniewnie na Allison. Ja przyglądałem się drobinkom pływającym w mrożonej herbacie, którą chwilę wcześniej nałala nam służąca. Sassy drzemała zadowolona z głową zwisającą z sofy i zadem na kolanach Mila; ogonem chłostała raz po raz jego brzuch. Brent Daniels spoglądał z niepokojem na swój rozporek, który, jak sobie pewnie dopiero teraz uświadomił, był do połowy rozpięty.

– Cóż za wspaniałe spotkanie – stwierdziła Allison.

Jeżeli siedzenie w rozchełstany szlafroku w towarzystwie trzech mężczyzn i baseta w jakikolwiek sposób ją krępowało, niewątpliwie potrafiła to znakomicie zamaskować. Lewą stopę założyła za prawe kolano, następnie podjęła nieprzekonującą próbę naciągnięcia poły szlafroka z powrotem na udo, pomagając sobie dnem szklanki z mrożoną herbatą. Było to całkiem ładne udo.

Obok niej na kanapie leżała złożona na pół gazeta. Widziałem połowę nagłówka: „DANIELS MA” oraz połowę zdjęcia Mirandy. Allison dostrzegła moje spojrzenie.

– Czytałeś już? – zapytała.

Kiedy pokręciłem głową, zerknęła na Mila, kierując do niego milcząco to

samo pytanie. Wydawało się, że dopiero teraz zauważyła jego obecność.

– Widziałem – mruknął Milo.

Popatrzyłem na niego w nadziei na wyjaśnienie. Nie odwzajemnił spojrzenia.

Allison posłała mi szeroki uśmiech.

– Robi się coraz bardziej gorąco, kochany. To „Recording Industry Times” z dzisiejszego poranka. Wydrukowali ładny artykuł o Mirandzie. Dowiedzieli się, że jej demo ma trafić w przyszłym tygodniu do Century Records. Jeden z ich recenzentów widział w zeszłym tygodniu jej występ i pisze, że jeśli taśma demo będzie choćby w połowie tak dobra jak koncert, Miranda Daniels zostanie kolejną gwiazdą z Century Records, która zawojuje listy przebojów. Taki artykuł fajnie podkreśla atmosferę i pomaga w negocjowaniu warunków kontraktu. Kolejne zwycięstwo Lesa Saint-Pierre’a.

Jej oczy zalśniły z rozbawienia. W przeciwieństwie do oczu Mila. Brent poruszył się z zażenowaniem ze wzrokiem utkwionym w rozporoku.

Allison mówiła dalej, nie przejmując się niczym.

– Gdybyśmy byli mądrzy, wykorzystalibyśmy to do podkreślenia warunków umowy. Brent mógłby dostać więcej niż pięćdziesiąt procent wpływów za prawa autorskie do piosenek, podpisalibyśmy kontrakt od razu na kilka płyt. A zresztą do diabła z Lesem. Sami lepiej sobie poradzimy.

– My? – Milo podrapał Sassy koło ogona. – Wracasz do menedżerki, Allison?

Uśmiech nie schodził z jej twarzy. Uniosła mały palec, ponieważ papieros zdążył się częściowo wypalić, ale w geście tym nie było żadnej gracji.

– To zależy.

Milo popijał małymi łykami herbatę.

– No nie wiem, nie wiem. Myślisz, że agencję będzie na to stać? Jeśli

zacziesz pobierać prowizje również poza sypialnią?

Twarz Allison stężała. Kobieta pokręciła głową, jakby zadała sobie w myślach jakieś pytanie i odpowiedziała na nie przecząco.

– Jesteś strasznym dupkiem, Chavez.

Milo podziękował skinieniem głowy.

– Brent? – Allison rozciągnęła jego imię, zmieniając ton głosu z powrotem na czuły, jakby miała zamiar poprosić go o jakąś wielką przysługę.

Braciszek Daniels spojrział na Allison. Machnęła papierosem w stronę drzwi wejściowych. Ładnie się uśmiechnęła.

Brent zmarszczył brwi. Z ociąganiem podniósł rękę z oparcia sofy, wstał i zapiął spodnie. Spojrział na mnie takim wzrokiem, jakby chciał coś powiedzieć.

– Do zobaczenia, kochany – odprawiła go Allison. – Jeszcze raz wielkie dzięki.

Brent zamknął usta, przegrał bardzo krótką wymianę spojrzeń z Allison i wyszedł. Allison spojrzała na mnie wyzywająco. Nie odezwałem się ani słowem.

– Spędziłam trochę czasu u przyjaciół w Austin – wyjaśniła. – Pomyślałam, że wrócę do miasta z powodu dzisiejszego przyjęcia u Mirandy i w ogóle. Brent był na tyle miły, że mnie podwiózł.

– A... aha – powiedział Milo.

Allison bardzo powoli odstawiła szklankę.

– Masz na ten temat coś do powiedzenia, Chavez?

– Niepotrzebnie jesteś taka przewrażliwiona w tej kwestii, kochana. Les z pewnością nie byłby zaskoczony. Przecież nie pierwszy raz próbujesz wejść ważnemu klientowi do kieszeni przez łóżko.

Allison wstała i upuściła papierosa. Zrobiła dwa bardzo szybkie kroki w

stronę Mila, po czym rzuciła się na niego. Sassy wyslizgnęła się pomiędzy nich jak parówka wyskakująca ze ściśniętej bułki. Szklanka z herbatą Mila spadła z sofy i roztrzaskała się o płytki na podłodze.

Zanim zdałem sobie sprawę, z jaką zaciekłością Allison okłada Mila, było już za późno. Chavez z największym trudem zdołał w końcu chwycić Allison za oba nadgarstki i odepchnąć na bok, na podłogę, niemniej w tym krótkim czasie zdążyła mu wyrządzić sporą krzywdę.

Pod prawym okiem miał czerwony obrzęk w kształcie pięści i drugi na skroni. Paznokcie Allison wyżłobiły dwie przerywane krwawe linie na jego szyi. Jasnoniebieska koszula Mila była pomięta i zachlapana herbatą.

Allison z lekkim trudem usiadła na podłodze. Jakimś cudem udało jej się nie wylądować na żadnym z kawałków rozbitej szklanki. Poły szlafroka rozsunęły się na boki, odsłaniając opaloną, delikatnie piegowatą skórę między piersiami. Odgarnęła włosy z oczu. Lekko dyszała, ale jej głos był zaskakująco opanowany.

– Kiedy tylko przejmę agencję, z największą przyjemnością cię z niej wywalę.

Milo obmacywał sobie palcami szyję.

– Jasne. Tymczasem musimy się zająć bieżącymi problemami. Tres chciałby się rozejrzeć na górze.

Allison wzięła dwa głębokie oddechy. Wstała. Kiedy poprawiła szlafrok, jej paznokcie pozostawiły na połach małe plamy krwi.

Obok nas pojawiła się służąca z miotłą i szufelką. Podeszła i zaczęła zamiatać potłuczone szkło z taką obojętnością, jakby tego rodzaju wypadki zdarzały się codziennie mniej więcej o tej właśnie porze.

Allison otarła dłonie i spojrzała na mnie. Jej zielone oczy nadal kryły w sobie życzliwość krokodyla.

– Jasne, kochany. A teraz przepraszam. Muszę iść po pistolet, żebym miała z czego zastrzelić Mila, jeżeli wciąż będzie w moim domu, kiedy tu wrócę.

Nic w tonie jej głosu nie wskazywało, że żartuje.

Kiedy wyszła z salonu, Milo wyprostował się i podparł dłonią brodę. Sassy podeszła do niego i zaczęła lizać rozcięcie, które powstało na jego przedramieniu w wyniku ataku Allison.

– Wy tak zawsze? – zapytałem.

Milo posłał mi smutne spojrzenie, potem uznał, że woli już niczego nie wyjaśniać.

– No śmiało, kolego. – Machnął ręką w stronę schodów. – Nie śpiesz się.

– A jeśli ona wróci z pistoletem?

Milo spojrzał na drzwi, za którymi zniknęła Allison.

– Ma kiepskiego cęla. Najczęściej znosi jej w lewo. Nie martw się o nic, chyba że usłyszysz więcej niż jeden strzał.

Kiedy ruszyłem ku schodom, służąca zamiatała rozsypane kostki lodu i roztrzaskane kawałki szklanki, kierując jednocześnie w stronę Mila po hiszpańsku słowa pocieszenia, których prawie na pewno nie rozumiał.



Allison mogła od dłuższego czasu stać w drzwiach pokoju Lesa. Trudno powiedzieć. Siedziałem przy jego biurku plecami do drzwi, przeglądając wypełnione listami i fotografiami pudełka na buty. Próba zrozumienia pana Saint-Pierre'a mogła przyprawić człowieka o zawrót głowy.

Teoretycznie powinno to być proste. Miałem przed sobą całe jego życie, starannie uporządkowane w małych, opisanych pudełkach. Mimo to czułem się jak pijak usiłujący kroczyć po linie. Próbowałem stawiać stopę za stopą, ale przysięgam, że za każdym razem cholerna lina odsuwała się na bok.

Allison musiała przyglądać mi się na tyle długo, że rozpoznała pudełko, z którego wyciągałem właśnie listy.

– To pudełko „Mam cię, draniu” – oznajmiła.

Chciałbym wam powiedzieć, że nie podskoczyłem na krześle, ale kiedy się odwróciłem, na twarzy Allison malował się szeroki uśmiech.

Przebrała się w brzoskwiniovą koszulkę polo, czarne spodenki rowerowe i białe adidas. Na dłonie założyła siatkowe rękawiczki bez palców. Gdybym nie wiedział, co się stało, nie zauważyłbym usztywnienia lewej strony ciała, na którą upadła rzucona przez Mila na podłogę.

Wyjąłem kolejny list z pudełka, które Les opisał jako „Korespondencja”.

– Pokazał ci je? – zapytałem.

Allison otworzyła szeroko oczy.

– Och, nie, sam mi ich nie pokazał.

Weszła do pokoju i przysiadła na krawędzi łóżka. Z odległości trzech metrów wyczułem zapach perfum marki Halston. Jej nogi ułożyły się w literę V; dywanu dotykały tylko czubki pięt adidasów. Rozejrzała się dookoła z umiarkowanym zainteresowaniem, zupełnie jakby po raz pierwszy znalazła się w pokoju Lesa.

– Przepraszam za to, co wydarzyło się na dole. – Zabrzmiało to tak, jakby przepraszała za przypadkowe szturchnięcie w windzie. – Milo działa mi na nerwy.

Wpatrywałem się w nią.

Próbowała naśladować wyraz mojej twarzy: szeroko otwarte oczy, lekko rozchylone usta.

– To jakiś problem?

– Nie. Chyba nie.

– Słuchaj, kochany, kiedy się dorasta w otoczeniu czterech braci w jakiejś pipidówie, człowiek uczy się walczyć o swoje. Gdybym siedziała spokojnie i pozwalała gościom pokroju Chaveza obrzucać się błotem, nie przetrwałabym szóstej klasy.

Uznałem, że najbezpieczniej będzie przenieść uwagę z powrotem na list, który zacząłem wcześniej czytać.

Został napisany słabym pismem na satynowym papierze. Wszystkie „o” były wyraźnymi czarnymi kółkami, wszystkie zaś „a” były przechylone w prawą stronę. List miał następującą treść:

Drogi Jasonie,

naprawdę jestem wdzięczna za miłe słowa i mam nadzieję, że podobają ci się piosenki, a nasza wytwórnia zdecyduje się włączyć je do twojego repertuaru. Jestem gotowa wziąć się ostro do pisania, ogromnie miło

wspominam również czas, jaki spędziliśmy razem w ten weekend. Proszę, zadzwoń jak najszybciej.

Patti Glynn

Z daty widniejącej na liście wynikało, że został napisany pięć lat temu. Patti przypięła zszywkami na odwrocie swoje zdjęcie, na wypadek gdyby Jason zapomniał, kim była. Wyglądała całkiem uroczo: okrągła twarz, postrzępione brązowe włosy, szeroko otwarte oczy błyszczące nadzieją.

W pudełku znajdowało się co najmniej dwadzieścia podobnych listów opatrzonych datami sięgającymi 1982 roku. Wielu towarzyszyły zdjęcia. Wszystkie pochodziły od różnych kobiet i każdy był zaadresowany na inne imię. Czasami na Larry'ego, szefa wytwórni płytowej, kiedy indziej na Pala, producenta. Zawołanym odwołaniami do wspólnych namiętnych nocy towarzyszyły niekiedy informacje o załączonych do listu czekach. Jedna kobieta napisała, że wkłada do koperty pięćset dolarów, ponieważ ufa, że Jason-Paul-Larry kupi odpowiedni prezent urodzinowy, dzięki któremu jej nazwisko utkwi na trwale w pamięci dyrektora do spraw repertuaru i kontaktów z artystami w EMI-Capitol.

Podniosłem wzrok na Allison.

– Te listy...

– Zgadza się – odparła. – Wszystkie są do Lesa.

– Les miał przecież dobrą reputację. Prawdziwe znajomości. Jeżeli chciał wykorzystywać kobiety, nie musiał wcale kłamać na temat tego, kim jest. Dlaczego...?

Allison zamachała kilka razy czubkami butów.

– Nigdy go o to nie zapytałam wprost, ale chyba wiem, co by odpowiedział. Wyjaśniłby, że to była forma nieszkodliwej zabawy.

Twierdziłby, że przesiewał potencjalne talenty, a jeżeli rzeczywiście były takie głupie, to i tak dałyby się nabrać pierwszemu oszustowi w Nashville... Oszczędzał im tylko trudów podróży.

Nie potrafiłem rozszyfrować tonu Allison. Nie słyszałem w nim urazy. Bardziej smutek.

– A według ciebie to była nieszkodliwa zabawa?

Allison uśmiechnęła się, skubiąc siatkę na dłoni.

– Nie, kochany. Myślę, że Les był od tego uzależniony. Był uzależniony od bycia rozwiązaniem problemów wszystkich innych ludzi... a przynajmniej dopóki nie wyszli z pokoju albo nie podpisali kontraktu. Im mniej ktoś dla niego znaczył, tym bardziej szalone składał propozycje, mówiąc ludziom rzeczy, które chcieli usłyszeć, i tym większą sprawiało mu to przyjemność. Rozumiesz?

– Chyba nie do końca.

Wzruszyła ramionami.

– Może gdybyś miał okazję go poznać. To bez znaczenia. Rzecz w tym, że nawet gdyby chciał, nie potrafiłby wyłączyć wciskania ludziom swojej pewności siebie. Był niesamowitym agentem.

– Dlaczego zatem chciał zniknąć?

Allison skrzyżowała nogi w kostkach i odchyliła się do tyłu, stukając się palcem po brodzie, jakby udawała, że myśli.

– O Boże, Tres... Pomijając fakt, że nigdy w inny sposób nie zdołałby się wymiksować ze swojej pracy, że z krwi i kości był skurwielem, że lista jego klientów zaczęła się tak mocno kurczyć, że musiał pokładać nadzieję w nieznanym artystach pokroju Mirandy, że wydawał większość zysków na alkohol, narkotyki i pigułki, że dosłownie przez cały czas skakaliśmy sobie do oczu... Pomijając to wszystko, naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego

miałby to zrobić.

Spuściłem wzrok na swoje kolana, gdzie zgromadziłem większość użytecznych rzeczy znalezionych w szufladach biurka Lesa.

Uniosłem czarną skórzaną kosmetyczkę wypełnioną buteleczkami i torebkami z lekarami. Wyjąłem torebkę strunową z tuzinem białych tabletek.

– Amfetamina? – zapytałem.

Allison wzruszyła ramionami.

– Nie nadażalam. Whisky nie rozcieńczał. Tabletki się zmieniały. Myślę, że to ritalin.

– Lekarstwo, które daje się nadpobudliwym dzieciom?

Uśmiechnęła się.

– Czyli mojemu mężowi.

Przekopałem się przez kolejne rzeczy – księgę pamiątkową rocznika 1969 ze szkoły średniej w Denton, a następnie kolejne fotografie przedstawiające Lesa z różnymi osobami z branży muzycznej.

– Nie widzę nigdzie testamentu – zauważyłem.

– Nie zamierzał go sporządzać. Wyraźnie mi to kiedyś powiedział. Podobała mu się myśl, że po jego śmierci ludzie będą walczyć o jego majątek.

Przejrzałem kolejne dokumenty, nie przyglądając im się nawet zbyt dokładnie. Co chwilę popatrywałem na fotografię Patti Glynn.

– Powiedziałaś, że Mirandę trzeba było chronić przed twoim mężem. Co miałaś na myśli?

Ta idea wyraźnie ją rozbawiła.

– Powiedziałaś, że powinna mieć sama skopać komuś tyłek, kochany. To nie znaczy, że potrzebowała ochrony. A poza tym, na litość boską, nie... Les

nie próbowałby niczego z Mirandą. A przynajmniej nie w taki sposób.

– Bo jest naprawdę utalentowana?

– To też. A także z powodu tego, jaka jest sama Miranda.

– Dziewczyna ze wsi, naiwna, na swoje nieszczęście trochę za urocza.

Pasuje do typu dziewczyn, na których lubił żerować Les. Niespecjalnie się różni od tych z pudełka.

Allison uśmiechnęła się zawiedziona.

– Mogłabym powiedzieć wiele rzeczy, kochany, ale Miranda jest moją przyjaciółką. Jeżeli chcesz wyciągać takie wnioski, robisz to na własną odpowiedzialność.

Próbowałem odczytać sens tej odpowiedzi, ale na twarzy Allison malował się jedynie upór. Być może z odrobiną urazy.

Spojrzałem na pudełko z korespondencją.

– A te inne kobiety? Nie domyśliły się w końcu, kim był Les? Nie wpadały we wściekłość? Nie robiły problemów?

Allison zmarszczyła brwi, jakby próbowała sobie przypomnieć jakiś błahy szczegół ze swojej studniówki.

– Les naciągnął je na kilka wspólnych nocy, czasami na kilkaset dolarów. Cieszyły się, że dzięki temu ich kariera może się rozwinąć, a większość z nich i tak wróciła w niebyt do Plano, Dimebox czy skądkolwiek tam pochodziły.

– A ty byłaś jedną z nich.

Obrzuciła mnie dokładnie tym samym spojrzeniem co Mila tuż przed tym, nim go zaatakowała. Upłynęło trzydzieści sekund, zanim się mentalnie pozbierała.

– Nie – zaprzeczyła. – Wiesz, na czym polega różnica, kochany? Ja miałam okazję się zemścić. Ja za gnoja wyszłam.

– Trudno to uznać za triumf.

Allison rozpostarła palce i obejrzała dokładnie siatkę rękawiczek.

– Mnie to wystarcza.

– Jeżeli masz rację i Les zniknął z własnej woli, idę o zakład, że nie zostawił ci nic na koncie, przepisał na ciebie wszystkie opłaty za dom i karty kredytowe i nie masz gwarancji, że przypadną ci jakiekolwiek zyski z działalności agencji, a jeżeli już, to musiałabyś je sobie wyprocesować. Nie możesz nawet odebrać ubezpieczenia na życie, dopóki nie doprowadzisz do prawnego uznania go za osobę zmarłą, co może zająć lata.

Gniew Allison stopniał do delikatnego uśmiechu, jakbym złożył jej propozycję, a ona, choć nie miała zamiaru jej przyjmować, doceniała mój wysiłek. Wstała i skierowała się do wyjścia.

– Właśnie dlatego cieszę się, że tu jesteś, Tres. Sprowadzisz mi Lesa do domu.

Zostawiła mnie samego, wpatzonego w fotografię Patti Glynn, ale zastanawiającego się tym razem nad tym, czy nie wyzierało z niej coś poza niewinnością, jakiś ukryty potencjał nikczemności, którą należało zdławić. Przez krótką, przerażającą chwilę miałem poczucie, że chyba rozumiem Lesa Saint-Pierre'a.

Przykryłem pudełko wieczkiem i uznałem, że czas się zbierać.



Należące do Cama Comptona Monster Music było dwukondygnacyjnym białym sześcianem przy Perrin-Beitel Road, sąsiadującym z Ośrodkiem Ruchu Drogowego. Na parterze mieścił się sklep, przed którym wydzielono parking na pięć samochodów. Wystawę zabezpieczono kratą, a srebrne drzwi oblepiono naklejkami markowych gitar. Na piętrze znajdowało się mieszkanie Cama. Wchodziło się do niego z boku budynku po metalowych schodach i wąskim betonowym ganku. Mieszkanie miało jedno duże okno panoramiczne, przez które Cam mógł się napawać widokiem okolicy – niekończącym się strumieniem niezdatnych nastolatków i policjantów z drogówki o twarzach buldogów, którzy oddawali się amerykańskiemu rytuałowi parkowania równoległego między pomarańczowymi pachołkami.

W pierwszej kolejności spróbowałem szczęścia na górze. Nikt nie odpowiedział na pukanie. Zszedłem do sklepu, który w piątkowe popołudnie nie sprawiał wrażenia specjalnie obleganego.

– Cam nie może teraz rozmawiać – wyjaśnił gość stojący za ladą.

Zajrzałem mu przez ramię na szklaną ścianę, za którą Compton udzielał lekcji gry na gitarze nastolatkowi, którego trądzik miał ten sam odcień czerwieni, co jego stratocaster.

Cam stał pochylony, wpatrując się w skaczące po progach gitary palce chłopaka. Na czole Comptona widniała żółtofioletowa plama wielkości racucha z jabłkami, pozostałość po naszym ostatnim spotkaniu w Cactus Cafe. Miał opuchniętą twarz skacowanego alkoholika i zmięte ubranie, które

świadczyło o tym, że z łóżka wypełził tuż przed rozpoczęciem lekcji. Zapewne normalny dzień w życiu gitarowej megagwiazdy.

Przeniosłem wzrok z powrotem na sprzedawcę. Był dużym mężczyzną. Kluchowato dużym, z ramionami, które odznaczały się masywnością, ale nie umięśnieniem. Jego twarz od niepamiętnych czasów nie miała kontaktu z maszynką do golenia, ze szczoteczką do zębów ani nawet z trymerem do nosa. Miał na sobie T-shirt z logo Harleya-Davidsona z dziurami po papierosach na brzuchu.

– Camowi zdarzało się lepiej wyglądać – zauważyłem.

Harley wyszczerzył zęby.

– Jakiś gość podobno się na niego uwziął. Wielki skurczybyk, prywatny detektyw albo ktoś taki. Walnął głową Cama w ścianę. A wczoraj wieczorem wrócił i połamał mu żebra.

– Widziałeś to na własne oczy?

Harley nachylił się bliżej mnie.

– Nie, ale wiesz, co powiedziałem Camowi? Powiedziałem, żeby następnym razem zabrał mnie ze sobą. Tymi rękami złapię jebanego skurwysyna w kleszcze i zgniotę jak w imadle.

Uśmiechnąłem się z uznaniem.

Z sali do ćwiczeń za szklaną ścianą dobiegały powolne, fałszywe akordy Bad Religion. Cam pokiwał głową, a nastolatek się uśmiechnął. Talent, jak widać, rozkwitał.

– Ze mną będzie chciał porozmawiać – zapewniłem Harleya. – Powiedz mu, że przyszedł jebany skurwysyn.

Harley się roześmiał, ale szybko się zorientował, że powiedziałem to poważnie. Podrapał się po brodzie. Wycelował we mnie kciuk i próbował sformułować jakieś pytanie.

– O żebrach nic mi nie wiadomo – wyznałem. – Odpowiadam tylko za czoło. A resztą to była beczka z piwem. Wychodzą ładniejsze siniaki niż po kontakcie ze ścianą.

Harley jeszcze przez chwilę przeszukiwał palcami zawartość swojej brody. Potem powoli wyszczerzył zęby. Odwrócił się i zajął na nowo przerwany zajęciem – wieszaniem pasków do gitar na obrotowym ekspozytorze.

– Cam jako szef jest taki sobie – rzucił. – Droga wolna.

Wszedłem do salki prób. Cam kiwał głową i wyrażał się pochlebnie o akordzie F nastolatka. Chwilę później obaj zauważyli moją obecność.

Mrugnąłem do chłopaka i zachęciłem go, żeby nie ustawał w pracy nad akordem F. Potem spojrzałem na Cama, którego fioletowawe czoło nabrało niemal barwy mięsa.

– Jak zdrowie?

– Mam ucznia – wydusił.

– Może chwilę poćwiczyć sam – oświadczyłem i zwróciłem się do chłopaka: – Założę się, że znasz już *Glycerine*, co nie, spryciarzu?

Dzieciak dostał tego euforycznego blasku w oczach, jaki występuje u początkujących gitarzystów, kiedy potrafią akurat zagrać melodię, o którą ktoś ich poprosi. Skierował wzrok na gitarę i zaczął sumiennie brzdąkać piosenkę zespołu Bush.

– Porozmawiajmy – zwróciłem się do Cama.

– Skąd myśl, że miałbym ochotę...

– Wczoraj wieczorem poszedłem się zobaczyć z Alexem Blanceagle'em. Wygląda znacznie gorzej od ciebie. Jean złożył mu wizytę.

Wlepione we mnie przekrwione oczy Cama odsunęły się od siebie o dodatkowy cal. Rozejrzał się niepewnie, spojrzał na swojego ucznia, na Harleya, który stał bokiem za szybą, szczerząc zęby i czekając na jakies

przedstawienie.

Cam włożył plektron do ust i powiedział przez zaciśnięte zęby:

– Na górze. Ale tym razem nie robisz mnie w chuja, prawda?

Uniosłem obie ręce. Rozejm.

Harley sprawiał wrażenie zawiedzionego, kiedy zobaczył, że idziemy zgodnie porozmawiać gdzieś indziej. Cam wyprowadził mnie na zewnątrz, na popołudniowy upał, po czym ruszył schodami do mieszkania. Po wejściu do środka skierował się natychmiast w stronę lodówki.

Jego mieszkanie miało mniej więcej tę samą powierzchnię, co moje – jeden duży pokój, szafa wnękowa, łazienka, aneks kuchenny. Niezaścielone podwójne łóżko, postawione równoległe do południowej ściany, było zasypane stertami wypranych ubrań, które zachowały odwrócony kształt i kratkowaną fakturę kosza na bieliznę. Przypominały galaretki wyjęte z foremek. W pokoju dopatrzyłem się trzech gitar – dwóch elektrycznych w otwartych futerałach na podłodze i czarnego dwunastostrunowego ovationa w kącie, na trójnogu. Za stolik kawowy służyła skrzynka na narzędzia zastawiona zapasowymi kołkami do strojenia, paczkami ze strunami, starymi puszkami po piwie Olympia i ogromną figurką ptaka, takiego z czerwonymi włosami, kapeluszem i wielkim tyłkiem, który podryguje w górę i w dół. Jako krzesel Cam używał wzmacniaczy gitarowych. Rozwieszony na ścianach plakaty pochodziły ze sklepu na parterze – były to odłóżki od ściany reklamy przedstawiające dziewczyny w bikini zachwalające jakąś najnowszą konsolę mikserską, głośniki albo perkusję. Jediną rzeczą w pomieszczeniu, o którą właściciel wyraźnie dbał i utrzymywał w idealnym stanie, była kolekcja płyt CD. Zajmowała trzy piętra regału zbudowanego z pustaków i desek.

Podszedłem i zacząłem oglądać tytuły, podczas gdy Cam grzebał w

lodowce w poszukiwaniu piwa. W kolekcji znajdowały się albumy różnych wykonawców: gitarzystów rockowych, jazzowych i country, z dużą ilością Ericów Claptonów i Chetów Atkinsów i zbyt małą, jak na mój gust, Blind Williego McTella. Płyty zostały ustawione w porządku alfabetycznym, z wyjątkiem górnej półki, która zawierała albumy z muzyką samego Cama. Zaskoczyło mnie, jak wiele ich było – co najmniej piętnaście. Wziąłem jedną do ręki. Na okładce znajdowała się kiepskiej jakości fotokopia twarzy Cama, jego nazwisko i tytuł *Amerykański kowboj*. Pozostałe informacje napisano, jak mi się wydawało, cyrylicą. Rosja? Czechy? Sprawdziłem pozostałe albumy. W większości były to podobne zagraniczne wydania. Tylko jedną opublikowała pięć lat wcześniej wytwórnia Split Rail Records. Nosila tytuł *The Best of Cam Compton*. Akurat ta zdobyła pewnie status platynowej płyty.

Cam otworzył sobie olympię i jakby zbolały podszedł do łóżka. Stracił pranie i usiadł powoli, rozstawiając szeroko łokcie jak człowiek, który opuszcza ostrożnie ciało do wanny pełnej bardzo gorącej wody.

– Masz owinięte żebra – zauważyłem. – Ktoś musiał ci ostro nagadać wczoraj wieczorem.

– A dlaczego niby miałoby cię to, kurwa, obchodzić?

Zdjąłem z półki stosik płyt CD z muzyką gospodarza, podszedłem do wzmacniacza i usiadłem twarzą do Cama. Zacząłem przeglądać pudełka.

– Interesująca dyskografia. Bułgaria. Rumunia. Niemcy. Musisz być tam popularny.

Cam przyglądał mi się nieufnie. Oko z krwawą obwódka wokół źrenicy było niemal całkiem przymknięte. Chęć milczenia zmagala się w nim z pragnieniem opowiadania o sobie. W końcu to drugie zwyciężyło.

– Europa to dobry rynek – przyznał. – Zwłaszcza od kiedy otworzyła się wschodnia część. Miałem dzięki temu przez tydzień piosenkę w pierwszej

dziesiątce w Jugosławii, tuż przed tym jak państwo się rozleciało.

– Naprawdę?

Skinął ponuro głową, jakby cała polityczna zawierucha była spiskiem mającym doprowadzić do usunięcia go z listy przebojów.

– Niemcy oczywiście zawsze lubili wszystko, co pochodzi z Teksasu: konie, kowbojskie kapelusze, muzykę country. Wciąż nie mają dosyć. Sheckly ze cztery czy pięć razy wysłał mnie na występy w tamtejszych klubach. Niezły zarobek.

– Naprawdę? – Uniosłem płytę, którą oglądałem wcześniej. – A ta? Rosja? Cam chrząknął. Popijał piwo i powoli się rozkręcał.

– Fanka przysłała mi ją z naprawdę miłym listem. Napisała, że płyta przestała grać, że uwielbiała jej słuchać i czy nie mógłbym jej przysłać egzemplarza amerykańskiego oryginału. Ładna dziewczyna poza wszystkim.

– Wysłałeś?

– Nie mogłem. Oryginał nie istnieje. To pirackie nagranie jednego z moich koncertów z Monachium. Połowa płyt, które trzymasz w ręku, to piraty. Do licha, połowa płyt w Europie to piraty. Opowiesz mi wreszcie o Alexie B.?

Odłożyłem płyty.

– Przyszedłem, żeby ci pomóc, Cam.

Puszka z piwem zatrzymała się w połowie drogi do ust, zaraz potem ją odstawił.

– Serio? Najpierw przez ciebie wywalają mnie z zespołu, a teraz przyszedłeś, żeby mi pomóc.

– Alex Blanceagle został zastrzelony.

Zamrugnął i o sekundę za długo nie otwierał oczu.

– A co to ma wspólnego ze mną?

– Alex rozmawiał wcześniej z niejakim Samuelem Barrerą na temat

interesów Sheckly'ego. A zwłaszcza tych transportów, które pomagałeś przepuszczać przez Indian Paintbrush.

Cam wykrzeszał z siebie uśmiech. Podrapał się po siniaku na czole.

– Od dłuższego czasu nie jestem związany aż tak blisko z Sheckiem, chłopcze. Ostatni raz pomogłem mu, zapisując się do zespołu Mirandy. I co mi z tego przyszło? Jeżeli Sheck ma jakiś problem, to nie jest to mój problem.

– Nie zgadzam się, Cam. Samuel Barrera to były agent FBI, do tego jest bardzo dobry w tym, co robi. Prędzej czy później przyjdzie z tobą porozmawiać. W obecnej sytuacji przyprowadzi ze sobą urząd celny, prokuratora stanowego i okręgowego. Jeżeli chcesz wiedzieć, co myślę, to Sheck i jego przyjaciele wiedzieli, że coś się szykuje. Wiedzieli, że Les Saint-Pierre odpowiada za wyciek informacji, i zaczęli zatykać wszystkie dziury, w których mogło dojść do kolejnych wycieków: Julie Kearnes, Alexa Blanceagle'a, ciebie. Na twoim miejscu zacząłbym się niepokoić.

Cam spojrział na swoje piwo, namyślał się przez jakieś pięć sekund, po czym postanowił się roześmiać.

– Pierdolisz.

– Zapytaj Alexa Blanceagle'a, czy pierdołę.

Otworzyłem plecak i wyjąłem z niego należący do Cama pistolet Montgomery Ward kalibru .22. Położyłem go obok siebie na wzmacniaczu.

– Mogłeś zabić Johna Creeę, Cam. Jest to mało prawdopodobne, ale możliwe.

Cam spojrział na broń. Zaczęła mu drgać powieka.

– O czym ty teraz gadasz? Co to ma być?

– Domyślam się też, że kasetka demo znajduje się gdzieś w tym mieszkaniu. Nie jesteś na tyle inteligentny, żeby ją wyrzucić. Sądziś, że powinienem

oddać pistolet policji, Cam, i powiedzieć im, gdzie go znalazłem? Mógłbym im powiedzieć, jak nazywa się idiota, na którego zarejestrowano broń i który prawdopodobnie zapomniał zetrzeć odciski palców z wnętrza komory. Oni połączą to z morderstwem Julie Kearnes, z okolicznościami, w jakich do niego doszło. Jak sądzisz, kto zostanie wtedy oskarżony?

Pod siniakami twarz Cama poczerwieniała. Podniósł się bardzo powoli, trzymając w ręku puszkę piwa, zupełnie jakby zamierzał nią rzucić.

– Zaraz, zaraz...

– Jeżeli chodzi o pomagierów Sheckly’ego, to ty znajdujesz się na samym końcu łańcucha pokarmowego. Pewnie ci nawet nie płacił... pewnie potrafił cię po prostu odpowiednio nakręcić, zaszczepić ci w głowie pomysły, które chciał zrealizować. Posługując się tobą, nie miał absolutnie nic do stracenia, a kiedy ludzie zaczną pukać do jego drzwi z nakazami rewizji w związku z jakimiś poważniejszymi sprawami, będziesz pierwszą osobą, której się pozbędzie. Sheckly nieźle sobie to zorganizował, a ty będziesz ofiarą.

Cam zmrużył oczy. Napad gniewu został rozładowany i uwięzany gdzieś w jego wnętrzu. Opuścił puszkę z piwem.

– I co według ciebie powinienem zrobić, chłopcze? Rozsiąść się na łóżku i cieszyć się, że wbito mi nóż w plecy? Wiesz, jakie to uczucie? Jeszcze nie tak dawno działałem aktywnie w obozie Mirandy Daniels, nawet po tym jak związała się z panem Saint-Pierre’em. Co wieczór podwoziłem ją do Paintbrush, było miło i przyjaźnie. Prowadziliśmy wiele rozmów o branży. Zawarliśmy umowę. Ja miałem się nią opiekować, a ona miała być dla mnie przepustką do lepszego świata, szansą na ucieczkę stąd. – Machnął ręką, pokazując swoje mieszkanie. – Jak według ciebie mi idzie?

– Uważasz, że jest ci coś winna – powiedziałem.

– Do diabła, pewnie, że tak.

– Uważasz, że cały świat jest ci coś winien. Masz tak przerośnięte ego, że zbierasz pirackie wydania swoich nagrań, Cam. Pewnie jeszcze je dla siebie podpisałeś. Myślę, że możesz mieć trochę wypaczone przekonanie na temat obietnic, jakie złożyła ci Miranda.

Zrobił krok do przodu.

– Prosisz się o kłopoty.

– Uspokój się, Cam. Chcę uwolnić Mirandę od Sheckly’ego, żeby mogła podpisać kontrakt z Century Records. Ty możesz mi pomóc do tego doprowadzić.

Cam roześmiał się gorzko.

– Już to gdzieś słyszałem.

– Od Lesa?

Cam pokręcił z niesmakiem głową, przeszedł sztywnym krokiem do kuchni i wyciągnął kolejne piwo z lodówki.

– Zapytaj pannę Daniels. Zapytaj, co jej powiedziałem, kiedy po raz pierwszy przybiegła z płaczem w sprawie kontraktu, który miała u Shecka. Uznałem, że jeśli przejdzie do Century Records, to z pewnością mnie ze sobą zabierze. Bylibyśmy ustawieni. Powiedziałem jej, że jeśli chce mieć coś na Shecka, powinna przyjrzeć się tym koncertom, które nagrywa dla radia. Może się zaprzyjaźnić z Julie Kearnes, poprosić ją, żeby skopiowała kilka plików z komputerów w Paintbrush, wypytać o wycieczki do Europy z Alexem B.

Stałem nieruchomo. Jedynymi słyszalnymi dźwiękami był szum lodówki Cama Comptona i samochodów przejeżdżających Perrin-Beitel.

– I podzieliłeś się tym wszystkim z Mirandą?

– To właśnie powiedziałem.

– A gdyby ktoś zaczął szukać tam, gdzie, jak powiedziałeś, powinien...

Cam posłał mi uśmiech zaciśniętych ust.

– Każdy dźwiękowiec, który kiedykolwiek pracował w Paintbrush, o tym wie. Każdy artysta, który tam występował, o tym wie, chłopcze. Wszyscy cierpią z tego powodu od lat. Tyle że nikt nie potrafi tego udowodnić. Powiedziałem ci. Co z tego będę miał?

– Przedstawię cię Samowi Barrerze i dopilnuję, żeby zaproponował ci uczciwy układ.

– To nie wystarczy, chłopcze.

– Ktoś skopał cię już w żebra, Cam. Możesz sobie pozwolić, żeby zaczekać na lepszą propozycję?

Uśmiech zniknął z twarzy Cama.

– W takim razie wypierdalaj.

– Powinieneś ze mną porozmawiać, Cam.

Przeszedł przez pokój i podniósł ze wzmacniacza swoją dwudziestkędwójkę. Wycelował ją od niechcienia w moim kierunku, nie przejmując się tym, że komora z nabojami jest pusta.

Niewiele więcej mogłem zdziałać.

Otworzyłem drzwi. Do pokoju natychmiast wlał się skwar, warkot przejeżdżających samochodów i zapach spalin.

Kiedy wychodziłem, Cam Compton stał przed swoją kolekcją płyt z pistoletem wciśniętym pod pachę. Przeglądał albumy, które zdjąłem z półki, i swoim brudnym T-shirtem wycierał przód każdego pudełka, po czym odstawiał je z powrotem na półkę.



Tamtego wieczoru musiałem się zmusić do opuszczenia domu i pożegnania z perspektywą prostej kolacji złożonej z *chalupas*, zatopienia się w lekturze książki o średniowiecznym dramacie, a może nawet zażycia odrobiny snu. Zamiast tego pojechałem pod adres, który podała mi Miranda Daniels – na jej rodzinne ranczo pod Bulverde.

Minął niecały rok, od kiedy odwiedziłem tamtą okolicę w związku z pewną sprawą spadkową, niemniej byłem pod ogromnym wrażeniem postępów urbanizacyjnych, tego, o ile dalej musiałem pojechać, żeby poczuć zapach cedrów i nawozu.

San Antonio rozrasta się koncentrycznymi kręgami niczym drzewo. To jeden z niewielu uporządkowanych aspektów tego miasta.

Mój dziadek rzadko zapuszczał się dalej od centrum niż do parku Brackenridge, chyba że chciał ustrzelić jelenia. Mama uważała, że pasmanteria Scrivenera przy obwodnicy numer 410 leżała na obrzeżach miasta. Kiedy chodziłem do szkoły średniej, zewnętrzną granicę miasta wytyczała obwodnica numer 1604, ale nawet w jej obrębie nadal znajdowały się głównie tereny porośnięte dębami i kaktusami oraz pokruszone, spękane skałki wapienne.

Teraz mogłem minąć 1604 i przejechać połowę wioski Bulverde, zanim straciłem z oczu ostatni sklep spożywczy.

Niebo za moimi plecami było po miejsku szaropomarańczowe, a przede mną wiejsko czarne. Rozmyty biały krążek unoszącego się nad wzgórzami

księżycą przeświecał zza chmur.

Zjechałem na Rancho Road 22, wąską, jednopasmową drogę bez oświetlenia, znaków ograniczenia prędkości, za to z dużą ilością zakrętów, żwiru i biegnącego wzdłuż niej kolczastego drutu. „Droga śmierci”, powiedziała by mój ojciec.

Jako lubujący się w makabrze nastolatek zadreślałem ojca, aby opowiadał mi o wszystkich wypadkach samochodowych, którymi zajmował się jako szeryf na tego rodzaju wąskich wiejskich drogach. Zazwyczaj odmawiał, ale pewnej nocy schlał się na tyle, że nie wytrzymał moich nalegań i podzielił się ze mną szczegółowym opisem wyjątkowo paskudnego czołowego zderzenia. Stwierdził, że miejsca zbrodni nie umywają się do wypadków samochodowych, po czym udowodnił mi to na przykładzie. Nigdy więcej nie poprosiłem go o podobną opowieść.

W pewnej chwili musiałem wykonać gwałtowny skręt, żeby ominąć martwego jelenia. Kolejne paliki ogrodzenia z drutu kolczastego i słupki milowe migają w świetle reflektorów. Od czasu do czasu mijalem jakiś billboard reklamujący nowe osiedle mieszkaniowe – „CALLE VERDE, PIĘKNE DOMY OD 120 M”. Ludzie, którzy przeprowadzili się na wieś po przejściu na emeryturę, musieli być zachwyceni. Zaraz za nowymi domami miały nadejść całodobowe 7-Elevens i H.E.B.

Wbrew temu, co mówiła Miranda, skręt na Serra Road był nieoznakowany. Droga nie była wiele szersza od wjazdu na posesję. Na szczęście przyjęcie u Danielsów było widoczne jeszcze z Ranch Road 22. Kilkaset metrów od drogi, pośrodku pogrążonego w ciemności pastwiska, błyszcząły wśród drzew światła i płomień ogniska. Usłyszałem szum muzyki.

Przejechałem wyboistą Serra Road, wsłuchując się w odgłosy kamyków odbijających się od nadkoli mojego volkswagena. Powietrze miało

temperaturę wanny wypełnionej gorącą wodą, a unosiła się w nim przedziwna mieszanina zapachów gnojówki, palonego drewna, benzyny i nagietków. Skręciłem w prawo, przejechałem przez kratę przerzuconą przez rów i znalazłem się na terenie posiadłości Danielsów.

Przed domem rozciągał się dobry akr ziemi pokrytej żwirem i trawą. Tuzin pikapów stał zaparkowany pod wielkim, starym dębem, wysokim na kilka pięter i obwieszonym od pnia po czubek białymi lampkami bożonarodzeniowymi. Wśród samochodów znajdował się wielki czarny pojazd z pomarańczowymi malunkami i srebrnymi lalkami Barbie na chlapaczach. Przeszło mi przez myśl, że pewnie na całym świecie nie ma drugiego identycznego pojazdu. Aż na takie szczęście nie mogłem liczyć.

Sam dom był niski, podłużny i biały, z werandą ciągnącą się od jednego końca do drugiego. Teraz kłębił się na niej tłum ludzi. W centrum uwagi znajdował się Willis Daniels i jego kontrabas. Wraz z kilkoma innymi siwowłosymi muzykami w strojach kowbojskich (żaden nie był członkiem zespołu Mirandy) dawali czadu, grając jakiś swingowy kawałek – Milтона Browna, jeżeli nie zawodzą mnie wspomnienia związane z kolekcją winyli mojego ojca. Wszyscy muzycy byli pijani jak bele, co najwyraźniej zupełnie im nie przeszkadzało.

Wokół domu stały mniejsze grupki ludzi, pijących, pogrążonych w rozmowie, roześmianych. Z boku kilka osób rzucało podkową, korzystając z oświetlenia zapewnianego przez nagie żarówki rozwieszane między jądłoszynem a szopą. Parę kobiet w sukniach i botkach oraz obwieszonych ogromną ilością srebrnej biżuterii zgromadziło się wokół ogniska, pomagając gromadzie dzieci z zapuchniętymi oczami w smażeniu słodkich pianek. Wszystkie szoferki pikapów były pogrążone w ciemności i zamknięte, ale nie wszystkie były puste.

Obok dębu stało dwóch zatopionych w rozmowie mężczyzn – Brent Daniels i mój dobry znajomy Jean.

Brent miał na sobie te same powycierane czarne dżinsy i koszulę w kratę co przy trzech poprzednich okazjach, kiedy go widziałem. Ubranie nie wyglądało ani trochę lepiej, on zresztą również. Jego czarne włosy przypominały martwe zwierzę leżące od jakiegoś czasu przy drodze. Przesępował niecierpliwie z nogi na nogę.

Jean miał na sobie ciemnoniebieską lnianą marynarkę, spodnie odrobinę zbyt obcisłe w pasie, białą jedwabną koszulę bez kołnierzyka, czarne buty i srebrną bransoletkę. Zaciskał mocno dłoń na ramieniu Brenta i stał nachylony, szepcząc mu coś do ucha.

Kiedy zdał sobie sprawę, że ktoś ich obserwuje, zaczął omiatać wzrokiem okolicę. W końcu mnie zauważył. Zatrzymał na mnie na sekundę swoje świdrujące, beznamiętne oczka, skończył zdanie, które wypowiadał Danielsowi do ucha, po czym odsunął się od niego i roześmiał, klepiąc Brenta po ramieniu, jakby podzielił się z nim właśnie jakąś zabawną historyjką. Tamten się nie roześmiał. Odwrócił się z wściekłością i ruszył w stronę domu.

Jean wsparł się o dąb. Oparł piętę na pniu, wyciągnął zwijanego papierosa i zaczął poklepywać się po kieszeniach w poszukiwaniu zapalniczki. Przyglądał mi się, kiedy zmierzałem w jego stronę.

– Jesteś tym gitarzystą.

– Uczciwy zarobek.

Jean zapalił papierosa i skinął głową.

– Nie wątpię. Uczciwy zarobek.

– Dlaczego stoisz tu w ciemności? – zapytałem. – Twój szef aż tak się ciebie wstydzi, że nie zaprasza cię na przyjęcia?

Jean zmrużył oczy. Powtórzył bezgłośnie słowa „twój szef”, jakby próbował je zinterpretować, jakby podejrzewał, że został obrażony.

– Sheckly – wybrał.

– Tak... ten wielki, paskudny burak. Sam wiesz.

Uśmiech Jeana wydawał mi się nienaturalnie połyskujący w blasku bożonarodzeniowych lampek. Jego świdrujące spojrzenie nie zelżało ani trochę.

– Rozumiem.

– Odwaliłeś kawał dobrej roboty, pozbywając się Alexa Blanceagle’a tamtego wieczoru.

Brak odpowiedzi. Jean zaciągnął się papierosem, odwrócił głowę i wydmuchnął leniwie dym w stronę werandy. Starzy pijani muzycy zaczęli grać coś nowego – utwór instrumentalny odrobinę przypominający Lestera Scruggsa. Kilka kobiet zaczęło tańczyć dostawianego na alejce.

Spojrzałem w kierunku głównych drzwi. Brent stał obok wypełnionego lodem kubła na śmieci i wlewał w siebie piwo. Kilka osób coś do niego mówiło, ale Daniels nie zwracał na nie uwagi.

– O co poszło? – zapytałem Jeana.

Spojrzał w tym samym kierunku co ja i zrozumiał sens pytania.

– Powiedziałem Brentowi Danielsowi, że podziwiam jego siostrę. Jej muzykę. Wyraziłem nadzieję, że będzie się mogła wkrótce udać na tournée po Europie.

– Jak dawniej Cam Compton. Byłaby lepsza jako kurierka, co nie? To dobra przykrywka, takie tournée z zespołem, z mnóstwem sprzętu, jeżeli komuś zależałoby na dostarczeniu dużej ilości towaru w różne miejsca w Europie.

Jean wydmuchnął ponownie dym. Spojrzał na mnie z politowaniem.

– Próbuje pan kogoś sprowokować, panie Navarre, czy po prostu jest pan idiotą?

– Zazwyczaj nie zachowuję się w ten sposób – wyznałem. – Zazwyczaj nie natrafiam na taką liczbę zwłok w ciągu jednego tygodnia. Zawsze ich tyle po sobie zostawiacie?

Jean uśmiechnął się chłodno.

– Czyli jednak idiota – uznał.

Odsunął plecy od pnia drzewa i nachylił się do mnie, aby coś powiedzieć, kiedy z boku domu wybuchło jakieś zamieszanie.

Spod szopy dobiegł okrzyk: „Ooooch!”, jakby ktoś trafił właśnie trzy razy z rzędu podkową. Jakaś kobieta pisnęła. Wokół miejsca, gdzie rzucono podkową, zaczął się gromadzić tłum. Ktoś przeklinał, kilka osób się śmiało. Skoczny taniec Willisa Danielsa zamarł, muzycy wstali, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Z tłumy wytoczył się pijany kowboj; zaśmiewał się, relacjonując zdarzenie na tyle donośnym głosem, że doskonale wszystko z Jeanem słyszeliśmy. Okazało się, że Allison Saint-Pierre znokautowała Tildena Sheckly’ego podkową.

Spojrzałem na Jeana.

Leniwie rzucił na ziemię papierosa, który odbił się od korzenia i zniknął w jakiejś szczelinie. Przygasł tam do postaci pomarańczowego oczka. Jean spojrzał na mnie i się uśmiechnął, tym razem niemal sympatycznie.

– Mój szef – stwierdził z satysfakcją.

Odwrócił się i ruszył powoli w przeciwną stronę, znikając w ciemnościach.



Sheckly nie był całkiem nieprzytomny. Tylko lekko ogłuszony.

Przecisnąłem się przez tłum widzów i zobaczyłem go leżącego na ziemi, trzymającego się palcami za skronie i rozglądającego dokoła z przerażeniem. Był ubrany cały na czarno, od butów po koszulę. Jego kapelusz leżał obok; spadł mu z głowy. Policzek pod lewym okiem Shecka wyglądał jak przekrój poprzeczny krwistego filetu mignon. Gdyby podkowa trafiła go cal wyżej, straciłby oko.

Obok niego kuciała starsza kobieta, poklepując go po ramieniu i próbując pocieszyć. Lekko bełkotała. Margarita, którą trzymała w drugiej ręce, wychlapywała się z kieliszka przechylonego pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

Dwóch gości w kowbojskich strojach stało po drugiej stronie Shecka. Wyglądało na to, że tylko czekają na okazję, żeby podać bogatemu mężczyźnie chustkę, ramię, na którym mógłby się wesprzeć, albo pistolet, z którego mógłby zastrzelić Allison Saint-Pierre. Czego by tylko sobie zażyczył.

Sheckly potrząsnął kilka razy głową. Przyłożył delikatnie wierzch zaciśniętej w pięść dłoni do zmasakrowanego policzka, spojrzał na krew na knykciach i odzyskał trochę kolorów na twarzy. Spróbował wstać, ale nie zdołał. Zebrał siły i z pomocą dwóch kowbojów podniósł się z ziemi, stając niepewnie na nogach.

– Zajebię tę wariatkę.

Kowboje wymruczeli jakieś potakujące słowa.

Sheckly zamrugał. Zatoczył się – wielki i niezdarny niczym otumaniony koń.

Rozejrzył się po tłumie, zatrzymał na mnie na moment wzrok i dokonał chyba jakiegoś mglistego skojarzenia. Zaraz potem jego spojrzenie przesunęło się dalej.

Allison Saint-Pierre zniknęła. Kilka osób patrzyło w kierunku rancza i kręciło głowami, wymieniając jej imię. Poszedłem w stronę domu.

Na werandzie wpadłem na Willisa Danielsa, który odwrócił się i złapał mnie za ramię. Przez chwilę miałem wrażenie, że staruszek zamierza zdzielić mnie laską. Z trudem go rozpoznałem. Uśmiech Świętego Mikołaja gdzieś zniknął. Z oczu buchały mu płomienie. Kosmyki włosów w kolorze cementu wyprostowały się w spoconą grzywkę, która oblepiła mu czoło.

Sprawiał wrażenie rozczarowanego, kiedy zobaczył, że nie jestem osobą, którą chciał zdzielić laską. A przynajmniej nie w tej chwili.

– Do diabła – mruknął, opuszczając laskę.

– Allison tędy przechodziła?

Willis podniósł ponownie laskę i potrząsnął nią w nieokreślonym kierunku, potem spojrzał gniewnie w stronę miejsca, gdzie rzucono podkowami, i zaczął wygadywać na panią Saint-Pierre, używając słów, których nie powinny słuchać renifery Świętego Mikołaja. Wszedłem do środka.

Ściany były udekorowane instrumentami strunowymi. W salonie na kanapie ze sztucznej skóry spała dwójka dzieci, podczas gdy ich rodzice przygotowywali w kuchni drinki, opowiadając sobie dowcipy o drużynach sportowych Texas A&M University. Drzwi prowadzące z korytarza do pierwszej sypialni były otwarte. Jakaś nieznana mi kobieta leżała nieprzytomna na łóżku pośrodku sterty kowbojskich kapeluszy. Drzwi do

drugiej sypialni były uchylone, a ze środka dobiegał głos Allison – tak roztrzęsiony, że aż się wzdrygnąłem. Przypominał strunę E naprężoną tak mocno, że w każdej chwili może pęknąć, smagając twarz gitarzysty.

– Popchnął mnie! – wołała. – Nie zamierzam stać bezczynnie jak ty i...

– Allison... – Głos Mirandy wydawał się tylko odrobinę bardziej opanowany. – Popatrz tylko na siebie, dziewczyno.

Otworzyłem drzwi.

Stały obok łóżka. Miranda wyglądała, jakby planowała wystąpić w tańcu w cztery pary – ubrana w długą dżinsową spódnicę, białą bluzkę i z chustką na szyi. Nie miała makijażu, ale z powodu gniewu jej twarz wyglądała żywiej niż zwykle. Oczy zrobiły się jasnobrązowe.

Wyciągnęła gałązkę z włosów Allison. Było zresztą z czego wybierać. Allison miała twarz usmarowaną ziemią i ubrudzony bok ubrania. Czerwona bluzka wysunęła jej się z dżinsów. Miała to samo mordercze spojrzenie, które widziałem w jej oczach tamtego popołudnia, tyle że teraz te oczy były spuchnięte i zaczerwienione, a kilka łez na policzkach zmieszało się z ziemią.

Miranda zobaczyła mnie wcześniej niż Allison. Ramiona piosenkarki lekko się rozluźniły. Nie odezwała się, ale mową ciała zapraszała mnie do środka. Gdybym przebywał w tych okolicznościach sam w jednym pomieszczeniu z Allison, również chętnie powitałbym jakiegokolwiek towarzystwo.

– Co się stało? – zapytałem.

Allison zaczęła. Skoncentrowanie na mnie wzroku przyszło jej z pewnym trudem. Wzięła roztrzęsiony oddech, zanim zdołała wykrztusić z siebie cokolwiek poza krzykiem.

– Sheck.

– Sprowokował cię, a ty postanowiłaś rozwalić mu łeb podkową?

Allison rozczapierzyła palce i przytknęła je do ucha.

– Był za szybki. Przysięgam na Boga, że następnym razem...

Głos jej się załamał. Niezależnie od tego, jaką gwałtowność potrafiła odgrywać na co dzień, niezależnie od tego, że normalnie uchodziło jej to na sucho, tym razem zaskoczyła nawet samą siebie. Mięśnie jej twarzy zaczynały się rozluźniać.

– Nie może być żadnego następnego razu – powiedziała Miranda.

– Mogłaś go zabić, Allison – zauważyłem. – Niewiele brakowało.

Allison zdołała przenieść uwagę na mnie.

– Sam wyrzuciłeś głowę Cama w beczkę piwa, Tres. Co... czyli że tobie wolno postępować w ten sposób?

Miranda posłała mi spojrzenie, którego nie potrafiłem do końca odczytać. Chyba chciała, abym coś powiedział.

Nie wiem dlaczego, ale właśnie wtedy dostrzegłem wyraźnie wnętrze, w którym się znajdowaliśmy. Zdałem sobie sprawę, że musi to być pokój Mirandy. Bordowo-niebieski pled na łóżku, drewniana figurka konia na biurku, bukiet suszonej szalwii i mięty na parapecie wydawały się do niej pasować. W kącie spoczywała oparta o ścianę maleńka gitara marki Martin. Na nocnym stoliku stało kilka oprawionych w srebrne ramki fotografii rodziny Danielsów. Pokój wyglądał osobliwie – skąpo urządzone i uporządkowane, ale zarazem przytulny, zdecydowanie kobiecy. Normalnie uznałbym, że należy do małej dziewczynki z lubującą się w utrzymywaniu porządku mamą albo do czyjejś babci.

Miranda cały czas ponawiała niemą prośbę.

Spojrzałem na Allison.

– Może odwiozę cię do domu? Musisz stąd zniknąć.

Zła odpowiedź.

Miranda zacisnęła usta, ale powiedziała:

– To dobry pomysł.

Allison odzyskała panowanie nad sobą. Miała się już chyba zgodzić, kiedy do pokoju wparował Tilden Sheckly.

Poruszał się tak, jakby wciąż był zamroczony, ale zdołał sformować na ustach dość paskudną kopię swojego normalnego uśmiechu. Lewa strona jego twarzy składała się nadal głównie z krwi i ziemi. Rozwiana burza siwiejących brązowych włosów była spłaszczona na czubku głowy w spocony kształt nieobecnego denka kapelusza.

– Allison Saint-Pierre – wychrypiał. – Chyba musimy porozmawiać.

Sheck ruszył w jej stronę. Popełniłem błąd, próbując go powstrzymać. Sądziłem, że nadal jest oszołomiony.

Chwilę później siedziałem na dywanie i miałem poczucie, jakby na mojej szczęce wypalono właśnie oznakowujące piętno. W ustach miałem krew albo ciemne piwo – może guinnessa. Nie pamiętam chwili, kiedy Sheckly przywalił mi hakiem. Na pewno nie miałem czasu, żeby zablokować cios.

– Z tobą rozmówię się w następnej kolejności, chłopcze – rzucił lekko bełkotliwym głosem. Zatrzymał wzrok trochę na lewo od moich oczu. – Omówimy sobie kwestię wkraczania bez pozwolenia do cudzych biur. Ale teraz zejdz mi z drogi.

Chwycił Allison za nadgarstek.

Zdołała się wyswobodzić z uścisku Sheckly'ego i przeorać zmasakrowaną stronę jego twarzy paznokciami, ale Sheck najwyraźniej się tego spodziewał. Odchylił głowę do tyłu, ale zaraz potem się uśmiechnął, jakby otrzymał właśnie pozwolenie na podjęcie kolejnej, nieco bardziej zdecydowanej próby.

– Sheckly – powiedziała Miranda cichym, ale zdecydowanym tonem.

– Mirando, najdroższa. – Ponownie spróbował doprowadzić usta do stanu

pełnej używalności, aby mówić swoim normalnym, spokojnym tonem. – To nie twoja wina, skarbie. Mam tego pełną świadomość. Czy rozumiesz jednak, czego się dopuściła twoja przyjaciółka? Na przyjęciu wyprawionym przez twojego tatę? Myślisz, że pozwolę, żeby uszło jej to na sucho... Czy to byłoby słuszne?

Allison próbowała wymierzyć mu kolejny policzek, ale została schwycona za nadgarstek. Wierzch drugiej dłoni Shecka trafił ją w usta, co zabrzmiało jak strzał ze skórzanego paska.

Miranda stała skamieniała, wpatrując się w trzymające nadgarstek Allison palce Sheckly'ego. Ja bezskutecznie próbowałem podnieść się z podłogi.

Sheck uniósł rękę do ponownego ciosu, kiedy w drzwiach pojawił się Brent Daniels i odciągnął kurek strzelby.

Brent nie musiał nawet nic mówić. Sheck dobrze znał dźwięk, jaki wydaje broń śrutowa kalibru .33. Dłoń Shecka zamarła na wysokości ramienia, przez co wyglądał, jakby wypowiadał ślubowanie. Odwrócił się.

Kiedy zobaczył, że w drzwiach stoi tylko Brent, próbował odtworzyć na ustach uśmiech. Z policzka spłynęła mu kropelka krwi.

– Ach, Chryste, chłopcze, odłóż to cholerstwo. Wiesz, że nie jestem...

– Odsuń się od niej. – Brent mówił spokojnym, śmiertelnie poważnym głosem.

Oczy wciąż miał przekrwione, ale nie było w nich pijackiego błysku. Żadnego zawahania, żadnej niepewności. Oczy Brenta były czujne i niebezpieczne, a ja nie mogłem sobie przypomnieć, dlaczego kiedykolwiek uważałem go za przygłupa.

– Brent... – odezwała się Miranda bardziej zdecydowanym tonem niż poprzednio.

– Miranda, zamknij się.

Sheckly odsunął się na bok, w stronę nóg łóżka. Otarł policzek.

– W porządku, Brent. To twój dom. Odnoszę jednak wrażenie, że...

– Niech się pan stąd wynosi, panie Sheckly.

Sheck uniósł powoli ręce, dając za wygraną.

– W porządku, chłopcze, w porządku.

Spojrzał na Allison, aby wiedziała, że sprawa nie została zakończona. Poklepał się po kieszeniach w poszukiwaniu chusteczki i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że jej nie ma. Zaczął się zbliżać do Brenta, aż jego klatka piersiowa znalazła się zaledwie kilkanaście centymetrów od wylotu lufy.

– Mogę przejść?

Brent w milczeniu zrobił krok w bok. Oczy Sheckly'ego błysnęły oszołomionym rozbawieniem.

– Marla byłaby z ciebie dumna, chłopcze. Widzę, że ponownie sięgasz po broń. – Wydawało mi się, że mrugnął. Jako że twarz miał zmasakrowaną, trudno było określić, czy mrugnięcie było intencjonalne, czy wynikało tylko z mimowolnego napięcia tkanki. – Wyrastasz na prawdziwego mężczyznę.

Następnie, łagodnie mamrocząc pod nosem groźby pod adresem wszystkich ludzi, których zamierzał zabić, Tilden Sheckly opuścił pokój.

Kiedy zniknął, lufa strzelby Brenta opadła ku podłodze. Wstałem.

Allison osunęła się na łóżko. Zaciskała dłonie; mimo to drżały. Posłała Brentowi krzywy uśmiech, mrugnęła, dotknęła językiem kącika ust i skosztowała gromadzącej się tam krwi.

– Mój ty bohaterze.

Brent mocno poczerwieniał, ale chyba nie z powodu uwagi Allison. Miranda przyglądała mu się z miną wyrażającą coś pomiędzy oburzeniem a współczuciem.

– Och, Brent. Mój Boże, przepraszam.

– Miranda, zamknij się – powtórzył Brent. Wbił wzrok w podłogę i zaczął wiercić dziurę w dywanie czubkiem lufy strzelby. – Choć jeden raz się zamknij.



Stałem oparty plecami o cedrowy słup, na którym wspierała się weranda na tyłach rancza Danielsów, wpatrując się w pogrążone w ciemności pole rozciągające się między domem a stodołą, w której schował się Brent Daniels. Widziałem tylko obszar oświetlony lampą naftową, którą Brent zawiesił na skraju dachu, ale odległość stu metrów sprawiała, że niewiele to dawało. Na ile mogłem się zorientować, stodoła służyła częściowo jako garaż dla traktorów, a częściowo jako mieszkanie. W ścianie od mojej strony znajdowało się okno osłonięte kotarą, zza której nie wydobywało się żadne światło.

Pole między domem a stodołą było rozdrapane siecią rowów i usiane czyrakami kopczyków ziemi. W odległości jakichś trzydziestu metrów dostrzegłem ciemny zarys koparki. Najwyraźniej prowadzono tamtędy jakieś rury.

Przy każdym uderzeniu serca czułem pulsowanie w tym miejscu szczęki, w które uderzył mnie Tilden Sheckly. Dolne dziąsła miałem opuchnięte, ale nie straciłem żadnych zębów, ustało też krwawienie z języka w miejscu, gdzie go sobie przygryzłem. W porównaniu z Shecklym – w porównaniu z wieloma osobami, które spotkałem w ciągu tamtego tygodnia – uważałem się za szczęśliwca.

Za moimi plecami odgłosy przyjęcia przycichły. Światła pikapów odjeżdżających Serra Road w kierunku Ranch Road 22 przypominały pary czerwonych oczu. Lampa owadobójcza wydawała z siebie syk za każdym razem, kiedy witała się z komarem. Co jakiś czas z pola dobiegał odgłos

pierdnięcia krowy albo konia. Myślicie, że żartuję? Pojedźcie kiedyś na ranczo, a zapoznacie się dokładnie ze wszystkimi odgłosami nocy.

Dopiłem ostatnie piwo i zająłem się przerabianiem plastikowego kubka na kwiatek. Ktoś inny odwiózł Allison Saint-Pierre do domu. Okazało się, że cała gromada facetów była gotowa pojedynkować się ze mną o prawo do tego przywileju. Nie stanąłem w szranki.

Właśnie zacząłem się zastanawiać, dlaczego po prostu nie poszedłem do samochodu i nie odjechałem, kiedy zaskrzypiały drzwi. Miranda Daniels wyszła ze środka i usiadła obok mnie na balustradzie. Nie miała już na szyi chustki, a białą bluzkę, teraz przymiętą, wypuściła ze spódnicy. W niebieskim świetle lampy owadobójczej jej ubrania lśniły różnymi odcieniami fioletu. Usta miała purpurowe. Koloru nie zmieniły tylko jej włosy. Były tak czarne, że zlewały się z mrokiem nocy.

– Dziękuję, że zostałeś – powiedziała.

– Udało ci się uspokoić tatę?

– Chyba tak. Chciałby, żebym zrezygnowała z nagrywania płyty. Twierdzi, że to mu psuje przyjęcia.

– Nie wspominając o kontaktach z Shecklym.

Kiedy wzięła głęboki oddech, spod bluzki wyłonił się zarys jej obojczyków.

– Tata rzeczywiście chciałby, żebym jeszcze przez jakiś czas pozostała lokalną piosenkarką. Nie podoba mu się narzucone przez Lesa tempo rozwoju sytuacji. Razem z Shecklym... mają w tej sprawie podobne zdanie.

– A ty? Czego ty byś chciała?

Podrapała się paznokciem po dłoni, jakby próbowała wymasować spod skóry drzazgę.

– Pewnie wygląda to tak, jakbym dała się porwać biegowi wydarzeń,

prawda? Pozwoliła, żeby kolejne osoby nadawały kierunek. Allison zawsze mi mówi... – Przerwała, pokręciła głową, niezadowolona, że poruszyła ten temat. – Naprawdę nie jestem pewna. Każdego dnia budzę się z innym nastawieniem.

– Allison pokazała mi artykuł z dzisiejszego numeru „Recording Industry Times”. Autor najwyraźniej uważa, że niedługo będziesz tak bogata, że spłacisz ranczo taty i wykupisz resztę Bulverde.

Miranda zaśmiała się z zażenowaniem.

– Zakładają, że Les Saint-Pierre nadal będzie mnie reprezentował.

– Rozmawiałem też z Camem Comptonem. Twierdzi, że powiedział ci o kilku sposobach, które pomogłyby ci w podpisaniu kontraktu z Century, o sposobach, dzięki którym Les mógłby uzyskać przewagę w negocjacjach z Sheckiem.

Miranda zmarszczyła brwi. Wydawała się przeszukiwać pamięć, próbując powiązać moje słowa z jakimś wspomnieniem. W końcu jej się udało.

– Chodzi ci o tę sprawę z Julie. Coś o koncertach w Paintbrush?

– Czyli rzeczywiście ci o tym opowiedział.

– Cam opowiedział mi wiele nedorzecznych historii.

– Ale mimo wszystko przekazałaś tę informację Lesowi.

Miranda wzruszyła ramionami.

– Nie... może przekazałam. Ale nie mówiłam tego poważnie. Powiedziałam Lesowi, że to jakieś szalone wymysły. Powiedziałam, żeby nie robił dla mnie żadnych głupot.

– A on nie posłuchał. Zaczął się zbliżać do Julie Kearnes. Zaczął szukać haków na Shecka.

Zatrzęsa się.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

Słuchaliśmy, jak kolejna karawana pikapów przetacza się z chrzęstem po kamienistej drodze. Z kuchennego okna dobiegł do nas głos Willisa Danielsa. Dziękował komuś za przyjście.

– Prosiłaś, żebym został – przypomniałem jej.

Skinęła głową, ale nic nie powiedziała.

– Jeżeli chcesz mnie przekonać, jaka przerażająca potrafi być Allison, niepotrzebnie się przejmujesz. Widziałem ją w akcji.

Miranda chyba się zarumieniła. Trudno było to stwierdzić w poświacie lampy owadobójczej.

– Nie – zaprzeczyła. – Jest mi głupio, że powiedziałam o niej coś takiego. Zrobiło mi się głupio zaraz po tym, jak wyszedłeś ze studia.

– Ale wciąż masz co do niej wątpliwości.

– Sama nie wiem. Nie. Zapomnijmy o sprawie.

Wyraz jej twarzy świadczył o tym, że nie potrafiła o tym zapomnieć, a przynajmniej nie na dłużej niż kilka godzin. Spojrzała w stronę stodoły, gdzie wokół lampy naftowej zaczynał się gromadzić rój ciem.

– Nie pochwalasz tego, że spotyka się z twoim bratem? – podpowiedziałem.

Miranda spoważniała.

– Zrozumiałeś te słowa o Brencie? To, co powiedział Sheckly?

– Tylko to, że słowa ranią.

Wyprostowała się, dociskając plecy, ramiona i głowę do cedrowej kolumny, jakby chciała zmierzyć sobie wzrost.

– Marla była żoną Brenta. Zmarła dwa lata temu.

W mojej głowie ponownie zabrzmiały słowa piosenki, którą Miranda zaśpiewała tamtej nocy – jednego z tych utworów, co do których nie mogłem uwierzyć, że mógł je napisać Brent. *Taniec wdowca*.

– Przykro mi to słyszeć.

Przyjęła kondolencje wzruszeniem ramion.

– Marla chorowała na cukrzycę. Młodzieńczą insulinozależną cukrzycę.

Sposób, w jaki wyrzuciła z siebie to określenie ze swobodą przystojącą raczej lekarzowi, świadczył o tym, że nazwa choroby od dawna wchodziła w skład języka jej rodziny.

– Nieuleczalna?

– Nie. To znaczy tak, była uleczalna. Nie na nią umarła, a przynajmniej nie bezpośrednio. Próbowwała zajść w ciążę.

Miranda spojrzała na mnie z nadzieją, że domyślę się dalszego ciągu historii i nie będzie go musiała dopowiadać. Domyśliłem się.

– Brent musiał być zdruzgotany.

Ledwie wypowiedziałem te słowa, uświadomiłem sobie, jak idiotyczne było to spostrzeżenie. Gość miał czterdzieści dwa lata i nadal mieszkał w stodole za domem swojego ojca. Chodził nieuczesany, nieogolony i wyglądało na to, że nosi jeden komplet ubrań tak długo, aż na nim zgniją.

– Przez jakiś czas – powiedziała Miranda – tata musiał zamykać broń na klucz, ponieważ Brent groził, że się zastrzeli. Właśnie do tego nawiązywał Sheckly. Nawet teraz, kiedy myślę o Brencie i Allison... o tym, jak ona może go zawieść... – Wpatrywała się w latarnię wiszącą po drugiej stronie pola. – Znasz to powiedzenie... że czyjeś życie przypomina piosenkę country? To o nas. Matka umarła, potem Brent i Marla...

– A ty? – zapytałem.

– Też mnie to czeka – oświadczyła z całkowitym przekonaniem. – Niedługo przyjdzie moja kolej.

Lampa owadobójcza zazwyczaj nie zapewnia tego rodzaju blasku, który pomógłby mi w rozstrzygnięciu, czy kobieta jest piękna. Kiedy jednak

Miranda spojrzała tam na mnie, uznałem, że właśnie taka jest. Nie chodziło o zwykły urok – o tę aurę bezbronnego kocięcia, którą dostrzegłem u niej podczas występu na scenie Cactus Cafe. Teraz jej twarz wyrażała swego rodzaju cichy upór, który dobrze do niej pasował, co czyniło ją znacznie dojrzałą, spokojniejszą niż wcześniej.

– Czy...? – Przerwałem. Chciałem ją zapytać, czy mieszka w tym domu, w wysprzątanym bordowo-niebieskim pokoju, w którym wcześniej byliśmy. Miałem nadzieję, że odpowie przecząco, że pokój ten był tylko muzeum jej dzieciństwa. Nie wiedziałem, w jaki sposób sformułować to pytanie, aby nie zabrzmiało krytycznie. Okazało się jednak, że nie muszę nic mówić. Miranda usłyszała moje myśli.

– Tak – odpowiedziała. – Niestety tak. Brent... nie miał większego wyboru i musiał tu pozostać. W moim przypadku wynika to zapewne z lenistwa.

Istniały inne możliwości, ale zachowałem się podle, gdybym próbował podważyć jej słowa. Zamiast tego powiedziałem: – Dlaczego Brent nie miał w tej kwestii wyboru?

– Nie ma ubezpieczenia zdrowotnego. Choroba Marli pochłaniała astronomiczne kwoty. Gdyby Brent próbował znaleźć jakąś pracę, straciłaby prawo do państwowych świadczeń zdrowotnych. Byli zmuszeni do pozostawania na bezrobociu. Ta mała stodoła z tyłu domu to wszystko, co mieli, zresztą tylko dlatego że tata na to nalegał. Marla zgodziła się w ich imieniu. Brent wolałby trafić na ulicę. Duma nie pozwalałaby mu na przyjęcie pomocy.

Próbowałem powiązać jakoś pojęcie dumy z Brentem. Przyszło mi to z niemałym trudem.

Z kuchni dobiegł długi i donośny śmiech Willisa Danielsa. Najwyraźniej zegnał się z ostatnim odjeżdżającym gościem.

– O co mnie wcześniej prosiłaś? – zapytałem ponownie.

Miranda wpatrywała się w swoje ręce.

– W środku... w moim pokoju... nie zrozumiałeś.

– Najwyraźniej. Sądziłem, że chcesz, abym zabrał stąd Allison.

Światła ostatniego pikapa sunęły przez Serra Road. Kiedy tylko skręciły w Ranch Road 22, z kuchni dobiegły głośne trzaski i łomoty – jakby ktoś uderzał laską w szafki wypełnione kieliszkami. Willis Daniels wykrzyczał cztery czy pięć przekleństw. Potem znów zapadła cisza.

– Nie – powiedziała Miranda, choć nie w odpowiedzi na hałasy, ale jakby kontynuowała wcześniejszą rozmowę. – Chciałam, żebyś zabrał stąd mnie. Byle daleko od tego przeklętego miejsca.



Pędziłem trochę za szybko moim volkswagenem, pokonując zakręty Ranch Road 22 z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Wiatr opływał opuszczony dach i wlewał się do wnętrza samochodu od tyłu. Wysnuł włosy Mirandy spod chustki, którą zawiązała na głowie, i porwał czarne kosmyki – wyglądało, jakby próbowały za wszelką cenę wydostać się z Bulverde szybciej niż reszta jej twarzy. Nie wykonała żadnego gestu, aby je okiełznać.

Mniej więcej sto metrów za nami sunął spokojnie samochód z przekrzywionymi reflektorami.

– Znasz drogę do biura Lesa? – zapytała Miranda tak delikatnym głosem, że wiatr niemal całkowicie zagłuszył jej słowa.

– Jasne.

Postanowiliśmy wcześniej, że zawiozę ją do wiktoriańskiego budynku w Monte Vista, w którym mieściła się agencja. Miranda wiedziała, gdzie znajduje się zapasowy klucz. Powiedziała, że Les ma na piętrze pokój gościnny dla przyjezdnych artystów i że nie powinien mieć nic przeciwko temu, aby tam przenocowała.

Byłem w zasadzie pewien, że Les faktycznie nie powinien mieć nic przeciwko.

Po chwili wyciągnęła rękę i ścisnęła mnie za ramię. Jej dłoń wydawała się niesamowicie gorąca w chłodzie wiatru.

– Dziękuję. Jak się czujesz?

– Drobiazg. Trochę boli mnie szczeka.

Miranda puściła moje ramię.

– Cieszę się, że zaliczyłeś ten cios.

– Bo?

– Przez chwilę sądziłam, że jesteś jakimś supermanem, który nokautuje ludzi, waląc ich głowami o beczki, i przynosi rogaliki i pistolety kobietom w potrzebie.

Pokręciłem głową.

– Mam za to czerwoną bieliznę. Chcesz zobaczyć?

Uśmiechnęła się.

– Może później.

Pokonaliśmy kolejny zakręt. Światło naszych reflektorów omiotło las. Jasnobrązowe duchy poruszały się za linią cedrów – jelenie, lisy, oposy. Światła za naszymi plecami zniknęły, potem pojawiły się ponownie, nadal w odległości około stu metrów.

Kiedy zjechaliśmy na południe w I10, przekrzywione reflektory skrzyły za nami. Nad San Antonio lśniły chmury.

Znajdowaliśmy się nadal w obrębie hrabstwa Avalon, kiedy światła jadącego za nami samochodu zaczęły się przybliżać.

– Najwyższa pora – powiedziałem.

– Słucham? – zapytała Miranda.

Zwolniłem do sześćdziesięciu pięciu, światła zaczęły się jeszcze bardziej przybliżać, po chwili znów się oddaliły. Zwolniłem jeszcze bardziej.

W końcu dały za wygraną. Na dachu samochodu rozbłysło migające światło, odezwała się syrena. Czarny ford festiva.

– Co...? – zaczęła mówić Miranda.

– Prawdopodobnie nic takiego – skłamałem.

– Ile piw wypięłeś? – zapytała nerwowo.

Zjechaliśmy na pobocze.

Spojrzałem w lusterko. Facet wysiadający od strony pasażera przypominał źle ostrzyżonego orangutana. Miał bladą karnację, prymitywne rysy twarzy i kępkę rudych włosów na czubku głowy. W jednej ręce trzymał latarkę, drugą wsunął pod wymiętą brązową marynarkę.

Gość idący od mojej strony był przysadzistym blondynem w turkusowym polo i podobnych spodniach. Z boku miał kaburę z pistoletem. Obaj trzymali się ostrożnie blisko samochodu.

– Phi – powiedziałem. – Pewnie nie mają alkomatu.

Omiotli volkswagena latarkami z odległości około półtora metra. Blondyn podszedł do mojego okna.

W innych okolicznościach powiedziałbym, że miał przyjazną, szczerą twarz – wyraziste rysy, czerwony nos, gęsty wąs, szerokie, niepomarszczone czoło z wciąż odciśniętym śladem po kapeluszu. Typowy brach. Wyśmienity kompan do piwa.

Ale tym innym okolicznościom towarzyszyłby brak podejrzliwie zmarszczonych brwi, latarki świecącej mi prosto w oczy i lewej ręki spoczywającej na półautomacie.

– Czołem – powiedziałem.

Brach jeszcze mocniej zmarszczył brwi.

Gość z pomarańczowymi włosami podszedł do samochodu od strony Mirandy i spojrzał na nią niemal z urazą.

– Panna Daniels?

Miranda sprawiała wrażenie zaskoczonej, w końcu najwyraźniej przypomniała sobie imię.

– Cześć, Elgin. Co słychać? Jak się ma Karen?

Spojrzałem na Bracha.

– Elgin... to jego pseudonim, prawda?

– Proszę się zamknąć, proszę pana.

Proszę pana. Miło. Cóż za uprzejmość.

Elgin podrapał się po kępce pomarańczowych włosów, odsunął się od okna Mirandy, po czym ponownie do niego zbliżył. Sprawiał wrażenie zakłopotanego. Biedaczek zaplanował sobie spokojny wieczorek wypełniony odrobiną policyjnej brutalności. Dwóch na jednego. Bez żadnych kobiet w charakterze świadków. Bez obecności osób znających jego imię. Tego nie było w planach.

– Czy może pani wysiąść z pojazdu?

Miranda spojrzała na mnie pytającym wzrokiem. Uśmiechnąłem się. Próbowwała się uśmiechnąć w identyczny sposób, kiedy zwróciła się ponownie do Elgina.

– Jasne, Elgin. Mam nadzieję, że nie zrobiliśmy nic złego.

Elgin pomógł jej wysiąść. Zaświecił mi latarką w oczy, po czym omiótł jej światłem tylne siedzenie.

– Co jest w futerale? – zapytał.

Stojący obok mnie Brach zerknął w tamtym kierunku i westchnął.

– A jak, kurwa, myślisz, Elgin? Gitara. – Potem zwrócił się do mnie: – Prawo jazdy i dowód rejestracyjny proszę.

– Nie moglibyście mi, panowie, pokazać najpierw swoich odznak?

Brach wpatrywał się we mnie nieprzeniknionym wzrokiem.

– Dokumenty.

– Tylko powolutku – dodał Elgin.

W zasadzie wiedziałem, co się zaraz wydarzy. Sięgnąłem do schowka po ubezpieczenie. Poruszałem się bardzo powoli, w taki sposób, aby moja ręka

nie wyszła poza snop światła latarki.

Kiedy moje palce dosięgły już prawie klamki schowka, Elgin zaklął głośno, wyciągnął swój pistolet i zawołał: „Broń!”.

Brach zareagował błyskawicznie. Ledwie doliczyłem do jednego, zdążył wpakować mi lufę półautomatu w ucho, a drugą ręką chwycić mnie za kark. Kiedy doszedłem do pięciu, byłem przeciągany przez drzwi samochodu, zaraz potem wylądowałem na asfalcie. Na jedno oko nie widziałem nic. Drugim dostrzegałem jedynie jakieś rozmyte światła. Coś dużego, twardego i ostrego wierciło mi dziurę między łopatkami. Podejrzewam, że było to kolano Bracha. Po kilku kolejnych sekundach unieruchomił mi prawą rękę, wykręcając ją całkiem sprawnie za plecy. Powinien był wywrzeć nacisk nieco bliżej nerwu nad łokciem. Obezwładnienie ofiary jest wtedy pełniejsze. Postanowiłem mu tego nie podpowiadać.

Znieruchomieliśmy w takiej pozycji na minutę, może trochę mniej. Nie słyszałem ani nie widziałem Mirandy, niemniej Elgin powtarzał co chwilę: „Proszę się odsunąć, proszę pani”.

Elgin odstawił teatrzyk z przeszukaniem zawartości schowka w moim samochodzie.

Ciepło i wilgoć asfaltu dość szybko przeniknęły przez mój T-shirt. Do lewego nozdrza wpadły mi chyba jakieś kamyki, a szczęka ponownie zaczęła pulsować. Miałem wrażenie, jakby ktoś odłupał mi część karku wielkim otwieraczem do butelek.

– Hej, Frank!

– Znalazłeś? – zapytał Brach Frank.

– Tak – odparł Elgin.

– Wstawaj! – rozkazał mi Frank. Tym razem już bez „proszę pana”.

Podniósł mnie do pionu i przycisnął mi klatkę piersiową do maski

samochoду. Stał tuż za moimi plecami. Obaj spojrzeliśmy na Elgina, który uśmiechał się szelmowsko, trzymając jakąś standardową trzydziestkęósemkę z rączką owiniętą taśmą do pakowania.

– Rozumiem, że masz na niego zezwolenie? – zapytał mnie Frank.

– Nigdy wcześniej go nie widziałem.

– On miał go przy sobie – wymamrotała Miranda. Potem powtórzyła z nieco większą pewnością: – On miał go przy sobie. – Objęła się rękami i wyciągnęła wskazując brodę. Kiedy odezwała się ponownie, jej głos brzmiał niemal przepraszająco. – Elgin, włożyłeś przecież ten pistolet do samochodu. Widziałam na własne oczy.

Elgin roześmiał się trochę za nerwowo. Machnął trzydziestkąósemką w nieokreślonym kierunku.

– Co też pani mówi, panno Daniels. Wie pani przecież...

– To się nazywa podrzucenie – wyjaśniłem Mirandzie. – Ci goście doskonale to wszystko wiedzą, nie musisz im niczego tłumaczyć.

– Ale ja go widziałam – powiedziała spokojnie, choć nieustępliwie, jak dziecko opisujące swojego niewidzialnego kolegę.

Zapadło milczenie. Istniało wiele różnych scenariuszy, według których sytuacja mogła się dalej rozwijać. Większość z nich za cholerę mi się nie podobała.

Elgin popatrzył na partnera, licząc na jakieś wsparcie. Nie widziałem twarzy Franka, ale z reakcji Elgina wywnioskowałem, że wsparcie nie nadeszło.

– Przysięgam na Boga... – zaczął Elgin.

– Chryste – przerwał mu Frank z niesmakiem w głosie.

Położył mnie z powrotem na asfalcie, ale tym razem już z mniejszą brutalnością. Kazał Elginowi mnie pilnować, jeżeli czuje się na siłach.

Elgin podszedł i w milczeniu spiorunował mnie wzrokiem. Jakby od niechcienia wycelował trzydziestkęósemkę w mój kręgosłup. Oparł podeszwę buta na moim karku.

Postanowiłem trzymać gębę na kłódkę. Czasami jestem do tego zdolny.

Frank zaprowadził Mirandę do czarnej festivy.

Z miejsca, w którym się znajdowałem, miałem wspaniały widok na lewą tylną oponę volkswagena. Bieżnik zaczął się powoli wycierać. Autostradą przejechał jakiś samochód. Kierowca zwolnił, aby przyjrzeć się sytuacji, po czym ponownie przyspieszył.

Głos w radiu Franka coś mu tłumaczył.

Chwilę później Frank podszedł do nas i zwrócił się do Elgina:

– Musimy pogadać.

Oddalili się. Nie słyszałem pierwszej części rozmowy, dopóki Elgin nie zaprotestował w jakiejś sprawie.

– Gówno prawda – powiedział nieco głośniej Frank.

Zaczęli rozmawiać ponownie zbyt przyciszonymi głosami, abym mógł cokolwiek usłyszeć, ale nie ulegało wątpliwości, że Frank nie jest, delikatnie mówiąc, zachwycony postawą Elgina. Nie zwrócił się nawet do niego per „proszę pana”.

W końcu Frank podszedł i mnie rozkuł. Pomógł mi wstać.

– Wracaj do samochodu.

Wróciłem. Dołączyła do mnie Miranda, starając się usilnie nie patrzeć w żadnym kierunku. Jej chustka była poluzowana i zsunęła się na szyję. Wiatr zamienił jej włosy w plątaninę czarnych kosmyków.

Elgin przez chwilę wpatrywał się we mnie gniewnie, ale poczuł na sobie wzrok Franka i wycofał się w stronę festivy.

– Przepraszam za całe zajście – zwrócił się do mnie Frank. – Zaszło

zwykle nieporozumienie.

– Świetnie – powiedziałem. – Opowiesz mi coś więcej, kiedy będę sobie wydłubywał grudki asfaltu z nosa?

Frank pokręcił głową.

– A gdybym chciał złożyć skargę w biurze szeryfa hrabstwa Avalon?

Frank posłał mi pozbawione wyrazu spojrzenie.

– Nie chcesz tego robić.

Kiedy odjeżdżaliśmy, Elgin i Frank przystępowali właśnie do analizy sytuacji, siedząc na masce swojego samochodu i wydzierając się na siebie. Ból w moim boku zaczynał powoli ustępować.

Wtedy Miranda się rozplakała.



Agencja Lesa Saint-Pierre'a wyglądała zgodnie z duchem zbliżającego się Halloween. Ktoś – obstawiałbym recepcjonistkę Gladys – ustawił na werandzie stertę dyń i powiesił *ristra* nad drzwiami. Ciekawe, czy Milo Chavez przebierze się w jakiś kostium i będzie rozdawał cukierki niedoszłym gwiazdom, które go tego dnia odwiedzają. Miałem poważne wątpliwości.

Miranda weszła po schodach starego wiktoriańskiego domu, po czym opadła bez żadnego wyjaśnienia na podłogę werandy. Postawiłem jej gitarę i torbę z rzeczami przy drzwiach i usiadłem obok niej.

Była pierwsza w nocy, wreszcie się trochę ochłodziło i powinno się zrobić przyjemnie. Ale nie było przyjemnie. Większość masy mojego ciała przelała się do rąk i nóg. Gdyby nie uporczywy ból szczęki i boku, zapadłbym natychmiast w sen.

Miranda musiała być jeszcze bardziej wykończona ode mnie. Siedziała, kołysząc ciałem do przodu i do tyłu, jakby próbowała utrzymać równowagę na pokładzie statku. Przestała płakać dużo wcześniej, ale nadal miała łzy w oczach.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie mogłam uwierzyć w to, co zrobił Elgin. Razem z żoną... ona jest kuzynką Bena Frencha, mojego perkusisty. Przychodzą czasami na przyjęcia ojca. Elgin wydawał się zawsze takim dżentelmenem.

– Dżentelmenem – powtórzyłem. – Jak Tilden Sheckly.

Zabrzmiało to ostrzej, niż zamierzałem.

Miranda odchyliła się do tyłu, aż jej ramiona oparły się o ścianę. Wpatrywała się w przeciwną stronę ulicy, w ciemne wieżyczki domu Koehlerów.

– A gdyby mnie tam nie było?

– Miałem szczęście, że byłaś. Frank i Elgin chcieli, żebym miał na głowie inne zmartwienia niż działalność Tildena Sheckly’ego.

Objęła kolana rękami. Buty zdjęła jeszcze w volkswagenie, a teraz jej palce wystawały spod fałd dżinsowej spódnicy. Zaczęła je podkurczać, raz za razem, jakby próbowała zagarnąć pod spód drewnianą podłogę werandy.

– Sheck chciał ze mną dziś porozmawiać – powiedziała. – Przed tym zamieszaniem z Allison. Zapytał, czy nie przeprowadziłabym się do jego posiadłości.

– Co?

Odchyliła głowę i zamknęła oczy.

– Mieszka w starym domu myśliwskim za Paintbrush. W środku jest z sześć milionów pokoi. Zaoferował, że mogłabym mieć dla siebie całe skrzydło i darmowy dostęp do studia. Nie może się równać z Silo w Austin, ale mimo wszystko to studio. Sheck twierdzi, że znalazłabym się w ten sposób bliżej akcji.

– Aha.

Otworzyła oczy i kopnęła mnie w kostkę.

– Nie chodzi o to, co myślisz. Byłoby to coś w rodzaju artystycznej kolonii.

Spojrzała na mnie niepewnie, jakby wbrew wszystkiemu miała nadzieję, że przytaknę. Artystyczna kolonia zlokalizowana zapewne w dogodnej odległości od sypialni Tildena.

Naga stopa Mirandy nadal spoczywała na mojej nodze. Może była zbyt

zmęczona, żeby to zauważyć.

– Twój ojciec byłby przeciwny – domyśliłem się.

Tyle że mój umysł nie był skoncentrowany na tym, co mówiłem. Wpatrywałem się w Mirandę, próbując sobie przypomnieć fotografię, którą pięć dni wcześniej widziałem w biurze Mila. Próbowałem nałożyć sobie tanto zdjęcie na jej twarz, aby przekonać się, dlaczego jakoś nie mogłem wtedy uwierzyć, że Tilden Sheckly mógłby ją chcieć w swojej stajni.

– Les również by mi to odradzał – dodała. – Tyle że zniknął.

Domyśliłem się, co chciała ode mnie usłyszeć. Starłem się, aby zabrzmiało to możliwie przekonująco.

– Les wierzył w twoją karierę, Mirando. Byłby idiotą, gdyby nie wierzył. Jeżeli wplątał się w jakieś tarapaty w związku z Sheckiem, to wyłącznie na własną odpowiedzialność. Nie twoją.

Miranda przyjrzała mi się uważnie. Napięcie częściowo zniknęło z jej ramion.

– Chciałabym po prostu, żeby to się już rozstrzygnęło, w jedną albo w drugą stronę.

– Rozumiem cię doskonale. Nie rób tego.

– Czego mam nie robić?

– Nie wprowadzaj się do Sheckly’ego. Powinnaś się wyprowadzić z domu ojca, znaleźć sobie własne mieszkanie, Mirando. Ale nie w domu Sheckly’ego.

Spojrzała na mnie wtedy inaczej – nie zmęczonym wzrokiem, nie zadając mi jakiegokolwiek pytanie, które można byłoby ująć w słowa. Jej stopa nadal spoczywała na mojej nodze.

Odkaszlnąłem.

– To był długi dzień. Występujesz jutro?

– W Paintbrush. W każdą sobotę supportujemy gościnny zespół.

– No to...

Wstałem. Miranda podała mi rękę.

Podciągnąłem ją z podłogi, ale ona nadal trzymała moją dłoń. Podeszliśmy razem do drzwi, gdzie wyciągnęła zapasowy klucz zza wiszącej na ścianie skrzynki na listy.

Kiedy otworzyła drzwi do agencji, ze środka wylały się zapachy freonu i świeżych kwiatów, pozostałości po gorącym dniu.

Odwróciła się w moją stronę i się uśmiechnęła.

– Dobranoc?

– Tak. – W moim głosie słychać było zmęczenie.

Chciałem puścić dłoń Mirandy, żeby nie zorientowała się, że się trochę trzęsę. Nie pozwoliła mi.

Zwilżyła wargi.

– Może... to trochę nieprzyjemne zostać tu samej na noc.

Kilka innych głosów syczało mi do uszu – Erainii Manos, Mila Chaveza, Sama Barrery i jeszcze paru osób. Wszystkie przypominały mi o cechującym prawdziwych zawodowców dystansie i lojalności wobec klienta, ostrzegały, abym nie wdawał się w coś, czego będę potem żałował. Miranda nadal się uśmiechała, a inne głosy zaczynały się oddalać. Z całą powściągliwością, jaką byłem w stanie z siebie wykrzesać, zastanawiałem się nad odpowiedzią. Jakaś uprzejmą i dowcipną odmową. Zamiast tego wymamrotałem:

– Może mógłbym tylko...

– Może mógłbyś – zgodziła się.

Dłoń Mirandy zacisnęła się na mojej. Wprowadziła mnie do środka.



Jedynie strach przed spotkaniem z Milem Chavezem, który mógł się pojawić w biurze z samego rana, skłonił mnie do powrotu przed świtem pod numer dziewięćdziesiąty przy Queen Anne. Zdążyłem przespać trzy godziny, zanim obudził mnie telefon od Kelly Arguello.

– Dobry Boże – powiedziała. – Co to za dźwięki?

Przetarłem mocno oczy, po czym podjąłem próbę zidentyfikowania jakichkolwiek nietypowych dźwięków poza zgrzytaniem, które rozbrzmiewało w mojej głowie.

Och.

– To tylko Robert Johnson – wyjaśniłem.

– Torturujesz go?

Robert Johnson nie przestawał wydawać dźwięków przypominających przegrzaną turbosprężarkę. Próbowiałem uwolnić stopę spomiędzy pazurów jego przednich łap. Przekręcił się na grzbiet, szykując się do zaatakowania mnie wszystkimi czterema. Podrapałem go po brzuchu palcami stóp, podczas gdy on próbował nadziać moją kostkę na pazur, jakby to był kawał mięsa w rzeźni.

– W pewnym sensie – odparłem. – Spóźniam się z podaniem śniadania.

– Musisz robić niesamowite śniadania.

Próbowałem się podnieść z futonu. Błąd. Złapałem równowagę, chwytając się deski do prasowania, ponownie usiadłem i postanowiłem odczekać, aż niewyraźne czarne baloniki znikną mi sprzed oczu.

Próbowałem za wszelką cenę uruchomić umysł, tymczasem Kelly przystąpiła do zdawania relacji z tego, co udało jej się ustalić na temat Lesa Saint-Pierre'a.

Po raz kolejny mnie zaskoczyła. W świecie rządowej biurokracji trudno oczekiwać większych rezultatów w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, ale Kelly potrafi w jakiś sposób je osiągnąć. Zdążyła zdobyć wszystkie informacje na temat prawa jazdy Lesa z wydziału komunikacji – spory zbiór danych na temat mercedesa kabrioletu i cadillaca seville, z których korzystał w przeszłości, na temat historii jego wykroczeń drogowych, składanych wniosków, a także danych Allison Saint-Pierre. Kelly złożyła wniosek o udostępnienie raportu z mandatu za jazdę pod wpływem alkoholu, który Les dostał w zeszłym roku w Houston. Uzyskanie go miało zająć co najmniej tydzień.

Kelly złożyła również kilka ton wniosków do zakładu ubezpieczeń społecznych i innych agencji stanowych w poszukiwaniu informacji o jakichkolwiek dokumentach wydanych na osoby z listy Julie Kearnes. Trochę zbyt optymistycznie zawężiliśmy listę do sześciu najbardziej prawdopodobnych kandydatów na nowego Lesa Saint-Pierre'a, ale nawet przy tylko tylu nazwiskach dotarcie do wszystkich dokumentów było istnym koszmarem. Kelly planowała złożyć kolejne wnioski w poniedziałek rano.

– W jaki sposób wyciągnęłaś tak szybko informacje z wydziału komunikacji? – zapytałem.

– Bez większego problemu. Powiedziałam gościowi w okienku, że pracuję nad pozwem przygotowywanym przez biuro prokuratora stanowego. Poradziłeś mi kiedyś coś podobnego w San Francisco. Miałeś rację. Podziałało jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Nie sugerowałem, że powinnaś tak zawsze postępować, Kelly.

– No co? Chcesz, żebym odesłała do nich te informacje?

Zawahiałem się. Tres Navarre, wzorzec moralności.

– Kupili tekst o prokuratorze stanowym, co?

– Jasne.

– Mimo fioletowych włosów i w ogóle?

Westchnęła.

– Jezu, Tres, przecież nie mam kolczyka w nosie ani niczego podobnego.

Potrafię się elegancko ubrać. W marynarce wyglądam naprawdę dobrze.

Postanowiłem nie podejmować dyskusji.

Kelly opowiedziała o aktach zgonu rodziców Lesa Saint-Pierre'a z hrabstwa Denton, które doprowadziły ją do zatwierdzonej przez sąd ugody w sprawie podziału ich majątku, co z kolei dało jej listę nieruchomości odziedziczonych przez Lesa. Otrzymał mały dom w Denton i domek letniskowy nad jeziorem Medina. Kelly wysłała wnioski do hrabstw Denton i Avalon o przysłanie kopii opinii rzeczoznawców na temat obu posiadłości.

– Jezioro Medina – powtórzyłem. – Hrabstwo Avalon.

– Tak jest tu napisane. Mam wątpliwości co do nieruchomości w Denton, ale jestem w zasadzie pewna, że nadal jest właścicielem domku nad jeziorem.

– Dlaczego?

– Sprawdziłam w wydziale parków i zwierzyny leśnej. Les ma zarejestrowaną na swoje nazwisko żaglówkę śródlądową.

Zagwizdałem z podziwem.

– Aż się prosisz o premię.

Wiele osób gromadzących informacje na czyjś temat zapomina o wydziałach parków i zwierzyny leśnej. Normalnie nie zwracałbym się do tego urzędu na tak wczesnym etapie poszukiwań. Zazwyczaj zaczyna się od bardziej oczywistych źródeł informacji i dopiero później przechodzi do tych

bardziej nietypowych. Na szczęście dla mnie Kelly pracowała inaczej. Kolejność odwiedzania przez nią urzędów w Austin wynikała w większym stopniu z ich odległości od linii autobusowej, którą się poruszała.

– Łódź nie jest specjalnie duża – poinformowała mnie. – Dwudziestopięciostopowa. Nie musiał jej rejestrować, ale wychodzi na to, że mimo wszystko to zrobił.

Przypomniała mi się sypialnia Lesa i to, że wszystkie pudełka po butach wypełniające jego szafę były opisane. Nawet nielegalne substancje chemiczne i przekręty z kobietami zostały starannie pokategoryzowane i posegregowane. Drań miał chyba nieco przesadną skłonność do porządku.

– Mów dalej.

– Łódź kupił w Plum Cove nad jeziorem Medina. Zadzwoiłam w kilka miejsc i zdobyłam adres suchego doku, który wynajmuje.

Znalazłem długopis wciśnięty we wnękę z telefonem ukrytą za deską do prasowania i go zanotowałem.

– To ważna informacja.

– No. Przynajmniej tyle, że nikt inny nie pytał o łódź.

Długopis znieruchomiał mi nad kartką.

– Co przez to rozumiesz?

– Kiedy byłam w wydziale komunikacji, urzędnik pamiętał Lesa Saint-Pierre’a sprzed kilku tygodni. To nietypowe nazwisko. Stwierdził, że Les musiał wpakować się w nie lada tarapaty.

– To znaczy?

– Wygląda na to, że byłam drugą osobą z biura prokuratora stanowego, która w ostatnim miesiącu szukała jakichś informacji na jego temat.



Moja matka siedziała w kucki w ogródku sąsiadów, malując pnącza wisterii na sosnowym płocie. Aby się do niej dostać, musiałem stawiać ostrożnie moje półbuty na polu minowym z puszek z różnokolorowymi farbami.

Miała na sobie fioletowy kombinezon i fuksjowy T-shirt z napisem: „Noc w starym San Antonio”, oba pochłapane farbą akrylową. W ciepłym, nieruchomym powietrzu unosiły się opary, a matka była niemal równie mocno spocona jak butelka z piwem marki Pekan Street, która stała obok niej na kamieniu.

Powitała mnie, nie podnosząc wzroku. Wykonała kilka zawijasów pędzlem, tworząc kępkę bladofioletowych płatków. Po obu stronach nosa miała odciski palców w tym samym kolorze.

– Wiesz, że od jakiegoś czasu zaczęli sprzedawać prawdziwe kwiaty – powiedziałem. – Można je kupić w sklepach.

Matka stłumiła chichot. Chyba wtedy zacząłem nabierać podejrzeń, że może trochę za długo siedzi na słońcu w oparach farby.

– To *trompe l’oeil*, Jackson – powiedziała, po czym ściszyła głos. – Endemenowie mi płacą.

Spojrzałem w stronę domu Endemenów. Pan Endemen, niechlujny emerytowany dziennikarz prasowy, siedział przy maszynie do pisania postawionej na stole w jadalni. Próbował za wszelką cenę sprawiać wrażenie zajętego, ale raz po raz popatrywał w naszą stronę przez okno panoramiczne. Marszczył brwi, jakby od momentu mojego przybycia widok się nie

poprawił.

– Nikomu nie powiem – obiecałem.

Matka skończyła płatki i podniosła na mnie wzrok. Na chwilę zaniemówiła.

– Hm... – Uniosła brwi. – Najmocniej przepraszam, wzięłam pana za mojego syna.

– Mamo...

– Ależ nie, kochanie, wyglądasz cudownie. Co się przydarzyło twojej brodzie?

– To się nazywa siniak.

Zawahała się. Zauważyła coś jeszcze – tę feromonową poświatę, którą potrafią wykryć tylko matki i dziewczyny, aureę, która podpowiedziała jej, że minionej nocy musiałem Coś Nabroić.

Niezależnie od tego, do jakich doszła wniosków, zachowała je dla siebie. Przyjrzała się mojemu strojowi, zanurzając pędzel w puszcze z farbą.

– Nie jestem pewna, czy wybrałabym ten brązowy krawat, ale ogólnie wyglądasz ładnie. Skromny wygląd z pewnością najlepiej pasuje do rozmowy kwalifikacyjnej.

– Kobieta w fioletowym kombinezonie udziela mi porad dotyczących mody.

Uśmiechnęła się.

– Jestem z ciebie bardzo dumna. Nie wzięłbyś na szczęście indiańskiego woreczka z lekami?

– Miałem raczej nadzieję, że pożyczysz mi audi.

Matka zacisnęła usta.

Sięgnęła po stojącą za mną butelkę z piwem. Cofnąłem się, żeby nie ubrudziła mi spodni farbą. Wypiła łyk ale i omiotła wzrokiem malowany

przez siebie płot.

– Pan Endemen zażyczył sobie, aby wzdłuż górnej części biegi winorośle
– stwierdziła rozmarzonym głosem. – Moim zdaniem to byłaby przesada przy
wisterii, nie sądzisz?

Zastanowiłem się nad odpowiedzią.

– Płacą ci od rośliny?

Westchnęła.

– To kwestia artystyczna. Nie powinnam była cię o to pytać. Mam
nadzieję, że audi potrzebujesz tylko po to, żeby dojechać na uczelnię?

Posłałem jej moje najlepsze niewinne spojrzenie.

– Nie... mam później do wykonania pewną robotę. Byłoby lepiej, gdybym
nie używał swojego samochodu.

– Pewną robotę – powtórzyła. – Najdroższy, kiedy ostatnio pożyczyłeś ode
mnie samochód, żeby wykonać pewną robotę...

– No wiem. Pokryję koszt wszelkich napraw.

– Nie o to mi chodziło, Jackson.

– Możemy się zamienić samochodami czy nie, mam?

Odłożyła pędzel i wytarła ręce ścierką. Dwoma palcami wyłowiła kluczyki
z kieszonki kombinezonu.

– Mam lekkie ręce.

Odebrałem od niej kluczyki.

– Dzięki.

Mama nachyliła się w stronę płotu i namalowała kolejny zawijas wisterii.
Pan Endemen nadal pisał coś na maszynie, popatrując co chwilę w okno, by
sprawdzić, czy już sobie poszedłem.

– No i jak? – zapytała mama. – Zdenerwowany?

Skoncentrowałem uwagę ponownie na niej.

– Rozmową kwalifikacyjną?

Skinęła głową.

– Luz... – stwierdziłem. – Siedzenie przy jednym stole z kilkoma profesorami nie będzie najgorszą rzeczą, jaka przydarzyła mi się w tym tygodniu.

Matka uśmiechnęła się znacząco.

– Bez obaw. Świetnie sobie poradzisz.

Ponownie przyjrzała się mojej twarzy. Przez chwilę miałem wrażenie, że wyciągnie chusteczkę, zwilży ją językiem i wytrze mi policzki, jak to miała w zwyczaju robić, kiedy miałem pięć lat.

– Mam nadzieję, że zobaczę cię jutro?

– Organizujesz jak zwykle bal przebierańców?

Myślałem, że po tylu latach zdołam zadać to pytanie w taki sposób, żeby w moim głosie nie było słycać urazy. Nie jestem przekonany, czy mi się to udało.

Skinęła głową.

– Co nie oznacza, że nie możemy świętować obu rzeczy razem, Jackson.

– Postaram się.

– Ale przyjdiesz? – nalegała.

Kiedy się oddalałem, nadal rozważała, czy malować winorośl, czy nie.

Ochroniarz zatrudniony przez mieszkańców osiedla przejechał przed domem, kiedy otwierałem białego sedana matki. Zobaczył mój strój i po raz pierwszy od dwóch lat nie zwolnił, żeby obrzucić mnie podejrzliwym spojrzeniem.

Na desce rozdzielczej w audi matki czekał na mnie indiański woreczek z lekami.



– Myślę, że poszło ci całkiem nieźle – powiedział David Mitchell. – Wchodź, wchodź.

Jego gabinet znajdował się na drugim piętrze budynku Wydziału Nauk Humanistycznych i Społecznych, na tym samym korytarzu co sala, w której odbyła się rozmowa kwalifikacyjna. Na drzwiach wisiał rysunek z *Fistaszków* przedstawiający Lucy w budce psychiatrycznej, na której napisano małymi literami: „DOKTOR PRZYJMUJE”. Profesor Mitchell, człowiek kroczący w awangardzie poczucia humoru.

Jego gabinet był zabałaganiony, ale przytulny, wypełniony ciasno półkami na książki, poobijanymi szafkami na dokumenty i usychającymi roślinami w doniczkach. Przy tylnej ścianie stał komputer marki Macintosh o rozmiarach hyundaia. Nad nim wisiał plakat Festiwalu Średniowiecznego w Houston. Kolejne komiksy z Lucy i Linusem były poprzyklejane taśmą w różnych miejscach w pokoju niczym ponakładane w pośpiechu plastry.

Mitchell poprosił, żebym usiadł, i podał mi dietetyczną pepsi z prywatnego składziku. Skorzystałem z krzesła.

– A zatem, skoro my mieliśmy już okazję przemaglować cię na dziesiątą stronę – powiedział – może sam chciałbyś mi zadać jakieś pytania.

Skinął zachęcająco głową. Robił to przez cały czas trwania rozmowy kwalifikacyjnej, podczas gdy jego trzech kolegów – dwóch starszych Anglosasów i jeden Latynos – gapiło się na mnie i wypytywało raz za razem, czym dokładnie zajmowałem się od czasu ukończenia studiów

doktoranckich. Kiedy ściskali mi dłoń na zakończenie godzinnej rozmowy, sprawiali wrażenie zaniepokojonych, jakby uświadomili sobie nagle, że powinni byli chyba założyć jednorazowe rękawiczki. Może mama miała rację. Może brązowy krawat był złym pomysłem.

Zadałem Mitchellowi kilka pytań. Mitchell intensywnie kiwał głową. Miał siwe włosy i siwe bokobrody, które przystrzygł w kształt stateczników z samochodów z lat pięćdziesiątych. Rysy miał ściągnięte i kanciaste, a oczy świdrujące jak u szczura. Sympatycznego szczura. Starego, dobrego szczurka.

Mitchell opisał mi pokrótce obowiązki związane ze stanowiskiem wykładowcy, które zwolniło się na ich wydziale.

Stareńki doktor Haimler, który o ile wszystkich pamięć nie myliła, wykładał literaturę średniowieczną od czasów, kiedy przedmiot ten nosił nazwę „Współcześni pisarze”, odszedł w końcu na emeryturę w połowie semestru. A dokładnie w zeszłym tygodniu. Jego dwaj asystenci zrezygnowali w akcie protestu, oddając kurs prowadzony przez Haimlera w ręce innych asystentów oraz kilku profesorów literatury amerykańskiej, którzy prawdopodobnie sądzili, że Marie de France to jakiś wyścig kolarski.

– Problem w tym, że średniowiecze nie jest zbyt popularną dziedziną wiedzy – tłumaczył Mitchell. – Normalnie w razie takiego niespodziewanego wakatu zgłosiłoby się do nas wielu wykładowców, ale...

– Dlaczego Haimler odszedł?

Mitchell pokręcił głową.

– Sprzeciwiał się etnicznej dywersyfikacji programu nauczania. Twierdził, że nastąpi niepotrzebna fragmentaryzacja, że curriculum powinno zawierać jeden, obejmujący wszystko kanon.

– Ups.

Mitchell siedział z grobową miną.

– Intencje miał dobre. Tak naprawdę powiedział to, co myślało wiele osób. Tylko on wygłosił otwarty sprzeciw na posiedzeniu senatu uczelni. O sprawie dowiedzieli się studenci. Zaczęły się bojkoty, protesty na Patillo, ludzie przynosili transparenty z napisem: „RASISTA”. Nie był to rozgłos, na jakim mogłoby zależeć rektorowi.

– Dlaczego zatem ja? Nie potrzebujecie kolejnego białego faceta.

Mitchell wpatrywał się we mnie takim wzrokiem, jakbym opowiedział dowcip, który tylko ja jeden rozumiem.

– Oczywiście, że nie. Komisja wolałaby kogoś... „o odmiennej płci i odmiennym pochodzeniu etnicznym”. Chyba tak to się obecnie określa.

– Ale?

Potrząsnął głową, nieco bardziej otwarcie okazując swoją niechęć.

– Musiałbym niewątpliwie porozmawiać na ten temat z doktorem Gutierrezem podczas zebrania komisji, ale zajmijmy się teraz kwestią niezbędnych kwalifikacji, synu. Potrzebujemy kogoś, kto zna dobrze tę dziedzinę wiedzy, kto ma odpowiednie doświadczenie i potrafiłby nawiązać kontakt ze studentami. Kogoś młodego, bardziej nauczyciela niż autora prac naukowych. Formalnie rzecz biorąc, zatrudnimy taką osobę tylko do końca roku, na stanowisko profesora wizytującego. Do tego czasu przeprowadzony zostanie szerszy zakrojony proces rekrutacyjny. No ale gdybyś już tu pracował, nawiązał znajomości z kadrą...

Skinął zachęcająco głową, pozwalając, abym domyślił się reszty. Domyśliłem się.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę na temat procesu rekrutacyjnego, o tym, kiedy mógłbym poprowadzić zajęcia próbne, gdyby komisja zdecydowała się dopuścić mnie do kolejnego etapu. Taka perspektywa aż tak

bardzo mnie nie podniecała, ale powiedziałem, że mogę pozostać w kontakcie. Mitchell skinął z zadowoleniem głową.

Otworzył teczkę, którą mu wcześniej dałem, i przebiegł wzrokiem listę kwalifikacji, jakie zdobyłem na Berkeley. Pokręcił głową i się uśmiechnął.

– Jesteś dwujęzyczny.

– Hiszpański i angielski. Do tego średniowieczny angielski. Znam słabo klasyczny hiszpański i łacinę, a dostatecznie dobrze anglo-normandzki, aby rozumieć świńskie dowcipy w baśniach.

Zagwizdał bezgłośnie i zamknął teczkę.

– Ukończyłeś pięcioletnie studia w trzy lata. Te listy polecające są bardzo przekonujące. Jak to się stało, że zacząłeś wykonywać pracę...

Szukał jakiegoś uprzejmego określenia.

– Pracę zbira? – podpowiedziałem.

Zachichotał.

– Pozostańmy przy „dochodzeniach”.

– Zwykle szczęście. Oraz fakt, że jedyną pracą, jaką w tamtym czasie mogłem dostać z moim doktoratem, było stanie za barem na Telegraph Avenue. Oraz to, że mój znajomy przedstawił mnie pewnej osobie, swego rodzaju prawnicze zajmującej się sprawami kryminalnymi, która... wzięła mnie pod swoje skrzydła.

Maia Lee prawdopodobnie roześmiałaby się, słysząc to wyjaśnienie. „Wzięła mnie pod swoje skrzydła” było eufemistycznym określeniem na uczenie kogoś, jak należy rozbić okno, jak wyłączyć alarm, jak namierzyć osobę, jak szantażować kogoś fotografiami, aby sprawa cywilna nie trafiła do sądu. Wspólnicy Mai w Terrence & Goldman najpierw krzywili się na stosowane przez nią metody, aż w końcu zrobili ją młodszym wspólnikiem.

Mitchell patrzył na mnie, nadal uśmiechnięty, niemniej jego twarz

wyrażała teraz również smutek.

– Oraz fakt, że twój tata był stróżem prawa – zasugerował. – Podejrzewam, że twoja matka ma słuszność... że w dużej mierze z tego powodu twoja kariera potoczyła się w niewłaściwym kierunku.

Nie odpowiedziałem. W niewłaściwym kierunku?

– Dlaczego zatem akurat teraz chcesz wrócić na uniwersytet? – zapytał.

Chyba powiedziałem coś na temat potrzeby wyzwania intelektualnych i przeniesienia moich życiowych doświadczeń na grunt sali wykładowej, bla, bla, bla. Mój umysł zdążył w dużej mierze odłączyć się od tego, co mówiłem, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

Mitchell przeprosił mnie na moment. Wyszedł na korytarz i rozmawiał przez chwilę przyciszonym głosem z pozostałymi członkami komisji rekrutacyjnej.

Wrócił do gabinetu i usiadł. Miał beznamiętne spojrzenie.

– Szybko poszło – zauważyłem.

Zacząłem zbierać się do wyjścia, zamierzając mimo wszystko mu podziękować.

Mitchell niespodziewanie wyszczerzył zęby.

– Chcieliby zobaczyć w przyszłym tygodniu próbne zajęcia. Doktor Gutierrez powiedział, że jesteś najbardziej intrygującym kandydatem, z jakim miał od dawna okazję rozmawiać.

Z gabinetu Mitchella wyszedłem z małym paskiem papieru potwierdzającym, że w poniedziałek mam poprowadzić próbne zajęcia na seminarium licencjackim. Towarzyszyło mi również obezwładniające, mdlące odczucie, że ktoś zaczął już przyklejać do mnie taśmą rysunki z *Fistaszków*.



Czerwona mazda miata stała zaparkowana prawymi kołami na chodniku przed numerem dziewięćdziesiątym przy Queen Anne Street. Kiedy podszedłem do werandy po mojej stronie domu, z drzwi wyłoniła się Allison Saint-Pierre.

– Cześć – powiedziała.

Miała na sobie białe reeboki, plisowaną białą spódniczkę i biały bezrękawnik, który nieszczególnie komponował się z paskami jej biustonosza. Upięte frotową opaską włosy tworzyły grzywkę. Jej uśmiech miał w sobie solidną alkoholową zaprawę. Lekcja tenisa w klubie.

Trzymała dwa shiner bocki. Jedna butelka była niemal pusta. Drugą podała mnie.

– Przepyszne – powiedziała.

Oparła się bokiem o drzwi, więc do środka mógłbym wejść, tylko gdybym miał ochotę zatańczyć z nią mambę.

Zostałem na werandzie.

– Pozwól, że zgadnę. Wpuścił cię mój gospodarz.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Uroczy stary pierdziel. Zabrał tę kopertę z blatu i zapytał, czy wiem coś na temat czynszu za ten miesiąc.

– Taaa... Gary ma słabość do blondynek. Do pieniędzy za czynsz i blondynek. Może gdybym przyprowadzał tu więcej blondynek, rzadziej dopraszałyby się o czynsz.

Allison uniosła brwi.

– Warto spróbować.

Przekreśliła się do środka, zupełnie jakby jej plecy były przymocowane do framugi drzwi. Sądziłem już, że upadnie na podłogę w salonie, ale w ostatniej chwili wyciągnęła przed siebie nogę i weszła do środka.

– Łooo – powiedziała.

Wypiłem okazały łyk shiner bocka i ruszyłem za nią.

Allison wyciągnęła wcześniej z odtwarzacza kasetę z Julie Kearnes i puściła Johnny’ego Johnsona. Zdjęła z parapetu stary numer „Texas Monthly” i zostawiła otwarty na stoliku kawowym. Opuściła deskę do prasowania i wyciągnęła zza niej aparat telefoniczny.

Usiadła na stole w kuchni i rozłożyła ręce na boki, kładąc je na laminacie.

– Dzwoniła jakaś Carol. Powiedziałam, że cię nie ma.

– Carolaine – poprawiłem ją. – Cudownie. Dzięki.

Wzruszyła ramionami. Zadowolona, że mogła pomóc.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu Roberta Johnsona, ale on gdzieś się zasztył. Może pod stertą prania. Może w spiżarni. W przeciwieństwie do gospodarza Robert Johnson nie przepadał za blondynkami.

– Wysłałaś już Sheckly’emu życzenia powrotu do zdrowia? – zapytałem.

Allison upiła się na wesoło, nawet jeśli była napruta jak pancernik. Moje pytanie odbiło się od jej stalowego kadłuba – drobna niedogodność, ale nie na tyle duża, aby sprowokować ją do zmiany kursu.

– Jeden z jego prawników zostawił mi dziś rano wiadomość... mówił coś o rachunkach za leczenie.

Kręciła czubkiem prawego buta w rytm muzyki. Do tyłu, do przodu, do tyłu, do przodu.

Czekałem.

– Nie wątpię, że znalazłaś się w moim mieszkaniu z jakiegoś istotnego

powodu. Zdradzisz, o co chodzi?

Allison mierzyła mnie przez chwilę wzrokiem, kiwając głową; zaczęła od moich stóp, po czym ruszyła w górę.

– Dobrze wyglądasz. Powinieneś się częściej tak ubierać.

Pokręciłem głową.

– Ten strój kojarzy mi się ze zbyt wieloma pogrzebami.

– To właśnie robiłeś dziś rano?

– Prawie. Po co tu przyszedłeś?

Allison uniosła palce z blatu.

– Znalazłam cię w książce telefonicznej. Zrobiło mi się przykro, że oberwałeś wczoraj wieczorem.

– Zrobiło ci się przykro.

Uśmiechnęła się.

– Aż taka okropna nie jestem, kochany. Powinieneś mnie lepiej poznać.

– Goście, którzy mają okazję poznać cię lepiej, kończą z otwartymi ranami.

– Jak już ci tłumaczyłam, Tres, wychowywałam się z czterema braćmi.

– Ilu dotrwało do pełnoletności?

Jej oczy błysnęły. Tym razem nie pozwalała się wyprowadzić z równowagi.

– Może po prostu byłam ciekawa. Rano zadzwonił do mnie tata Mirandy. Pytał, czy spędziła ostatnią noc u mnie.

– Tak?

Uśmiechnęła się znacząco.

– Tak. Wygląda na to, że wczoraj po przyjęciu zwyczajnie zniknęła. Tak się składa, że ty również.

Czekała na jakąś informację.

Na szczęście dla mnie zadzwonił telefon. Allison zaofiarowała się, że odbierze. Podziękowałem. Przeniosłem aparat pod drzwi łazienki, najdalej dokąd sięgał, po czym podniosłem słuchawkę.

– ASPF – powiedziała Erainia Manos.

– Czy to po grecku?

Następne słowa, które wypowiedziała, były rzeczywiście po grecku i nie zabrzmiały zbyt sympatycznie.

– Nie, złociutki, zrobię coś, czego nigdy wcześniej dla ciebie nie zrobiłam. Amerykańskie Stowarzyszenie Przemysłu Fonograficznego. Jeżeli chodzi o egzekwowanie praw autorskich, nie ma nikogo ważniejszego. Mają oddział w Houston. Ich reprezentantem na obszar całego południowego Teksasu jest Samuel Barrera.

Spojrzałem na siedzącą po drugiej stronie pokoju Allison. Posłała mi sympatyczny uśmiech; nadal poruszała stopami w rytm Johnny’ego Johnsona.

– To świetnie – powiedziałem do Erainii. – Cieszę się, że nic poważnego się nie stało.

Erainia na chwilę umilkła.

– Masz gości?

– Aha.

– W takim razie słuchaj. W kilku ostatnich latach Sheckly trafił kilka razy przed sąd pozwany przez znanych artystów, którzy wystąpili w jego lokalu. Wszyscy twierdzili, że nagrywał ich występy, ale nie dawał im praw do czegokolwiek, żadnego udziału w zyskach.

– Słyszałem o tym.

– Twierdzą również, że pirackie nagrania ich koncertów wypływały potem na rynku w całej Europie. Nagrania znakomitej jakości, wykonane na

najwyższej klasy sprzęcie. Moi znajomi twierdzą, że dość powszechnie wiadomo, że nagrań dokonuje właśnie Sheckly i ma od nich jakiś niewielki procent. Mówi po niemiecku, jeździ często do Niemiec, prawdopodobnie w czasie tych podróży zawiera nowe umowy, przewozi taśmy matki. Tyle że nikt nie potrafi tego udowodnić. Koncerty są później sprzedawane, więc ich kopiowaniem i dystrybucją może się teoretycznie zajmować jakakolwiek stacja radiowa w kraju, każdy dysponujący odpowiednim sprzętem.

Uśmiechnąłem się do Allison. Powiedziałem bezgłośnie: „Chory przyjaciel”.

– To nie wygląda na zagrożenie życia. Raczej na drobną uciążliwość.

Erainia milczała.

– To nie wygląda jak nic, za co warto byłoby dać się zabić, złociutki. Masz rację. Niemniej o jakiego rzędu kwotach mówimy? Jakim człowiekiem jest ten cały pan Sheckly? Masz jakieś przeczucia w tej sprawie?

– Niestety tak. Dlaczego nie zdiagnozowano tego wcześniej?

– Słyszałam, że Sheckly działa na ograniczoną skalę. Nie importuje muzyki do Stanów, co byłoby bardziej zyskowne, ale dziesięć razy bardziej niebezpieczne. Trzyma się europejskiego rynku, wyłącznie nagrań z koncertów. Dzięki temu nikomu nie opłaca się nim zajmować.

– Rozumiem.

– Aha, złociutki, niczego się ode mnie nie dowiedziałeś.

– Pokój dwanaście. W porządku.

– Gdyby udało ci się wykorzystać te informacje, żeby choć trochę złapać Barrerę za jaja...

– Taki mam zamiar. Tobie również.

Rozłączyłem się.

– Korzystne rokowania? – zapytała Allison.

– Pozwolisz, że się przebiorę?

Zasnurowała usta i skinęła głową.

– Nie krępuj się.

Wyjąłem z szafy T-shirt i dżinsy, po czym poszedłem do łazienki. Robert Johnson wyjrzał zza zasłony prysznicowej.

– Jeszcze nie – ostrzegłem go.

Jego głowa zniknęła ponownie w wannie.

Zdażyłem zdjąć koszulę i przeciągałem rękawy na prawą stronę, kiedy do łazienki weszła Allison i dźgnęła mnie palcem w plecy, dotykając blizny, którą miałem tuż nad nerką.

Największym wysiłkiem woli powstrzymałem odruchowy wyrzut łokcia do tyłu.

– A to co? – zapytała.

– Możesz tego nie robić?

Zachowywała się tak, jakby mnie nie usłyszała. Dźgnęła bliznę ponownie, najwyraźniej zafascynowana obrzmiałością kawałka skóry. Jej oddech sunął po moim ramieniu niczym skraj mokrej ścierki.

– Dziura po kuli?

Odwróciłem się przodem do niej, ale nie miałem się za bardzo gdzie wycofać, chyba że byłbym gotów usiąść w umywalce.

– Czubek miecza. Mój *sifu* zanadto się pewnego razu rozochocił.

– *Sifu*?

– Nauczyciel. Gość, który uczył mnie tai-chi.

Roześmiała się.

– Twój nauczyciel zranił cię mieczem? Nie mógł być zbyt dobry.

– Był bardzo dobry. Niestety wydawało mu się, że ja również jestem dobry.

– Masz jeszcze jedną bliznę. Dłuższą.

Patrzyła na moją klatkę piersiową, gdzie pewien sprzedawca haszyszu dźgnął mnie balijskim nożem w dzielnicy Tenderloin w San Francisco. Włożyłem T-shirt.

Allison zrobiła nadęsaną minę.

– Koniec przedstawienia?

Odpędziłem ją machnięciem ręki i zamknąłem drzwi. Nadal się uśmiechała, kiedy zatrzasnęły się tuż przed jej nosem.

Robert Johnson wpatrywał się we mnie, kiedy wciągałem dzinsy. Wyglądał na równie ubawionego jak ja.

– A może byśmy ją tak pogonili? – zaproponowałem. – Ruszylibyśmy na nią z dwóch stron.

Jego głowa ponownie zniknęła w wannie. Tyle w kwestii wsparcia.

Kiedy wróciłem do salonu, Allison zdążyła otworzyć sobie kolejne piwo i zająć miejsce na futonie.

– Przypomina mi się moje stare mieszkanie w Nashville – powiedziała, wpatrując się w mokrą plamę na suficie. – Mój Boże, co to była za nora.

– Dzięki.

Spojrzała na mnie zdziwiona.

– Chodziło mi tylko o to, że było małe. Przez jakiś czas nie miałam w ogóle pieniędzy. Wspominam to trochę z nostalgią, wiesz?

– Stare dobre czasy – powiedziałem. – Zanim wyszłaś za pieniądze.

Wypiła łyk piwa.

– Nie przeginaj, Tres. Wiesz, jak żartowano w Falfurrias?

– Falfurrias. Tam się urodziłaś?

Przytaknęła z kwaśną miną.

– Żartowaliśmy, że na studia idzie się tylko po to, żeby zdobyć magistra. –

Postukała się w obrączkę, którą miała na kciuku. – Mnie to jakoś ominęło.

Zacisnęła wszystkie dziesięć palców na butelce z piwem i podciągnęła stopy na futon. Spojrzałem na swoją butelkę, zastanawiając się, ile jeszcze musiałbym wypić, żeby ją doścignąć.

– Kiedy miałam osiemnaście lat, pracowałam w wakacje jako sekretarka w salonie samochodowym Ala Garlanda.

Spojrzała na mnie znacząco, jakby oczekiwała, że będę wiedział, kim był Al Garland, najwyraźniej jakaś gruba ryba w Falfurrias. Pokręciłem głową. Wyglądała na rozczarowaną.

– W weekendy próbowałam śpiewać w kilku klubach w Corpus Christi. Zanim się obejrzałam, Al zaczął obiecywać, że zostawi dla mnie żonę, zapewniał, że sfinansuje moją karierę muzyczną. Zaczęliśmy jeździć w weekendy do Nashville, żeby mógł mi pokazać, jaki to jest bogaty i ważny. Musiał wpakować z dziesięć tysięcy do kieszeni poławiaczy portfeli.

– Poławiaczy portfeli?

Wyszczrzyła zęby.

– Gości z Nashville, którzy na kilometr potrafią zwęszyć pieniądze przyjeżdżające z prowincji. Obiecywali Alowi najróżniejsze rzeczy: nagrania, promocję, znajomości. Nic się nigdy nie wydarzyło poza tym, że ja często okazywałam Alowi wdzięczność. Przez chwilę wydawało mi się, że łączy nas miłość. Ostatecznie uznał, że stałam się zbyt kosztowna. A może jego żona odkryła romans. Nigdy się nie dowiedziałam, o co poszło. Zostałam porzucona w Nashville z jakimiś pięćdziesięcioma dolarami i kilkoma naprawdę ładnymi kompletami bielizny. Głupia byłam, co nie?

Nie odzywałem się. Allison upiła łyk piwa.

– Wiesz, co było najgorsze? W końcu zdobyłam się na odwagę, żeby opowiedzieć o tym wszystkim komuś z Nashville, a tym kimś był Les Saint-

Pierre. Tylko się roześmiał. To się tu przydarza stu osobom miesięcznie, wyjaśnił, zawsze w ten sam sposób. Wielką traumą mojego życia było to, że jestem tylko jedną z liczb tworzących większą statystykę. Wtedy Les obiecał, że to wszystko naprawi, a ja dałam się ponownie nabrać. Uczyłam się powoli.

– Nie musisz mi o tym wszystkim mówić.

Wzruszyła ramionami.

– Mam to gdzieś.

Zabrzmiało to jak zdanie, które wypowiedziała tyle razy, że sama niemal w nie uwierzyła.

– Co się wydarzyło w agencji? – zapytałam. – Dlaczego Les postanowił odsunąć cię od interesów?

Allison znów wzruszyła ramionami.

– Les nie chciał mieć przy sobie kogoś, kto sprowadziłby go na ziemię, gdyby naprawdę odleciał z jakimś pomysłem. On nie potrafił się powstrzymać. W większości wypadków taka strategia wychodziła mu na dobre. Ale nie zawsze.

– Na przykład?

Pokręciła lekko głową.

– To naprawdę nie ma znaczenia. Nie teraz.

– A jeśli nie wróci?

– Agencja przypadnie mnie.

– Sprawiasz wrażenie pewnej siebie. Sądzisz, że potrafiłabyś poprowadzić skutecznie agencję bez niego?

– No wiem. Reputacja Lesa... Jasne, byłoby trudno, ale zakładamy tu, że zatrzymałabym agencję. Nazwisko jest sporo warte, mogłabym sprzedać je któremuś z licznych konkurentów z Nashville. Poza tym wciąż obowiązują kontrakty na prawa autorskie do tekstów piosenek i nadal przynoszą dochód.

Les nie był głupi.

– Wygląda na to, że zdążyłaś się zorientować w sytuacji.

Allison wzruszyła ramionami. Delikatny uśmiech.

– A ty byś tego nie zrobił?

– Musiałaś w takim razie przejrzeć listę jego aktywów.

– Jestem nieźle zorientowana.

– Wiesz coś na temat domku nad jeziorem Medina?

Twarz Allison nabrała niemal trzeźwego wyglądu. Wpatrywała się we mnie pozbawionym wyrazu wzrokiem. Opowiedziałem jej o zatwierdzonej przez sąd ugodzie w sprawie spadku po rodzicach Lesa.

– Pierwszy raz o tym słyszę.

Wszelako w jej głowie działało się coś jeszcze. Zupełnie jakby coś od dawna trochę ją niepokoiło, a teraz znalazło się w centrum uwagi. Posłałem jej spojrzenie wyrażające milczącą prośbę, żeby mi o tym opowiedziała. Zawahała się, po czym odwróciła wzrok.

– Masz jakiś plan działania, kochany?

– Zamierzałem udać się w teren. Sprawdzić to i owo.

Natychmiast zacząłem żałować, że to powiedziałem.

Allison poderwała się chwiejnie na nogi, uniosła piwo, żeby sprawdzić, ile go jeszcze zostało, i uśmiechnęła się do mnie.

– Najlepiej ty prowadź. Ja popilotuję.

Zaraz potem zabrała się do poszukiwania drzwi wejściowych.



Przez pierwszą część podróży Allison była milcząca. Przed wyjazdem wyrażała głośno dezaprobatę, że przygotowuję dla niej termos kawy, a nie tequili, i że zmuszam ją do przebrania się w coś praktyczniejszego. Znalazłem w głębi szafy parę należących do Carolaine spodni na tasie i wycięty pod szyją pulower. Zupełnie nieźle na nią pasowały. Kiedy wyruszyliśmy, skuliła się obok mnie na fotelu w audi mojej matki z kolanami opartymi o deskę rozdzielczą, twarzą ukrytą za kubkiem kawy. Na nos założyła fioletowe okulary matki, które wyciągnęła ze schowka na rękawiczki. Przez jakiś czas wydawała z siebie odgłos: „Błeee”. Obawiałem się, że zwymiotuje, ale kiedy wyjechaliśmy poza miasto, zaczęła się ożywiać.

W Wilming postanowiła nawet wejść ze mną do biura rzeczoznawcy majątkowego. Wilmig było małą osadą składającą się z budynku stowarzyszenia kombatantów Amerykański Legion, baru Dairy Queen i w zasadzie niczego innego. Biuro rzeczoznawcy było akurat otwarte w sobotę, ponieważ mieścił się w nim również urząd pocztowy i sklep spożywczy. Uzyskawszy bez problemu potrzebny dokument notarialny i zeznania podatkowe Lesa z ostatnich pięciu lat, musiałem niechętnie przyznać, że towarzystwo ładnej jasnowłosej żony pomogło mi w trochę szybszym załatwieniu sprawy.

Kiedy wróciliśmy do samochodu, Allison dołała sobie kawy i powiedziała:

– Błe.

– Po prostu jest mocna – wyjaśniłem. – Nie jesteś przyzwyczajona do

marki Peet.

Zadygotała.

– To coś w rodzaju Starbucksa?

– Peet ma się tak do Starbucksa jak Platon do Sokratesa. Po jakimś czasie ją docenisz.

Gapiała się na mnie oniemiała przez jakiś kilometr, po czym postanowiła przenieść uwagę z powrotem na papiery, które zdobyliśmy od rzeczoznawcy, i na kawę.

Przejrzała dokumentację domu letniskowego Lesa.

– Drań. Dwa lata temu zmienił adres korespondencyjny zeznań podatkowych, żeby nie przychodziły do nas do domu. Dokładnie wtedy, kiedy się pobraliśmy.

– Chciał mieć miejsce, o którego istnieniu byś nie wiedziała. Może już wtedy przygotowywał się do zniknięcia. Zostawił sobie drogę ucieczki.

Zaśmiała się cicho, jakby z niedowierzaniem.

– A ten adres korespondencyjny w Austin? U którejś z dziewczyn?

– Prawdopodobnie wirtualne biuro. Dziewczyna byłaby zbyt ryzykowna.

– Drań. Będziesz potrafił zlokalizować to miejsce?

Pokręciłem głową.

– Nie wiem.

Zdobyliśmy dokładny adres domku letniskowego, ale niewiele to znaczyło, jeżeli stał nad jeziorem. Większość ludzi rejestruje jako swój adres skrzynkę na listy przy głównej drodze, a skrzynek mogły być setki – wszystkie srebrne, wiele zdezelowanych albo z zatartymi numerami. Nawet gdybyśmy znaleźli właściwą skrzynkę, niekoniecznie musiałaby się ona znajdować w pobliżu domu. Bardziej prawdopodobne, że ten stałby dwa, trzy kilometry dalej przy jakiejś nieoznakowanej drodze gruntowej. Zjazd byłby oznaczony

tylko paroma deskami z nazwiskami kilku rodzin mieszkających przy tej drodze. Często znaków w ogóle nie było i znalezienie konkretnego miejsca stawało się możliwe tylko dzięki pomocy okolicznych mieszkańców. Jeżeli ktoś potrafił unikać kontaktów z okolicznymi mieszkańcami, nad jeziorem Medina mógł całkiem skutecznie ukrywać się przed światem.

Minęliśmy Woman Hollow Creek i przejechaliśmy przez kilka wzgórz autostradą numer 16. Wśród pojazdów poruszających się po drodze coraz większy odsetek stanowiły samochody turystyczne.

Allison przyglądała się woreczkowi z „lekami” matki, który wisiał na wstecznym lusterku. Przesuwała palcami po paciorkach i piórkach.

– A skąd w ogóle znasz Mila? Nie wydajecie się... sama nie wiem. Przypominacie parę niedobrych przyjaciół.

– Pamiętasz tę bliznę na klatce piersiowej?

Allison się zawahała.

– Żartujesz.

– To nie sprawka Mila. On po prostu wpadł na pewien pomysł. Uznał, że nadaje się na prywatnego detektywa.

Droga była zbyt kręta, żebym mógł spojrzeć na twarz Allison, ale milczała przez ponad kilometr; fioletowe okulary przeciwsłoneczne pozostawały skierowane na mnie. Brakowało mi warkotu, powiewów wiatru i telepania się volkswagena. W samochodzie matki chwile ciszy stawały się zdecydowanie zbyt ciche.

W końcu Allison splótła palce dłoni i wyciągnęła przed siebie ręce.

– Okej. Co się w takim razie wydarzyło?

– Milo był asystentem obrońcy w sprawie o zabójstwo. Jego pierwsza poważna praca w Terrence & Goldman w San Francisco. Potrzebował kogoś do namierzenia świadka, handlarza narkotyków, który widział morderstwo na

własne oczy. Milo uznał, że się do tego nadam. Uznał, że zaimponuje w ten sposób szefowi.

– A ty znalazłeś tego gościa.

– Och, tak, znalazłem go. A kilka kolejnych dni spędziłem w szpitalu.

– Zaimponowaliście szefowi?

– Milo? Nie. Ja... tak. Oczywiście najpierw musiałem opuścić intensywną terapię.

Allison się roześmiała.

– Zatrudnił cię?

– Ona. Tak, zaproponowała, że będzie mnie szkolić. I wylała Mila.

– Fantastycznie. Do tego kobieta.

– Bez najmniejszych wątpliwości kobieta.

Allison otworzyła usta, po czym zaczęła kiwać głową.

– A... aha. Milo chciał zaimponować...

– Nie chodziło wyłącznie o względy zawodowe.

– Ale ty i ona...

– Tak.

Wyszczерzyła zęby i trąciła mnie w ramię.

– Coś mi się wydaje, że pan detektyw się zarumienił.

– Bzdura.

Roześmiała się, odkręciła wieczko termosu i nalała sobie kolejny kubek kawy.

– To coś zaczyna coraz lepiej smakować.

Okrążyliśmy jezioro przez ponad godzinę, zanim w ogóle je zobaczyliśmy. Przez większą część trasy widok przesłaniały wzgórza i cedry. Linia wody znajdowała się tak nisko, że ziemno-skalisty brzeg przypominał beżowy pas osadu w wannie, wciśnięty między wodę a drzewa.

Medina nie należała do jezior ułatwiających nawigowanie. Wiła się między wzgórzami, podążając za nurtem dawnej rzeki, na której postawiono zaporę – pełna zatoczek i mylących zakoli, nieodróżnialnych ujść i dopływów. Równie dobrze moglibyśmy szukać domku letniskowego Lesa do końca tygodnia, gdyby nie pomoc dobrego znajomego.

Mniej więcej półtora kilometra za zjazdem numer 37 zauważyłem czarnego forda festiwę zaparkowanego po prawej stronie drogi naprzeciw jeziora. Okno było opuszczone, a za kierownicą siedział, czytając gazetę, rudowłosy gość o wyglądzie orangutana.

Przejechałem jeszcze pół kilometra, zawróciłem i zatrzymałem się na poboczu. Oczekałem, aż przetoczyła się obok nas jakaś półciązarówka, i ruszyłem za nią, trzymając się blisko.

– O co chodzi? – zapytała Allison.

– Patrz prosto przed siebie.

Podczas drugiego przejazdu rudzielec w festiwie również nie zwrócił na mnie uwagi, ale nie miałem już wątpliwości, że jest to Elgin. Siedział z nosem zakopanym głęboko w dziale sportowym. Zaawansowane metody obserwacji. Nie wątpiłem, że niedługo wpadnie na to, żeby zrobić w gazecie dziury na oczy.

Szybko omiotłem wzrokiem teren, który obserwowałem. W okolicy nie było żadnych bocznych dróg. Ani skrzynek na listy. Zwykły łuk szosy okrążającej wzgórze. Od strony jeziora pobocze opadało w dół stromym, gęsto zalesionym zboczem, przez co nie sposób było zobaczyć, co znajduje się poniżej nad wodą. Dostrzegłem tylko, że skręcały w tamtą stronę jakieś linie elektryczne. To oznaczało, że znajdował się tam co najmniej domek kempingowy, a jedyna droga w dół prowadziła obok Elgina.

– Elgin bez Franka – mruknąłem. – Niezbyt mądre posunięcie.

Allison obejrzała się do tyłu.

– O czym ty mówisz?

Opowiedziałem jej o spotkaniu z Elginem i Frankiem na poboczu autostrady, o bliskim spotkaniu mojej twarzy z asfaltem i sympatycznej próbie podrzucenia mi pistoletu. Opowiedziałem, że prawdopodobnie są zastępcami szeryfa, kumplami Tildena Sheckly’ego.

– Ale dupki – skomentowała. – A teraz obserwują dom Lesa?

– Przynajmniej jeden z nich.

– Czyli co? Wracamy i wyrzniemy go w głowę albo coś takiego, tak? Zwiążemy go?

Zaryzykowałem spojrzenie w bok, aby sprawdzić, czy żartowała. Nie byłem pewien.

– Wyrzniemy go w głowę?

– Hej, mam też gaz łzawiący. Ruszajmy.

Po jej występie z Shecklym poprzedniego wieczora uznałem, że nieroztropnie byłoby zakładać, że nie ma pojęcia, w jaki sposób wyrznąć kogoś w głowę.

Nie zwalniając, wróciliśmy aż do lodziarni Turk.

Po pięciu minutach pogawędki z Eustice, niebieskowłosą ekspedientką w krzykliwej satynowej bluzce, ustaliliśmy, że interesująca nas zatoczka nosi nazwę Klonowego Zakątka. Nie, Eustice nie rozpoznawała Lesa ze zdjęcia. Nie, Allison nie chodziła do szkoły średniej z córką Eustice. Mimo rozczarowania w tej ostatniej kwestii Eustice zgodziła się zapoznać nas z jakimś Bipem, który z kolei zgodził się wypożyczyć nam za pięćdziesiąt dolarów motorówkę. Bip i jego łódź byli podobnie wielkimi szarawymi klinami, poobijanymi i zaniedbanymi. Oboje śmierdzeli też żywą przynętą. Bip uśmiechał się do Allison i mówił: „Że hę?”, ilekroć odwracał od niej

wzrok.

Posyłałem mu ostrzegawcze spojrzenia, ponieważ nie zdawał sobie sprawy, że naraża się na śmiertelne niebezpieczeństwo, ale Bip nie zwracał uwagi na moje sygnały.

Z pewnym trudem uruchomiliśmy motorówkę i odbiliśmy od przystani przy lodziarni Turk.

Zatoczka, z której wypływaliśmy, zaczęła się rozszerzać i wkrótce znaleźliśmy się w głównym pasie jeziora. Kilometr dalej na przeciwległym brzegu rozciągały się wzgórza usiane domkami letniskowymi i masztami radiowymi. Co pewien czas w odległości kilkuset metrów od nas przemykała jakaś motorówka; minutę później zaczęliśmy podskakiwać na wodzie. Kiedy skręciliśmy w stronę ujścia zatoczki Klonowy Zakątek, w łódce było wody po kostki, a ja musiałem przenieść plecak z dna na kolana. Bip przekonywał nas wcześniej, żebyśmy się absolutnie nie przejmowali tymi maleńkimi dziurami w łodzi.

Allison zdjęła buty i zamierzała przewiesić stopy przez burtę.

– Na twoim miejscu bym tego nie robił – ostrzegłem.

Zmarszczyła brwi. W popołudniowym słońcu fioletowe okulary rzucały długie czerwone cienie na jej policzki.

– Co? I tak już są mokre.

– Nie chodzi o wodę, ale o mokasyny.

Wskazałem na miejsce, gdzie woda marszczyła się odrobinę intensywniej, niżby to wynikało z normalnego falowania.

Allison przełożyła nogi z powrotem do łódki.

Minęliśmy pływające gniazdo. Tuzin zielono-srebrnych kształtów zwijał się w węzły marynarskie tuż pod powierzchnią wody.

Allison zagwizdała cicho.

– Jedyne węże, jakie mieliśmy w Falfurrias, były przerabiane na paski. Mam nadzieję, że te okażą nam wyrozumiałość, jeśli zatoniemy obok nich.

– Ja również. W zeszłym roku narciarz wodny wywrócił się na jedno z tych gniazd. Zmarł na miejscu.

Allison oparła stopy na ławce, po obu stronach moich nóg. Miała pomalowane na czerwono paznokcie. Nogawki jej spodni podjechały do połowy opalonych łydek. Mocno się na nich opinały, nie były luźne jak u Carolaine.

Położyła łokieć na kolanie, podparła dłonią brodę i mrugnęła do mnie.

– Coś mi się wydaje, że pan to zmyślił, panie Navarre.

Wzruszyłem ramionami, powstrzymując uśmiech. Przepyrkaliśmy obok gniazda węży.

Jak należało się spodziewać, na południowym końcu zatoczki Klonowy Zakątek rósł wielki klon, wznosząc się nad szczyt wzniesienia. Klony są dość rzadkie w Teksasie, ale do tego egzemplarza najwyraźniej nie dotarła informacja, że nie powinien się aż tak pięknie rozwinąć. Miał co najmniej dziesięć metrów wysokości i buchał feerią jesiennych kolorów. Kamienisty teren wokół niego był usłany podpalaną pomarańczą i jabłkową żółcią. Poniżej, nad wodą, kilka kobiet opalało się na starym pontonowym pomoście. W skałach wyrąbano stopnie, które prowadziły w stronę pomostu, ale kończyły się dobre siedem metrów nad powierzchnią jeziora, w miejscu, gdzie dawniej dochodziła linia wody.

Wpłynęliśmy w zatoczkę, która zaczęła się szybko zwężać. Jeden zakręt dalej odległość między brzegami wynosiła nie więcej niż siedem metrów. Woda zrobiła się ciemnozielona i pachniała zastojem – szumowinami, spływającymi do jeziora toksycznymi substancjami i martwymi rybami. Brzeg po prawej stronie był dość stromy i gęsto porośnięty cedrami oraz

dębami; z wszystkich gałęzi zwisały pasemka mchu hiszpańskiego. W górze dostrzegłem migające między drzewami dachy półciężarówek i samochodów turystycznych przejeżdżających drogą, przy której zaparkował Elgin.

Nad zatoką stały dwa domy letniskowe, oba zlokalizowane właśnie na brzegu od strony drogi. Ten położony dalej był zadbane, pokryty białym gontem i stał niemal na szczycie wzgórza. Na wodzie poniżej unosił się pomost, a nad nim widać było małą połąć trawnika. Ręcznie namalowany na desce znak widoczny od strony wody obwieszczał dumnie: „HEIDELMANOWIE”. Literom towarzyszyły stokrotki i żabki. Wokół tabliczki i wzdłuż kamiennej ścieżki prowadzącej do domu stała mała armia plastikowych ptaków wodnych ze śmigłami zamiast skrzydeł. Wszystkie okiennice w domu były pozamykane, w środku nie paliły się żadne światła.

Pół akra bliżej stał półkolisty metalowy barak, który wystawał ze zbocza mniej więcej w połowie wysokości między drogą a powierzchnią wody. Dobudowano do niego drewniany taras skierowany w stronę jeziora. Przednia ściana została pomalowana na czekoladowy brąz, a drzwi z moskitierą i dwa okna były zasłonięte żółtymi kotarami. Łukowaty dach baraku był wykonany z aluminiowej blachy falistej o równie nieciekawym wyglądzie jak wnętrze puszki z jedzeniem. Z tyłu sterczał z niego metalowy komin.

– Ech, ten mój mąż – westchnęła Allison. – Ciekawe, czy będę potrafiła się domyślić, który z tych domów należy do niego?

Wyłączyłem silnik i łódka zaczęła się unosić w kierunku szuwarów rosnących przy brzegu pod barakiem. Łódź odbiła się od skały i znieruchomiła.

Obok nas znajdowały się resztki pomostu. Betonowe podpory nadal

wystawały z wody, a kilka desek nie zdążyło zgnić i zamienić się w drzazgi. Nie miałem specjalnej ochoty powierzać żadnej z nich ciężaru mojego ciała.

Trzy metry na prawo od pomostu leżała zatopiona łódź; nad powierzchnię wody wystawał tylko dziób. „Kto wie, czy nie pozostałości po ostatnim kliencie Bipa” – pomyślałem.

Ochlapując się i ślizgając, wdrapałem się na brzeg. Allison trzymała się blisko mnie. Spojrzałem w górę na ciemne okna i zamknięte drzwi baraku.

Gdyby Elgin był inteligentny, gdyby obserwował chatę w nadziei, że pojawi się w niej Les, postawiłby swojego partnera Franka gdzieś w tym miejscu. Może u Heidelmanów albo nawet w samym baraku Lesa. Oczywiście gdyby Elgin był inteligentny, nie pozwoliłby się tak łatwo zauważyć na szosie. Doszedłem do wniosku, że nie stoję na zupełnie przegranej pozycji.

Zaczęliśmy się wspinać po tym, co uchodziło tu za stopnie – starych deskach wbitych pionowo w gliniane zbocze. Schody prowadzące na pomost biegły z boku baraku. Nawet gdyby ktoś obserwował to miejsce z drogi, pozostawalibyśmy niewidoczni. Nikt nie wyskoczył z lasu w stroju komandosa. Skrzypiąc przeokropnie, dotarliśmy przed drzwi. Jeżeli ktoś czaił się w środku, musiał wiedzieć, że się zbliżamy.

Drzwi były zamknięte na kłódkę – zwykły metalowy skobel przełożony przez otwór w zawiasie. Idiotyzm.

Poprosiłem Allison, żeby podała mi z plecaka śrubokręt krzyżowy, i w niecałą minutę odkręciłem zawias. Moglibyśmy równie łatwo sforsować okno, ale nie byłem gotowy wybijać na tym etapie szyby.

Weszliśmy do baraku.

– Fuj – powiedziała Allison.

Wnętrze było pogrążone w ciemności. Śmierdziało zgnitym jedzeniem i

zapleśniałymi ubraniami. W świetle mojej latarki-długopisu trudno było się zorientować, co dokładnie widzimy, i dojść do tego, co się tam wydarzyło. Przy lewej ścianie stało niezastłane jednoosobowe łóżko. Pod prawą stała wieża stereo, a podłoga wokół niej była zastłana płytami CD i kasetami. Tacka odtwarzacza kompaktowego wystawała z wieży – mój brat Garrett nazywał ją podstawką pod piwo. Na podłodze leżała wykładzina ze sztucznej trawy, która zaczynała się rozpadać na osobne kwadraty. Łukowaty strop był wyłożony czarnym materiałem, co nadawało całemu wnętrzu jeszcze bardziej klaustrofobiczny charakter. Z tyłu znajdowały się: aneks kuchenny, telefon, rozbite okno i mała, osłonięta ścianką wnęka, która musiała służyć za toaletę.

Kiedy nasz wzrok przyzwyczaił się do ciemności, Allison podeszła do aneksu i podniosła z elektrycznej kuchenki patelnię z lekko rozbełtanymi jajkami. W niektórych miejscach zrobiły się gumowate, w innych zakrzepły w połyskującą powierzchnię.

– Dwa jajka na śniadanie – powiedziała. – Jadł je codziennie, bez wyjątku.

– Wszedł w trakcie – zauważyłem. – Jak myślisz? Dwa albo trzy dni temu?

Allison zadygotała i odstawiła patelnię.

– Mniej więcej. A więc drań wciąż żyje. – Nie sprawiała wrażenia uszczęśliwionej. Posłała mi lekko zażenowany uśmiech. – Pewnie się tego spodziewałam. Po prostu...

Zatknęła kciuki za pasek pożyczonych spodni i rozejrzała się po podłodze wokół swoich stóp, gdzie leżały rozrzucone męskie ubrania. Wyglądało, jakby ktoś roztrzącił stertę ubrań. Kopnęła z wściekłością jedną z koszul Lesa.

Wszedłem do łazienki. Na umywalce stała męska kosmetyczka, obok toaleta spalająca na propan z instrukcją obsługi na desce, ostrzegającą, jak uniknąć pożaru podczas spłukiwania.

Wyjąłem polaroid i zrobiłem zdjęcie toalety. Nikt by mi nie uwierzył, gdybym o niej opowiedział. Obfotografowałem też resztę baraku – jajka, pranie, rozrzucone płyty CD.

Podszedłem do blatu i podniosłem słuchawkę telefonu. Usłyszałem sygnał. Przetawiałem wybieranie na pulsowe i wcisnąłem klawisz powtórnego wybrania ostatniego numeru. Byłem w zasadzie pewien, że zapamiętałem numer po pierwszym przesłuchaniu, ale na wszelki wypadek rozłączyłem się, zanim telefon zadzwonił, i wybrałem numer ponownie. Zanotowałem go na ręce i tym razem zaczekałem, aż telefon zacznie dzwonić. Nikt nie odebrał po dziesięciu sygnałach, nie zgłosiła się automatyczna sekretarka.

– Tres – powiedziała Allison.

Odwróciłem się. Patrzyła na mnie z wyrzutem, trzymając w dłoni patelnię z jajkami. Możliwie najciszej zapytała:

– No i? Patelnia czy gaz łązawiący?

– Co...?

Wtedy usłyszałem skrzypnięcie. Dobiegło z zewnątrz, jakby ktoś próbował wspinać się po starych schodach na taras z czymś w rodzaju ostrożności.



Cień przemieścił się za żółtą zasłoną w stronę drzwi i przekształcił się we Franka zwanego Brachem, uprzejmego zastępcę szeryfa, który poprzedniej nocy próbował mnie zrobić w nielegalne posiadanie broni. Mrużąc oczy, przytknął nos do drzwi z moskitierą i próbował dostrzec coś w pogrążonym w mroku wnętrzu. Był ubrany w dżinsy i pomarańczową hawajską koszulę. Bardziej zaawansowane techniki obserwacyjne.

Spojrzałem na Allison.

– Rozrywkowa z ciebie dziewczyna, ale chciałbym, żebyś odłożyła patelnię, dobrze?

– Zwariowałeś?

– Odłóż patelnię.

Wzrok Franka przyzwyczyił się do ciemności. Skierował się na mnie. Uśmiechnąłem się i pomachałem. Spojrzał na Allison, która powoli opuściła patelnię i również zaczęła machać.

– Gdybyśmy mieli pistolet – rozważała szeptem – już dawno moglibyśmy wpakować w niego pięć albo sześć kulek.

– Zamknij się – rozkazałem. – Błagam.

Frank otworzył drzwi i wszedł do środka.

Twarz miał czerwoną, jakby wyszorował ją sobie ługiem, a oczy załzawione. Jasne wąsy sterczały mu pod dziwnym kątem. Sprawiał wrażenie przymulonego i poirytowanego, ale niespecjalnie zaskoczonego.

– No pewnie – powiedział. – Oczywiście mieliście znakomity powód, żeby

się tu znaleźć.

Krótkofalówka przy jego pasku zapiszczała, po czym wydała z siebie metaliczny klekot. Nie odrywając ode mnie wzroku, podniósł ją do ucha.

– Spokojnie, Garwood. Fałszywy alarm.

Niewyraźna odpowiedź przypominała trochę głos Elgina. Nie zrozumiałem jej znaczenia, ale Frankowi najwyraźniej się to udało.

– Tak – powiedział. – Nic takiego.

Przestawił pokrętło głośności na zero.

– Fałszywy alarm? – zapytałem.

Frank rozejrzał się po baraku, poklepując się krótkofalówką po udzie.

– Elgin ma kilka pomysłów na to, co by zrobił, gdyby ponownie cię kiedyś spotkał. Nie chcę, żeby się zanadto rozochocił.

Frank rozejrzał się za jakimś miejscem do siedzenia i wybrał łóżko. Zapadł się w piankowym materacu, zastygł na chwilę niezdecydowany, po czym skrzyżował nogi i zaczął zdejmować lewy but.

– Wybaczcie – burknął. – Stopy mnie bolą jak cholera.

– Mamy je panu rozmasować? – zapytała Allison.

Stała oparta o blat kuchenny, podpierając dłonią brodę, jakby była znudzona. Zerknęła na mnie i zapytała:

– Ten gość przygnoił cię do asfaltu?

Oczy Franka nabrały tego samego odcienia pomarańcza, co jego hawajska koszula. Spojrzał na mnie, unosząc brwi.

– Nowa kobieta?

– Allison Saint-Pierre. Jest naprawdę urocza.

Skojarzył nazwisko, może również jej reputację. Posłał mi zmęczone spojrzenie wyrażające kondolencje. Przestawił nogi i zdjął drugi but. Skarpetki miał w dwóch nieco odmiennych odcieniach błękitu.

– Nie podobało mi się to, co wydarzyło się wczorajszej nocy, panie Navarre. Ani trochę mi się to nie podobało.

– Może następnym razem sam powinien pan poleżeć z nosem w żwirze.

Pod jego wąsem przebiegł uśmiech.

– Nie zrozumiałeś mnie. Jeżeli ktoś naprzykrza się panu Sheckly’emu, chętnie go trochę utemperuję. Nie to mnie gryzie.

– Pocieszające.

Allison westchnęła. Obracała tęsknie pojemniczek z gazem łzawiącym, który nosiła przy kluczach, i skubała małą plastikową klapkę.

– Sheck dba o swoich ludzi – ciągnął Frank. – W hrabstwie wszyscy się dobrze znają. Różni prywatni detektywi przyjeżdżają do nas przez cały rok, węszą po Paintbrush, próbują się czegoś dowiedzieć o interesach Shecka, szukają pretekstu do założenia sprawy o ustalenie ojcostwa, próbują robić zdjęcia, którymi mogliby go potem szantażować. Próbuje wszystkiego. Nie mam żadnego problemu z tym, żeby im to wybić z głowy.

– Podrzucając im do samochodów broń palną – dodałem.

Frank siedział przez dłuższą chwilę w milczeniu, w końcu wyraźnie podjął jakąś decyzję. Pochylił się do przodu, sięgnął po portfel i wyciągnął z niego fotografię.

– Obejrzyj ją sobie.

Wziąłem zdjęcie do ręki. Przedstawiało Franka w białych szortach i innej hawajskiej koszuli, obejmującego ramieniem podobnie ubraną pulchną blondynkę. Kobieta trzymała w ręku zawiniątko będące bądź zwitkiem waty z największego na świecie patyczka higienicznego, bądź starannie opatulonym niemowlakiem.

– Mam teraz rodzinę – powiedział.

Uśmiechnąłem się uprzejmie.

Podałem zdjęcie Allison, która obrzuciła je podobnie znudzonym spojrzeniem, jakim zaszczyciła Franka.

– To dla mnie wiele znaczy – tłumaczył Frank. – Zacząłem inaczej patrzeć na sprawy. Dbać o przyjaciół, dbać o ludzi, którzy przysłużyli się naszemu wydziałowi. Ale podrzucanie broni, do tego kiedy w samochodzie znajduje się kobieta...

– Tak – zgodziłem się. – Widzę, że potrafisz naprawdę dobrze oddzielić to, co moralne, od tego, co niemoralne.

Rozłożył ręce.

– No dobra. Widzę, że nie masz ochoty słuchać. Chciałem po prostu, żebyś wiedział...

– Że twój partner nie uprzedził cię o swoich planach – dokończyłem. – Jak dla mnie to niewiele zmienia.

Frank wpatrywał się przez chwilę w swoje puste buty, wyprostował się i zaczął je wkładać z powrotem.

– Nie rozumie pan, jak wygląda obecnie sytuacja, panie Navarre.

– Rozumiem, że dwie osoby zostały zamordowane. Rozumiem, że Tilden Sheckly prowadzi jakieś nielegalne interesy i bardzo się niepokoi, żeby ktoś ich nie odkrył. Rozumiem, że wykorzystuje cię w charakterze pożytecznego idioty, zlecając zadania w rodzaju zastraszenia mnie, prowadzenia obserwacji w najmniej istotnych miejscach, skąd Les został już przepłoszony. O czymś zapomniałem?

– Jest cykorem – dodała Allison.

Frank obrzucił ją chłodnym spojrzeniem.

– Nie zna mnie pani na tyle, żeby coś takiego powiedzieć. Nie zna pani Shecka ani nie ma pojęcia, z czym on musi się zmagać.

Allison się roześmiała.

– Że niby to on jest ofiarą?

Frank zacisnął pięści, oczy zaszyły mu mgłą. Coś w jego reakcji mnie zaniepokoiło. Jego gniew przekształcił się w coś przypominającego bardziej zawstydzenie.

Krótkofalówka przy jego pasku zapiszczała.

Wymieniliśmy spojrzenia.

– Widzę dwa możliwe rozwiązania, Frank. Pierwsze: pomagasz mi, opowiadasz o tym, co się dzieje, a wtedy ja być może dam radę pomóc ci w dotarciu do ludzi, którzy cię wysłuchają. Drugie rozwiązanie: zaprosisz Elgina do naszego kółeczka i zobaczymy, co z tego wyniknie. Z którym rozwiązaniem będzie ci się łatwiej żyło?

Allison wyprostowała się z delikatnym uśmiechem sugerującym, że nie ma nic przeciwko żadnemu z tych rozwiązań.

Frank wstał. Raz jeszcze omiół wzrokiem rozbebeszone wnętrze baraku, po czym zdecydował się na trzecie rozwiązanie.

Chwycił krótkofalówkę i podkręcił głośność.

– Hej, Elgin, spróbuję jeszcze raz. Wydaje mi się, że coś zobaczyłem.

Zdjął palec z przycisku.

– Macie minutę.

Allison wyduła wargi. Dopiero moje stalowe spojrzenie przekonało ją, że ma opuścić okolice kuchennego blatu i wyjść przez drzwi.

Kiedy mijaliśmy Franka, stał ze wzrokiem utkwionym w oknie na tyłach baraku. Odwróciłem się w progu; nadal tkwił nieruchomo w tej samej pozycji niczym żołnierz na apelu.



W drodze powrotnej przez jezioro w zasadzie nie zamieniliśmy z Allison ani słowa. Przybiliśmy do pomostu przy lodziarni Turk, podziękowaliśmy Bipowi za wynajęcie łodzi i wyczłapaliśmy na brzeg w butach pełnych wody. Każde z nas przeszło inną trasą między półkami, po czym spotkaliśmy się przy kasie Eustice.

Ja kupiłem chipsy o smaku nachos i napój pomarańczowy. Nie pytajcie dlaczego, ale ilekroć jestem zestresowany i zdezorientowany, wybieram pomarańczowe jedzenie. Nigdy tego nie planuję. Tak się po prostu dzieje. To coś w rodzaju detektora nastroju.

Allison kupiła butelkę zero siedem litra wzmocnionego wina.

Spojrzałem na butelkę, potem na nią.

– No co? – zapytała ostrym tonem.

– Chcesz się wykończyć?

– Spierdalaj.

Eustice przestąpiła z zakłopotaniem z nogi na nogę, próbowała się uśmiechnąć.

– Życzę państwu miłego wieczoru.

Pojechaliśmy na południe, okrążając jezioro i zmierzając w stronę zapory. Popołudniowe słońce prześwitywało przez czubki dębów, zalewając drogę siatką cieni i rozświetlając jezioro na srebrno. Allison piła swojego wyborowego niszczyciela żołądka, wsuwała fioletowe okulary mojej matki wyżej na nos i podziwiała widoki.

Odezwała się dopiero wtedy, kiedy nie skręciłem w zjazd prowadzący do

San Antonio.

- Jedziemy jeszcze dokądś?
- Jeszcze jeden przystanek w podróży szlakiem Lesa Saint-Pierre’a.
- Żeby obejrzeć jego zwłoki, mam nadzieję.

Milczałem przez chwilę, starając się stłumić narastającą irytację.

– On żyje, Allison.

– Ci zastępcy szeryfa musieli go znaleźć.

– Znaleźli jego barak. Znajac Franka i Elgina, zdradzili w jakiś sposób swoją obecność, pozwolili, aby Les ich dostrzegł, zanim oni dostrzegli jego. Les uciekł. Zostawił Franka i Elgina, którzy do teraz czekają tam w nadziei, że może się pojawi. To oznacza, że Sheckly nie zabił Lesa, nie wie, gdzie Les się znajduje, i bardzo chciałby go znaleźć.

– To nas akurat nie łączy.

Jechaliśmy przez zaporę. Po lewej stronie rozciągało się jezioro, wijące się, lśniąca i usiana małymi czerwonymi motorówkami i ścigaczami, zostawiającymi za sobą ślady w postaci fal. Po prawej stronie betonowa ściana opadała ku dolinie pełnej wapiennych głazów, drobnej roślinności i rzeki Medina o bardzo niskim poziomie, odcedzonej ze wszystkiego poza mułem.

– Les opuszczał barak w pośpiechu – powiedziałem.

– Uhm.

– Barak był dla niego przystankiem, miejscem, gdzie dokończy kompletowanie dokumentów, zbierze fundusze, przyzwyczai się do nowej tożsamości. Ponieważ został przepłoszony i nie mógł tam wrócić, musiał znaleźć inne schronienie.

– Aha.

Zerknąłem na Allison. Jej głowa zaczynała tracić spoistość z szyją, broda

podskakiwała i opadała na wybojach. Allison marszczyła brwi, ale oczy, ukryte za fioletowymi szklami, miała zamknięte. Butelka po winie była pusta.

– Wszystko w porządku?

– Jestem zła – powiedziała tak spokojnie i z tak odprężonym wyrazem twarzy, że wyglądała niemal jak ktoś inny.

– Les cię zostawił. Masz prawo do złości.

– Nie prosiłam cię o pozwolenie, Tres.

Uniosłem palce z kierownicy.

– Nie, nie prosiłaś.

Otarła policzek.

– I nie uronię choćby jednej łzy za tym draniem.

– Oczywiście, że nie uronisz.

Przejechaliśmy przez zaporę i zaczęliśmy okrążyć jezioro od wschodu. Przy drodze bosonodzy wędkarze wracali do samochodów. Studenci chowali narty wodne do przyczep kempingowych. Allison nadal nie płakała z powodu Lesa Saint-Pierre'a i nie ocierała z wściekłością policzków. Nie odrywałem wzroku od drogi.

Dojeżdżaliśmy do wioski Plum Creek, kiedy powiedziała: – Dokąd się w takim razie udał?

– Co?

– Dokąd poszedł, skoro został wypłoszony ze swojej kryjówki, zanim zdążył się przygotować? Do hotelu?

– Zbyt niebezpieczne. Hotele pamiętają gości, którzy zatrzymali się na dłużej. Istniałoby duże ryzyko, że przypadkiem natknie się na kogoś znajomego. Poza tym nie mógłby uregulować rachunku, nie zwracając na siebie uwagi – albo zostawiłby po sobie ślad w postaci płatności kartą kredytową, albo wzbudziłby podejrzenia, płacąc gotówką. Nie.

Najprawdopodobniej wybrał jakąś zaufaną osobę i poprosił ją, by mógł u niej przez jakiś czas pomieszkać. Najlepszego przyjaciela.

- Les ma ich ze czterdzieści tysięcy.
- Ludzi, którym ufałby na tyle, aby się u nich ukryć?
- Julie Kearnes – uznała Allison. – Albo Danielsowie.
- Danielsowie?

Skinęła głową, wyciągając nogi i krzyżując je w kostkach. Spojrzała na swoje stopy, nagie, białe i pomarszczone od wody z jeziora.

– Les zaczął ich traktować jak udomowione zwierzątka albo coś w tym guście. No wiesz, prostaczków. Których trzeba oporządzić i o których trzeba zadbać. Z czasem polubił ich towarzystwo. Willis jest zazwyczaj uroczym starym pierdzielem, a Miranda to anioł. Brent potrafi słuchać i podobnie jak Les ma lekkie skłonności autodestrukcyjne. Les szybko się do niego przywiązał.

- Ale ty i Brent...

Wzruszyła ramionami.

– Od jakiegoś miesiąca. Nie jestem pewna, czy Les wiedział, i nie jestem pewna, czyby go to obeszło. Jeżeli chodzi o Brenta i o mnie, to... to nie żadna miłość ani nic z tych rzeczy.

Zabrzmiało to tak, jakby próbowała mnie uspokoić, wytłumaczyć się z drobnej dolegliwości, którą usiłuje zwalczyć.

- Brent też tak to widzi?

Allison roześmiała się po raz pierwszy od czasu, kiedy weszliśmy do baraku Lesa.

– Podejrzewam, że Brent uważa mnie za swego rodzaju próbę, z którą musi się uporać. Domyślam się, Tres, że nie spędziłeś zbyt wiele czasu w jego towarzystwie. To uroczy chłopak. Jest również wrażliwy jak zdarty

pęcherz. Przez to wszystko, co mu się przydarzyło. Próbuje się sam karać, ilekroć dochodzi do wniosku, że zaczyna się ponownie cieszyć życiem. Podąża tą koleiną od tak dawna, że boi się z niej wyskoczyć. Czasami nie potrafię go znieść. A czasami czuję się z nim dobrze.

– To niepokojące – zauważyłem.

– Że się z nim przespałam?

– Nie. Twoje wyobrażenie o tym, komu Les potrafiłby zaufać na tyle, aby się u niego ukryć.

– Ponieważ?

– Julie Kearnes została zamordowana. A co do Danielsów... Czy dobrze kojarzę ten numer?

Odczytałem cyfry zapisane na ręce, ostatni numer wybrany z baraku Lesa.

Allison wyglądała przez boczne okno. Dopiero pół kilometra dalej odpowiedziała: – Ranczo Danielsów.

– Rzecz jasna ktoś mógł dzwonić wiele miesięcy temu – powiedziałem. – Jeszcze przed zniknięciem Lesa. Mogła to być zupełnie niewinna rozmowa z klientem.

– Mmm.

Jechaliśmy przez chwilę w milczeniu, oswajając się z nowymi wnioskami.

Skręciliśmy obok baru Dairy Queen w Plum Creek.

Przechowalnia łodzi znajdowała się na wzgórzu, dobre pięćdziesiąt metrów od wody. Był to wysypany żwirem teren ogrodzony siatką z drutem kolczastym oraz z wielką bramą dla samochodów. W środku stały szopy z blachy falistej i sklejki, wszystkie na tyle wielkie, że mogły pomieścić łódź na naczepie. Kiedy podjechałem na miejsce, brama była otwarta, a jakaś rodzina podpiwała swoją motorówkę do subaru z napędem na cztery koła. A przynajmniej zajmowała się tym matka. Dwójka dzieci urządziła sobie małą

trampolinę na tylnym siedzeniu, a tata siedział za kierownicą i studiował numer „Sports Illustrated” z modelkami w kostiumach kąpielowych. Wysiedliśmy z Allison i pomogliśmy mamie zaczepić hak oraz podłączyć światła stopu. Uśmiechnęła się do nas sympatycznie i zapytała, czy bramę ma tak po prostu zostawić otwartą. Odpowiedzieliśmy, że oczywiście.

Łódź Lesa była oznaczona jako A12.

Łańcuch i kłódka na drzwiach szopy były nowe. Na szczęście nie można było tego powiedzieć o tylnej ścianie. Blacha dała się łatwo odgiąć przy ziemi, tworząc otwór na tyle duży, że mogliśmy wpełznąć do środka.

Ściany szopy nie sięgały samego dachu. Przez około trzydziestocentymetrowy prześwit wpadało dostatecznie dużo światła, żebyśmy mogli coś zobaczyć. Łódź Lesa wyglądała dokładnie tak, jak ją opisała Kelly Arguello: dwudziestopięciostopowa, z położonym masztem i pokładem zaciągniętym niebieskim brezentem. Płachtę przywiązano w dość chaotyczny sposób, ale za pomocą wielu węzłów i wielkiego entuzjazmu. Ostatecznie musieliśmy wyciąć otwór, żeby wejść do środka.

Wdrapałem się na rufę i podałem rękę Allison.

Ławki na pokładzie zostały wykonane z białego gumowatego materiału, w którym zatopiono srebrny brokat. Pod pokładem mieściła się mała, pusta kajuta przypominająca raczej składzik. Mogła się tam zmieścić co najwyżej jedna osoba.

– No dobrze – powiedziała Allison. – Znaleźliśmy łódź. I co z tego?

– Zaczekaj.

Zszedłem na dół i zacząłem szukać. Nic. Na zbiorniku małej toalety leżał egzemplarz „Timesa”. Sierpień trzy lata temu. Niezbyt zachęcające.

Kiedy wróciłem na pokład, Allison naciskała go stopą. Przy każdym wduszeniu na niebieskim plastiku pojawiał się obrys kwadratu o rozmiarach

pół na pół metra.

– Schowek na kapoki – powiedziałem.

Wymieniliśmy spojrzenia.

– Dlaczego nie? – zgodziłem się.

Dwie minuty później siedzieliśmy na ławce z wyciągniętą na pokład przenośną lodówką.

Była to zielona skrzynka marki Igloo, w której mogłyby się zmieścić dwa sześciopaki. W środku niestety nie znaleźliśmy piwa. Tylko pliki banknotów. Pięćdziesiątki, takie same jak te, którymi zapłacił mi Milo. W sumie z pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Znajdowały się tam również wydrukowane z komputera adresy – kilka w San Antonio, kilka w Dallas i Houston. Obok nich widniały daty.

W razie zagrożenia utonięciem znajdź adresy. Wyrzuć za burtę duże ilości gotówki. Les Saint-Pierre, przeczulony na punkcie bezpieczeństwa kapitan statku.

Allison podniosła plik pięćdziesiątek.

– Co, do kurwy nędzy...?

– Później. Na razie musimy to przenieść do samochodu.

Allison sprawiała wrażenie oszołomionej, ale pomogła mi zapakować wszystko z powrotem do przenośnej lodówki, przerzucić ją przez burtę, a następnie przepchnąć przez dziurę w ścianie z blachy falistej. Idąc do audi, każde z nas trzymało jedną rączkę. Bramę zostawiliśmy otwartą dla kolejnej rodziny, która akurat wjeżdżała, aby zabrać łódź.

Może oni również przechowywali pieniądze i adresy w swojej szopie.

Uśmiechnęli się do nas i pomachali, dziękując za pozostawienie otwartej bramy. Odpowiedzieliśmy uśmiechami.

Wszyscy w tym kraju są tak w dupę uprzejmi.



Droga powrotna zaczęła się nawet całkiem nieźle.

Zero siedem litra taniego wina powoli wyparowywało Allison z głowy. Zaczęła się oswajać z myślą, że wieziemy pięćdziesiąt tysięcy dolarów wepchniętych pod tylne siedzenie. Kiedy wróciliśmy na autostradę, podsumowywała z zachwytem wydarzenia mijającego popołudnia, wtrącając mimochodem obelgi pod adresem męża idioty i biura szeryfa hrabstwa Avalon. Zasugerowała, żebyśmy pojechali na występ Mirandy w Paintbrush i poszukali kilku innych zastępców szeryfa, którym moglibyśmy skopać tyłki.

– Ale najpierw świeże ubrania – nalegała. Pociągnęła mnie za rękaw. – Nigdzie nie idę w towarzystwie tego czegoś. Aha, wkładasz kowbojskie buty.

– Kowbojskie buty miałem na nogach dokładnie raz. Nie skończyło się to szczęśliwie.

– Opowiadaj.

– Nie, dzięki.

Zadręczała mnie, aż niechętnie opowiedziałem jej o zdjęciu, które matka nadal pokazuje, ilekroć odbiera mi rozum na tyle, żeby przyprowadzić do niej znajomych. Dwuletni ja stojący w sięgających po uda czarnych luchesach ojca, usiłujący się nie przewrócić, z nieprzyzwoicie obwiśniętą tetrową pieluchą.

Allison się roześmiała.

– Najwyższy czas spróbować ponownie.

Nie powiedzieliśmy Rhondzie Jean w Sheppler's Western Wear o zdjęciu

z pieluchą. Nie powiedzieliśmy jej, że wyglądamy tak koszmarnie, ponieważ przez cały dzień włamywaliśmy się do różnych obiektów w okolicach jeziora Medina. Wyjaśniliśmy tylko, że chcemy przed zamknięciem sklepu, czyli w ciągu najbliższych piętnastu minut, zaopatrzyć się w dwa komplety ubrań.

Rhonda Jean się uśmiechnęła. Wyzwanie.

Czternaście minut później stałem ubrany w levisy z prostymi szerokimi nogawkami i bawełnianą czerwono-białą koszulę oraz justinsy w rozmiarze czterdzieści jeden, w kolorze naturalnej opalenizny. Nie zgodziłem się na kapelusz i pasek ze skóry grzechotnika, na którym, jak obiecywała, mogłaby zupełnie gratis wygrawerować napis: „TRES”. Allison pojawiła się w białej koszuli z frędzelkami, czarnych butach oraz obcisłych dżinsach, w których dobrze mogła wyglądać tylko kobieta o idealnej sylwetce. Allison wyglądała w nich przyzwoicie.

Rhonda Jean pokiwała z zadowoleniem głową, po czym odesłała nas do kasy. Zapłaciłem resztą pięćdziesiątek, które dostałem od Mila w Tycoon Flats.

Allison przyglądała się, jak wyjmuję z portfela ostatnie banknoty.

– Płacisz ze swoich? Przy wszystkim, co mamy w samochodzie?

Kasjerka przyglądała nam się podejrzliwie. Uśmiechnąłem się do Allison i powiedziałem:

– Chodźmy, kochanie.

Wróciliśmy do audi i ruszyliśmy z opuszczonymi szybami. Wiatr był niemal chłodny, smagał przednie siedzenia i wprawiał w delikatne meduzowate podrygi indiański woreczek z lekami wiszący na wstecznym lusterku. Allison zdjęła okulary przeciwsłoneczne. Jej oczy wydawały się łagodniejsze i ciemniejsze niż wcześniej.

Pewne sprawy zaczynały mi się układać w głowie – przemyślenia na temat

znalezionych przez nas adresów, pieniędzy i śladów po Lesie Saint-Pierre.

– Znasz się dobrze na branży muzycznej? – zapytałem.

Allison rozłożyła szeroko ręce, jakby przechwalała się złowioną rybą.

– Dwa lata u boku Lesa Saint-Pierre’a, kowboju. Co cię interesuje?

– CD.

– Co konkretnie?

– Jeżeli importuje się je z zagranicy w dużych ilościach, w jaki sposób byłyby zapakowane? W pudełka? Skrzynki?

– E... nie. W szpule.

– Cylindry?

– Tak. Wielkie. Pudełka i okładki dodaje się w kraju przeznaczenia, zamawia u lokalnych dostawców. Tak wychodzi taniej. A co?

– Tyle jeśli chodzi o działanie na ograniczoną skalę.

– Co?

Przejechałem pół mili, zanim się ponownie odezwałem.

– Powinniśmy porozmawiać o tych pieniądzach.

– A o czym tu rozmawiać? Skoro Les był na tyle głupi, że zapomniał o nich podczas ucieczki, to wracają do mnie. Chcesz znaleźć, kochany?

– Les prawdopodobnie ukradł te pieniądze z agencji.

Allison spojrzała na mnie wymownie.

– No i co w związku z tym?

– To, że nie są twoje. Przechowam je do czasu, kiedy ustalę, do kogo dokładnie należą. Wtedy najprawdopodobniej trafią do wierzycieli.

– Chyba żartujesz.

Nie odpowiedziałem. Dojechaliliśmy do obwodnicy numer 410 i Sheppler’s i zmierzaliśmy teraz ponownie na północ, z pozoru w stronę Paintbrush. Minąłem zjazd do Leon Valley i jechałem dalej, okrążając miasto.

– Czyli wyświadcysz Milowi Chavezowi przysługę wartą pięćdziesiąt tysięcy dolarów – stwierdziła Allison.

– Niczego takiego nie mówiłem.

– Ale do tego to się sprowadza... Uratujesz mu tyłek, pomagając wyjść z długów, a ja zostanę z niczym. To właśnie miałeś na myśli, prawda?

– Myślę, że ponownie reagujesz w przesadny sposób.

Allison tupnęła swoim nowym lśniącem bucikiem w podłogę. Skrzyżowała ręce na piersi i odwróciła głowę w stronę okna.

– Dupek.

Minęliśmy I10 i jechaliśmy dalej. Skręciłem w West Avenue, kierując się w stronę miasta.

– Może najlepiej będzie, jak cię odwożę – zaproponowałem. – Przesiądziesz się do swojego samochodu.

– Może.

Jechaliśmy w milczeniu. West Avenue. Hildebrand. Broadway. Sobotni wieczór zapadał nad miastem – zapalały się neonowe nazwy barów, na ulicach pojawiły się pojazdy niskopodwoziowe i sunące powoli pikapy. W powietrzu rozchodziły się zapachy grillowanych żeberk i pieczonej papryki.

Kiedy dotarliśmy na Queen Anne Street, zgasłem silnik i wyłączyłem światła. Siedzieliśmy, wpatrując się w krzywo zaparkowaną miatę. W końcu Allison wybuchnęła śmiechem.

Odwróciła się do mnie. Z ust pachniało jej wciąż delikatnie wzmacnianym winem.

– No dobrze. Tylko nic sobie nie myśl, kochany.

– Czego miałbym sobie nie myśleć?

Wyciągnęła rękę i nacisnęła kilka guzików mojej nowej kowbojskiej koszuli.

– Że nie podobał mi się dzień spędzony w twoim towarzystwie. Trochę się tylko zdenerwowałam i tyle. Nie chcę, żebyś pomyślał, że...

– Pieniądze zostają w schowku, Allison.

Zamrugła kilka razy, analizując moje słowa, po czym postanowiła się ponownie roześmiać.

– Sądysz, że tylko na nich mi zależy?

– Nie wiem.

– A idźże się walić – oświadczyła niemal żartobliwym tonem. Powoli nachyliła się w moją stronę, ciągnąc mnie za koszulę i tym samym zachęcając, abym również się nachylił.

Ścisnęło mnie w gardle. Zdołałem odsunąć od siebie jej rękę.

– To kiepski pomysł – powiedziałem.

Odsunęła się z kwaśną miną.

– W porządku.

Wysiadła z auta, zatrzasnęła drzwi, po czym odwróciła się i uśmiechnęła do mnie.

– Bawcie się dobrze z Milem, dzieląc majątek Lesa. Dzięki za miło spędzony dzień.

Patrzyłem, jak wsiada do swojego samochodu, zapala i z chrzęstem i łoskotem zjeżdża z chodnika. Napomniałem się w myślach, że właśnie tego chciałem.

Siedziałem w pogrążonym w ciemnościach audi. Oparłem głowę na zagłówek i wypuściłem powietrze z płuc. „Powinieneś się uważać za prawdziwego szczęściarza – pomyślałem. – Spędziłeś siedem godzin w towarzystwie tej kobiety i żadne z was nie straciło ani kropli krwi”. Kiedy jednak zamknąłem oczy, poczułem pieczenie. Próbowałem na różne sposoby odtwarzać sobie wydarzenia tego popołudnia, analizując wszystkie słowa,

które mogłem wypowiedzieć, aby ją udobruchać albo jej dopiec. Ogarnęło mnie jeszcze większe niezadowolenie i wściekłość.

Powinienem był pojechać do Indian Paintbrush. Miałem mnóstwo nowych pytań, które chciałem zadać panu Sheckly'emu, miałem napisać kilka raportów dla Mila i obejrzeć pewną damę, która śpiewała pewnie teraz *Señoritę Billy'ego*, wpatrując się w widownię tymi swoimi pięknymi brązowymi oczami.

Zamiast tego wysiadłem z samochodu i na nogach trzęsących się od długiej jazdy powlokłem się do swojego mieszkania w dobudówce, w poczuciu że gdzieś pod powierzchnią, gdzieś w okolicach dziobu, zostałem właśnie trafiony torpedą.



Próbowałem potraktować niedzielny poranek tak samo jak początek jakiegokolwiek innego dnia. Wykonałem ćwiczenia tai-chi, zjadłem śniadanie z Robertem Johnsonem, złożyłem depozyt w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów pod starym krzewem różanym mojego gospodarza.

Potem pojechałem na Vandiver Street, zanim ktokolwiek zdążył się obudzić w domu mojej matki, zostawiłem audi przed drzwiami, a kluczyki w skrzynce na listy, i odzyskałem swojego volkswagena.

Udałem się na południe, w stronę State Insurance Building.

Gdyby wieżowiec znajdował się w centrum, nikt nie zwróciłby na niego uwagi, ale pośrodku równiny rozciągającej się na południe od San Antonio College, otoczony parkami i jednokondygnacyjnymi biurowcami, wydawał się ogromny. Na parkingu stało tylko parę samochodów, jednym z nich było musztardowe bmw Samuela Barrery.

Wcisnąłem w windzie guzik z numerem pięć i zostałem dowieziony przed matowe szklane drzwi, na których nadal można się było dopatrzeć wypłowiałych zarysów drukowanych liter, które układały się kiedyś w napis: „SAMUEL BARRERA, USŁUGI DETEKTYWISTYCZNE”. Obecnie znajdowała się na nich elegancka mosiężna tabliczka umieszczona nad eleganckim dzwonkiem z kości słoniowej i złota. Na tabliczce widniał napis: „I-TECH”.

Nie zdecydowałem się zadzwonić. Wszedłem do poczekalni i zbliżyłem się do małego odsuwanego okienka, przypominającego te w gabinetach

dentystycznych.

Recepcjonistka była tak niska, że musiała wyciągnąć szyję, żeby mnie zobaczyć zza lady. Jej opływająca twarz fryzura w kształcie dużej odwróconej litery U składała się głównie z zeskorupiałego lakieru do włosów.

– W czym mogę pomóc? – zapytała.

Uśmiechnąłem się. Poprawiłem sobie krawat.

– Tres Navarre. Przyszedłem do Sama.

Popatrzyła na mnie podejrzliwie. Nikt nie powinien pojawić się w biurze w niedzielny poranek, pytając o Barrerę – zwłaszcza za pomocą jego imienia.

– Może pan usiądzie.

– Dobrze.

Przesuwane okienko zamknęło się przed moim nosem.

Usiadłem na sofie i przeczytałem najnowszy biuletyn firmy przysłany z centrali I-Tech w Nowym Jorku. Znajdowało się tam trochę propagandy na temat skuteczności, jaką wykazywała się firma w przejmowaniu prywatnych przedsiębiorstw w różnych stanach i odsprzedawaniu ich byłym właścicielom jako franczyz na podobieństwo sieci McDonald's. Jedna z reklam, skierowana do czytelników spoza firmy, wyjaśniała dokładnie, jakie cechy trzeba posiadać, żeby „sprawdzić się w I-Tech”.

Rozmyślałem właśnie nad moim potencjałem jako pracownika I-Tech, kiedy otworzyły się drzwi do gabinetu i pojawił się w nich Sam Barrera. Podszedł do mnie i powiedział:

– Czego, kurwa, chcesz, Navarre?

Odłożyłem biuletyn informacyjny.

Barrera miał na sobie klasyczny trzyczęściowy garnitur, tym razem brązowy. Założył krawat w odcieniu żółci, który jakimś cudem pasował do

reszty. Złote pierścionki wyglądały na świeżo wypolerowane. Otaczał go intensywny zapach wody kolońskiej.

– Musimy porozmawiać – powiedziałem.

– Bzdura.

– Pojechałem nad jezioro Medina, Sam.

Lustrzana stal oczu Barrery nabrała jeszcze większej intensywności.

– Zasłużyłeś na reprimendę, Navarre, ale nie ode mnie. Powiedz lepiej Erainii...

– Znalazłem tam więcej niż domek letniskowy, Sam. Przegapiłeś coś.

Przez moment Sam Barrera nie wiedział, co powiedzieć. Bardzo prawdopodobne, że minęło wiele lat od czasu, gdy ktoś odważył się zasugerować, że Barrera coś przegapił. Na domiar złego prawdopodobnie nigdy nie usłyszał takiej sugestii od o połowę młodszego amatora.

– Wydział parków i zwierzyny leśnej – dodałem.

Barrera błyskawicznie przeanalizował tę informację. Jego twarz upodobniła się na chwilę do kameleona, zmieniając barwę od czerwonej przez brązową do kawowej.

– Saint-Pierre miał łódź? Zarejestrował łódź do żeglugi śródlądowej?

– Interesuje cię, co takiego znalazłem, czy wolisz mi jeszcze trochę pogrozić?

Milczał na tyle długo, że beton wypełniający jego minę zdążył osiąść.

– Wejdiesz do środka?

Odwrócił się na pięcie, nie czekając na odpowiedź. Ruszyłem za nim.

Biuro Sama było kapliczką ku czci teksańskiego uniwersytetu A&M. Na podłodze leżał rdzawoczerwony pluszowy dywan, zasłony miała ten sam kolor. Na mahoniowym regale doniczki ze scindapsusem były starannie skomponowane z dyplomami drużyny futbolowej uczelni oraz zdjęciami

Sama i jego synów w mundurach uczelnianego korpusu kadetów wojskowych.

Na biurku Barrery znajdowały się jego zdjęcia z przyjaciółmi – ludźmi ze służb mundurowych, burmistrzem, biznesmenami. Na jednym ze zdjęć Sam stał obok mojego ojca. Fotografiię wykonano chyba w czasie kampanii na urząd szeryfa w 1976 roku. Tata się uśmiechał. Barrera oczywiście nie.

Sam usiadł za biurkiem. Ja zająłem miejsce naprzeciwko niego w wielkim brunatnym fotelu, który był celowo nadmiernie komfortowy i niski. Miałem poczucie, że siedzę uwięziony w misie do przesłuchań przed znacznie ode mnie wyższym gospodarzem.

– Mów. – Sam nachylił się, wlepił we mnie wzrok i czekał.

– Pirackie nagrania – powiedziałem. – Sheckly nagrywa artystów, którzy u niego występują, tworzy taśmy matki, a następnie wysyła je do Europy, gdzie produkowane są z nich płyty CD na tamtejszy rynek. Ostatnio zrobił się bardziej pazerny i zaczął importować te płyty z powrotem do Stanów. Właśnie dlatego ty i twoi federalni tak podgrzaliście sytuację.

Sam zignorował mój wywód.

– Co było w łodzi?

– Najpierw chcę usłyszeć potwierdzenie.

Zacisnął palce. W jego oczach narastał gniew boży – kontrolowany, głęboki mrok, który miał mnie ostrzec, że lada chwila zostanę zmieciony z powierzchni ziemi. Rozejrzał się po swoim biurku, może w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby mnie uśmiercić. Zatrzymał wzrok na zdjęciu z szeryfem. Na jego twarzy pojawił się cień poirytowania.

– Rozumiem, Navarre, że zamierzasz nam nadal bruździć, jeżeli nie wymienię się z tobą informacjami. Albo jeżeli nie namówię kogoś, żeby wpakował cię do pierdła.

- Najprawdopodobniej.
- Niechby szlag trafił twojego ojca.
- Dobrze powiedziane.

Sam poprawił zwisający nad paskiem brzuch. Odwrócił krzesło bokiem i skierował wzrok na okno.

– Opisany przez ciebie scenariusz to powszechna praktyka. Często się zdarza, że w klubach nagrywa się koncerty. Często z takich nagrań powstają pirackie płyty.

Umilkł w nadziei, że mi to wystarczy, że odpowiem na jego pytanie. Uśmiechnąłem się.

Twarz Sama znieruchomiała.

– W przypadku Indian Paintbrush nietypowa jest skala takich działań. Pan Sheckly nagrywa obecnie około pięćdziesięciu artystów rocznie. Taśmy matki są przesyłane przez Niemcy do fabryk CD, głównie w Rumunii i Czechach, a następnie dystrybuowane mniej więcej w piętnastu krajach. W ostatnim czasie, jak słusznie zauważyłeś, europejscy partnerzy Sheckly'ego zaczęli go przekonywać do wejścia na rynek amerykański, dzięki czemu przeszedłby od bootlegów do piratów.

– Na czym polega różnica?

– Bootlegi to wydawnictwa o charakterze uzupełniającym, Navarre. To sesje nagraniowe, koncertówki, pojedyncze kawałki, których normalnie nie można kupić w sklepie. Na przykład audycje radiowe Sheckly'ego. Nagrania pirackie to co innego. Są dokładnymi kopiami oficjalnych albumów. Na bootlegach można zarobić, ale kopie pirackie psują normalny rynek, zmniejszają sprzedaż oficjalnych albumów. Tu można już zgarnąć ogromne pieniądze. Przy odpowiedniej jakości można nawet sprzedawać te albumy dużym dystrybutorom: centrom handlowym, sieciówkom i tak dalej.

– A te Sheckly’ego są dobrze wykonane.

Barrera otworzył szufladę i wyciągnął z niej płytę CD. Wyjął płytę z pudełka i wskazał małym palcem na cyfry otaczające środkowy otwór.

– To jedna z pirackich kopii Sheckly’ego. Wiele kodów SID jest niemal poprawnych. Nawet jeśli służby celne wiedzą, czego szukają, a to akurat zdarza się rzadko, mogą nie zwrócić uwagi na tak drobną różnicę. Przygotowane tu na miejscu okładki to czterokolorowe wydruki na wysokiej jakości papierze. Sheck postępuje ostrożnie nawet w przypadku bootlegów. Na okładce znajduje się napis: „Wyprodukowano w UE”, co ma sugerować, że chodzi o legalne wydawnictwo, i wyjaśniać odmienne opakowanie.

– Jak to zyskowe?

Barrera postukał palcem w blat biurka.

– Ujmę to w ten sposób: rzadko się zdarza, żeby jeden syndykat kontrolował produkcję i dystrybucję tak wielu albumów w tak wielu państwach. W jedynym podobnym wypadku, o którym słyszałem, MFPF skonfiskowała dokumentację operacji prowadzonej na terenie Włoch. Piraci wyciągali z jednego artysty około pięciu milionów dolarów na kwartał. W przypadku muzyki country będzie to mniejsza kwota, ale mimo wszystko... Pomnóż to sobie przez liczbę artystów, cztery kwartały w roku, a dostaniesz rząd wielkości.

– Biznes wart morderstwa – stwierdziłem. – Co to jest MFPF?

– Międzynarodowa Federacja Przemysłu Fonograficznego. Europejski odpowiednik ASPF.

– Twojego klienta.

Barrera się zawahał.

– Nigdy tego nie powiedziałem. Rozumiesz?

– Doskonale. Powiedz mi coś o niemieckich znajomych Sheckly’ego.

– Luksemburg.

– Słucham?

– Syndykat ma siedzibę w Luksemburgu. Zupełnym przypadkiem Sheckly nawiązał kontakty w Bonn i większość interesów załatwia w Niemczech.

Pokręciłem głową.

– Musisz mi pomóc, Barrera. Luksemburg to jest to małe państewko?

– Owszem, małe państewko słynące z prania brudnych pieniędzy mafii. Małe państewko znane z utrzymywania luk w unijnych przepisach prawa autorskiego. Piraci uwielbiają Luksemburg.

Siedziałem przez chwilę w milczeniu, próbując przyswoić wszystkie informacje. Starłem się za wszelką cenę podtrzymać w sobie poczucie, że rozmawiamy jak równy z równym, żeby nie pokazać Barrerze, że jeśli posłuży się jeszcze choćby jednym akronimem, ucieknę z krzykiem z pokoju.

– Sheckly uwikłał się w niebezpieczną sytuację – zauważyłem.

Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby Barrera był tak bliski śmiechu. Z głębi jego nosa wydobył się cichy dźwięk, który można było łatwo pomylić z prychnięciem. Żadna inna część jego twarzy nawet nie drgnęła.

– Tylko mi się tu nie rozplacz, Navarre. Pan Sheckly wyciąga na tym kilka dodatkowych milionów rocznie.

– Ale morderstwo Blanceagle’a, Julie Kearnes...

– Sheckly wcale nie musiał ich zlecić, ale wątpię, aby ogarnęły go wyrzuty sumienia. To prawda, Navarre, produkcją bootlegów zajmują się zazwyczaj eleganccy biznesmeni, którzy raczej nie uciekają się do przemocy. Ale mówimy tu o dużym syndykacie, o przemyśle broni, handlu numerami kart kredytowych i kilku innych sprawach.

– A Jean?

– Jean Kraus. Wymigał się od kary za morderstwo w trzech krajach. Jedną

z ofiar był francuski chłopiec, mniej więcej trzynastoletni, syn dziewczyny Jeana. Zwędził trochę kieszonkowego Krausa. Chłopak został znaleziony w jakimś zaułku w Rouen. Wyleciał z hotelowego okna na czwartym piętrze.

– Chryste.

Barrera pokiwał głową.

– Kraus to przebiegły typ. Prawdopodobnie zbyt przebiegły, żeby się dać złapać. Przyjechał tu, żeby rozwinąć sieć dystrybucji płyt CD Shecka w Stanach Zjednoczonych. To tylko kwestia czasu, że Jean i jego szefowie zaczną wykorzystywać kanały transportowe Sheckly’ego do załatwiania innych interesów, zwłaszcza przerzutu broni. Właśnie z tego powodu sprawą zainteresowali się prokurator okręgowy, FBI i ATF. Musi się zrobić naprawdę gorąco, żeby dali się zainteresować kradzieżą muzyki.

– Twoi koledzy z pierwszej ligi.

– Przygotowujemy oskarżenie związane z oszustwami w czterech stanach i łamaniem międzystanowych przepisów handlowych. Chodzi o zamówienia składane i realizowane przez niektórych dystrybutorów Sheckly’ego. Samo to wymagało kilku lat pracy, zainteresowania sędziego sprawą na tyle, aby udzielił nam zgody na dostęp do wyciągów bankowych i billingów. Dodajmy do tego fakt, że siły porządkowe w hrabstwie Avalon siedzą w kieszeni Sheckly’ego... Idzie jak po grudzie. W tego typu sprawach dziewięćdziesiąt procent sukcesu wynika z zeznań informatorów.

– Les Saint-Pierre. Doprowadził do tego, że był waszym rozwiązaniem.

– Co?

– Przypomniało mi się coś, co powiedziała jego żona. Był waszym dojściem.

– Owszem, do Julie Kearnes. I Alexa Blanceagle’a. A cała trójka zniknęła, ledwie zaczęła sypać. Biuro prokuratora stanowego może stracić

zainteresowanie sprawą, jeśli szybko im czegoś nie dostarczymy, czegoś konkretnego. Teraz twoja kolej. Co było na łodzi?

Wyjąłem z kieszeni adresy, które znalazłem w przenośnej lodówce – miejsca i odpowiadające im daty. Podałem je Barrerze.

Spojrzał na kartkę i zmarszczył brwi. Kiedy skończył czytać, odwrócił głowę i wyjrzał ponownie przez okno jakby zrezygnowany.

– W porządku.

– To punkty dystrybucji, prawda? I daty, kiedy przyplłyną transporty płyt CD.

Barrera skinął głową bez większego entuzjazmu.

– Wiecie, gdzie się to odbędzie – podpowiedziałem. – Wiecie, czym się zajmuje Sheckly. Możecie urządzić nalot.

– Nie mamy niczego, Navarre – powiedział Barrera. – Nie mamy podstaw do wystąpienia z wnioskiem o nakaz przeszukania. Nie dysponujemy dowodami, które łączyłyby kogokolwiek z czymkolwiek. To tylko lista przypadkowych adresów i dat. Może ostatecznie do czegoś nas doprowadzą. Ale nie od razu. Liczyłem na więcej.

– Od ilu lat zbieracie materiały dowodowe w tej sprawie? Sześciu? – zapytałem.

Barrera skinął głową.

– Istnieje spore prawdopodobieństwo, że Sheckly wie albo wkrótce się dowie, że te informacje wpadły w nieodpowiednie ręce – zauważyłem. – Jeżeli nie wkroczycie teraz, przeniosą towar gdzieś indziej, zmienią trasy przerzutu. Straciecie ich.

– Wolę pracować kolejnych sześć lat, niż narazić się na to, że sąd oddali oskarżenie, ponieważ zrobiliśmy coś głupiego. Tak czy inaczej, dzięki.

Siedzieliśmy w milczeniu, wsłuchując się w tykanie wiszącego na ścianie

zegara z logo drużyny Fighting Aggie z uniwersytetu A&M.

– I jeszcze jedno – powiedziałem. – Podejrzewam, że Les uciekł do Danielsów. Albo przynajmniej rozważał taką możliwość.

Opowiedziałem Barrerze o telefonie, jaki ktoś wykonał z baraku nad jeziorem.

– Byłby głupi, gdyby do nich poszedł – zauważył Sam.

– Może. Ale jeśli mnie przyszło do głowy, że Les mógł poprosić ich o pomoc, przyjaciele Sheckly’ego mogą dojść do podobnych wniosków. Nie podoba mi się taka perspektywa.

– Wyślę kogoś, żeby z nimi porozmawiał.

– Nie jestem pewien, czy to się na wiele zda Danielsom.

– Nic więcej nie mogę zrobić, Navarre. Nawet w najkorzystniejszym wariantcie może upłynąć kilka miesięcy, zanim skoordynujemy jakiegokolwiek działania przeciwko Sheckly’emu.

– A jeśli przez ten czas będą ginąć kolejni ludzie?

Barrera ponownie postukał palcem w biurko.

– Ryzyko, że rodzina Danielsów stanie się celem ataku, jest minimalne. Sheckly ma większe zmartwienia, ludzi, którymi naprawdę musi się przejmować.

– Ludzi, którymi naprawdę musi się przejmować – powtórzyłem. – Na przykład tego trzynastoletniego chłopaka, który ukradł kieszonkowe Jeana Krausa?

Barrera wypuścił powietrze z płuc. Krzesło zaskrzypiało, kiedy się z niego podnosił.

– Powtórzę to, co powiedziałem wcześniej, Navarre. Wplątałeś się w coś, co cię przerasta, i powinieneś się wycofać. Nie musisz mi nawet wierzyć na słowo. Wszystko ci opowiedziałem. Czy uważasz, że niemający licencji

dzieciak z dwuletnim doświadczeniem na ulicy poradzi sobie ze sprawą tego kalibru?

Spojrzałem ponownie na zdjęcie przedstawiające Barrerę i mojego ojca. Tata, jak na wszystkich fotografiach, wydawał się uśmiechać do mnie w taki sposób, jakby wiedział coś, o czym ja nie miałem pojęcia i co pozwalało mu się przednio bawić moim kosztem.

– Rozumiem – powiedziałem.

– Rozumiesz, że powinieneś się wycofać?

– Rozumiem, że podałeś mi wiele informacji, które muszę sobie przemyśleć.

Barrera pokręcił głową.

– To nie wystarczy.

– Chcesz, żebym ci okłamał, Sam? Chcesz mnie aresztować? Hrabstwo Avalon tylko ci przykłaśnie.

Barrera prychnął, podszedł do okna i spojrzał na rozciągające się za nim San Antonio. W niedzielny poranek miasto było pogrążone w całkowitym bezruchu – zmięty, szarozielony koc usiany białymi pudełkami, poprzecinany drogami, z rozciągającą się po horyzont krainą rancz za granatowozielonym pasem miasta.

– Za bardzo przypominasz ojca – powiedział Barrera.

Miałem już odpowiedzieć, ale coś w postawie Barrery przestrzęgło mnie, abym się nie odzywał. Zastanawiał się nad swoim następnym krokiem. Za chwilę będzie musiał się odwrócić i coś ze mną zrobić, zdecydować, która agencja powinna zająć się rozpracowaniem mojej osoby. Będzie musiał tak postąpić, jeżeli nadal pozostanę dla niego problemem, siedząc w jego gabinecie i opowiadając rzeczy, których nie mógł słuchać.

Uwolniłem go od tego problemu. Wstałem i zostawiłem go samego w

gabinecie, stojącego przed oknem. Wychodząc, zamknąłem za sobą bardzo cicho drzwi.



Dzień szybko zrobił się upalny.

O jedenastej, kiedy zjeżdżałem z autostrady na Ranch Road 22 w Bulverde, słońce zdążyło wypalić chmury, a wzgórza drgały już w rozgrzanym powietrzu. Skręciłem w Serra Road, wjechałem na teren rancza i zatrzymałem się pod dębem rosnącym przed domem Danielsów.

Nikt nie odpowiedział na pukanie do drzwi; obszedłem dom.

Rozciągające się za nim pole przypominało plac zabaw korpusu inżynierskiego – piramidy rur z PCW i miedzianych, przecinające się kanały, kopce ziemi. Poprzedniej nocy z powodu ciemności nie zdałem sobie sprawy ze skali prowadzonych prac.

O szopę z narzędziami za wybiegiem dla kur opierały się trzy metalowe cysterny niewiele mniejsze od samochodów – były to szamba. Dwa, w wypłowiłym srebrnym kolorze, były usiane przerdzewiałymi dziurami. Trzecie było nowe, białe, ale upačkane grudami ziemi, zupełnie jakby zostało nieprawidłowo zamontowane i trzeba je było wyjąć z powrotem na powierzchnię.

Koparkę zostawiono przycupniętą na końcu jednego z rowów z łyżką wbitą w wapienną ziemię. Koparka, choć ubrudzona glebą i olejem, wyglądała na dość nową. Była pomalowana na zielone i żółte barwy firmy, od której ją wypożyczono.

Za szopą ktoś słuchał muzyki. Gitara akustyczna i męski głos – coś w rodzaju wczesnego Williego Nelsona.

Ruszyłem w tamtym kierunku. Klacz stojąca na pobliskim polu przyglądała mi się uważnie, zbliżywszy głowę do wieńczącego ogrodzenie drutu kolczastego. Przeżuwała jabłko.

Podchodząc bliżej, zdałem sobie sprawę, że słyszę jedną z piosenek, które wykonywała Miranda, tyle że przerobioną na potrzeby męskiego wykonawcy. Wszedłem za róg stodoły i stwierdziłem, że to wcale nie jest nagranie – piosenkę śpiewał Brent Daniels.

Siedział na jednym z dwóch leżaków ustawionych pod ścianą swojego mieszkania w stodole, niedaleko kurnika. Patrzył na wzgórza i brzdąkał na swoim martinie dla kurczaków.

Na głowie miał czarną szopę mokrych, przeredzonych włosów, zupełnie jakby chwilę wcześniej wziął prysznic. Był ubrany w T-shirt i dżinsowe szorty.

Obok niego na pniaku stał stos papierowych kubków i butelka whisky marki Ryman. Zdążył ją w znacznym stopniu opróżnić. Śpiewał na całe gardło i po raz pierwszy zrozumiałem wtedy, że jest naprawdę dobry.

Nie usłyszał mnie albo miał gdzieś to, że się zbliżam. Zatrzymałem się kilka metrów od niego i odczekałem, aż skończy piosenkę. Miałem wrażenie, że śpiewa do kogoś stojącego na szczycie wzgórza wznoszącego się na horyzoncie.

Skończył, gitara zsunęła mu się na kolana. Podniósł butelkę i nalał sobie whisky do kubka. Wlał alkohol do gardła i zerknął w moją stronę.

– Navarre.

– Myślałem, że słucham nagrania.

Zmarszczył brwi.

– Jeżeli szukasz Mirandy, to pojechała do Austin miksować taśmę. Willis kupuje rury.

– Czy w takim razie mogę się przysiąc?

Zastanawiał się przez chwilę, jakby chciał powiedzieć nie, ale był do tego stopnia nieprzyzwyczajony do odrzucania próśb innych ludzi, że zapomniał już, jak się to robi. Podał mi stos kubków. Wyciągnąłem górny i odstawiłem resztę na leżak.

Przed nami rozciągał się widok po horyzont. W oddali majaczyły zielone wzgórza. Niebo miało ten sam odcień błękitu, co woda w parkach rozrywki – nienaturalny, zabarwiony pod turystów, ze strzępkami chmur. Kilka sępów krążyło w odległości niecałego kilometra od farmy nad kępą drzew. Zapewne leżała tam martwa krowa albo jelen. Na wschodzie widać było biegnący zygzakiem dym z wypalania trawy.

Poczułem w gardle pieczenie whisky.

– Ulubiona marka Lesa, prawda?

Brent wzruszył ramionami.

– Często rozdaje ją gościom na przyjęciach.

Chciałem mu zadać kilka pytań, ale wiejskie powietrze i sielska atmosfera zaczynały mi się powoli udzielać. Zdałem sobie sprawę, jak potwornie jestem zmęczony – że jestem nieustannie zmęczony od kilku tygodni.

Wiszące wysoko na niebie słońce było ciepłe, ale nie męczące; resztki porannej rosy zdążyły wyparować z siatki ogradzającej kurnik, a ja poczułem przyjemne ciepło rozlewające się po moich kościach. Miałem ochotę wpatrywać się w milczeniu w okoliczne wzgórza. Powody, dla których przyjechałem na ranczo Danielsów, zaczynały mi ulatywać z głowy.

– Często tu śpiewasz?

Wokół oczu Brenta pogłębiły się cienie.

– Chyba tak.

– Gracie dziś znowu koncert?

Pokręcił głową.

– Tylko Miranda. Występuje z Robertem Earle'em Keenem we Floore's Country Store. Pewnie Milo przywiezie ją tu z powrotem.

Zgarnąłem z powierzchni whisky drobinki wosku, który oderwał się z kubka.

– Miranda nigdy sama nie prowadzi, prawda?

Nigdy wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Nie zdziwiło mnie to w piątkową noc, kiedy wiozłem ją do miasta, ani w innych sytuacjach, kiedy korzystała z pomocy Mila albo swojego ojca. Fakt, że odruchowo przyjąłem to jako oczywistość, że mnie to w ogóle nie zdziwiło, zaniepokoił mnie z powodów, których nie potrafiłem nawet ująć w słowa.

– Nie dlatego, że nie potrafi – wyjaśnił Brent. – Po prostu nie jeździ.

– Dlaczego?

Zerknął w moją stronę i nie odpowiedział.

Chwycił gitarę i zaczął na niej brzdąkać tak delikatnie, że mało co słyszałem. Błyskawicznie zmieniał chwyt, wyginając na gryfie dłoń w najróżniejsze kształty.

– Nie frustruje cię, kiedy słuchasz, jak śpiewa twoje piosenki? – zapytałem. – Kiedy to na niej skupia się cała uwaga, mimo że to ty jesteś autorem muzyki?

Brent nie przestawał cicho grać. Spoglądał na wzgórze, od czasu do czasu mrużąc oczy przy trudniejszych chwytach. Kiedy patrzyłem na jego twarz i dłonie, kojarzyły mi się z rybakiem zmagającym się na pełnym morzu z wędką i kołowrotkiem.

– Początkowo była wdzięczna – powiedział w końcu. – Mówiła, że beze mnie by sobie nie poradziła, że wszystko mi zawdzięcza. Spogląda na ciebie tymi swoimi lśniącymi oczami...

Uśmiechnął się z lekkim smutkiem. Nagle upodobił się do ojca: był jego szczuplejszą, mniej posiwiałą wersją, trochę wcześniej podniszczoną przez życie i trochę surowszą, ale nadal nie ulegało wątpliwości, że jest synem Willisa.

– Rozumiem, że teraz ty pełnisz funkcję kawalerii, co, Navarre?

– Nie podobało ci się, że Milo zatrudnił prywatnego detektywa, prawda?

– Nie bierz tego do siebie – powiedział. – Wygląda na to, że Les nas porzucił, a Milo próbuje udowodnić, że panuje nad sytuacją. To nie tak... doceniam... – Przerwał, nie wiedząc, co powinien powiedzieć. – Miranda opowiadała mi wczoraj o tobie. Wydawała się znacznie spokojniejsza... powiedziała, że jesteś porządnym człowiekiem. Naprawdę to doceniam.

Mówił szczerze, ale z jego głosu przebijał jakiś niepokój, którego nie potrafiłem zinterpretować.

– Jakiś aspekt kontraktu z Century Records nie daje ci spokoju.

Pokręcił niepewnie głową.

– Les próbował się do ciebie dodzwonić?

Zmarszczył brwi.

– Dlaczego miałyby to zrobić?

– To taka luźna myśl. Nie uważasz, że chciałby się skontaktować z Mirandą?

– Les przepadł na dobre. To chyba dość oczywiste, prawda?

– Na to liczy Allison?

Brent zagrał w milczeniu kilka akordów. Jego myśli uciekły gdzieś daleko, kilkaset mil dalej.

– To coś między mną a nią nie powinno się zdarzyć.

– To nie moja sprawa.

Brent pokręcił ze smutkiem głową.

Bez żadnego wyraźnego powodu zaczął znów śpiewać. Była to ładna piosenka, jedna z wolnych, *Taniec wdowca*.

W wykonaniu Brenta piosenka stała się sto razy smutniejsza. Można było niemal poczuć ciężar wspomnień związanych z mieszkaniem znajdującym się za jego plecami, wyobrazić sobie siedzącą tam młodą kobietę, ciężarną, umierającą na chorobę, której nazwy nie potrafiłem sobie nawet przypomnieć.

Nalałem sobie kolejny kubek whisky. Alkohol otoczył moje płuca ciepłą otuliną.

Brent skończył ostatnią zwrotkę i przez długi czas siedzieliśmy w milczeniu. Słońce przyjemnie grzało. Sępy krążyły nad kępą drzew, klacz grzebała kopytami w ziemi i nawet nerwowo podrygujące głowy kurczaków stawały się w miarę kolejnych porcji wypijanego alkoholu coraz bardziej fascynujące. Pomyślałem, że mógłbym spędzić na tym leżaku resztę życia.

– Dostajesz jakieś pieniądze za te piosenki? – zapytałem. – Allison mówiła coś o...

Brent skinął głową.

– Jedną czwartą tantiem.

– Jedną czwartą?

– Połowa idzie do firmy fonograficznej.

– A pozostała jedna czwarta?

– Do Mirandy jako współautorki.

– Pisaliście je razem?

– Nie, ale taka jest praktyka – wyjaśnił Brent. – Artysta, który nagrywa piosenkę, dostaje połowę tantiem za tekst, nawet jeśli nie jest jego autorem. Lepiej to wygląda na albumie. To ukłon w stronę artysty w zamian za to, że wybrał twoją piosenkę.

- Nawet jeśli jest twoją siostrą.
- Les twierdził, że taki jest standard.

Obserwowałem sępy.

- Miranda mogłaby mimo wszystko zawrzeć niestandardową umowę.

Wzruszył ramionami. Nie miałem pewności, czy go to obchodziło. Ciekawe, jak przebiegały rozmowy, które prowadziła z nim na ten temat Allison.

- Les nocował kiedyś u was na ranczu? – zapytałem.

Skinął głową z ociąganiem.

– Raz. Jechałem za nim po jakimś występie. Nagle wypadł z drogi. Przez alkohol i narkotyki. Musiałem go przekonać, żeby tu przyjechał i odespał. Nie sprawiał wrażenia szczęśliwego gościa. Tamtej nocy miał dużo autodestrukcyjnych myśli.

- Jak na to zareagowałeś?

Brent zagrał jakiś akord.

- Powiedziałem mu, że sam przez to przechodziłem.

Zaśpiewał następną piosenkę. Ja wypilem następną kolejkę. Moje stopy ogarnęło miłe odrętwienie, z przyjemnością słuchałem głosu Brenta Danielsa. Po raz pierwszy od wielu dni czułem spokój. Nie rozmyślałem nad tym, czy chcę być licencjonowanym prywatnym detektywem, czy nauczycielem akademickim, czy może neonowo niebieską kobietą z brodą z Cirque du Soleil.

Rozmawialiśmy w przerwach między piosenkami. Przypominało to konwersację w dwóch językach – tak długo przeskakiwaliśmy między śpiewaniem a mówieniem, aż przestaliśmy dostrzegać między nimi różnicę. Po jakimś czasie Brent zaczął wykonywać cudze utwory: *Silver Wings*, *Faded Love* i *Angel Flying Too Close to the Ground*. Piosenki, które

kojarzyły mi się z kolekcją płyt mojego taty. Boże uchwaj, ale kto wie, czy nawet nie nuciłem razem z Brentem.

Później wszystko się rozmywa, ale pamiętam, że kiedy zapadła po raz kolejny cisza, powiedziałem: – Les od początku nie był z nikim uczciwy. Nie zasłużył na to, żeby go chronić.

Chciałem spojrzeć na Brenta, zobaczyć jego reakcję, ale miałem zamknięte oczy i nie miałem ochoty tego zmieniać.

– Już dawno temu dałem sobie z tym spokój – oświadczył Brent.

Z jego głosu przebijał smutek, w tle rozbrzmiewały żywe i zwiewne dźwięki gitary.

Ostatnie, co zapamiętałem, to że śpiewał jakąś piosenkę o pociągu.



Obudziłem się z poczuciem, że musiałem zostać podłączony do drenu, który wyciągnął ze mnie wszystkie płyny. Usta, oczy i mózg miałem całkowicie wyschnięte. Kiedy poruszyłem głowę, wszystko zrobiło się białe. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że czuję ból.

Usiadłem na metalowym łóżku polowym i potarłem twarz w miejscu, które było wcześniej wciśnięte w powierzchnię ze sztucznego jedwabiu. Jedna z żółtych zasłon była odsunięta, a wlewające się do pokoju światło padało dokładnie na moją klatkę piersiową.

W polu widzenia pojawiły się kolejne przedmioty – składany kwadratowy stolik ze stojącym na nim koszykiem sztućców. Drewniane łóżko piętrowe z odsłoniętymi sprężynami. Kalendarz ścienny „Playboya”, w którym czas zatrzymał się na miss sierpnia. Ściany mieszkanek były identyczne z zewnętrznymi ścianami stodoły – surowe drewno pomalowane na czerwono. Na gwoździach wisiało kilka obrazków. Nóż do mięsa sterczał ze ściany nad małą umywalką. W pomieszczeniu nie było piekarnika – zresztą niczego, co przypominałoby kuchnię. Tylko mała kuchenka elektryczna, ekspres do kawy i lodóweczka.

Istniała oczywiście możliwość, że w pomieszczeniu tym mieszkała kiedyś kobieta, ale nikt nie potrafiłby tego udowodnić.

Spróbowałem wstać.

Spróbowałem ponownie.

Kiedy w końcu mi się to udało, zrozumiałem, dokąd się udały wszystkie

płynny z mojego ciała. Rozejrzałem się za łazienką.

Miała postać małej toalety za kotarą. W środku wszystko stało jedno na drugim. Umywalka zachodziła nad rezerwuar toalety, a prysznic łączył się bezpośrednio z kafelkami na podłodze, więc istniała teoretyczna możliwość, że ktoś mógłby jednocześnie korzystać z toalety, brać prysznic i myć zęby.

Wybrałem tylko opcję numer jeden.

Dopiero kiedy zajrzałem do szafki nad umywalką, w nadziei że znajdę tam aspirynę, odkryłem pozostałość po kobiecie, która tam kiedyś mieszkała – pomarańczowe fiołki z lekarstwami, co najmniej dziesięć, wszystkie podpisane wyblakłymi literami: „Marla Daniels”. Insulina A. Zestawy witamin dla kobiet w ciąży. Metformina. Kilka innych leków, których nazw nie kojarzyłem. Niektóre były otwarte, zupełnie jakby ktoś zażywał je dziś rano. Można było odnieść wrażenie, że szafka pozostawała nietknięta od dwóch lat. W kącie za pojemnikiem z tabletkami metforminy leżał nieodfoliowany gryzak.

Wziąłem go do ręki. Małe połyskujące kształty – romby, kwadraty, gwiazdki – unosiły się ospale w sterylnym płynie wypełniającym plastikowe kółko.

– Wstałeś – usłyszałem za sobą głos Brenta Danielsa.

Zamknąłem szafkę.

Kiedy się odwróciłem, Brent za wszelką cenę starał się nie zwracać uwagi na to, co robiłem. Przesuwał między palcami skraj zasłony od prysznicza.

Miał suche włosy i świeżo ogoloną twarz. Pomijając oczy, nie wyglądał na człowieka, który wypił tak dużo jak ja.

– Dzwoniła Miranda – powiedział. – Mówi, że Milo zamierza zajmować się miksowaniem piosenek przez resztę popołudnia, i pyta, czy nie chciałoby mi się odebrać jej wcześniej. Mógłbym sam to zrobić albo...?

– Pojadę.

Skinął głową, zupełnie jakby spodziewał się usłyszeć tę smutną wiadomość. Wskazał za siebie brodą. Wyszedłem za nim do pokoju, w którym ledwie się obaj mieściliśmy.

Brent otworzył szafkę nad lodówką i wyjął torebkę tortilli i puszkę fasolki.

– Głodny?

Mój żołądek wykonał powolne salto. Pokręciłem głową.

Brent wzruszył ramionami i włączył kuchenkę elektryczną. Spojrzałem na czarno-białe zdjęcie przyklejone do wnętrza szafki – krótko ostrzyżona brunetka z lekko okrągłą twarzą i uśmiechem tak niekontrolowanym, jakby ktoś ją łaskotał.

– Marla?

Brent znieruchomiał i rozejrzał się, aby sprawdzić, do czego nawiązuję. Odprężył się, widząc, że mówię o zdjęciu.

– Nie. Moja matka.

– Ile miałaś lat?

Wiedział, co mam na myśli.

– Niemal dwadzieścia. – Potem, zupełnie jakby miał obowiązek to powiedzieć, jakby wcześniej wielokrotnie musiał to wyjaśniać, dodał: – Miranda tylko sześć.

Brent rzucił tortillę bezpośrednio na rozgrzaną płytę. Przyglądał się, jak zaczyna syczeć, jak tworzą się na niej pęcherzyki. Tortilla była prawdopodobnie stara i płaska, ale po minucie podgrzewania miała smakować niemal równie dobrze jak świeża. Jeżeli już podgrzewać tortille, to tylko tak.

– Willis może nie być zachwycony, że ty pojedziesz odebrać Mirandę – zauważył.

– Ale ty nie masz nic przeciwko.

Odwrócił tortillę. Jeden z pęcherzyków pękł z trzaskiem, jego krawędzie poczerniały.

– Może jednak się skuszę – postanowiłem.

Brent bez słowa wyjął kolejną tortillę z torebki.

– Nie mam nic przeciwko – przyznał w końcu. – Tata... – Zamilkł.

– Ma wybuchowy charakter, prawda?

Brent wpatrywał się w zdjęcie matki.

– *Señorita Billy’ego* – powiedziałem. – Jedyna piosenka napisana przez Mirandę. Opowiada o waszych rodzicach.

Brent zamieszał fasolkę w puszcze.

– Ich kłótnie nie były aż takie straszne.

– Ale dla sześciolatki musiały być straszne.

Brent utkwiał we mnie wzrok. Na jego nieruchomej twarzy pojawiła się odrobina gniewu.

– Chcesz się postawić w czyjejś sytuacji? Pomyśl, jak musi się czuć Willis, kiedy co wieczór słyszy tę piosenkę. Postaw się na jego miejscu. Musi być w siódmym niebie.

Zrobiłem to, o co poprosił mnie Brent. Zastanowiłem się nad tym.

Dodał do fasolki trochę pieprzu, masła i soli. Kiedy zaczęło się z niej dymić, wylał ją na tortille, zwinął je i podał mi jedną. Usiedliśmy i zaczęliśmy jeść.

Patrzyłem przez boczne okienko do wnętrza stodoły. Wielki pomarańczowy kot spał na siodelku zardzewiałego traktora marki John Deere. Na krokwiach powyżej siedziało kilka gołębi. Przeniosłem spojrzenie na sufit pokoju.

– Co jest na górze? – zapytałem.

– Teraz strych. Dawniej znajdowała się tam szwalnia.

– Szwalnia?

Brent spojrzał na mnie z pewnym wyrzutem, że musi powiedzieć coś więcej.

– Marla.

Skoncentrowałem się z powrotem na tortilli.

– Chcę ci o czymś powiedzieć – oświadczyłem.

Brent czekał, niespecjalnie zainteresowany.

Może właśnie ta jego bierność skłoniła mnie do mówienia. Może dręczący mnie w środku dnia kac po whisky. A może po prostu łatwiej było mi powiedzieć to jemu niż jego siostrze. Tak czy inaczej, opowiedziałem Brentowi Danielsowi praktycznie wszystko: o pirackich nagraniach Sheckly’ego, o Jeanie Krausie, o tym, że osoby, które zamierzały podzielić się informacjami na temat interesów Sheckly’ego, znikwały, z własnej woli albo nie.

Brent słuchał w milczeniu, jedząc tortillę. W najmniejszym stopniu nie wyglądał na zszokowanego.

Kiedy skończyłem, powiedział:

– Nie powinieneś wspominać o tym Mirandzie. Kompletnie by ją to teraz rozwalilo. Zaczekaj, aż skończy nagrywać płytę.

– Miranda może być w niebezpieczeństwie. Ty zresztą też. W jakiej sprawie Jean Kraus wyklócał się z tobą tamtego wieczoru na przyjęciu?

Brent się uśmiechnął.

– Jean jest gotów wyklócać się o wszystko. Ale to nie oznacza, że zabije mnie i moją rodzinę.

– Mam nadzieję, że masz rację. Mam nadzieję, że Les nie sprowadzi na was tego samego losu, co na Julie Kearnes. Albo Alexa Blanceagle’a.

Oczy Brenta zaczęły się znów otaczać cieniami.

– Miranda nie powinna zajmować się tą sprawą.

– Ale jakoś nie widać, żebyś ty się przejmował. Nie obawiasz się, że Les przysporzy wam problemów?

Brent pokręcił powoli głową.

Trudno było go rozgryźć. Mogło się za tym kryć jakieś kłamstwo. A może nie. Zmęczona życiem twarz i lata trudów przesłaniały niemal wszystko.

– Nie jest mi łatwo wpuścić tu kogoś – powiedział w końcu i przeniósł wzrok na surowe, czerwone ściany mieszkania.

Siedziałem przez dłuższą chwilę, zanim zdałem sobie sprawę, że kazał mi sobie pójść.



Zanim podjechałem po Mirandę Daniels pod Silo Studios, kolejny zimny front przedarł się na południe i przykrył Austin wilgotnym powietrzem i szarymi chmurami niczym przepoconym elektrycznym kocem.

Mieszkańcy leżącego sto dziesięć kilometrów na północ Waco mogli się zapewne cieszyć chłodnym, przyjemnym wieczorem.

Milo Chavez nie miał czasu na rozmowę. Razem z jednym z inżynierów siedział nad konsolą, wsłuchując się z zachwytem w nowe ścieżki wokalne, które Miranda zarejestrowała w dwa ostatnie poranki.

– Piętnaście ścieżek – mruknął w moją stronę. – Cholera, piętnaście wersji *Señority Billy’ego*, a dziś rano nagrała niesamowitą wersję za pierwszym podejściem. Mój Boże, Navarre, strata tej pierwszej taśmy demo okazała się dla nas prawdziwym błogosławieństwem.

Położył dłoń na małym głośniku firmy BOSE, jakby go błogosławił.

Chavez zgodził się, żebym zawiózł Mirandę do San Antonio wcześniej, pod warunkiem że dostarczę ją na czas na dzisiejszy występ. Miranda stwierdziła, że umiera z głodu. zaproponowała, żebyśmy zjedli lunch gdzieś na trasie. Mnie dopadły wyrzuty sumienia i zadzwoniłem do Garretta, żeby zapytać, czyby do nas nie dołączył. Niestety akurat mógł.

Kiedy podjechaliśmy pod Texicali Grille, mój brat siedział już przy stoliku na zewnątrz. Wjechał wózkiem pod jeden z metalowych parasoli. Matoł przechadzał mu się sztywnym krokiem po ramieniu. Danny Young, właściciel Texicali, przysiadł na obróconym krześle po przeciwnej stronie

stołu.

Danny był przyjacielem rodziny powiązanych z nami przez krewnych i znajomych z południowego Teksasu, których niespecjalnie kojarzyłem.

Przed laty Danny przeniósł swoją restaurację z Kingsville do Austin i postanowił przyznać sobie podwójny honorowy tytuł specjalisty od alternatywnej polityki i smażenia burgerów. Ogłosił, że połowa Austin położona na południe od rzeki Colorado powinna się odłączyć od coraz bardziej japiszonowatej północnej części miasta, po czym zatknął na maszcie przed Texicali T-shirt w rozmiarze XXXL i obwołał się burmistrzem Południowego Austin. Jeżeli dobrze pamiętam, jego program polityczny zawierał punkty dotyczące kłapek, salsy i meksykańskiego piwa. Powiedziałem mu kiedyś, że jeżeli tylko chce, może zaanektować również San Antonio.

Ręce Danny'ego zajmowały większą część oparcia krzesła. Siwiejące brązowe włosy spiął w kucyk. Akurat kiedy do nich podchodziłem, roześmiał się, odsłaniając srebrne zęby – Garrett mówił coś o przenosinach Samsung Electronics do Austin.

– Hej, braciszku! – Garrett pomachał do mnie, potem zobaczył Mirandę i dodał: – O kurde.

Choć wieczorny piętnastominutowy występ z Robertem Earle'em Keenem na Halloween Night Show miał się zacząć dopiero za siedem godzin, ona miała już na sobie sceniczny strój. Wybrała bawełnianą bluzkę uszytą z wielkich pomarańczowych i białych kwadratów, czarną spódnicę, jasnobrązowe buty i duże ilości srebrnej biżuterii. Do tego perfekcyjna fryzura i makijaż. Normalnie uznałbym taki wygląd za przesadę, za przesadny jak na mój gust Tekskański Fryz. Ale tamtego popołudnia u Mirandy całkiem mi się podobał.

Uścisnęła dłoń Garrettowi i Danny'emu.

Zacząłem ją przedstawiać, ale Danny mi przerwał:

– O cholera, my przecież kiedyś razem jamowaliśmy.

Miranda się roześmiała, wyściskała Danny'ego i zapytała go, czy robi postępy w grze na tarce. Danny powiedział Mirandzie, że wypadła całkiem nieźle miesiąc wcześniej na Szóstej Ulicy.

Garrett nie odrywał od niej wzroku. Niespecjalnie panował również nad rozdziawioną gębą.

Papuga obrzuciła mnie zaniepokojonym spojrzeniem, jakby w jej mózdku zaczęło się formować niewyraźne wspomnienie mniej szczęśliwych czasów, zanim w jej życiu pojawił się Jimmy Buffett i marihuana.

– Hałaśliwy drań – zawyrokowała.

Danny jeszcze raz wyściskał Mirandę, po czym zapytał nas, co chcemy do jedzenia. Garrett wyrecytował w zasadzie pełną listę, nie zapominając zwłaszcza o shiner bocku. Mój żołądek wpadł w lekką panikę, przypominając mi o dużej ilości whisky, którą wlałem w niego w porze lunchu.

– Dla mnie mrożona herbata – zdecydowałem.

Danny spojrzał na mnie z rozbawieniem, jakby doszedł do wniosku, że może jednak wcale aż tak dobrze mnie nie zna, ale bez słowa poszedł do środka, żeby złożyć zamówienie.

– Słynna panna Daniels – przedstawiłem. – Mój brat Garrett.

– Miło mi pana poznać – powiedziała Miranda.

Garrett uścisnął jej dłoń, uważnie mi się jednocześnie przyglądając.

Zadał mi kilka milczących pytań. W odpowiedzi uniosłem tylko brwi.

Garrett posłał Mirandzie jeden ze swoich wyszczerzonych uśmiechów, które prowokują zawsze do rozważań, czy powykrzywiane i ostre zęby nie są przypadkiem celową robotą jakiegoś ortodonta.

– Uwielbiam twoje piosenki.

Miranda się uśmiechnęła.

– Bardzo mi miło.

– Wydawało mi się, że tylko je lubisz – przypomniałem Garrettowi. – Stwierdziłeś chyba, że nie umywają się do Jimmy’ego Buffetta.

Garrett poradził mi, żebym się przymknął. Papuga zrobiła to samo.

Miranda się roześmiała.

– Trzymaj, dupku. – Garrett wyciągnął coś z bocznej kieszeni wózka i mi to podał. Było to zawiniątko wielkości dysku komputerowego, opakowane w szary papier spięty naklejką z czarno-białym znaczkiem pokoju.

Kiedy zacząłem protestować, rozłożył ręce w obronnym geście.

– A czy ja coś powiedziałem? Bierz ten cholerny dysk, to drobiazg. Kilka programów, które mogą ci się przydać. Nie waż się nawet traktować tego jako prezent.

Miranda, lekko zdezorientowana, wodziła między nami wzrokiem.

– Wszystko jest okej – zapewniłem ją.

– Oczywiście, że wszystko jest okej – zgodził się Garrett. – Każdy kiedyś kończy trzydzieści lat. Nie ma o czym gadać.

Tym razem to Miranda rozdziawiła usta. Spojrzała na mnie z oburzeniem.

– Mam nadzieję, że dostanę kiedyś w prezencie stryczek – stwierdziłem. – Dla mojego brata.

– Niemożliwe, żebyś... – Zaczęła coś mówić, ale szybko zdała sobie sprawę, że nie do końca wie, co chciała powiedzieć.

Garrett nadal promiennie się uśmiechał.

– Zawstydził się. Chłop się starzeje. Nie znalazł sobie jeszcze normalnej pracy.

– Nie wiem, czy powieszenie nie byłoby zbyt litościwe – zamyśliłem się.

– Matoł – zaskrzeczała papuga.

Miranda popatrywała na nas oniemiała. Widziałem tę minę u wielu kobiet, które miały okazję znaleźć się w towarzystwie dwóch mężczyzn o nazwisku Navarre.

– Koniec tematu – zarządziłem. – Opowiedz lepiej Mirandzie o tym, w jaki sposób przekonfigurujesz swój komputer, żeby przejąć władzę nad światem.

Garretta nie trzeba było specjalnie zachęcać i zaczął nam opowiadać o draniach rządzących RNI, a potem o swoich najnowszych nieoficjalnych projektach. Po jakimś czasie Miranda przestała się we mnie wpatrywać. Rozmowa zesłała, co oczywiste, na Jimmy'ego Buffetta, co doprowadziło nas z kolei do wątku kontraktu Mirandy z Century Records, który miał jej przynieść sławę i pieniądze. Garrett przekonywał Mirandę, że na potrzeby pierwszego albumu mogłaby nagrać podkreślony cover *Brahma Fear* Buffetta. Po drugiej kolejce shiner bocków Miranda i Garrett byli bliscy wypracowania porozumienia.

Tymczasem ja popijałem mrożoną herbatę. Dyskretnie zdjąłem ze stołu prezent od Garretta i włożyłem go do plecaka. Żeby nie rzucał się w oczy i tak dalej.

Podano jedzenie, a Danny przysiadł się do nas na chwilę. Zajadaliśmy się burgerami Texicali z dużą ilością salsy oraz sera Monterey Jack i wpatrywaliśmy się w samochody przemykające popołudniową porą przez South Oltorf. Matoł siedział na ramieniu Garretta, trzymając między pazurami chipsa tortillowego i zjadając go po kawałeczku. Nie nauczył się jeszcze maczać go w salsie. Opanowanie tej sztuki zajmie mu pewnie kolejny miesiąc.

Po jakimś czasie Garrett oświadczył, że musi wracać do pracy, a Danny

stwierdził, że on z kolei powinien zajrzeć do kuchni. Na patio spadło kilka kropel deszczu.

– Miło było pana poznać – powiedziała Miranda do Garretta.

Garrett zaczął obracać swój wózek bokiem; papuga rozpostarła skrzydła, łapiąc równowagę.

– Tak... Aha, braciszku...

– Jedno słowo i nie żyjesz – ostrzegłem go.

Garrett wyszczerzył zęby.

– Ciebie również miło było poznać, Mirando.

Kiedy zostaliśmy sami, zacząłem rwać na małe kawałeczki woskowany papier z koszyka na burgery. Miranda oparła delikatnie swój but na moim.

Tak, miałem na nogach nowe buty. Akurat tak się złożyło, że stały przed szafą.

– Trudno ich czasami lubić – powiedziała.

– Co?

– Starszych braci. Gdybym tylko wiedziała... – Przerwała, prawdopodobnie przypominając sobie ostrzeżenie, jakie skierowałem do Garretta. – Przyjechałeś taki kawał drogi do Austin, żeby mnie odebrać, poświęcasz na to pół dnia.

– Chciałem przyjechać.

Wzięła mnie za rękę i ją ścisnęła.

– Nagranie poszło dziś naprawdę dobrze. Tobie to zawdzięczam.

– Nie bardzo rozumiem dlaczego.

Nadal trzymała mnie za rękę. Jej oczy lśniły.

– Tęskniłam za tobą wczoraj wieczorem, panie Navarre. Wiesz, ile czasu minęło, od kiedy tak bardzo za kimś tęskniłam? Siłą rzeczy zaczęłam śpiewać inaczej.

Patrzyłem na samochody przejeżdżające Oltorf.

– Mirando, czy Les się z tobą skontaktował?

Rozluźniła delikatnie uścisk. Z trudem podtrzymywała uśmiech na twarzy.

– Skąd w ogóle takie pytanie?

– Czyli się skontaktował?

– Oczywiście, że nie.

– A gdybyś musiała zniknąć na kilka dni, masz jakieś bezpieczne miejsce, o którym mało kto wie?

Zaczęła się śmiać, ale spoważniała, widząc moją minę.

– Nie wiem. Dziś wieczorem występuję, jutro mam wolne, z kolei w piątek ma się odbyć przesłuchanie taśmy. Nie mówisz chyba poważnie o tym...

– Nie wiem – powiedziałem. – Prawdopodobnie nic się nie stanie, ale powiedzmy, że musiałabyś wybrać: realizacja zobowiązań albo własne bezpieczeństwo.

– W takim wypadku dotrzymałabym zobowiązań z tobą u boku.

Spuściłem wzrok na blat stolika.

Odwróciłem rachunek i zobaczyłem, że Danny Young postawił nam lunch. Na zielonym świstku napisał markerem: „Nic”. Kelner musiał być wyznawcą filozofii zen.

Miranda odwróciła moją dłoń w taki sposób, że jej znalazła się na wierzchu.

Krople deszczu zaczęły bębnić o metalowy parasol w bardziej miarowym, spokojnym rytmie trzy czwarte.

– Nie masz jeszcze czegoś do załatwienia w Austin? – zapytała. – Skoro już tu jesteśmy.

Patrzyłem na deszcz.

Pomyślałem o Kelly Arguello, która prawdopodobnie przygotowała dla

mnie kolejny zestaw dokumentów. Pewnie siedziała teraz na werandzie, stukwała w przenośny komputer i patrzyła, jak krople deszczu bębnią po sprzętach stojących w ogródku sąsiadów.

– Niczego, co nie mogłoby poczekać – uznałem.



Dwie godziny później znajdowaliśmy się z powrotem w San Antonio, niedaleko domu Erainii. Obiecałem Jemowi, że odwiedzę go wieczorem w Halloween, ale przeszliśmy ledwie dwie przecznice, kiedy Jem uznał, że bardziej od zbierania cukierków interesują go wygłupy z Mirandą.

Gonili się po chodniku. Śmiała się z jego bezsensownych dowcipów. Jak nikt inny zachwycała się jego przebraniem. Jem został załaskotany na śmierć, kiedy zaproponowała, że będzie jego panną Muffett.

– Ma podejście do dzieci – zauważyła Erainia.

Siedzieliśmy we dwójkę na masce jej lincolna continental, obserwując okolicę.

A tamtego wieczoru na Terrell Hills sporo się działo. Anglosaskie dzieci z sąsiedztwa poruszały się parami albo trójkami w kupionych w sklepach kostiumach księżniczek i wojowników ninja, z dyniowymi latarkami i plastikowymi latarniami wyładowanymi cukierkami. Ich rodzice kroczyli kilka metrów za nimi, popijając lone stary, albo konwersowali na werandach. Niektórzy tatusiowie zabrali przenośne telewizorki, żeby śledzić przebieg rozgrywek uniwersyteckiej ligi futbolowej.

Importowane dzieciaki z South Side poruszały się w grupkach po dziesięcioro, dwadzieścioro. Zostały dowieszone kombiakami do bogatych dzielnic zamieszkanymi przez *gente*, aby nazbierały tyle jedzenia, ile tylko zdołają. Były ubrane w stare prześcieradła, twarze niekiedy miały usmarowane farbą, sporadycznie ukrywały się za maskami z tanich sklepów.

Starsze dzieci, czternasto-, szesnastoletnie, starały się za wszelką cenę zakryć owłosione ramiona i twarze. Puszczaly młodsze rodzeństwo przodem i same się nie odzywały. Ich rodzice zostawali zawsze na chodniku i zawsze uprzejmie za wszystko dziękowali. Oni nie dzierżyli w rękach lone starów. Ani przenośnych telewizorów.

Trzecią kategorię stanowiły nietypowe dzieci pokroju Jema, który pisał w ręcznie robionym kostiumie pająka. Czarne futro odłaziło z niego płatami, ilekroć zawadzał o żywopłoty, a druciane odnóża podrygiwały, zahaczając o papierowe szkielety, które ludzie porozwieszali przed swoimi domami na jądłoszynach. Po przejściu trzech przecznic z kostiumu niewiele zostało, ale jakoś nikt nie zwracał na to uwagi. Zwłaszcza Jem.

Patrzyłem, jak Miranda goni Jema po chodniku. Oboje przeskoczyli nad jądłoszynem, który rósł poziomo przed jednym z domów, układając się w kształt fali.

Jem zaprezentował zdobyczne pralinki i kawałki arbuza, po czym uciekł, goniony przez Mirandę.

– Dobra robota, brachu – pochwaliłem go.

Miranda posłała mi uśmiech i puściła się biegiem za Jemem, jakby robiła to od urodzenia. A przynajmniej od urodzenia Jema.

Erainia wymruczała coś po grecku.

– Co? – zapytałem.

– Powiedziała, złociutki, że przypominasz Turka. Skąd ta kwaśna mina?

Jak zwykle miała na sobie czarną obcisłą sukienkę. Kiedy zapytałem, dlaczego nie przebrała się w żaden kostium, odpowiedziała: – No co, mam dodatkowo wyglądać jak jędz?

Siedziała z rękami skrzyżowanymi na piersi, trzymając się za kościste łokcie. Miała nieco łagodniejszy wyraz twarzy niż zwykle, ale

podejrzewałem, że wynikało to wyłącznie ze zmęczenia.

Mimo protestów Erainii Jem opowiedział mi o tym, jak tego dnia o szóstej rano udało im się namierzyć poszukiwaną osobę. Uwielbiał uczestniczyć w teatryku pod tytułem: „Czy mogę pożyczyć pani telefon, żeby zlokalizować rodziców tego chłopca?”. Z relacji Jema wynikało, że dziewczyna zbiegłego męża otworzyła od razu drzwi i zapytała, czy nie napiliby się coca-coli. I tak Erainia bez większego wysiłku zgarnęła honorarium za dzień pracy od prawnika żony.

– Wcale nie mam kwaśnej miny – zaprotestowałem.

Usztywniła się jeszcze bardziej i wyciągnęła w moją stronę palec, jakby chciała mnie nim dźgnąć.

– Towarzyszy ci sympatyczna dziewczyna, w przyszłym tygodniu wracasz do mnie do pracy. W czym problem?

– Nieważne.

Erainia skinęła głową, ale ewidentnie mi nie wierzyła.

– Gadaliście z Barrerą?

Skinąłem głową.

– Podał ci powody, dla których ludzie mogą ginąć w związku z Shecklym?

– Tak. Oraz powody, dla których wplątałem się w sprawę, która mnie przerasta.

Patrzyliśmy, jak Jem kołysze swoimi pajęczymi odnóżami przed jakimś facetem na kolejnej werandzie. Gość zaczął się śmiać i dał Jemowi dodatkową garść cukierków z dużego wiklinowego koszyka, który trzymał w ręku. Facet wpatrywał się również z zachwytem w pupę Mirandy, kiedy dziewczyna przechodziła chodnikiem obok jego domu. Zacząłem się zastanawiać, jakiej siły trzeba byłoby użyć, aby wepchnąć mu ten wiklinowy koszyk na głowę.

– Nie słuchaj go – radziła Erainia. – Nie pozwól, żeby podciął ci skrzydła.
Spojrzałem na nią, niepewny, czy dobrze usłyszałem.

Obrzuciła krytycznym spojrzeniem swoje szponowate paznokcie.

– Nie mówię, kochaniutki, że dobrze zrobiłeś, wplątując się w tę sprawę w taki sposób. Nie mówię, że podobają mi się twoje metody. Ale powiem to tylko raz: powinieneś wykonywać zawód prywatnego detektywa.

W ciemności trudno było cokolwiek wyczytać z jej twarzy.

– Erainia? To na pewno ty?

Zmarszczyła gniewnie brwi.

– No co? Mówię tylko, żebyś nie pozwolił się traktować Barrerze jak zawodnik drugiej ligi, kochaniutki. Niezależnie od tego, co ci nagadał, gliniarze to najgorszy materiał na prywatnych detektywów. Potrafią tylko reagować na wydarzenia, tylko udają twardzieli. To wszystko. Większość z nich nie ma pojęcia, jak wyciągać z ludzi informacje. Nie potrafią słuchać ani rozwiązywać skomplikowanych problemów. Brakuje im *ganis* i wrażliwości potrzebnej do wykonywania takiej roboty. Ty masz *ganis*.

– Dzięki. Chyba.

Erainia nadal marszczyła brwi. Jej wzrok ześlizgnął się na Mirandę, która ścigała Jema po schodach ostatniego domu w tym kwartale.

– Dziewczyna jest mocno zaplątana w sprawę?

– Niestety nie wiem.

– Komuś stanie się krzywda?

– Nie, jeżeli będę potrafił temu zapobiec.

Erainia objęła się mocniej za łokcie i kopnęła z całej siły obcasem oponę lincolna.

– Mogło być gorzej, kochaniutki.

Jem i Miranda wrócili, pędząc na złamanie karku. Jem przebiegł obok

mnie, a Miranda na mnie wpadła, chwytając mnie za przedramiona, żeby się zatrzymać.

W kąciку ust miała okruszek pralinki. Zwędziła część łupu.

– Hej – powiedziała.

Jem oświadczył, że możemy jechać do kolejnej dzielnicy.

Obok nas przeszła dwunastoosobowa rodzina Latynosów, której rodzice mówili swoim dzieciom w zasadzie to samo. Ojciec toczył pozbawionym wyrazu spojrzeniem, jakby ruszyli w objazd jeszcze przed świtem. Dzieci wyglądały na wymęczone, matka na głodną i niespokojną, starając się przepędzać swoje dzieci obok ojców z przenośnymi telewizorami i ich małych jasnowłosych pociech w kostiumach, które kosztowały więcej niż wszystkie buty, jakie miała na nogach jej rodzina.

Erainia zajrzała do torebki Jema, wybrała dropsy Sweetarts, najkwaśniejszą rzecz, jaką tam znalazła, po czym spojrzała na mnie z dezaprobatą.

Potem poczochnęła rzednącą perukę Jema i kazała mu wsiadać do samochodu.



– Nie zdążymy.

Miranda nie sprawiała wrażenia szczególnie zaniepokojonej. Wyglądało raczej, jakby po raz pierwszy zakosztowała opieszałości i nie była pewna, czy jej smakuje. Nigdy wcześniej nie spóźniła się na występ. Zawsze ktoś ją podwoził. Ktoś odpowiedzialny. Ktoś, kto nie przystawał po drodze, żeby chodzić od drzwi do drzwi z czterolatkami i zbierać cukierki.

– Myślałem, że to ma być spontaniczny występ – tłumaczyłem. – Że wpadniesz na występ Roberta Earle’a. Zaśpiewasz kilka piosenek. Tak po prostu.

– Milo chodził wokół tego z miesiąc, Tres. Century przysyła swoich ludzi z Nashville i w ogóle. Milo nie będzie zachwycony.

Podjęła kolejną próbę poprawienia makijażu – niełatwe zadanie w jadącym volkswagenie po zmroku, nawet z podniesionym dachem. Czekala, aż będziemy mijali kolejną latarnię, i oglądała sobie usta we wstecznym lusterku przez dwie sekundy, kiedy jej twarz była oświetlona. Wyglądała dobrze.

Pod jedną z latarni spojrzałem na zegarek. Punkt dziewiąta. We Floore’s Country Store, trzy kilometry od nas, Robert Earle Keen zaczynał właśnie pierwszą część występu, spodziewając się, że w połowie zostanie mile zaskoczony pojawieniem się na scenie dobrej znajomej Mirandy Daniels. Milo krążył nerwowo przed wejściem. Pewnie z mosiężnymi kastetami na dłoniach.

Mknęliśmy z telepiącą się maską i rozedrganym lewym tylnym kołem.

Poklepałem volkswagena po desce rozdzielczej.

– Nie tym razem, kolego. Rozłożysz się w drodze powrotnej do domu, dobrze?

Oczywiście powtarzam te słowa mojemu garbusowi podczas każdej podróży. Volkswageny są dość naiwne i dają się nabrać na takie teksty.

Miranda odłożyła zestaw do makijażu. Wpatrywała się w nierówną linię rosnących wzdłuż drogi akacji.

– Fajny jest ten twój brat Garrett. Jem i Erainia też.

– Wiem. Można ich polubić.

Objęła się rękami za kolana.

– A więc trzydzieści – zaryzykowała.

– Hej... – ostrzegłem ją.

Uśmiechnęła się.

– Garrett miał rację?

– Prawie nigdy nie ma racji.

– Chodzi mi o to, jak to sam widzisz... czy masz poczucie, że powinieneś znaleźć sobie stabilniejszą pracę.

Na wzgórzu na horyzoncie pojawiło się migające żółte światło wskazujące skręt w Johna T. Floore'a.

– Nie daj się zwieść Garrettowi – powiedziałem. – Za batikowym T-shirtem i marihuaną kryje się największy katolik, jaki pozostał w mojej rodzinie. Wierzy w wyrzuty sumienia.

Miranda skinęła głową.

– Rozumiem, że to odpowiedź twierdząca.

Skręciliśmy w lewo.

Floore's Country Store stał tyłem do szosy, a frontem do Old Bandera Road i ciągnących się kilometrami rancz. Milion lat temu, kiedy John. T.

Floore założył ten lokal, naprawdę znajdował się tam sklep z muzyką country. Było to jedyne miejsce przy tej drodze wylotowej z San Francisco, gdzie można było coś zjeść, zrobić zakupy albo napić się piwa.

„Sklepowa” część biznesu dawno stała się przypisem do baru i koncertów muzyki country, ale nad wyjściem nadal widniał napis: „Nie zapomnij o chlebie”.

Tamtej nocy przed Floore’s lśniło od świateł. Po obu stronach Old Bandera Road stały pikapy. Zbudowany z pustaków i pomalowany na limonkowo front baru był jeszcze bardziej obwieszony tabliczkami ze sklejkami niż za czasów mojej poprzedniej wizyty. Jedne reklamowały marki piwa, inne zespoły muzyczne, jeszcze inne polityków. „WILLIE NELSON W KAŻDĄ SOBOTĘ WIECZOREM” – głosiła któraś.

Przejechaliśmy obok baru, szukając wolnego miejsca parkingowego. Z poziomu drogi muzyka Roberta Earle’a Keena brzmiała jak przypadkowe dudnienie i pulsowanie, jak taśma puszczona na cały regulator w odwrotną stronę. Przed drzwiami kłębił się tłum w kowbojskich kapeluszach.

Zawróciłem, przejechałem obok punktu naprawy urządzeń rolniczych i zaparkowałem po przeciwnej stronie mostu nad Helotes Creek.

Milo musiał wypatrywać mojego samochodu, ponieważ ledwie zdążyliśmy wyciągnąć gitarę Mirandy z bagażnika i weszliśmy na most, on czekał już na nas na środku, tocząc groźnym wzrokiem niczym troll z baśni *Trzy koziołki*.

– No dalej, dalej – popędzał Mirandę. Odebrał ode mnie gitarę, nie nawiązując nawet kontaktu wzrokowego.

– Przepraszam – próbowała się bronić.

Ale Milo zdążył się już odwrócić w stronę baru.

Tłum dość sprawnie rozstępował się na widok Mirandy. Starszy mężczyzna stojący przy drzwiach uchylił przed nią kapelusza. Kilka osób z

kolejki cofnęło się, żeby ją przepuścić – chwilę potem musiały się cofnąć jeszcze bardziej, aby przepuścić Mila. Dość oślizgły zastępca szeryfa z hrabstwa Bexar z siwiejącą fryzurą *à la* Elvis powitał ją, po czym przeprowadził nas przez salę do drzwi na zaplecze.

Przy dwudziestu albo trzydziestu stolikach piknikowych rozstawionych na wysypanym żwirem parkingu panował nieludzki ścisk. Podobnie jak na betonowej części przeznaczonyj do tańca. Przy jednym ze stolików pod murem budynku siedział Tilden Sheckly w otoczeniu kilku znajomych kowbojów. Kiedy przechodziliśmy, nasze spojrzenia spotkały się na chwilę. Posłał mi swój standardowy niewymuszony uśmiech.

Parkiet był oświetlony wyłącznie żarówkami powieszonymi na słupach telefonicznych, kolorowymi światełkami bożonarodzeniowymi i neonami z nazwami piw zawieszonymi na płocie. Na zielonej, zbudowanej z desek scenie Robert Earle śpiewał o połowie okoni. Od czasu kiedy ostatni raz widziałem jego występ, zapuścił brodę, sprawił sobie elegantsze ubranie i większy zespół.

– Gdzie...? – szepnęła Miranda do Mila.

Ten wskazał głową na stół piknikowy przy ogrodzeniu z siatki, oddalony o jakieś piętnaście metrów od Sheckly'ego, gdzie siedziało kilku młodych facetów w materiałowych spodniach i białych eleganckich koszulach. Nie wyglądali na miejscowych. Jeden z nich pił nawet szprycer. Zdecydowanie nie byli miejscowi.

– Po prostu bądź sobą – poradził Milo. – Zaśpiewaj piosenki, o których rozmawialiśmy. Robert wprowadzi cię duetem *Miłość to tylko słowo*. Okej?

Miranda pokiwała głową, zerknęła na mnie, potem na ludzi z działu poszukiwania talentów firmy fonograficznej. Próbowwała się uśmiechnąć.

Milo przekazał ją zastępcy szeryfa z fryzurą *à la* Elvis, który wprowadził

Mirandę na scenę. Robert Earle skończył piosenkę o połowie okoni i poinformował oklaskującą go wciąż widownię, że wypatrzył właśnie pod sceną swoją dobrą znajomą. Oczywiście chciałby zaprosić ją na deski i zaśpiewać razem z nią kilka piosenek.

Oklaski się nasiliły, stały się nawet nieco bardziej entuzjastyczne, kiedy ludzie zobaczyli Mirandę. Najwyraźniej widownia ją rozpoznała.

Milo odczekał do momentu, kiedy miał pewność, że dostała się bezpiecznie na scenę i że jej mikrofon jest sprawny. Robert Earle zaczął z nią żartować na temat ostatniego razu, kiedy mieli okazję razem zaśpiewać – coś o jedzeniu gąsienic i zapomnianiu słów do *Spopielonej miłości*. Miranda podjęła grę i również zaczęła żartować. Jeżeli była zdenerwowana, dobrze to ukrywała.

Milo posłał mi krótkie, karcące spojrzenie, po czym ruszył w stronę stolika, przy którym siedzieli ważni ludzie.

Przez kilka sekund wpatrywałem się w jego plecy, po czym uznałem, że najlepiej będzie wejść do środka i kupić sobie piwo.

Bar był orzechową klitką, która jakimś cudem nie rozpadała się rozpierana łokciami barmana i sześciu albo siedmiu klientów. Nikt tu nie był w przebraniu, jeżeli nie liczyć strojów sportowych. Nikt nie trzymał dyni ani cukierków. W przeszklonej chłodziarce stały piwa, a obok nich leżały grube, czarne, pomarszczone zwoje, jak wynikało z opisu – suszone kiełbaski. Trzy i pół dolara za pęto.

Kupiłem butelkę budweisera i zrezygnowałem z suszonej kiełbasy. Wyszedłem na zewnątrz. Ruszyłem z chrzęstem żwiru w stronę stolika Sheckly'ego.

Na scenie Robert Earle brzdąkał akustyczne intro piosenki. Miranda zaczęła się kołysać. Nie miała gitary, a jej ręce zwisały luźno wzdłuż boków;

palcami stukała lekko w fałdy spódnicy.

Kiedy Sheckly zobaczył, że nadchodzę, mruknął coś do swoich sługusów, którzy zarechotali. Skóra na lewym policzku Sheckly'ego, w miejscu gdzie Allison trafiła go podkową, miała trupio żółty odcień zabarwiony lekko jodyną. Rana była pokryta rzędem beżowych kwadracików, które przypominały plaster.

Mężczyzna siedzący obok Sheckly'ego był niemal równie brzydki, mimo braku widocznych ran. Miał bladą karnację, pomarańczowe włosy i grubą nieinteligentną twarz. Elgin Garwood.

– Dobrze cię widzieć, synu – powiedział Sheck.

Wsunąłem się na ławkę naprzeciwko niego, zajmując miejsce obok jednego z kowbojów.

– Nie spodziewałem się tu pana spotkać – zwróciłem się do Shecka. – Nie zajmuje się pan swoim lokalem?

Rozłożył ręce.

– W niedzielę zawsze robię sobie wolne. Lubię zaglądać do innych klubów, obejrzeć, kto gdzie gra.

Wskazałem na stół, przy którym siedzieli z kamiennymi twarzami ludzie z firmy fonograficznej. Dołączył do nich Milo. Starał się sprawiać wrażenie pewnego siebie, uśmiechał się i wskazywał z dumą na scenę.

– Zwłaszcza kiedy przedstawiciele firmy fonograficznej przychodzą obejrzeć Mirandę – powiedziałem do Shecka. – Milo musi wychodzić z siebie ze strachu, że podejdzie pan do nich i zepsuje wieczór.

Sheck wyszczerzył zęby.

– Nawet mi to przez myśl nie przeszło.

Elgin wpatrywał się we mnie gniewnym wzrokiem.

Uśmiechnąłem się do niego.

– Pozwolili ci zrobić sobie wolne od obserwacji w terenie, Garwood, czy Frank miał po prostu dość twojej błazenady?

Elgin podniósł się bardzo powoli, nie odrywając ode mnie spojrzenia.

– Wstawaj, skurwysynu.

Inni kowboje spojrzeli na Shecka, czekając na wskazówkę. Jeden z będących na służbie zastępców szeryfa hrabstwa Bexar popatrywał w ich stronę spod ogrodzenia.

– Spokojnie, Elgin – stwierdził ospale Sheck. – Idź do środka. Przynies sobie następne piwo.

– Zadzwońię po Jeana – zaproponował Elgin.

Uśmiech nie zniknął z twarzy Shecka, ale oczy lekko mu pociemniały. Płomień opadł trochę głębiej w jego czaszkę.

– To chyba dobry pomysł – przyznałem. – Przynajmniej twoi luksemburscy znajomi to zawodowcy.

Elgin wykonał taki ruch, jakby chciał przejść na moją stronę stołu, ale Sheckly uniósł palce na tyle wysoko, żeby ściągnąć na siebie jego uwagę.

– No już – nakazał mu Sheckly. – Do nikogo nie dzwoń. Idź do środka i kup sobie piwo.

Elgin ponownie na mnie spojrzał, rozważając wszystkie za i przeciw.

– No już – powtórzył Sheckly.

Elgin otarł nos wierzchem dłoni i sobie poszedł.

Sheck popatrywał na pozostałych kowbojów. Komunikacja odbywała się równie sprawnie jak w watasze wilków. Kowboje wstali i odeszli od stolika.

Za moimi plecami nosowy kowbojski głos Roberta Earle'a ustąpił miejsca przenikliwie krystalicznemu głosowi Mirandy. Piosenka składała się tylko z partii głosowej i akustycznego akompaniamentu – właśnie w takiej aranżacji Miranda prezentowała się najkorzystniej. Śpiewała do Roberta Earle'a,

pytając, dlaczego od niej odchodzi.

Sheck słuchał ze wzrokiem utkwionym w Mirandzie, z absolutnym skupieniem na twarzy. Kiedy Robert Earle przejął ponownie pałeczkę, Sheck zamknął oczy.

– Co za dziewczyna. Wiesz, że pamiętam, jak po raz pierwszy do mnie przysłała? To było na jednej z potańcówek w Paintbrush, tych, które w środy urządzamy za darmo dla miejscowych. Powiedziała, że powinienem zajrzeć do Gruene Hall i posłuchać, jak śpiewa. Zatrzepotała rękami nad tymi swoimi brązowymi oczami, a ja pomyślałem: „Czy to naprawdę jest córka starego Willisa? Mała Miranda?”. – Uśmiech trochę bardziej rozjaśnił mu twarz. – Pojechałem do Gruene chyba w następnym weekend, spodziewając się usłyszeć coś w miarę przyzwoitego, tymczasem usłyszałem ten jej głos. Nie sposób o nim zapomnieć, prawda?

– Chyba że on chce zapomnieć o tobie.

Uśmiech nie zniknął ani odrobinę z twarzy Shecka.

– Poczekajmy na ostateczne zakończenie tej sprawy, dobrze, chłopcze?

– Nie sądzi pan, że Century Records poważnie zastanawia się nad podpisaniem z nią kontraktu?

Jego wzrok podążył za moim w stronę stolika z przedstawicielami firmy fonograficznej. Sheck zachichotał.

– Naprawdę myślisz, że to o czymkolwiek świadczy? Nie sądzisz, że wyparują stąd szybciej niż benzyna, kiedy dowiedzą się o zniknięciu Lesa Saint-Pierre'a? Kiedy dowiedzą się o moim kontrakcie?

– Dlaczego w takim razie pan z tym czeka?

Sheck rozłożył ręce.

– Wszystko w swoim czasie, chłopcze. Pozwólmy Mirandzie, żeby sama poszła po rozum do głowy. Z przebiegu rozmowy, którą prowadziliśmy kilka

dni temu, zanim ta wariatka Saint-Pierre dostała ataku szału i się na mnie rzuciła, wynikało, że Miranda zaczyna się orientować w sytuacji. Wie, że Les Saint-Pierre zostawił ją na lodzie. Teraz chce się zabezpieczyć.

Duet Mirandy i Roberta Earle'a dobiegł końca. Rozległy się gwizdy i okrzyki. Kiedy Robert Earle zobaczył reakcję widowni, przez jego twarz przebiegł chytry uśmieszek. Zaraz potem nachylił się do mikrofonu i zaproponował, że jeszcze raz podejda z Mirandą do *Spopielonej miłości*. Miranda się roześmiała. Kilka par z parkietu krzyknęło z aprobatą.

– Co rozumiesz przez zabezpieczanie się? – zapytałem Shecka.

Rozłożył ręce.

– To nic wstydliwego, chłopcze. Nie obwiniaj jej. Dziewczyna po prostu przypomniała mi o propozycji, którą złożyłem jej kilka miesięcy temu. Zapytała, czy nadal istnieje możliwość, aby wprowadziła się do mojej posiadłości.

– To ona pana o to poprosiła?

– Jasne. Odpowiedziałem, że to może być dobry pomysł, jako że... – W jego oczach znów pojawiło się zamyślenie; coś zapłonęło w nich jak świeczka w piecyku gazowym przysłonięta obłokami pary. – Może po prostu będzie jej lepiej pod moją opieką, zważywszy na to, że Les Saint-Pierre wciągnął ją w takie bagno, naopowiadał Mirandzie, Brentowi i Willisowi tych wszystkich głupot o tym, jak wysoko dziewczyna może zajść.

– Głupoty o tym, jak zepchnąć pana na boczny tor.

Sheck skinął głową.

– O tym też.

Upiłem łyk budweisera. Szyjka butelki śmierdziała kiełbasą.

Spopielona miłość nabrała tempa. Zespół Roberta Earle'a zapewniał wokalistom niezły podkład kontrabasem, perkusją i ciężką gitarą rytmiczną.

Przy pierwszym refrenie Miranda rozkręciła się na dobre – jej głos podniósł się o pół oktawy i jakiś milion decybeli, osiągając energetyczność, jaką pamiętałem z Cactus Cafe. Zamknęła oczy, jedną rękę oparła na mikrofonie, a drugą chwyciła się za bok. Rozpromieniony Robert Earle lekko się cofnął. Grał na gitarze i powiedział bezgłośnie: „Łał”. Słuchacze, którzy od jakiegoś czasu ściągali coraz liczniej na parkiet, zareagowali podobnie.

Rozmowa nie miała chwilowo sensu – nie z powodu hałasu, ale ponieważ nie sposób było nie słuchać Mirandy.

Nawet mi to pasowało. Nie byłem pewien, co powiedzieć Sheckowi, co myśleć. Wpatrywałem się w kobietę na scenie, myślałem o nocy sprzed miliona lat, o nocy w wiktoriańskim budynku na West Ashby – w pokoju gościnnym, który pachniał stokrotkami i freonem, w którym stało małe chłodne łóżko, i w tym to łóżku leżało ciało, które z ledwością potrafiłem sobie przypomnieć. To, co potrafiłem wydobyć z pamięci, było bardziej ulotne od posmaku, jaki zostaje w ustach po wacie cukrowej.

W końcu piosenka dobiegła końca. Rozległy się głośnie i entuzjastyczne oklaski. Milo Chavez, siedzący przy stoliku z sączącymi szprycer przedstawicielami Century Records, sprawiał wrażenie pewnego siebie, zadowolonego. Udało mu się nawet sprowokować jednego z przedstawicieli do lekkiego uśmiechu.

Spojrzałem na Sheckly'ego.

– Zaoferował mi pan kiedyś, że może ze mną szczerze porozmawiać. Chciałbym się zrewanżować. Samuel Barrera sądzi, że jest pan tak samo zepsuty jak pańscy przyjaciele z Europy. A kiedy dobierze im się do skóry, pan oberwie równie mocno.

Uniósł spokojnie brwi.

– Co przez to rozumiesz, chłopcze?

– Wątpię, żeby był pan mordercą, panie Sheckly. Wątpię, aby zabicie Julie i Alexa było pańskim pomysłem. Myślę, że jest pan drobnym graczem na czarnym rynku, ale przez nieuwagę sprawy wymknęły się panu spod kontroli. Pozwolił pan, żeby chciwi zawodowcy przejęli pańską operację i rozkręcili ją ponad wszelką miarę. Co pana zaczęło przerażać. To są zawodnicy z innej ligi, a pańscy ludzie zaczynają się denerwować. Myślę, że za rok Jean Kraus będzie zajmował pański gabinet i o wszystkim decydował. Albo już go tu dawno nie będzie, a panu zostawi na głowie wielkie szambo, jakie powstanie w miejscu, gdzie znajdowało się hrabstwo Avalon. Naprawdę uważa pan, że gdyby pańscy przyjaciele doszli do wniosku, że Miranda przysporzyła im choćby odrobiny obecnych kłopotów, byłby pan w stanie ochronić ją przed konsekwencjami?

Na scenie Robert Earle i Miranda ponownie zwolnili tempo. Keen zaczął śpiewać piosenkę Brenta *Taniec wdowca*, którą musiał oczywiście doskonale znać. Tyle że w jego wykonaniu doprawiona odrobiną czarnego humoru tragedia wydawała się odrealniona. W jego ustach piosenka zamieniła się w jedną z niezliczonych przyśpiewek country spod znaku: „Mama mi zmarła, mój pies poszedł do pierdła”. Nie podobała mi się ta interpretacja.

Przy barze przyjaciele Sheckly’ego połączyli siły z kilkoma nowymi rekrutami i wyczekiwali niecierpliwie na jakikolwiek sygnał, że mają wkroczyć do akcji.

Sheckowi pociemniała twarz. Nie patrzył na mnie, kiedy mówiłem. Ponownie skupił wzrok na Mirandzie, choć tym razem nie czerpał z tego przyjemności. Podniósł rękę i przesunął palcami po skraju plastrów na policzku. Kiedy w końcu się odezwał, jego głos był w wymuszony sposób łagodny i całkowicie nieznoszący sprzeciwu.

– Nie igraj z ogniem, chłopcze. Rozumiesz?

To nie była groźba. W jego wykonaniu było to coś w rodzaju szczerzej rady. Był to również bezsprzeczny sygnał, że rozmowa dobiegła końca.

Po moim odejściu kumple Tildena Sheckly'ego obsiedli z powrotem jego stolik. Próbowali za wszelką cenę odbudować wcześniejszą żartobliwą atmosferę – otwierali piwa, zapalali papierosy, obmawiali mnie podniesionymi głosami. Ich szef uśmiechał się lodowato ze wzrokiem utkwionym w jakimś nieokreślonym punkcie, jakby większa część jego umysłu zdążyła się już odmeldować z reszty wieczoru.

Robert Earle i Miranda śpiewali unisono. Pary tańczyły wolno na parkiecie. Milo zabawiał grube ryby z Nashville opowiastkami i nowymi kolejkami szprycerów.

Wychodząc, skinąłem uprzejmie do zastępcy szeryfa hrabstwa Bexar. Mój urodzinowy budweiser był pusty. Jeszcze dwadzieścia dziewięć i będzie na zero.



W czasie przerwy stałem przed wejściem do baru, obserwując światła samochodów przejeżdżających od czasu do czasu drogą. Tilden Sheckly i jego kumple odjechali dużo wcześniej. Pojawiło się około pięćdziesięciu nowych gości; wielu sprawiało wrażenie podekscytowanych, kiedy słyszeli od biletera, że na scenie pojawiła się Miranda Daniels. Nikt nie wyglądał na szczególnie podekscytowanego na mój widok. Nikt nie poprosił mnie o autograf.

Kilka minut po rozpoczęciu przerwy zabrzmiała muzyka z taśmy; w drzwiach pojawiła się Miranda. Podążał za nią zastęp uśmiechniętych kowbojów. Dziękowała im i cierpliwie odrzucała propozycje drinków, aż w końcu wszyscy się rozeszli. Dopiero wtedy zbliżyła się do mnie uśmiechnięta i objęła mnie ramieniem.

Nie zamieniając ani słowa, ruszyliśmy w dół pagórka, w stronę mostu na Helotes Creek. Po przejściu stu metrów otoczyła nas noc. Niebo było wciąż zaciągnięte chmurami, ale odbijające się w nich na południu światła miasta tworzyły przyblakły poblask. Zatrzymaliśmy się na moście.

Miranda podeszła do metalowej balustrady i oparła się o nią. Stałem obok. Znajdowaliśmy się mniej więcej na poziomie czubków jadalozynów, które porastały wyschnięte koryto strumienia. Widoczność była mocno ograniczona, ale wyczuwało się zapach dzikiej mięty i anyżu, który wypełnił powietrze podczas ciepłego dnia.

- Miło twierdzi, że dobrze wypadłam. – Miranda zadumała się.
- Wypadłaś znakomicie.

Nie musiała się specjalnie przysuwać, aby przycisnąć swoje ramię do mojego.

– On cię nie akceptuje, prawda?

– Robert Earle Keen?

Trąciła mnie żartobliwie.

– Milo. Wydawało mi się, że to twój przyjaciel.

– Niepokoi się o twój kontrakt. Wiele od tego zależy, a Milo się obawia, że Sheckly pozbawi cię tej szansy. Jest niezadowolony, że nie znalazłem sposobu, żeby zmusić Shecka do ustąpienia.

Przesunęła dłonią po balustradzie, aż dojechała do mojej.

– Chodzi o coś jeszcze, prawda?

– Tak. Kiedy ostatni raz współpracowaliśmy z Milem... poszło o kobietę. Musiały minąć trzy albo cztery lata, zanim się potem do siebie odezwaliśmy. Prawdopodobnie obawia się, że ponownie tracę głowę dla kogoś, na którym losie mu zależy.

– A tracisz? – Jej głos miał ciepłą, zachrypniętą barwę.

Wpatrywałem się w jadłoszyny.

– Powinniśmy pewnie o tym porozmawiać. Powinniśmy porozmawiać o tym, dlaczego uznałaś, że to będzie użyteczne.

Nie sposób było zobaczyć jej twarz w takich ciemnościach. Jedynymi wskazówkami były milczenie oraz nagłe zniknięcie dłoni i ramienia.

– Co? – zapytała.

– Powiedziałaś to w piątek w nocy... Wygląda na to, że zabrałaś się dla towarzystwa. Wszyscy starają się otaczać cię opieką, ponieważ są pewni, że inni zaważą sprawę. A ty dość dobrze utrwalasz tę zależność. Daleko dzięki niej zaszłaś.

– Ja nie... – Głos jej się załamał. Wydawał się przytłumiony, nadal lekko

żartobliwy, jakby przekroczyła jakąś granicę we flircie i zaczynała sobie powoli uświadamiać, że osoba krzycząca: „Przestań!” naprawdę ma to na myśli. – Chyba nie podoba mi się pański ton, panie Navarre.

– Co zabawne, wcale cię za to nie winię – powiedziałem. – Chciałbym, żeby ci się udało. Miałaś dość popieprzone życie rodzinne i zrobiłaś wszystko, co mogłaś, żeby do czegoś dojść. Znalazłaś sposób, żeby zapanować nad tatą. Nakłoniłaś Sheckly’ego, żeby stał się twoim chorążym. Urobiłaś brata, żeby sprzedał ci swoje piosenki. Kiedy patronat Shecka zaczął cię ograniczać, wyciągnęłaś z Cama Comptona informacje, które pomogły ci się od niego uwolnić, a potem nakłoniłaś Lesa Saint-Pierre’a do posłużenia się szantażykiem. Kiedy sprawy przybrały groźny obrót, uznałaś, że przydałoby się owinąć mnie sobie wokół palca, dlatego podarowałaś mi piątkową noc. Teraz zaczęłaś powątpiewać w swoje szanse z Century Records, dlatego asekurujesz się, odnawiając relacje z Sheckiem. Wszyscy się ciebie uczepiliśmy, Mirando. Milo. Sheck. Ja. Nawet Allison. Wszyscy uganiamy się za tobą po boisku, jakbyś była piłką, a ty pociągasz zza kulis za sznurki. Gratulacje.

– Nie wierzę, że powiedziałaś to wszystko.

Przesunąłem dłońmi po balustradzie.

– W takim razie powiedz mi, że nie mam racji.

U szczytu wzgórza w ogródku Floore’s zabrzmiała nowa piosenka. Rozpoznałem gitarę basową i przewijającą się partię skrzypiec.

– Myślisz, że byłam z tobą w piątek w nocy tylko dlatego, że... – Urwała i zamilkła. Miałem nieodparte poczucie, że powinienem jakoś zareagować, szybko wycofać się z tego, co powiedziałem.

Oparłem się mu.

Znad strumienia nadleciała bryza. Przyniosła świeżą falę ciepłego

anyżowego powietrza.

– Nie pozwolę, żebyś tak o mnie myślał – nie ustępowała.

Przyłgnęła do mojej klatki piersiowej i wepchnęła mi ręce pod ramiona, oplatając palcami łopatki.

– W ten sposób nie zaprzeczasz – zauważyłem.

Przywarła twarzą do mojej szyi i westchnęła. Obejmowałem ją delikatnie. W gardło drapały mnie drobinki piasku.

Nie jestem pewien, ile czasu minęło, zanim białobrązowy pikap Danielsów minął nas na moście. Niemal bezgłośnie wjechał w Old Bandera, wyhamowując. Zaparkował bokiem na drugiego przed wejściem do Floore's.

Odzyskałem mowę.

– Spodziewałaś się brata?

Miranda się odsunęła. Opuściła ręce, aż zahaczyły o moje. Spojrzała w tę samą stronę co ja, zobaczyła swojego ojca, który pięćdziesiąt metrów dalej wysiadał ze starego forda. Ale zza kierownicy nie wyłonił się bynajmniej Brent, lecz Ben French, perkusista. Obaj mężczyźni weszli do baru.

Gdzieś w głębi mojej piersi zaczęło się formować mocne przeczucie.

– Dlaczego...? – powiedziała Miranda.

Odwróciła się i zaczęła iść w stronę baru; ruszyłem za nią.

Z Willisem, Benem i Milem Chavezem spotkaliśmy się na rogu Old Bandera pod latarnią.

Daniels wyglądał mizernie i staro, nie tylko z powodu wypitego alkoholu – choć niewątpliwie przez to również – ale od gniewu i poczucia wewnętrznej pustki; tego szczególnego oszołomienia, które maluje się na twarzach ludzi, kiedy mija fala rozzalenia i czekają na nadejście kolejnej. Wspierał się na lasce z taką intensywnością, jakby próbował wbić ją w ziemię. Ben French wyglądał równie nędznie. Twarz Milla była ciemna i przepełniona gniewem.

Na kilka kroków przed zrównaniem się z nimi dłoń Mirandy zacisnęła się na mojej.

– Myślałam, że jesteście dziś w Gruene – powiedziała do ojca.

– Mirando... – Głos mu się załamał.

– Dlaczego przyjechaliście pikapem? – dopytywała.

Willis spojrział na dłoń Mirandy w mojej dłoni. Wyglądał na zdezorientowanego, jakby próbował w umyśle wyodrębnić, które palce należą do kogo.

– Navarre – włączył się Milo. Wskazał głową na bar, sugerując, żebym poszedł za nim, zostawiając ojca i córkę samych.

Dłoń Mirandy pozostawała uczepona mojej.

– Co się stało? – Jej głos zabrzmiał surowiej niż kiedykolwiek wcześniej, niecierpliwie.

– Na ranchu wybuchł pożar – wydusił z siebie Willis.

– Pożar – powtórzyła Miranda. Szeptem.

Milo popatrywał na mnie, sugerując, żebyśmy się oddalili.

– Gdzie Brent? – zapytała Miranda, ale jej głos był słaby, wątki.

Przez kilka długich sekund nie padała odpowiedź. Miranda próbowała ponowić pytanie, ale tym razem jej głos rozpadł się na odpryski dźwięków.

Willis Daniels spojrział na swoją laskę, zobaczył, że nie wbił jej całkowicie w ziemię, po czym otarł nos z pełną zmęczenia rezygnacją.

– Lepiej pojedź z przyjaciółmi – zasugerował Willis.

Odwrócił się i ruszył z powrotem do pikapa, podtrzymywany za ramię przez Bena Frencha.



Stara stodoła na traktory rozpadła się niczym zwęglona skorupka jajka.

Nadal widać było głębokie ślady po wozie strażackim w żwirze i błocie, zniszczony płot, który pojazd musiał staranować, żeby się dostać za dom. Teraz na miejscu pozostały trzy jednostki straży pożarnej hrabstwa Avalon. Światła na dachach jej wozów obracały się leniwie, omiatając czerwonymi łukami gałęzie sędziwego dębu. Samochód lekarza sądowego stał bliżej bocznej ściany domu, zaparkowany na ukos w miejscu, gdzie w czasie przyjęcia rzucono podkową.

Na tyłach domu zawodził generator, produkując energię dla reflektorów, które rozświetlały osmalone resztki mieszkania Brenta. Zapach mokrego popiołu mdlił nawet z odległości dziesięciu metrów.

Miranda i jej ojciec stali na tylnej werandzie, rozmawiając z ubranym po cywilnemu oficerem śledczym. Twarz Mirandy była blada, jej spojrzenie nieobecne. Co kilka sekund kręciła głową bez specjalnego powodu. Jej pomarańczowo-biała bluzka wybrzuszyła się po lewej stronie nad spódnicą i pomięta niczym balon zmrożony suchym lodem.

Patrzyłem na to, co pozostało z przedniej ściany mieszkania Brenta Daniela. W środku zalane przez strażaków wodą popioły tworzyły gęstą, lśniącą powierzchnię o kształcie przypominającym niemalże dokładnie miskę. Z osadu wystawały lampy i inne przedmioty – kawałki drewna, które jakimś cudem się nie spaliły, mimo że znajdowały się obok wielkich kałuż stopionego metalu.

Południowa ściana, ta po mojej prawej stronie, wznosiła się nadal niemal na pierwotną wysokość. Większość drewnianych elementów pokryła się bąblami i poczerniała, ale jedna z szafek wiszących na ścianie otworzyła się już po ugaszeniu ognia, odsłaniając znajdujący się w środku zestaw naczyń zachowanych w idealnym stanie. Wnętrze szafki było różowe. Fotografia matki Brenta Danielsa ocalała.

Požary odznaczają się wrednym poczuciem humoru.

Jay Griffin, lekarz sądowy hrabstwa Avalon, oznaczył miejsce, gdzie znajdowało się wcześniej łóżko Brenta, miejsce, gdzie spałem tego samego dnia po południu. Jay i dwóch innych mężczyzn w białych rękawiczkach przeszukiwało popiół za pomocą czegoś, co przypominało plastikowe linijki.

Milo podszedł do mnie od tyłu. Wracał z szopy na narzędzia, gdzie wypytywał jednego z zastępców szeryfa.

– Słyszałeś?

Skinąłem głową. Słyszałem. Zaryglowane drzwi – od zewnątrz. Wyraźne ślady podpalenia na zewnętrznych ścianach, w miejscach gdzie wcześniej znajdowały się okna. Jedna ofiara leżąca na łóżku polowym. Brak oznak, żeby próbowała się wydostać. Lekarz sądowy będzie musiał ustalić tożsamość głównie na podstawie kości. Może zapisów dentystycznych. Trzeba się mocno napracować, żeby spalić ludzkie ciało. Ktoś zadał sobie w tym celu sporo trudu.

Spojrzałem na rozciągające się dalej pola, nienaturalnie rozświetlone przez reflektory. Przypomniały mi się wieczorne rozgrywki na stadionie w szkole średniej. Wszystkie cienie były długie i powyginane.

Z kurczaków w zagrodzie pozostały małe, czerwone, pierzaste kulki – zginęły od gorąca. Plecione siedzenia i oparcia leżaków obwisły i się stopiły.

Dalej dwa zardzewiałe, upańkane ziemią szamba stały oparte o szopę.

Nowe najwyraźniej zakopano w odpowiednich miejscach. Miały gromadzić brudną wodę do podlewania ogrodu, zapewniać sprawne funkcjonowanie toalet na ranczu. Nie miałem wątpliwości, że Brentowi Danielsowi – autorowi większości piosenek Mirandy, które w niedługim czasie miały się stać przebojami – wielką ulgę przyniosłaby świadomość, że ostatnie popołudnie swojego życia poświęcił na zasypywanie rowów z rurami kanalizacyjnymi.

– Śledztwo będzie się toczyło krok po kroku – mówił Milo. – Pożar zostanie pewnie uznany za wypadek. Albo może samobójstwo.

Na werandzie Willis Daniels przytakiwał z ponurą miną czemuś, co mówił oficer śledczy. Miranda zwinęła dłonie w pięści i przyciskała mocno do oczu.

– Niemożliwe – powiedziałem.

Już wcześniej podzieliłem się z Milem najnowszymi ustaleniami. Nie zdziwiły go zupełnie informacje, jakie przekazał mi Sam Barrera; nie zdziwił się, że władze nie wkroczą na tyle szybko, aby uratować kontrakt z firmą fonograficzną. Przepełniała go tylko gorycz, że Lesowi nie udało się wcielić w życie planu zaszantażowania Shecka. Nie wspomniałem mu jedynie o mojej rozmowie z Mirandą.

Milo odwrócił stopą nadpaloną deskę, odsłaniając niepoczerniałą stronę.

– Jeden cholerny podpis. Żeby coś działać, potrzebujemy jednego cholernego podpisu. Nawet nie dowodu, że kontrakt Shecka jest sfałszowany. Wystarczyłoby zrzeczenie się. Musimy sami coś zrobić, Navarre. W piątek...

– Nadal myślisz o swoim terminie. Po tym wszystkim.

– Dajże spokój, Navarre. Jeżeli Century się dowie...

Odkopnąłem deskę. Przetoczyła się po mokrej trawie.

– Prawdopodobnie okaże się to korzystne z wizerunkowego punktu widzenia. Powinieneś się cieszyć, Milo. Nie będziesz musiał wypłacać

Brentowi dwudziestu pięciu procent za prawa autorskie do piosenek.

– Żeby cię cholera wzięła, Navarre.

Ale ja już się oddalałem. W przeciwnym razie musiałbym mu przyłożyć, a nie byłem odpowiednio wściekły, pijany ani głupi, żeby się na to porywać. Jeszcze nie.

Nie patrzyłem, dokąd idę.

Przepchnąłem się obok kilku dziennikarzy prasowych próbujących przeprowadzić wywiad z zastępcą kapitana. W połowie drogi na werandę wpadłem na przysadzistego oficera śledczego w cywilnym ubraniu, który pomagał technikowi zbierającemu dowody ustawić statyw aparatu fotograficznego.

Zanim zdążyłem przeprosić, zastępca szeryfa Frank odwrócił się i kazał mi patrzeć pod nogi.

Jakiegolwiek nieprzyjemne komentarze zamierzał z siebie wyrzucić, uwieźły mu w gardle, kiedy mnie rozpoznał.

– Potrzymasz to, Frank? – zapytał go technik.

Frank spojrzał mi w oczy. W jego spojrzeniu zobaczyłem nadmiar informacji, nadmiar pytań wymieszanych w niezrozumiałą masę. Biały szum. Jego twarz przedstawiała wizualny odpowiednik podniesienia słuchawki i usłyszenia pisków i świstów modemu.

Spojrzał przez ramię.

– Tak. Jasne.

Odwrócił się i pomógł technikowi unieść statyw.

Pokonałem kilka kroków dzielących mnie od werandy.

Willis zadał właśnie cichym głosem jakieś pytanie i oficer śledczy zaczął odpowiadać na nie równie spokojnym, łagodnym tonem. Jego czarne włosy były przylizane w łuk i zachodziły mu niemal na oczy; przypominały krucze

skrzydło przyklejone do czoła.

– Nie wiemy – mówił. – Prawdopodobnie nie będziemy tego wiedzieć... przynajmniej przez jakiś czas. Przykro mi.

Willis chciał coś dodać, ale zrezygnował. Wpatrywał się w pomalowane na niebiesko deski podłogowe. Wyglądał, jakby schudł dziesięć kilo – większość stracił z twarzy. Skóra wokół oczu przybrała nienaturalnie szary odcień, a zmarszczki, które biegły od skrajów nosa do wąsów i brody, stały się tak głębokie, że jego twarz wyglądała na wyżłobioną.

Na mój widok przepełniająca go żalność ustąpiła miejsca czemuś poważniejszemu, żywszemu.

Podszedłem do Mirandy, która siedziała na balustradzie. Obejmowała się rękami. Jej starannie ułożone loki zamieniły się w zwykłą płataninę włosów, a perfekcyjny makijaż przygotowany na występ całkowicie się rozmył.

Nie zapytałem, jak się czuje.

Moją obecność przyjęła do wiadomości jedynie za pomocą delikatnej zmiany w oddechu – drżącego wdechu i długiego wydechu. Próbowwała rozluźnić ramiona. Oczy jej się zamknęły.

Oficer śledczy zadał Willisowi jeszcze kilka pytań. Kiedy tego wieczoru opuścił Gruene Hall? Czy był pewien, że Brent zamierzał spędzić cały wieczór w domu? Czy Brent miał ostatnio jakichś nietypowych gości? Czy Brent był z kimś w związku? A może ostatnio zerwał jakąś znajomość?

Po tym ostatnim pytaniu Miranda otworzyła oczy i zerknęła na mnie. Od godziny próbowała odzyskać nad sobą panowanie i widać było, że coraz lepiej jej to idzie.

Willis nie słuchał pytań. Patrzył na mnie i zapłakaną Mirandę. Starłem się za wszelką cenę nie brać do siebie spojrzenia, jakim staruszek przeszywał moją twarz.

– Chcesz stąd pójść? – zapytałem cicho Mirandę, a potem zwróciłem się do oficera śledczego: – Możemy iść?

Oficer śledczy zmarszczył brwi. Uniósł krucze skrzydło z czoła i pozwolił mu z powrotem opaść. Oświadczył, że chyba nic się nie stanie, jeśli odejdziemy.

Miranda stopniowo zebrała siły, aby wstać. Odzyskała równowagę, chwytając się poręczy.

– Dobrze – szepnęła. – Nie potrafię...

Spojrzała na szerniąłą stodołę, na reflektory. Wyglądało na to, że nie zdoła dokończyć myśli.

– Wiem – powiedziałem. – Chodźmy.

– Nigdzie się, do cholery, nie ruszycie.

Słowa Willisa Daniela zaskoczyły nawet oficera z wydziału zabójstw. Chodziło nie tyle o donośność, ile o zjadliwy ton, o nagłość, z jaką staruszek ruszył w moją stronę.

– To ty go zabiłeś, skurwysynu. – Wycelował laską w moje palce u nóg, gotowy je roztrzaskać. – W jakiś sposób się do tego przyczyniłeś, prawda? Rozjątrzyłeś jakąś ranę.

Miranda schowała się za moimi plecami. W jej ruchu nie było zawahania, żadnej niepewności. Niewątpliwie było to zachowanie, które już od dawna stało się dla niej instynktowne.

Oficer śledczy wodził między nami spojrzeniem, wyraźnie zainteresowany.

– Możesz to wyjaśnić?

Willis wpatrywał się z wściekłością w moje stopy.

Śledczy patrzył mi w oczy.

Podąłem wyjaśnienie. Opowiedziałem o pewnych sprawach, które

przydarzyły się Mirandzie, od kiedy zaczęło się nią interesować Century Records. Powiedziałem, że zostałem wynajęty do wyjaśnienia tych spraw i że o ile mi wiadomo, nie istniał absolutnie żaden powód, aby Brent Daniels stał się celem ataku. Podałem oficerowi moje nazwisko, numer telefonu i adres, po czym zapewniłem, że oczywiście z największą przyjemnością udzielię dodatkowych wyjaśnień.

– Ale teraz – zakończyłem – zamierzam zabrać stąd Mirandę.

Oficer spojrział na Mirandę, potem na mnie. Jego spojrzenie lekko złagodniało. Powiedział, że się zgadza.

– Tu jest jej dom – warknął Willis.

Zrobiłem krok w stronę staruszka i chwyciłem za koniec laski, którą na mnie podniósł. Napięcie wzdłuż drzewca rozkładało się nierówno – jego chwyt był słaby. Niewielkim nakładem siły mógłbym mu odebrać laskę albo ją odepchnąć. Cokolwiek bym zechciał.

– Tres... – powiedziała Miranda.

Jej palce wpiły się w moje ramię z zaskakującą siłą.

Odepchnąłem lekko czubek laski.

– Proszę dzwonić o każdej porze – powiedziałem do oficera.

Wyraźnie musiałem mu się co chwilę jawić w nowym świetle, jakbym był remisowym meczem, który się jeszcze nie zakończył. Dogrywką prowadzoną zgodnie z zasadą nagłej śmierci.

– Tak zrobię – obiecał.

Palce Mirandy rozluźniły uścisk.

Kiedy schodziłem po stopniach, trzymając Mirandę za rękę, Milo Chavez kłócił się z jednym z dziennikarzy – mówił coś o poszanowaniu prywatności rodziny. Nie potrafiłem określić, czy opowiadał się za nią, czy przeciwko niej. Zastępca szeryfa Frank nadal na mnie patrzył, wysyłając oczami w moją

stronę biały szum. Jay Griffin, lekarz sądowy, uniósł coś długiego, czarnego i cienkiego ze zwęglonych resztek stodoły i zaczął to obracać w dłoniach. W świetle reflektorów przedramię wyglądało surrealistycznie, jak kawałek czarnej, glazurowanej ceramiki, a nie coś, co stanowiło wcześniej część ludzkiego ciała.



Następnego ranka na całej długości General McMullen Road ustawili się handlarze oferujący przedmioty dla zmarłych. Parking otynkowanego na pomarańczowo budynku wypełniały poobijane pikapy i ciężarówki, wszystkie udekorowane wieńcami, krzyżami z niebieskich jedwabnych kwiatków, obrazkami przedstawiającymi Jezusa i pustymi ramkami z kwiatów, w których miały zostać umieszczone zdjęcia ukochanych osób. Na parkingu rozstawiono stoły z jedzeniem: z *pan muerte*, chlebem zmarłych, świeżymi tamalami, tortillami, czarnymi ciastkami w kształcie kotów, dyń i czaszek.

Dia de los Muertos wypadał następnego dnia. Tego dnia były Zaduszki, czyli rozgrzewka przed właściwym świętem. W przeciwnym razie po skręceniu na cmentarz San Fernando zostalibyśmy całkowicie pochłonięci przez morze samochodów.

Niemniej kolisty labirynt jednokierunkowych alejek bynajmniej nie świecił pustkami. Wszędzie na cmentarzu ludzie wyładowywali towar z samochodów – pudełka po kawie z nagietkami, koszyki piknikowe, wszystko, czego tylko mogli potrzebować ich *antepasados*. Starsi mężczyźni uzbrojeni w rydle wycinali chwasty z marmurowych tablic albo wykopywali otwory na nowe rośliny. Mniej więcej połowa grobów była już przystrojona; kilka do tego stopnia tonęło w kwiatach, że przypominały śmietniki na zapleczu kwiaciarni.

Mniej konwencjonalne groby zostały przykryte sztucznymi pajęczynami, kwiatami posadzonymi w wydrążonych dyniach, duszkami z materiału

przywieszonymi na sznurkach na płytach nagrobkowych. Na innych łopotały kokardy oraz kręciły się wiatraki w kształcie kwiatów i flamingów.

– Dobry Boże – powiedziała Miranda.

Miała na sobie dzinsy, wysokie buty i wielki T-shirt z logo filii Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, pożyczony z mojej szafy. Włosy upięła z tyłu głowy kłamrą. Twarz, z której zmyła resztki makijażu, wyglądała blado i młodziej niż zwykle. Zdecydowanie nie doszła jeszcze do siebie – mniej więcej co godzinę dłonie zaczynały jej ponownie drżeć albo dostawała nagle ataku płaczu, niemniej w pozostałym czasie wydawała się zadziwiająco opanowana. Posłała mi nawet słaby uśmiech, kiedy przyniosłem jej *huevos rancheros* na śniadanie na futonie. A może rozbawiło ją to, jak wyglądałem po nocy spędzonej na podłodze wraz z kotem. Nie zdradziła, o co chodziło.

Objechaliśmy wielką stertę głazów, na której szczycie stał naturalnych rozmiarów kamienny krucyfik. Dokładnie pod stopami Jezusa drzemał brązowy kundel. Dojechaliśmy do tylnej części cmentarza, po czym zawróciliśmy.

Szukałem brunatnego cadillaca.

W końcu go wypatrzyłem.

Ralph Arguello stał dwadzieścia metrów od krawężnika, nad swoją matką, wielką kobietą w brązowej, workowatej sukni, która klęczała przy jednym z grobów i sadyła nagietki. Ralpha nietrudno było wypatrzeć. Miał na sobie swój ulubiony strój – wielką guayabere, dzinsy i czarne buty. Rękojeść jego trzystapięćdziesiątkisiódemki wybrzuszała bok oliwkowej koszuli, która bardziej odkrywała, niż zakrywała broń. Trzymał w ręku pęk srebrnych balonów ozdobionych obrazkami pociągów i samochodów.

Zaparkowałem za cadillakiem. Miranda spojrzała w tę samą stronę, co ja.

– To jest ten twój przyjaciel?

– Chodźmy.

Przeszliśmy między płytami nagrobnymi – w większości płaskimi tablicami z szarego granitu, w którym idealnie odbijało się niebo. Na płytach umieszczono napisy w trzech językach – po łacinie, hiszpańsku i angielsku. W tym miejscu dekoracje na grobach wyglądały nieco inaczej – coś między starożytnym azteckim stylem a współczesnym Wal-Martem.

Ralph odwrócił się, kiedy podeszliśmy bliżej. Jego grube okrągłe okulary wyglądały tak, jakby wycięto je z tego samego materiału, co balony i płyty nagrobne.

Trudno było powiedzieć, czy patrzył na Mirandę, czy nie.

– *Vato* – powitał mnie.

Skinąłem głową.

Staliśmy chwilę w milczeniu, czekając, aż mama Arguello skończy odmawiać różaniec nad grobem.

W pierwszej chwili nie zorientowałem się, gdzie jesteśmy – w jakiej części cmentarza.

Dopiero potem zauważyłem, jak blisko siebie znajdują się poszczególne nagrobki, że przejścia między nimi nie mają więcej niż pół metra szerokości. Ciągnęły się tak rząd za rzędem na obszarze dobrego akra. W pobliżu stał kolejny marmurowy Jezus, tym razem otoczony dziećmi. Napis po hiszpańsku głosił: „Męczeństwo dzieci”.

Rozstawione na grobach dekoracje były obsypane cukierkami, zabawkami i wiankami w kształcie jagniątek. Mama Arguello skończyła modlitwę, po czym odebrała od Ralpha pęk balonów i przywiązała je do kijka wbitego w trawę. Na płycie widniał napis: „Jose Domingo Arguello, ur. 8 sier. 1960, zm. 8 sier. 1960. *In recuerdo*”.

Na kijku znajdowały się postrzępione resztki sznurków z balonów przywiązywanych tam w poprzednich latach – niebieskie dziecięce kokardki, niektóre prawdopodobnie sprzed ponad dziesięciu lat.

Mama Arguello uśmiechnęła się i mnie objęła. Pachniała nagietkami – był to ostry zapach przypominający woń pudełka z biżuterią, które zakopano w ziemi sto lat wcześniej. W następnej kolejności mama Arguello wyściskała Mirandę i powiedziała do niej po hiszpańsku, że cieszy się, że udało nam się przyjechać.

Nie miało w ogóle znaczenia, że mama Arguello nie znała Mirandy. Mama A. przestała się przejmować tego rodzaju rzeczami mniej więcej w tym samym czasie, kiedy przestała widzieć. Okulary, zapewniał mnie Ralph, nosiła tylko na pokaz. Z okularami czy bez, świat mamy Arguello dawno temu zamienił się w serię rozmazanych obrazów i plam świetlnych. Obecnie składał się głównie z zapachów i dźwięków.

– Chodź ze mną – powiedziała do Mirandy i wbiła swoje pulchne brązowe palce w ramię dziewczyny. – Napijemy się herbaty.

Miranda spojrzała niepewnie w moją stronę, potem na Ralpha. Szeroki uśmiech Ralpha nie mógł podziałać na nią bardziej uspokajająco. Starsza kobieta poprowadziła Mirandę w stronę cadillaca, gdzie zaczęła jej wkładać do rąk kolejne przedmioty – termos, kosz piknikowy, dwie doniczki z kwiatami i duży wieniec.

Ralph zaśmiał się cicho. Kiedy opuścił wzrok na płytę nagrobka, uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

– Mój starszy braciszek – wyjaśnił.

Skinąłem głową. Jose Domingo. Imię starszego człowieka.

Ciekawe, ile godzin przeżył Jose i co sobie tam w niebie myślał o trzydziestu kilku latach prezentów dla niemowląt i baloników, które

przynoszono mu na grób.

– Leży tu jeszcze ktoś z twojej rodziny? – zapytał Ralph.

On machnął ręką w stronę wschodu, jakby pokazywał swoją posiadłość.

– Zajmuje nam to z mamą dwa dni. Zaczynamy tu i ruszamy dokoła. Yvette leży tam. Jemy z nią dziś lunch.

Yvette. Matka Kelly Arguello. Wymieniliśmy z Ralphem spojrzenia, ale nie musiał nawet mówić, co myśli o nieobecności siostrzenicy na cmentarzu.

Patrzył, jak Miranda próbuje utrzymać w rękach wszystkie *ofrendas*, które podawała jej mama Arguello. Mama wydawała jej polecenia po hiszpańsku i opowiadała historie, których dziewczyna nie mogła zrozumieć.

Miranda zaczęła się uśmiechać. Początkowo był to uśmiech wymuszony, pełen żalu. Ale potem mama wyjaśniła jej, dla kogo przeznaczona jest pewna butelka whisky, dla prawdziwego *cabrón*, i Miranda roześmiała się wbrew samej sobie, o mało nie rozsypując ciastek z talerza, który próbowała utrzymać na zgiętej ręce.

– *Chica* wpadła w jakieś tarapaty? – zapytał Ralph.

– Nie wiem. Ale bardzo możliwe.

Opowiedziałem mu o wszystkim, co się wydarzyło. Ralph pokręcił głową.

– *Pinche* buraki. *Pinche* Chavez. Jakoś go tu dziś nie widać.

– Pomożesz, Ralphas?

Ralph spojrział na nagrobek brata, pochylił się i wyrwał kępkę palusznika, która wyrosła przy krawędzi płyty. Nie patrząc, cisnął ją za siebie. Trawa wylądowała na jednym z opuszczonych grobów.

– Dziewczyna jest dla ciebie ważna?

Zawahałem się, próbując sformułować odpowiedź, ale Ralph zdążył już wyciągnąć rękę.

– Zapomnij, że o to w ogóle pytałem, *vato*. Jak długo się znamy, co?

Gdyby takie pytanie zadał ktoś inny, zabrzmiałoby irytująco. W ustach Ralph'a w stwierdzeniu tym pobrzmiwała ogromna szczerść, a towarzyszący mu uśmiech wyrażał tak nieskrywane rozbawienie, że nie mogłem się powstrzymać i sam wyszczerzyłem zęby.

– Długo.

– Pewnie, kurwa, że tak.

Miranda wróciła objuczona prezentami dla zmarłych, ale bardziej rozluźniona i jakby niepewnie uśmiechnięta. Szła za mamą Arguello, która prowadziła ją do grobu kolejnego krewnego. Miranda obejrzała się na mnie i zapytała:

– Idziecie?

Poszliśmy odwiedzić Yvette, która leżała jakieś pół akra dalej. Jej nagrobek był postawionym pionowo kawałkiem białego marmuru, grubo ociosanym na krawędziach. Płyta została niemal całkowicie pochłonięta przez wielki krzak ognika szkarłatnego, którego gałęzie zwisały, układając się w kształt ośmiornicy. Każda gałąź ugięła się od czerwonych owoców wielkości śrutu.

Po drugiej stronie alejki powstawał nowy grób. Koparka wydrążyła w trawniku idealny rów o rozmiarach trumny; pusty pojazd stał nad grobem.

Utkwiłem wzrok w koparce.

Miranda pomogła mamie Arguello rozłożyć koc obok grobu i porozstawiać na nim papierowe talerze z cynamonowymi tostami oraz kubki z gorącą herbatą, która pachniała cytryną.

Powiewy chłodnego powietrza porywały unoszącą się nad kubkami parę. Mama postawiła talerz i kubek również na grobie Yvette, po czym zaczęła opowiadać nagrobkowi, że Kelly znakomicie radzi sobie na studiach.

Ralph przysłuchiwał się temu bez słowa.

Miranda kręciła w zdumieniu głową, rozglądając się po cmentarzu i widząc wiele podobnych scen rozgrywających się przy różnych grobach. Po jej policzkach ponownie płynęły łzy.

– Dziś jest lepiej – powiedział jej Ralph. – Jutro... *loco*. Gorzej niż podczas Fiesty.

Miranda potarła się pod okiem oszołomiona.

– Mieszkam od dziecka w San Antonio i nigdy... – Pokręciła głową.

Ralph się uśmiechnął.

– Ale w którym San Antonio?

Kilka metrów od nas jakaś rodzina zaczęła wyładowywać rzeczy z czarnego lincolna town cara. Babcia miała okulary przeciwsłoneczne z bocznymi osłonkami i poruszała się sztywnym krokiem, jakby po raz pierwszy od dłuższego czasu opuściła dom spokojnej starości. Prowadziła ją kobieta z pomarańczowymi i brązowymi kosmykami we włosach, w różowym dresie i z ogromną ilością biżuterii. Za nimi szły dwie nastolatki, każda w drogim dresie, ze skromniejszą wersją fryzury matki i uboższym zestawem biżuterii.

Podeszły do grobu ozdobionego biało-zielonym wieńcem z logo drużyny baseballowej Oakland A's. Na płycie stało oprawione w kwiatową ramkę zdjęcie przedstawiające nastolatka w otwartej trumnie, z atłasową białą twarzą, ubranego w bluzę z logo klubu, z zaczesanymi włosami i wąsikiem narysowanym ołówkiem w taki sposób, aby na jego martwej twarzy malowała się duma. Kibol. Na oko piętnastoletni.

– Ralph ma tu niedaleko wynajęty dom – wyjaśniłem. – Sam z niego kiedyś korzystałem.

Miranda spojrzała poza teren cmentarza na otaczające go podupadłe sklepiki i kolorowe jednoizbowe domy. Łzy nie przestawały jej płynąć.

– Jest bezpieczny?

Ralph zaczął się cicho śmiać.

– Żadna z osób, które znasz, nie zajrzy w tę okolicę – zapewniłem. – O to właśnie chodzi. U Ralpa możesz czuć się bezpiecznie.

Miranda zastanawiała się nad tym przez chwilę, potem spojrzała na mamę Arguello, która wyciągnęła właśnie w jej stronę szklanę z herbatą cytrynową.

– Dobrze – powiedziała. Zaraz potem, jakby zadzwonił jej wewnętrzny timer, kucnęła, schowała głowę między kolanami i zaczęła się trząść.

Mama Arguello się uśmiechnęła, nie mając pojęcia, o czym mówimy, po czym powiedziała do nagrobka Yvette, że miło jest mieć gości i jak świeżo smakuje tego roku *pan muerte*.



Kiedy wróciłem pod numer dziewięćdziesiąty na Queen Anne, na werandzie znalazłem paczkę o rozmiarach dwóch luksferów, owiniętą złotą folią. W liściku napisano: „Będzie wyglądało idealnie na twoim biurku na uniwersytecie. Powodzenia dziś. I wszystkiego najlepszego z okazji urodzin”.

Pismo matki. Ani słowem nie wspomniała o tym, że poprzedniego wieczoru nie przyszedłem na jej halloweenowe przyjęcie, łamane przez „a tak w ogóle to Tres ma dziś urodziny”. W paczce znajdowało się nowe wydanie *The Riverside Chaucer*. Książka za siedemdziesiąt pięć dolarów.

Wniosłem ją do mieszkania.

Przejrzałem niewprawne notatki sporządzone przeze mnie dwa poranki wcześniej na potrzeby próbnych zajęć, które miałem poprowadzić. Po wydarzeniach poprzedniego wieczoru pomysł wydawał się absurdalny, trywialny – a jednocześnie dziwnie kojący. Studenci przyjdą na zajęcia. Profesorowie będą ziewać, popijać kawę, brnąć przez nudne wykłady, a większość z nich nie będzie nawet śmierdzieć pożarem. Nie będą widzieli szerniałych kości za każdym razem, kiedy zamkną oczy. Nie zaczną mimowolnie nucić piosenek niedawno zamordowanych osób.

Z pewnym przerażeniem uświadomiłem sobie, że chciałbym dobrze wypaść.

Robert Johnson spał oczywiście na ubraniu, które planowałem włożyć, musiałem więc wykonać numer z wyciągnięciem obrusa spod filizanek. Robert

Johnson przewrócił się, skoczył na nogi i spiorunował mnie wzrokiem. Przez następnych pięć minut usuwałem za pomocą taśmy klejącej czarne włosy z białej koszuli. Przez kolejnych pięć minut wiązałem krawat, korzystając z pomocy Roberta Johnsona.

Co wydarzyło się później, nie pamiętam.

Zajęcia próbne poszły mi chyba nieźle. Jako temat wybrałem *Complaint of Chaucer to His Purse* i zrobiłem wszystkie najbardziej radykalne rzeczy, jakie zapamiętałem z seminariów magisterskich – podzieliłem studentów na małe grupy, kazałem im czytać poemat na głos, trzymając w powietrzu własne portfele, poprosiłem, żeby napisali współczesną interpretację utworu. Uśmialiśmy się z porównania Chaucera do telemarketera, potem próbowaliśmy znaleźć w średniowiecznym angielskim zwrot, który byłby odpowiednikiem współczesnego „podlizywać się”. Większości studentów udało się nawet nie zasnąć.

Mimo eleganckiego stroju wyglądałem prawdopodobnie, jakbym poprzednią noc spędził na podłodze, a poranek na cmentarzu, ale jakoś nikomu to nie przeszkadzało. Większość studentów wyglądała podobnie.

Profesor Mitchell długo ścisnął mi potem rękę na korytarzu, zapewniając, że bez wątplenia zostanę przyjęty. Inni profesorowie czmychnęli bez słowa. Marszczyli brwi równie intensywnie jak w czasie rozmowy kwalifikacyjnej. Być może przesadziłem, analizując etymologię zwrotu „podlizywać się”.

Wyjeżdżałem z parkingu dla gości uczelni roztrzęsiony i z pustką w głowie. Zdążyłem przejechać połowę I10, mknąc jak wariat sto dziesięć na godzinę, zanim zdałem sobie sprawę, że jestem na autostradzie.

Skreśliłem w pierwszy zjazd, wjechałem na parking przed jakimś sklepem i zgasłem silnik.

Próbowałem zapanować nad łomoczącym sercem. Niespecjalnie mi się to udało.

Na początku nie potrafiłem zidentyfikować tego uczucia – przypominało generator prądu wirujący w moich wnętrznościach. Niepodłączony do niczego, tylko wytwarzający prąd bez wyraźnego celu. Dopiero po kilku minutach stwierdziłem, że jestem w szoku. Przeżyłem coś podobnego rok wcześniej, kiedy zabiłem człowieka. Obudziłem się wtedy po kilku godzinach z identycznym poczuciem – odłączenia, jakby ktoś opuścił moje ciało i zostawił mi samą skorupę. „Na litość boską, chodzi o zwykłe zajęcia na uniwersytecie”, pomyślałem.

Uruchomiłem ponownie silnik. Postanowiłem szukać ukojenia w przyziemnych czynnościach i podjechałem pod pobliską Taco Cabana, gdzie zamówiłem enchilady na wynos.

Kiedy wróciłem pod numer dziewięćdziesiąty na Queen Anne, mój ulubiony samochód stał zaparkowany w widocznym miejscu po drugiej stronie ulicy. Zastępca szeryfa Frank siedział przy opuszczonej szybie w swoim fordzie festiwie i gładził się palcem po wąsach, czytając gazetę.

Jego zamiary byłyby bardziej oczywiste, tylko gdyby zatknął na wycieraczki wielkie żółte łapki – ale tylko trochę.

Zaparkowałem volkswagena dokładnie po przeciwnej stronie drogi. Frank udawał, że nie zwraca na mnie uwagi.

Obok niego na siedzeniu pasażera leżało typowe wyposażenie osoby prowadzącej obserwację – jedzenie z fast foodu, aparat fotograficzny, butelka wody, dyktafon i mikrofon kierunkowy. Zdjął marynarkę, przez co umieszczona pod ramieniem kabura była doskonale widoczna. Między kolanami trzymał czarną aktówkę.

Przerzucał strony czasopisma „Współczesny Rodzic”.

– Kolka – powiedział jakby do siebie. – Można oszaleć.

– Poważna sprawa – zgodziłem się.

Czekałem. Frank przewrócił kilka kolejnych stron. Czytał w taki sposób, jakby zapoznawał się z instrukcjami montażu szafy – jego wzrok przeskakiwał w różne miejsca strony w dość przypadkowy sposób, szukając schematu prawidłowego składania dziecka.

– Ktoś kazał ci mieć na mnie oko? – zapytałem.

Frank skinął głową, stukając kciukiem w zdjęcie nowego typu niesamowicie chłonnej pieluchy.

– Sheckly?

Ponownie skinął głową.

– Wejdiesz do środka? Przywiozłem enchilady.

Do trzech razy sztuka.

Frank odłożył czasopismo, wziął aktówkę i wysiadł z samochodu.

Przeszliśmy przed domem. Mój gospodarz Gary Hales stał w salonie, przyglądając się temu, jak wprowadzam na teren jego posiadłości mężczyznę z pistoletem w kaburze i czarną teczką. Gary uwielbia, kiedy robię coś takiego.

Otworzyłem drzwi do budówki, zza których wyskoczył Robert Johnson, odbił się od nogi Franka i z oburzeniem wrócił do środka. Jego niesamowicie wyczulony zwierzęcy instynkt ostrzegł go, że nie wracam sam.

– Cześć, czarnuszk. – Frank pochylił się i podrapał Roberta Johnsona za uchem.

Frank najwyraźniej został zaakceptowany, ponieważ Robert Johnson zaczął się energicznie ocierać bokiem pyszczka o jego but.

Zastępca szeryfa rozejrzał się po pokoju – nadal pozostając w trybie zapoznawania się z instrukcjami montażu – aż jego wzrok padł na

powieszony na ścianie miecz.

– Tai-chi?

Zaskoczony skinąłem głową. Normalnie wszyscy się mylą.

Frank machnął ręką w kierunku futonu.

– Można?

– Jasne – powiedziałem.

Usiadł, kładąc teczkę na stoliku kawowym. Poszedłem do kuchni i wyciągnąłem z plecaka dwa styropianowe opakowania z enchiladami. Robert Johnson natychmiast pojawił się na blacie.

Rozłożyłem trzy tekturowe talerze na wiklinowych podkładkach. Dwie enchilady dla mnie, jedna dla Franka, jedna dla Roberta Johnsona. Tortille, fasolka i ryż polane sosem.

Zaniosłem jedzenie do salonu. Postawiłem talerz Roberta Johnsona na dywanie, drugi podałem Frankowi.

Frank nachylił się, zwinął tortillę, zanurzył ją w enchiladowym sosie i odgryzł kawałek.

– Przejdźmy do rzeczy – stwierdził. – W teczce znajduje się wstępny raport lekarza sądowego na temat Brenta Danielsa i parę dokumentów na temat Alexa Blanceagle'a, które wypożyczyłem z Hollywood Park. Istnieje jeszcze kilka innych spraw, które prowadzi komenda z hrabstwa Avalon, gdzie... – przerwał, starając się odpowiednio dobrać słowa – ...gdzie nazwisko Sheckly'ego przewija się w istotnych miejscach.

– A ty mi to wszystko pokazujesz?

Frank wbił wzrok w ścianę. Przeżuwał swoją tortillę.

– Kilku moich znajomych z hrabstwa Bexar, Larry Drapiewski, Shel Masters, twierdzi, że jesteś solidnym gościem.

Starąłem się nie okazać zaskoczenia.

Larry i Shel rzadko nazywają mnie solidnym gościem. Przymiotniki, których używają w odniesieniu do mojej osoby, częściej nawiązują do stanu gazowego albo ciekłego. W czasie rozmowy z Frankiem musieli akurat mieć chwilę słabości.

– Powinieneś to raczej przekazać Samuelowi Barrerze – zasugerowałem.

Frank posłał mi przelotny uśmiech, po czym przesunął teczkę w moją stronę.

– Tyle że Barrera czułby się w obowiązku powiedzieć, skąd ma te informacje – ciągnąłem. – Potrzebujesz kogoś, kto uwolni cię od części kłopotów.

Skończył tortillę, wytarł palce i wstał.

– Wielka szkoda, że nie wróciłeś dziś do domu – zawyrokował. – Zaczekam do północy, potem dam za wygraną. Zgoda?

Skinąłem głową.

– Powodzenia z kolką.

Na twarzy Franka pojawił się autentyczny uśmiech.

– Ta... Aha, Navarre... Doszły mnie słuchy, że Elgin i kilku innych gości, którzy byli wczoraj we Floore's, liczą na to, że zajedziesz kiedyś do hrabstwa Avalon, gdy akurat będą na służbie. Na twoim miejscu bym tego nie robił.

Kiedy Frank wyszedł, zsunąłem z nóg justinsy, umożliwiając palcom u nóg odzyskanie normalnych rozmiarów. Robert Johnson zbliżył się i odkrył, że jego głowa idealnie mieści się w bucie rozmiaru czterdzieści jeden. Kołyszącymi ruchami wsunął się do środka do połowy i stał tak, machając na boki ogonem.

– Dziwak z ciebie – stwierdziłem.

Postukał tylnymi nogami w podłogę. Machnął ogonem.

Wtedy przypomniałem sobie, że miało mnie nie być w domu.

Rozważyłem kilka możliwości i żadna mi się nie uśmiechała. Włożyłem z powrotem buty i skierowałem się w stronę Monte Vista.



Kiedy dojechałem pod dom Saint-Pierre'ów, akurat natknąłem się na wychodzącą pośredniczkę w handlu nieruchomościami.

– Pan Saint-Pierre? – zapytała lekko rozbawionym tonem.

Przytrzymała mi drzwi samymi czubkami palców na wysokości ucha – w taki sposób moja mama podnosiła z podłogi moje brudne podkoszulki, pytając, czy choć raz mógłbym je wrzucić do kosza na brudną bieliznę.

– Dzięki – odparłem.

– Wykonałam kilka szkiców. – Jej notatnik mieścił się idealnie pod pachą brązowej marynarki w odcieniu zgniłych jabłek. – Wnętrze pięknie się komponuje.

– Też tak zawsze uważałem.

Skinęła głową, zasznurowała usta, po czym raz jeszcze obrzuciła fachowym spojrzeniem frontową ścianę domu.

– Odezwę się do państwa.

– Allison podała jakieś ramy czasowe?

– Powiedziała, że chce sprzedać jak najszybciej.

– Znakomicie.

Posłała mi kolejny rozbawiony uśmiech – prawdopodobnie nigdy nie spotkała łowcy talentów – i wręczyła mi swoją wizytówkę. Sheila Fletcher & Wspólnicy. Tusz miał ten sam odcień brązu, co jej marynarka i paznokcie. Pomachała mi trzema palcami, oddalając się podjazdem w stronę swojego jeepa.

Rzeczywiście wewnątrz domu pięknie się teraz komponowało. Było to łatwe, kiedy nic go nie zaburzało. Białe sofy i postumenty na dzieła sztuki zniknęły. Tkaniny ścienne z meksykańskiego stanu Oaxaca zostały pozdejmowane. Pomieszczenie składało się z samych białych ścian i okien. Przy drzwiach piętrzyło się sześć milionów kartonów przewodzkowych.

Barek pozostał nietknięty i stały na nim dwie szklanki – jedna pobrudzona szminką i resztkami bourbona, a druga wypełniona do połowy letnią wodą. W kominku palono jeszcze poprzedniego wieczoru. Z przytkanego przewodu kominowego wydobywał się charakterystyczny zapach. Po wydarzeniach poprzedniej nocy nie była to woń, która wprawiłaby mnie w dobry humor.

Poszedłem na piętro i zacząłem zaglądać do sypialni. Pierwsza została spakowana. W pokoju Lesa z łóżka zniknęła pościel, sekretarzyk z żaluzjowym zamknięciem był zaklejony, a jego szuflada opróżniona. Otworzyłem jeden ze stojących w kącie kartonów. Na wierzchu leżała księga pamiątkowa Lesa ze szkoły średniej w Denton.

– Co ty, u diabła, robisz?

Odwróciłem się i zobaczyłem stojącą w drzwiach Allison.

Jasne włosy miała szesane w mokre pasma; splukała je, ale nie umyła szamponem. Miała ziemistą cerę i chorobliwie czerwone kąciaki oczu. Jej sylwetkę skrywała całkowicie biała męska koszula i obszerne spodnie khaki. Może należały do Lesa. Koszula była ochlapana jakąś jasnobrązową cieczą.

– Cieszę się, że cię złapałem, zanim wyjechałaś z miasta – powiedziałem.

Spiorunowała mnie wzrokiem.

– Wynoś się stąd, Tres. Nie wystarczy, że...

Głos jej się załamał. Machnęła ręką w kierunku północy, gdzie znajdowało się ranczo Danielsów.

Trąciłem stopą karton.

– Pośredniczka mówi, że wyprowadzasz się od razu.

– Czy to cię w ogóle powinno obchodzić?

– Być może.

Chwyciła się za przedramię drugą ręką, jakby zakrywała ranę. Utkwiła wzrok w jakimś punkcie za moimi plecami.

– Wynajmuję ten dom, okej? W ten sposób będę miała z czego spłacać raty do czasu, aż go sprzedam. To jedyne rozwiązanie, jakie mi pozostało.

– A co z planami przejęcia agencji?

Zaśmiała się. W jej głosie pojawiło się niespodziewane drżenie.

– Milo ma głowę zajętą Mirandą, ale nie na tyle, aby nie sprowadzić jakichś prawników. Może lepiej sam go zapytaj.

Weszła do pokoju i przysiadła na gołym materacu. Wpatrywała się w kartony z rzeczami Lesa.

– Kto cię odwiedził wczoraj wieczorem, Allison?

– To już zdecydowanie nie powinno cię obchodzić.

– Będzie ci potrzebne alibi.

Otworzyła usta. Chciała coś powiedzieć, ale żadne słowa nie przychodziły jej do głowy.

– Jeśli podpalenie jest związane z morderstwem, niemal zawsze dokonuje się go w celu zatarcia śladów – powiedziałem. – Śladów morderstwa popełnionego w pośpiechu przez osobę, która straciła nad sobą panowanie. Do kogo według ciebie pasuje taki opis?

– Sądysz... – wychrypiąła.

– Nie sądzę – odpowiedziałem. – Ale kiepsko to dla ciebie wygląda, to pakowanie i wyprowadzka. Gdybym był oficerem śledczym prowadzącym sprawę morderstwa Brenta, a Tilden Sheckly płaciłby mi, powiedzmy, na boku za szybkie znalezienie wygodnego dla niego wyjaśnienia, zacząłbym

właśnie od ciebie. Twój mąż znika, kochanek zostaje spopielony, a ty słyniesz z gwałtownych, nieprzewidywalnych zachowań. Wątpię, aby wiele osób miało ochotę cię bronić.

Objęła się rękami.

– Nic mi nie zostało. Brent nie żyje. Les zniknął, Milo prowadzi agencję, a ja nie mam nic. Zostawiłbyś mnie w spokoju, co?

Przechyliła się do przodu, aż jej twarz znalazła się niemal na wysokości kolan.

Policzyłem w myślach do dziesięciu.

Nie pomogło.

– Wstawaj. – Mój głos brzmiał dziwnie. – No dalej.

Chwyciłem Allison za ramiona i postawiłem do pionu. Była ciężka – nie jak balast, niemniej wydawało się, że kości ma odlane z ołowiu. Musiałem wykorzystać niemal całą siłę, żeby nie pozwolić jej na wywiniecie się z mojego uścisku. W końcu jej się to udało i odsunęła się ode mnie. Stała z załzawionymi oczami, rozcierając białe ślady na ramionach w miejscach, gdzie chwilę wcześniej trzymałem ją palcami.

– Nie lubię użalania się nad sobą. Daleko w ten sposób nie zajdziemy.

– Po prostu sobie idź, Tres. Słyszysz? I pomyśleć, że kiedyś mi się wydawało, że jesteś w porządku.

Patrzyła na mnie z wściekłością, nie chciała widzieć mnie na oczy, ale jej gniew nie mógł trwać w nieskończoność. Wzięła głęboki, drżący oddech i spojrzała ponownie na kartony, na sekretarzyk, na puste ściany. W końcu opadła z powrotem na łóżko.

– Jestem potwornie zmęczona... – mruknęła. – Zostawże mnie w spokoju.

– Powinnaś opuścić to miejsce. Zróbmy coś konstruktywnego.

Pokręciła apatycznie głową. Kiedy obok niej usiadłem, oparła się na mnie

– bez żadnych podtekstów, potraktowała mnie po prostu jak nową ścianę.

– Wracam do domu, do tego cholernego Falfurrias – powiedziała. – Uwierzysz? Za ten dom mogłabym sobie tam kupić sześć najładniejszych posiadłości. Mogę zająć się hodowlą krów. Słuchać w nocy świerszczy. W głowie się nie mieści, co nie?

Spojrzała na mnie załzawionymi oczami.

– Nie jestem osobą, którą powinnaś pytać o takie sprawy.

– Kurwa. – Roześmiała się. – Nigdy nie odpowiadasz wprost, co? Gdzie jest Miranda?

– W bezpiecznym miejscu.

– W twoim mieszkaniu? Śpicie na tym futoniku?

– Nie. Nie mieszka u mnie.

Allison posłała mi niepewne spojrzenie. Usłyszała w moim głosie coś nieodwracalnego, odcień goryczy, i nie bardzo wiedziała, jak ma to rozumieć. Zaczęła się podnosić, ale przytrzymałem ją łagodnie za ramię.

Chciałbym powiedzieć, że od tego momentu sprawy potoczyły się własnym biegiem i że mnie on zaskoczył.

Pocałowałem ją.

Choć ten jeden raz Allison Saint-Pierre nie stawiała oporu. Odwzajemniła pocałunek ze swego rodzaju zmęczoną ulgą.

Po dłuższej chwili opadła na łóżko – a ja wraz z nią. Gryzła mnie, całowała i dyszała mi do ucha, kiedy nieskutecznie próbowałem poradzić sobie z pierwszym guzikiem jej ogromnej białej koszuli. W końcu roześmiała się i szepnęła: – Dajże sobie spokój.

Podniosła się na tyle, żeby ściągnąć koszulę przez głowę. Zaraz potem ponownie do mnie przywarła. Wydawała się jeszcze gorętsza, jeszcze bardziej rozpalona. Plecy miała całe pokryte gęsią skórką.

Kotłowaliśmy się na łóżku Lesa Saint-Pierre'a, a w każdej kolejnej pozycji jakaś wierzchnia część garderoby była strącana, ściągana lub przeklinana. Allison przestała chyba płakać wtedy, kiedy nie mieliśmy już na sobie niczego. Jej skóra była nieprzyjemnie gorąca – cała z wyjątkiem palców. Palce miała lodowato zimne.

Łączyło nas jakieś niewypowiedziane porozumienie, że te miłosne zapasy będą się odbywały w nieustannym ruchu – niekoniecznie szaleńczym, ale z pewnością ciągłym. Znieruchomienie prowadziło do myślenia, a myślenie byłoby złe. Na zmianę przygniataliśmy się do śliskiej, niewygodnie nierównej powierzchni materaca; drobne ukłucia wiskozowych szwów drażniły nasze plecy. W pokoju była zamontowana klimatyzacja, ale szybko stał się duszny i wypełniony pogłosem, aż w końcu dźwięki te stały się powodem niekontrolowanych napadów chichotu i niemal natychmiast przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. Potoczyliśmy się trochę za daleko i spadliśmy z łóżka. Pamiętam ból w łokciu, ale i to nie miało większego znaczenia. Usiedliśmy naprzeciwko siebie, podbródek Allison na wysokości moich ust, a jej stopy przyciśnięte do podstawy moich pleców. Objęła mnie bardzo mocno ramionami i nogami, jakby ponownie dostała ataku płaczu. Zrobiłem gwałtowny wdech i również do niej przywarłem. Moje ciało nie wiedziało, kiedy przestać, aż w końcu usłyszałem stłumiony głos Allison.

– Proszę... już dobrze. Wystarczy.

Znieruchomieliśmy, wsłuchując się w swoje oddechy, aż nasze płuca zaczęły pracować w wolniejszym rytmie, a drewniana podłoga wydała się nagle niewygodna. Nasze ciała odkleiły się od siebie w niektórych miejscach niczym odrywany od gładkiej powierzchni wosk.

Allison przytknęła nos do mojego policzka i zaczęła nim krążyć, aż jej usta zetknęły się z moimi. Kiedy pocałowałem ją po raz drugi, pocałowałem zęby.

– Kiedy, panie Navarre, powiedział pan: „Zróbmy coś konstruktywnego”...

– Zamknij się.

Roześmiała się, odsunęła swoją twarz od mojej i zatkała mi delikatnie uszy palcami.

– Do niczego nie doszło.

– Oczywiście, że nie.

Pocałowała mnie ponownie.

– Nadal ukrywasz gdzieś przede mną pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

– Zależy ci wyłącznie na pieniądzu.

Jeszcze przez jakiś czas okazywaliśmy sobie nawzajem głęboką pogardę.

Pamiętam, że w pewnej chwili podniosłem wzrok i zobaczyłem stojącą w drzwiach latynoską służącą, ale zanim otworzyłem oczy, żeby dokładniej jej się przyjrzeć, zdążyła zniknąć. Była to tylko przelotna wizja znudzonych, starzejących się oczu w pozbawionej wyrazu twarzy, wyrażających bardziej poirytowanie niż zawstydzenie parą *gringos* leżących na podłodze pustego pokoju, zanoszących się dziecinnym chichotem i mruczących sobie do ucha: „Nienawidzę cię”. Może dla służącej byliśmy jednymi z wielu przedmiotów, których chętnie się pozbędzie, kiedy dom zostanie przejęty przez nowych, porządniejszych właścicieli.



– Wolałam audi – powiedziała Allison.

Siedzieliśmy w volkswagenie. Mimo opuszczonego dachu i otwartych okien do środka nie wpływało świeże powietrze. Nadeszło popołudnie, zrobiło się szaro i ciepławo. W magazynie po drugiej stronie ulicy nie działo się nic ciekawego.

– Jaki to jest numer? – zapytałem. – Siedem?

– Pięć – poprawiła mnie, wsuwając okulary przeciwsłoneczne na oczy. – Tylko wygląda na siedem.

Wziąłem od niej listę adresów, ksero dokumentu, który znaleźliśmy w łodzi Lesa Saint-Pierre’a. W sumie dwadzieścia trzy miejsca w samym San Antonio. W tym tempie będzie dawno po piątku, zanim zdążę je choćby zlokalizować, nie wspominając o znalezieniu sposobu dostania się do środka i sprawdzeniu, czy nie znajduje się tam cokolwiek przydatnego do postawienia Sheckly’ego przed sądem. Sam Barrera mógłby pewnie popędzić do roboty ludzi ze swojej agencji i uporać się z tym zadaniem w jedno popołudnie, gdyby nie ograniczały go wymogi prawa. Ale do diabła z Samem Barrerą.

Jak na razie pod wskazanymi adresami znajdowały się magazyny albo parkingi dla tirów. Na żadnej bramie nie widniała nazwa Paintbrush Enterprises, ale nabrałem podejrzeń, że Tilden Sheckly albo jego przyjaciele z Luksemburga w taki czy inny sposób są powiązani z tymi miejscami.

Przy każdym adresie była wpisana data. Poszukiwania rozpoczęliśmy od miejsca z najświeższą, po czym zaczęliśmy poruszać się do przodu w czasie.

W ten sposób doszliśmy do piątego listopada, który miał nastąpić za cztery dni. Pod przyporządkowanym mu adresem znajdował się mały park przemysłowy zlokalizowany w narożniku między Nacogdoches a Perrin-Beitel. Ulice te za sprawą słynnej teksańskiej kreatywności łączą się tam w Naco-Perrin.

W skład magazynów wchodziły dwa długie równoległe budynki pomalowane po wojskowemu na zielono, z fioletoworóżowym wykończeniem. Na przeciwległych ścianach znajdowały się rzędy stalowych rozsuwanych bram i krótkich poprzecznych ramp oddalonych od siebie o tyle, że mogła między nie wjechać półciężarówka i wyładować kontener. Asfalt między budynkami pokrywały wielkie półkola śladów opon. Wyglądało to tak, jakby ktoś pił tam colę z puszek o biblijnych rozmiarach i nie przyszło mu do głowy, żeby używać podkładek.

Teren był otoczony trzymetrową siatką. Na szczycie nie zamontowano drutu kolczastego, ale bramy wjazdowej pilnował siedzący w budce strażnik, a teren był nieźle oświetlony. Za dnia na tyłach parku przemysłowego panował spory ruch uliczny – niekończący się strumień samochodów sunących powoli wzdłuż paskudnych centrów handlowych i restauracji fast food zlokalizowanych przy Naco-Perrin. Od strony bramy ruch był mniejszy. W sąsiedztwie znajdowały się tylko zakłady chemiczne przetwarzające siarkę, nieużytki i hałdy księżycowego pyłu.

Strażnik przy bramie nie był specjalnie ciekawym obiektem obserwacji. Czytał jakieś małoformatowe czasopismo, zapewne „Przegląd Strażnika”. Bramy były zamknięte, na rampach stały dwa kontenery. Nikt nie wjeżdżał do kompleksu, nikt go nie opuszczał.

Allison westchnęła.

– To jest ciekawsze od gapienia się na ściany w moim dawnym domu. Ale

tylko trochę.

Przed opuszczeniem Monte Vista Allison zaczęła nazywać w ten sposób dom, w którym spędziła poprzednie dwa lata. Kiedy opadła na fotel w volkswagenie, zapewniała, że czuje się zupełnie dobrze, że pogodziła się ze stratą Lesa, że przestała opłakiwać Brenta, że jest gotowa mi pomóc i żywi przekonanie, że nasze wspólne popołudnie było zaledwie chwilową ucieczką od rzeczywistości. Nie kupowałem żadnego z tych zapewnień, ona chyba również, ale pomogły nam zapomnieć na chwilę o poważniejszych kwestiach i skoncentrować się na obserwowaniu pustych ramp i magazynów.

Miałem już zaproponować, abyśmy udali się pod adres numer sześć, kiedy minął nas biały sedan marki BMW. Nadjechał Nacogdoches, zwolnił i skręcił ku bramie. Strażnik natychmiast odrzucił gazetę i podszedł do okna kierowcy.

– Akcja się rozkręca – powiedziałem.

Allison uniosła się w fotelu i wyjrzała przez okno.

Jean Kraus opuścił szybę bmw i powiedział coś do strażnika, który zaczął potakiwać. Jean powiedział coś jeszcze, uśmiechając się, a strażnik pokiwał głową jeszcze energiczniej.

Strażnik potruchtał do bramy, odwinął łańcuch i ją otworzył. Białe bmw wjechało do środka. Kraus zaparkował obok pierwszej przyczepy i wysiadł. Z sedana wyłoniło się dwóch innych mężczyzn. Jean był ubrany jak człowiek sukcesu – beżowy garnitur od Armaniego, wąski czarny krawat i duża ilość srebrnych dodatków. Pozostałych mężczyzn nie rozpoznałem. Pierwszy był to dobrze zbudowany Anglosas z kręconymi brązowymi włosami i spodniami od garnituru, które nie pasowały do koszuli z krótkim rękawem. Drugi gość był wyższy, starszy, miał na sobie czarny dres, a na głowie resztki czarnych włosów.

Jean wskazywał na różne rzeczy, jakby ich oprowadzał. Po pięciu minutach rozmowy, intensywnym kiwaniu głowami i kilku spojrzeniach w stronę ramp wszyscy trzej wsiedli do bmw i odjechali.

– Zamierzają wywieźć stąd towar – stwierdziłem. – Pozbyć się go przed terminem.

Allison spojrzała na mnie.

– Czy jesteśmy już konstruktywni?

– Zbliżamy się do tego.

Zapaliłem silnik volkswagena.

Jechałem za bmw Jeana przez kilka kilometrów Perrin-Beitel, aż śledzenie go stało się nieco zbyt problematyczne. Ruch był za duży, Jean trochę za nerwowy jako kierowca, a mojego pomarańczowego garbusa trudno nazwać nierzucającym się w oczy. Ryzykowałem, że nas zauważy. Zwolniłem i pozwoliłem mu odjechać.

– Czy to oznacza, że nie spuścimy nikomu wpierdolu? – wypytywała Allison.

– Przykro mi, kochanie.

Zrobiła nadąsaną minę.

Zaczynało się ściemniać, kiedy podwiozłem ją pod „dawny dom” w Monte Vista. Allison uparła się, że chce tam spędzić noc, uparła się również, że chce ją spędzić sama. Nie spierałem się jakoś szczególnie w tej drugiej kwestii. Kiedy patrzyłem, jak wysiada z samochodu, po mojej trzewnej piwnicy rozlało się zabawne poczucie pustki, co oznaczało, że albo bardzo chciałem zostać z nią dłużej, albo bardzo tego nie chciałem. Kiedy człowiek doświadcza tego rodzaju skrajnych emocji i nie potrafi ich odróżnić, czas wrócić do domu i nakarmić kota.

Patrzyłem, jak Allison idzie po chodniku i wchodzi do domu. Potem

jeszcze długo patrzyłem na zamknięte drzwi. Nie otworzyły się.

Po powrocie do domu wziąłem prysznic, wybrałem najczystsze rzeczy, jakie udało mi się znaleźć w rosnącej stercie ubrań, następnie zadzwoniłem do dwóch osób.

Ray Lozano odebrał w swoim gabinecie lekarza sądowego hrabstwa Bexar.

– Raymond. Mówi Tres.

Chwila ciszy.

– Jak ten gość, który jest mi winien bilet na mecz spursów?

– Ja właśnie w tej sprawie...

– Daruj sobie, Navarre. Składasz kolejne obietnice, a ja w nie za każdym razem wierzę. Nie zamierzam przerabiać tego kolejny raz.

– Wiara to cecha godna podziwu, Raymond. Lubisz oilersów?

– Czego chcesz?

Przeczytałem Rayowi raport z sekcji zwłok Brenta Danielsa, który dostałem od Franka.

– No i?

– Jak byś to zinterpretował?

– Biorąc pod uwagę stan zwłok, mieli szczęście, że pobrali tyle tkanek. Wygląda na to, że gość nie żył, zanim został spalony. Brak cząsteczek sadzy w płucach. Brak karboksyhemoglobiny w płynach ustrojowych. Facet nie przekręcił się od wdychania dymu.

– A fakt, że go nie zidentyfikowali?

– To trochę nietypowe, biorąc pod uwagę, że znają ofiarę. Ale to wciąż jest wczesny etap. Muszą mieć stuprocentową pewność. Jeżeli czekają na rentgeny z jakiegoś dużego szpitala albo na odontologa czy antropologa z Austin, może to potrwać do dziesięciu dni. Czasami dłużej. Ale nie wygląda,

żeby istniały jakiegokolwiek wątpliwości. Wzrost się zgadza, jeśli uwzględnić skurczenie się spalonych zwłok. Wiek i płeć również.

– A te śladowe ilości różnych substancji? – Przeczytałem kilka trudnych do wymówienia nazw związków chemicznych, które lekarz sądowy znalazł w resztkach płynów ustrojowych zwłok Brenta.

Lozano się zasepił.

– Musiałbym to skonsultować z toksykologiem. Gość był alkoholikiem?

– Prawdopodobnie. Tak, był.

– Okej, w takim razie można by założyć uszkodzenie wątroby, obniżone przetwarzanie cukru. Jeżeli miał kontakt z dużymi dawkami narkotyków, we krwi mogły się pojawić wymienione przez ciebie substancje, tyle że oznaczałoby to, że człowiek ten przed śmiercią zapadł w śpiączkę cukrzycową.

– W śpiączkę? Taką jak po zażyciu leków na cukrzycę? Met-cośtam?

– Metforminy. Tak, zdecydowanie.

Umilkłem na tak długo, że Lozano w końcu zapytał:

– Jesteś tam jeszcze?

– Tak. Myślisz... czy można przedawkować takie leki i popełnić w ten sposób samobójstwo?

Lozano prychnął.

– Nie, jeżeli ktoś nie jest dyplomowanym idiotą. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że lekarstwo cię nie zabije, ale zamieni w warzywo. Znam pielęgniarkę z Medical Center, której to się przydarzyło. Alkohol i lekarstwa na cukrzycę. Zmieniają jej teraz pieluchy trzy razy dziennie. Poza tym nie miałyby to żadnego sensu. Gość zapada w śpiączkę, potem umiera, potem zamienia się w chipsa.

– Okej.

– Te informacje do czegokolwiek ci się przydadzą?

Pewnie nie zdołałem wykrzesać z siebie zbyt wielkiego entuzjazmu, kiedy odpowiadałem: – Tak, przydadzą się.

– No więc co z tymi oilersami? – zaczął Lozano, ale moja słuchawka znajdowała się już w połowie drogi na widełki.

Milo Chavez sprawiał wrażenie jeszcze bardziej uszczęśliwionego moim telefonem.

– Chcę usłyszeć, że Miranda jest bezpieczna – zażądał.

– Miranda jest bezpieczna.

– Przekonaj mnie, że nie powinienem cię zabić za wystartowanie do niej w taki sposób.

– Milo, dajże spokój.

– Dwa psy z hrabstwa Avalon weszły dziś rano w moim biurze, Navarre. Wypytywały, jak Lesowi i mnie układały się stosunki z Brentem Danielsem, dlaczego wynająłem prywatnego detektywa i czym konkretnie się zajmujesz, czy masz licencję. Nie podobały mi się te pytania.

– Wydział zabójstw hrabstwa Avalon nie potrafiłby znaleźć drogi wyjścia z *cascaròn*, Milo. Próbują cię tylko zdenerwować.

– W takim razie skutecznie.

Opowiedziałem mu o moim popołudniu – o wynikach sekcji zwłok, które dostałem od Franka, o magazynie, który odwiedziłem na Perrin-Beitel.

– Znam to miejsce – stwierdził Milo. – To dobra wiadomość, prawda? Ten gość od Amerykańskiego Stowarzyszenia Przemysłu Fonograficznego, Barrera... Będzie wiedział, że teraz należy wkroczyć, prawda?

– Gdybyś zapytał Barrerę, wyjaśniłby, że nic się nie zmieniło. Nadal nie ma żadnych dowodów, żadnego uzasadnienia dla przeszukania. Nie wystarczy, że zobaczyłem tam kogoś, kto mi się nie spodobał. Barrera jest

gotów czekać jeszcze kilka lat, jeżeli miałyby wzmocnić w ten sposób swój materiał dowodowy.

– Mam czas do piątku – mruknął Milo. – A ty mi tu mówisz o latach.

– Formalnie rzecz biorąc, Barrera ma rację – powiedziałem. – Moje ustalenia nie dają im żadnego powodu do podjęcia działań. A przynajmniej nie od razu.

– Formalnie rzecz biorąc – burknął Milo. – Po prostu cudownie.

– Coś wykombinujemy – obiecałem.

– A Les?

W tej sprawie trudniej było powiedzieć coś z przekonaniem.

– Możesz założyć, że już nie wróci. Nigdy.

Milo milczał, prawdopodobnie próbując obmyślić jakiś plan B. Kiedy odezwał się ponownie, mówił dziwnym, całkowicie opanowanym głosem.

– Muszę porozmawiać z Mirandą. Jeżeli mamy grać uczciwie z Century, kiedy przyniesiemy im taśmę, muszę najpierw omówić strategię z moją klientką. Musi zdawać sobie sprawę z ryzyka. Może...

– Przywiozę ją wieczorem – obiecałem. – Za jakieś dwie godziny.

– U mnie w biurze o dziewiątej – zaproponował.

– Okej. A poza tym Barrera jest w porządku. Ludzie, z którymi pracuje, są w porządku. W końcu dobiorą się Sheckly'emu do dupy.

Po drugiej stronie linii zapadła grobowa cisza.

– Milo?

– Nic mi nie jest – powiedział.

– Odpuść, Milo.

– Dobrze.

– W twoim biurze o dziewiątej.

Milo potwierdził. Rozłączył się, mrużąc pod nosem jakieś pełne

niezadowolenia, przepełnione gniewem słowa. Ogarnęło mnie wrażenie, że przestałem być uczestnikiem tej rozmowy.



Mendoza Street biegła wzdłuż wschodniej krawędzi cmentarza San Fernando. Po lewej stronie drogi ogradzająca cmentarz siatka przechylała się i wybrzuszała w regularnych odstępach, zupełnie jakby ktoś systematycznie rzucał się na nią całym ciężarem ciała. Wieczorna mgła gęstniała nad cmentarnym trawnikiem, rozmywając nagrobki, powietrze i drzewa w jedną szarawą plamę.

Po prawej stronie drogi stał rząd pudełkowatych domów z sidingiem pomalowanym na jaskrawe kolory, okratowanymi oknami i dachami pokrytymi odłóżką papą. Przydomowe ogródki były porośnięte kępami palusznika, wysypane żwirem, niekiedy pełniły funkcję terenów ekspozycyjnych dla mebli i opon. Nigdzie w zasięgu wzroku nie było żadnych dzieci, żadnych wartościowych przedmiotów na werandach, żadnych otwartych okien. Na ulicy stało kilka zaparkowanych samochodów – oczywiście jeśli nie liczyć tych, które ukradziono w innych częściach miasta, a następnie rozkręcono na części i porzucono w tym miejscu. Takich wraków było tu całe mnóstwo.

Numer 344 był turkusowym dwupokojowym domem w nieco lepszym stanie niż otaczające go budynki. Na podjeździe stały rdzawoczerwony cadillac Ralpa i jasnobłękitne camaro.

Ogródek przed domem wysypano białym żwirem udekorowanym kapslami od butelek. Kraty w drzwiach i oknach były pomalowane na biało i miały kształt winorośli, choć były tak ozdobne i grube, że kojarzyły mi się raczej z kurtyną stopionych ze sobą kości.

Zadzwońiłem do drzwi. Czekałem na werandzie mniej więcej dwadzieścia sekund, zanim Ralph otworzył drzwi – roześmiany. Zza jego pleców dobiegał śmiech Mirandy. Przez drzwi wypłynął zapach marihuany.

– Ech, *vato*. – Okulary Ralpa połyskiwały na żółto w świetle lampy wiszącej nad werandą.

Odsunął się, wpuszczając mnie do środka.

Salon był pusty, jeśli nie liczyć brązowej sofy ustawionej naprzeciwko okna. Ściany były zupełnie białe, podłoga zrobiona z drewna, a kilka dziur po kulach w suficie zostało niewprawnie zagipsowanych. Pamiątki po poprzednich właścicielach. To wyjaśniało, dlaczego Ralphowi udało się kupić dom tak tanio.

Za łukowatym przejściem do kuchni widziałem Mirandę siedzącą przy stole naprzeciwko innej kobiety. Obie zaśmiewały się do rozpuku, ocierając łzy. Miranda miała na sobie to samo ubranie co rano – dzinsy, wysokie buty i mój T-shirt. Jej twarz nabrała kolorów; w ogóle wyglądała na mniej przybitą. Drugą kobietą była młoda Latynoska z długimi miedzianymi włosami, ubrana w krótką jaskrawożółtą sukienkę, która odsłaniała nogi. Poza tym miała czarne czółenka, srebrne kolczyki i duże ilości makijażu.

Na mój widok obie się uśmiechnęły.

Miranda wypowiedziała moje imię w taki sposób, jakby było miłym wspomnieniem sprzed dwudziestu lat.

Druga kobieta wstała i podeszła, aby mnie wyściskać.

– Cześć, kowboju.

Pocałowała mnie w każde ucho, po czym odsunęła się, żeby mi się dokładniej przyjrzeć.

– Cally – powiedziałem. – Co słycać?

– *Asi asi* – odparła, po czym dodała również po hiszpańsku: – Ładną

panienkę przyprowadziłeś.

Spojrzałem na Mirandę, która nadal się uśmiechała i ocierała łzy z oczu. W pomieszczeniu znajdował się tylko jeden zapalony skręt – w dłoni Ralpa – a na stole stały najróżniejsze przekąski: paczki z tortilloowymi chipsami, pojemnik z domowej roboty dymiącymi tamalami z sarniny, talerz specjalnych *pan dulce* Ralpa – takich z zielonymi ciapkami na lukrze. Ojejku...

Ralph zobaczył moje spojrzenie i rozłożył ręce.

– Luz blues, *vato*. Po prostu się relaksujemy, przeżywamy żalobę, rozumiesz?

Posłałem mu karcące spojrzenie.

Ralph wzruszył ramionami i zwrócił się do Cally:

– Ech, *mamasita*, chodźmy na zewnątrz. Chico odwiezie cię do domu.

Cally pożegnała się z Mirandą, uściskała ją, potem dała mi jeszcze jednego całusa. Ralph przyglądał nam się z lekkim rozbawieniem, a następnie odprowadził przyjaciółkę do drzwi.

Na oświetlonym reflektorem podwórku Chico – ten od żółtej pirackiej bandany, któremu byle kto mógł skopać tyłek – składał shelby’ego. Ralph trzymał tam ten samochód wyłącznie po to, żeby Chico miał co robić – na podobnej zasadzie jak w gabinetach lekarskich trzyma się stoliki z zabawkami dla dzieci. Na widok wychodzących Cally i Ralpa Chico oderwał się od majstrowania przy pompie paliwowej i szybko wytarł ręce.

Usiadłem przy stole naprzeciwko Mirandy i obróciłem talerz z *pan dulce*.

– Ile?

Miranda zamruwała bardzo powoli.

– Dwa? Nie pamiętam.

– Cudownie.

Moja mina okazała się wystarczającym powodem do kolejnej salwy śmiechu. Miranda zasłoniła dłonią usta, trzęsła się bezgłośnie przez pięć sekund, po czym prychnęła cicho w szóstą.

– Wygląda na to, że nie muszę pytać, jak się czujesz – zasugerowałem.

– Przepraszam – powiedziała. – Po prostu... to takie przyjemne uczucie móc się pośmiać, Tres. Cally jest przemiła. Ralph to prawdziwy szczęściarz.

– Jasne – stwierdziłem.

– Od dawna są razem?

Zawahałem się.

– Oni są raczej współnikami.

Miranda zmarszczyła brwi. Chwyciła kolejne *pan dulce*, zanim zdążyłem odsunąć talerz.

– Lepiej nie – poradziłem.

– Och... no tak. – Sięgnęła w związku z tym po torebkę z chipsami i zaczęła się uważnie przyglądać jej plastikowym krawędziom. – Ralph i Cally powiedzieli, że bym nie była na ciebie zła. Wyrażali się o tobie bardzo pozytywnie... mówili, że zazwyczaj gadasz z sensem, nawet jeśli nie są to rzeczy, których chciałoby się słuchać.

Na zewnątrz Ralph skończył wydawać polecenia Chicowi. Rzucił mu kluczyki do samochodu, po czym klepnął Cally w pupę na pożegnanie. Wyszczrzyła zęby, ruszyła za swoim zabandanowanym na żółto szoferem i szybko zniknęła za rogiem domu.

– Rozmawiałem dziś z Allison – powiedziałem.

Miranda gorzko się uśmiechnęła.

– Moja najlepsza przyjaciółka.

Powiedziałem jej, że Allison się wyprowadza, o adresach, które sprawdziliśmy, o nowych informacjach dotyczących śmierci Brenta.

Miranda próbowała słuchać z poważną miną, koncentrować się na wypowiedzianych przez mnie słowach. Szybko dała za wygraną.

W górnym rogu paczki z chipsami znajdował się niewielki otwór, choć zdecydowanie za mały, aby dało się przez niego wyciągnąć coś ze środka. Znalezienie rozwiązania tego problemu wykraczało poza możliwości naćpanej Mirandy. W końcu zaczęła rozkruszać palcem chipsy w środku paczki, aby dało się je wyciągnąć przez otwór.

Przerwałem opowieść.

Miranda podniosła wzrok, zastanawiając się prawdopodobnie, dlaczego mój głos ucichł.

– Co?

– Milo chce się z tobą zobaczyć dziś wieczorem, porozmawiać o strategii. Może powinienem do niego zadzwonić, wyjaśnić, że lepiej byłoby umówić się na jutro.

Zaczęła analizować moje słowa.

– Milo chce... – Jej głos ucichł, jakby próbowała sobie przypomnieć to imię. – Mój brat nie żyje, Allison wyjeżdża z miasta, a Milo chce rozmawiać o Century Records.

Z podjazdu dobiegł dźwięk zapalnego silnika. Kilka sekund później światła jasnoniebieskiego camaro omiotły okno pokoju, sofę i stół, po czym odjechały Mendoza Street.

Miranda przesunęła palcem kawałek tortillowego chipsa po blacie stołu, jakby grała w warcaby.

– Powinniśmy porozmawiać, Tres. Zanim spotkamy się z Milem.

– Wiem.

– To, co powiedziałaś wczoraj wieczorem, to, jak mnie przejrzałaś...

Skrzypnęły drzwi wejściowe. Ralph wrócił do środka sam.

Zwróciłem się z powrotem w stronę Mirandy.

– Jak wspomniałem, lepiej będzie spotkać się jutro. Zadzwoń do Mila.

– *Pinche* Chavez – wtrącił Ralph. – Jeżeli ta pani potrzebuje pomocy, to nie otrzyma jej od tego złamasa.

Spojrzałem na Mirandę. Odwdzięczyła się Ralphowi delikatnym uśmiechem.

Podszedłem do telefonu. Ralph usiadł na moim miejscu i zabrał się do jedzenia tamali. Zdjął pokrywkę z puszki i ze środka wyleciała chmura pary i zapachu kuminu oraz przyprawionego grzybami mięsa. Wyciągnął z puszki trzy tamale i zaczął je rozwijać. Powiedział Mirandzie, żeby absolutnie niczym się nie przejmowała. Zajmiemy się nią.

Gladys odebrała telefon w biurze agencji.

– Zastałem Mila? – zapytałem.

Gladys dyszała tak, jakby przesuwiała właśnie meble albo przechodziła szybko do innej części biura.

Mówiła cichym, nagłym głosem.

– Wyszedł – szepnęła. – Czyli nie wiesz...

– Jak to: wyszedł?

Nasze krzyżowe pytania zderzyły się ze sobą i zaplątały. Oboje umilkliśmy, czekając na odpowiedź.

– Okej – powiedziałem. – Opowiedz, co się stało.

Gladys wyjaśniła, że Milo odwołał obiad z ważnym klientem, po czym wyparował z biura. Wychodząc, rzucił swój pager na biurko Gladys i powiedział: „Nie będzie mi to potrzebne”. Musi się czymś zająć, oświadczył. Gladys zaniepokoiła się na tyle, że zajrzała do biurka Mila, czego nie wolno było jej robić, ale najwyraźniej знаła je na tyle dobrze, żeby zauważyć, że brakuje pistoletu, który Milo trzymał w środkowej szufladzie. Ponieważ

byłem („Tylko nie obrażaj się, proszę”) najbardziej szemranym ze znajomych Mila, założyła, że poszedł dokądś ze mną. Gladys miała mi właśnie powiedzieć coś jeszcze, coś, co miało uzasadniać jej wścibstwo, ale jej przerwałem.

– Kiedy?

– Z dziesięć minut temu? – odpowiedziała płaczliwym, przeprasającym głosem.

Rozłączyłem się, po czym spojrzałem na Ralpa i Mirandę.

– Co? – zapytała Miranda.

– Milo opuścił właśnie swoje biuro uzbrojony w pistolet.

Znaczenie moich słów dotarło do nich dopiero po chwili, ale nawet wtedy reakcja była przytłumiona. Brązowe oczy Mirandy ześlizgnęły się po mojej brodzie i klatce piersiowej ku jej własnym dłoniom. Odsunęła od siebie paczkę chipsów.

– Wiesz, dokąd poszedł?

– Tak.

– Zamierza zrobić coś niebezpiecznego. Dla mnie.

– Tak.

Ralph jadł, spoglądając to na mnie, to na Mirandę. Jego mina wyrażała pełnię zafrasowania człowieka popatrującego kątem oka na telewizor w barze. Skończył tamale, otarł dłonie i rozłożył je w geście: „Jestem do waszej dyspozycji”.

– No może – zgodziłem się.

Twarz Ralpa zaczął rozjaśniać uśmiech, jakbym udzielił odpowiedzi, na którą liczył już od kilku dni.

Spojrzałem na Mirandę.

– Możesz tu zostać. Ralph ma rację. Z nami możesz czuć się bezpieczna.

Miranda oblała się rumieńcem. Gniew wypędzał narkotyczne otępienie z jej oczu.

– Zabieram się z wami. Powiedzcie tylko, dokąd jedziemy.

Ralph wyprostował się na krześle, żeby dobyć Pana Subtelnego, czyli swojego magnum kalibru .357. Grzmotnął nim o stół i zarządził: – Na pustynię!



Nocne niebo rozjaśniały chmury burzowe, powietrze miało metaliczny zapach. Krople deszczu były rzadkie, ciepłe i wielkie niczym ptasie jaja.

Ralph zatrzymał cadillaca za moim volkswagenem po północnej stronie Nacogdoches, niecałą przecnicę od wjazdu do magazynów.

Dołączył do nas przy siatce zakładów chemicznych. Smagały nas podmuchy wiatru, wpychając Mirandzie włosy do ust. Jej biały T-shirt z logo Berkeley był pokryty plamkami po kroplach deszczu.

– Kiepsko to wygląda – wyjaśniłem Ralphowi.

Po drugiej stronie ulicy bramy jasno oświetlonych magazynów były już uchylone. Tuż przed nimi stał wielki czarny pikap Shecka. Budka strażnika była pusta. Zielony jeep cherokee Mila stał pod kątem czterdziestu pięciu stopni z błotnikiem wgiętym od zderzenia z drzwiami stróżówki. Drzwiczki po stronie kierowcy były otwarte. Jeżeli strażnik w chwili zderzenia był w budce, musiał przepełznąć przez maskę samochodu Mila, żeby się stamtąd wydostać. Z miejsca, w którym się znajdowaliśmy, nie było widać placu między budynkami.

Poniedziałkowa noc. Na Nacogdoches panował niewielki ruch, a samochody, które tamtędy przejeżdżały, skręcały wcześniej w przemysłową aleję i nie dojeżdżały na naszą wysokość. Dwie przecznice dalej pięciu czy sześciu nastolatków czekało na przystanku autobusowym działającej w San Antonio sieci VIA.

Ralph przyjrzał się placowi między budynkami.

– Cholera, nie ma się za czym schować. Głupi Chavez... idiota nie zasługuje na to, żeby mu ratować dupę.

– Możesz się wycofać – powiedziałem. – Do niczego się nie zobowiązałeś. Ralph wyszczerzył zęby.

– *Mande?*

Skinąłem z wdzięcznością głową i spojrzałem na Mirandę. Obejmowała się za łokcie. Brwi miała mocno ściągnięte. W czasie podróży na północ otrząsnęła się z większości skutków ubocznych *pan dulce*, ale nadal odczuwała konsekwencje odstawienia narkotyku i była lekko naburmuszona. Przypominała zmarzniętą papużkę na żerdce. Przeniosła ciężar ciała na jedną nogę i uniosła stopę drugiej za kolano.

– A co ja mogę zrobić?

Miało to chyba zabrzmieć odważnie, zagrać nas do boju. Wyszło płaczliwie.

Wyciągnąłem portfel i podałem Mirandzie jedną z wizytówek oficera śledczego Gene'a Schaeffera, które miałem nieszczęście gromadzić przy różnych okazjach.

– Jeżeli chcesz, możesz zostać tutaj – powiedziałem. – Będziesz nas osłaniać. Ralph ma komórkę. Jeśli usłyszysz cokolwiek wskazującego na to, że znaleźliśmy się w tarapatkach, jakieś strzały, zadzwoń pod ten numer i poproś oficera z wydziału zabójstw Gene'a Schaeffera. Zażądaj, żeby cię z nim połączyli. Powiedz mu, gdzie jesteśmy i co się dzieje. Powiedz mu, żeby powiadomił Samuela Barrerę i tu przyjechał. Stwarzamy im pretekst do wkroczenia na teren magazynu. Zapamiętałaś wszystko?

Miranda pokiwała niepewnie głową.

Ralph spojrzał na mnie, wyjął zapasowy pistolet, dana wessona kalibru .38, i wyciągnął go w moją stronę.

– Wiem, co powiesz, *vato*, ale muszę zaproponować.

– Nie, dzięki.

– Ja go wezmę – oświadczyła Miranda.

Ostrożnie wzięła broń do ręki. Chwyciła pistolet prawidłowo, skierowała lufę w dół, otworzyła bębenek i przekręciła go, sprawdzając cylindry. Zamknęła bębenek i spojrzała na mnie wyzywająco.

– Nie zamierzam nikogo osłaniać. – Potem zwróciła się do Ralph: – Możesz sobie wsadzić tę swoją cholerną komórkę.

Ralph się roześmiał.

– Ta dziewczyna jest naprawdę w porządku, stary. *Vamos*.

Dobyl Pana Subtelnego. Przeszliśmy na drugą stronę Nacogdoches i ruszyliśmy w stronę bramy, trzymając się blisko ogrodzenia.

Zanim dotarliśmy na miejsce, deszcz padał już na tyle intensywnie, że bębnił głośno na blaszanych dachach magazynów. Na placu między budynkami stały te same dwa kontenery co wcześniej, ale tym razem były przyłączone do półciężarówek, które miały zapalone silniki. Jedne z drzwi magazynu były otwarte. Na rampie nie widziałem nikogo, ale pod pierwszą ciężarówką dostrześliśmy długie cienie dwóch par nóg – między samochodami rozmawiali jacyś mężczyźni. Jeden z nich miał dżinsy i buty z cholewkami. Drugi eleganckie spodnie i półbuty.

Odwróciłem się w stronę Mirandy.

– Ostatnia okazja.

Ale wypadki toczyły się i tak za szybko. Ralph zawsze potrafił wykorzystać przewagę i wiedział, że nie nadarzy się lepsza okazja do zmniejszenia dystansu. Ruszył szybko w stronę szoferki ciężarówki. Ja skierowałem się na lewo, ku ścianie budynku, i pobiegłem truchtem w kierunku pierwszej rampy. Miranda ruszyła za mną.

Strzały rozległy się tuż przed tym, jak dobiegliśmy do rampy. Rzuciłem się do przodu i dopiero po chwili zrozumiałem sens tego, co usłyszałem. Dwa strzały, oba niesamowicie głośne, dobiegły z wnętrza magazynu. Zaraz po nich rozległy się dwa strzały po prawej stronie, za pierwszą ciężarówką. Były niemal równie głośne – huk trzystapięćdziesiątkisiódemki. Ralph ponownie skorzystał z nadarzającej się okazji.

Dołączył do nas pod rampą, gdzie między betonowym pomostem a platformą ciężarówki leżały poukładane metalowe pręty. Rampa miała jakieś półtora metra wysokości. Musieliśmy przykucnąć, aby ktoś ze środka nas nie zauważył. Ralph stał z pistoletem w ręku i kręcił głową, mamrocząc hiszpańskie przekleństwa z dość niezadowoloną miną. Zza jego pleców dobiegały ciche pojękiwania, które niemal całkowicie ginęły w szumie deszczu i pracujących silników ciężarówek.

– *Cabrons* próbowali stawiać opór. Jeden chyba wciąż żyje.

Spojrzałem pod ciężarówkę. Po drugiej stronie w odległości trzydziestu metrów na asfalcie leżał skulony mężczyzna w eleganckich spodniach i koszuli z krótkim rękawem, którego widziałem wcześniej w towarzystwie Jeana Krausa. Mniej więcej siedem metrów od niego spoczywał pistolet – prawdopodobnie odkopnięty przez Ralpha. Mężczyzna pojękiwał, próbując zatamować krwawienie z uda. Odpychał się od asfaltu sprawną nogą, ale rezultat był taki, że kręcił się tylko wokół własnej osi. Palcami trzymał się kurczowo za nogę w miejscu, z którego wypływała krew, wsiąkając w spodnie i rozmazując się po chodniku. Mężczyzna musiał wykonać co najmniej jeden pełny obrót w kałuży własnej krwi, ponieważ miał ją teraz również na twarzy i włosach. W zewnętrznym oświetleniu zakrwawione miejsca lśniły na fioletowo.

Rudowłosy Elgin Garwood znajdował się trzy metry bliżej. Był całkowicie

martwy. Kula kalibru .357 wyszarpała mu w klatce piersiowej dziurę wielkości pięści zaraz na lewo od mostka. Wpatrywał się w niebo i deszcz, który spływał mu po czole. W ręce nadal trzymał pistolet kalibru dziewięć milimetrów.

Ryczało mi w uszach. Próbowałem myśleć, ale nie byłem w stanie z powodu warkotu silników, deszczu i pogłosu po wystrzałach. W magazynie trwała kłótnia. Nadal słychać było jęki. Czy to możliwe, żeby się nie zorientowali, że wystrzały z zewnątrz zwiastują nadejście nowych problemów? Może echo wewnątrz budynku...

Przez Nacogdoches przejechał autobus wypełniony roześmianymi dziećmi, nieświadomymi tego, co działo się w środku. Z głośników autobusu ryczał metal.

Wstrzymałem oddech, po czym wystawiłem na moment głowę, aby zorientować się szybko w sytuacji w magazynie.

Dwusekundowa migawka – kłócący się Tilden Sheckly i Jean Kraus. Sheckly z pistoletem zatkniętym za pasek spodni. Kraus z berettą w dłoni. Przedmiotem niezgody był zwał rannego człowieka, który spoczywał między nimi na podłodze. Milo Chavez. Podeszwy jego bardzo drogich butów były skierowane w moją stronę. Trzymał się dłonią za ramię, może za serce. Z jego ciała wypływała pojedyncza strużka krwi, rozdzielająca się mniej więcej pół metra od niego wokół dokumentu, który Milo musiał upuścić, po czym ponownie zbiegająca się w pojedynczą linię.

Przykucnąłem i przywarłem plecami do betonowej ściany rampy. Zamknąłem oczy, próbując utrwalić sobie w pamięci rozmieszczenie przedmiotów w magazynie.

Kiedy otworzyłem je ponownie, zobaczyłem Mirandę. Miała pobladałą twarz, dłonią zakrywała usta. Wpatrywała się w mężczyznę za ciężarówką,

który odpychając się jedną nogą, nadal kręcił się wokół własnej osi. Wpatrywała się w drugiego mężczyznę z dziurą w klatce piersiowej, w człowieka, który przywoził dawniej swoją żonę Karen na przyjęcia do Willisa.

Zaczęła drzeć.

– Zjeżdżaj stąd, Ralph. – Wyrwałem mu komórkę, by po dłuższym wahaniu wymienić ją na wessona kalibru .38 Mirandy. – Zabiłeś właśnie gliniarza. Zastępcę szeryfa z hrabstwa Avalon, ale mimo wszystko gliniarza. Miranda idzie z tobą... zadzwoni do Schaeffera. Żadnego z was tu nie było.

Twarz Ralpha stężała. Szkła w jego okularach połyskiwały na żółto. Potarł kciukiem zamek trzystapięćdziesiątkisiódemki.

– Masz pecha, *vato*.

– Nie! – próbowałem go powstrzymać.

Na próżno. Ralph przykucnął na tyle, aby oddać strzał. Wylot lufy rozbłysnął, oświetlając podwozie ciężarówki. Mężczyzna wierzgający w kałuży własnej krwi przestał kopać. Wokół jego głowy wykwitła na asfalcie nowa, mniej kolista plama czerwieni.

Odliczyłem w myślach trzy bardzo długie sekundy. Miranda kuciała obok nas, nadal skamieniała. Jej twarz wyrażała oszołomienie charakterystyczne dla osoby, która uświadomiła sobie właśnie, że przesadziła z popisywaniem się na przyjęciu.

Ralph odwrócił się do mnie i posłał mi bardzo delikatny, zimny uśmiech.

– Nie zamierzam trafić za kratki z powodu Mila Chaveza, *vato*. *Lo siento*.

Zaraz potem zniknął, ciągnąc za sobą Mirandę – czy za jej wolą, czy wbrew jej woli, nad tym nie miałem czasu się zastanawiać.

Trzeci wystrzał. Lada chwila na zewnątrz pojawi się Jean Kraus.

Minęło niemal dwadzieścia lat od czasu, kiedy po raz ostatni strzelałem z

pistoletu. Przesunąłem się półtora metra na lewo, odwróciłem i wysunąłem ponad skraj rampy – na tyle, aby wycelować w dach, mniej więcej w kierunku Shecka i Krausa. Sheck nadal tam stał, ale zdążył schować się częściowo za wielką drewnianą skrzynią. Kraus znajdował się siedem metrów bliżej wejścia. Kiedy wystrzeliłem, prawie potknął się o swoje nogi, próbując się wycofać. Nie miałem czasu zwracać uwagi na to, czy Milo wciąż oddycha.

Przykucnąłem i przesunąłem się w stronę bocznych schodów prowadzących na rampę.

– Sheckly! – zawołałem. – Dwaj mężczyźni na zewnątrz nie żyją. Policja została wezwana. Mamy jakieś trzy minuty, żeby znaleźć rozwiązanie.

Miranda i Ralph zniknęli za bramą. Nie słyszałem żadnych syren. Jeszcze.

Wielka kropla deszczu spadła mi na nos; musiałem zamrużyć. W środku panowała cisza, aż wreszcie Sheck wydał z siebie zduszony okrzyk, kiepską imitację śmiechu.

– Nie potrafisz dać za wygraną, co? Jeżeli uważasz, że rzucę teraz wszystko, żeby podpisać dokumenty Chavezowi, to muszę cię rozczarować... jestem odrobinę zajęty.

Znajdowałem się już u szczytu schodów. Przywarłem do zewnętrznej ściany budynku tuż przy wejściu.

– Chciałeś zastrzelić Chaveza?! – zawołałem. – To był twój pomysł? Na twoim miejscu, Sheck, nie zbliżałbym się teraz do Krausa.

Przykucnąłem i zajrzałem do środka, a mimo to mało brakowało, by Kraus odstrzelił mi głowę. Wiedział, gdzie wycelować. Odpowiedziałem ogniem na oślep, strzelając nieskutecznie w powietrze, i ponownie schowałem się za węglem. Dłoń zdążyła mi zdrętwieć od odrzutu. Czuję zapach spłonki. Mój Boże, ależ ja nienawidzę broni palnej.

Przy okazji trzeciego kuknięcia do środka zauważyłem kilka nowych szczegółów. Po prawej stronie, tuż za Krausem, stały rzędy wielkich cylindrów. Każdy z nich miał prawie dwadzieścia centymetrów średnicy i dwa metry wysokości. Były owinięte w szary papier i zamknięte po obu stronach plastikowymi nakładkami niczym wielkie tuby z rysunkami architektonicznymi.

Drugą rzeczą, na którą zwróciłem uwagę, był Sheckly. Wstał, nie próbując się nawet chować. Nie patrzył w kierunku wejścia, nie szukał wzrokiem mnie. Wpatrywał się w klatkę piersiową Mila Chaveza. Dłoń Chaveza zsunęła się z ramienia i spoczywała bezwładnie na ziemi. Źle to wyglądało.

Rozległ się głos Jeana Krausa.

– Możemy o wszystkim porozmawiać, panie Navarre! – zawołał opanowanym, uprzejmym głosem, nieco zbyt głośnym, żeby budził zaufanie.
– Twój przyjaciel potrzebuje chyba lekarza. Co powiesz na zawieszenie broni?

– No dalej, Navarre! – zawołał Sheckly. – Zjeżdżaj stąd!

– Pogadajmy, jak proponuje Kraus – odpowiedziałem. – Powiedział ci o trzynastoletnim francuskim chłopcu, którego zabił? Jak widać, w tamtej sytuacji gadanie wyszło wszystkim na dobre. Podejrzewam, że to samo zrobi teraz: przeniesie się do innego państwa, a bałagan i zwłoki zostawi tobie na głowie, Tilden. Jak ci się to podoba?

Głos Krausa był odrobinę głośniejszy i odrobinę mniej uprzejmy. Dopilnował, abym usłyszał, że przeładowuje berettę.

– Wycelowałem pistolet w głowę twojego przyjaciela, panie Navarre. W tej chwili nadal można go ocalić. Wrzuć swoją broń przez bramę do magazynu, a może zmienię plany. Rozumiemy się?

Sheckly powiedział coś ostro po niemiecku. Rozkaz. Kraus odpowiedział

drwiąco w tym samym języku.

Sheck warknął ten sam rozkaz, a Kraus się zaśmiał. Gdzieś w oddali zabrzmiały syreny. Deszcz padał mi na twarz i zalewał koszulę.

– Kiepska sprawa, Sheck! – zawołałem. – Odsuść, a dopilnuję, żebyś miał okazję przedstawienia swojej wersji wydarzeń. Jeżeli mają kogoś zlinczować, niech to będą Kraus i jego koledzy. Mówimy o kilku morderstwach, Huntsville i paru Luksemburczykach, którzy mają cię głęboko w dupie. To jak będzie?

– Raz... – zaczął odliczanie Kraus.

Milo Chavez zdołał wydać z siebie jakiś dźwięk – ciche mruknięcie, które gdyby nie osłabienie i szok, byłoby krzykiem.

Sheck powiedział coś ostro po niemiecku, a Kraus odliczył:

– Dwa...

Wtedy straciłem nadzieję i wbiegłem z uniesionym pistoletem przez drzwi. Padły strzały.

Ale nie z mojej broni.

Pamiętam, że Jean Kraus wycelował berettę w Shecka, a Sheck wyjął swój pistolet kalibru .41 szybciej niż ktokolwiek, kogo widziałem na własne oczy. Na plecach białego golfu Krausa wykwitły trzy czerwone pęcherzyki. Kraus poleciał w bok na las ustawionych pionowo szpul z płytami CD, roztrzając je na podłogę. Plastikowe nakładki odskoczyły z tub. Trzy płyty wysunęły się niczym metalowe żetony w kasynie i zaczęły się toczyć po betonie. Trzy.

W magazynie zapanował absolutny spokój. Nad naszymi głowami deszcz bębnił o blaszany dach. Silniki ciężarówek nieprzerwanie szumiały. Przysięgam, że słyszałem chrobot oddechu Mila.

Sheck wpatrywał się we mnie. Miał puste spojrzenie. Otarł pot znad ust wierzchem dłoni, w której trzymał pistolet, zrobił krok do tyłu i zatoczył się

na skrzynię, za którą ukrywał się jeszcze chwilę wcześniej. Pod pachami jego denimowej koszuli widać było wielkie pólkola potu. Cholewka jednego z butów wysunęła się z nogawki spodni. Kapelusz sterczał mu na głowie pod dziwnym kątem. Krwawił – z rany, którą Allison zadała mu kilka dni wcześniej, a z której odkleiły się teraz przytrzymujące ją kawałeczki plastra, oraz z rany na ramieniu, gdzie wystrzelona przez Krausa kula przeszła koszulę, rozdzierając materiał i warstwę skóry.

Syreny robiły się coraz głośniejsze.

Spojrzałem na ciało Krausa leżące wśród płyt CD. Było wygięte na tubach pod pokraczynym kątem, z głową nienaturalnie odchyloną do tyłu, a klatką piersiową nienaturalnie wypiętą do przodu. Jedna z tub upadła na zgięcie jego łokcia i wydawało się, że dzierży w ręku niesamowicie grubą dzidę. Otwarte oczy były nieustająco czarne i świdrujące.

Przyklęknąłem przy Milu i spojrzałem na jego twarz. Nie potrafiłem z niej nic wyczytać. Nadal oddychał, nadal krwawił. Ranę miał na ramieniu, uszkodzeniu nie uległ prawdopodobnie żaden z narządów wewnętrznych. Wzrok miał zaszklony i nieobecny.

Spojrzałem na Shecka.

Oddychał płytko, jakby próbował sobie przypomnieć, jak to się robi. Spojrzał na mnie i się roześmiał. Zabrzmiało to bardziej jak zboląły skowyt, jakby właśnie przyżegano mu jakąś ranę.

– Potrafię mówić, chłopcze – powiedział. – Będę mówił. Do diabła, wygrzebałem się już z większych kłopotów.

Syreny się zbliżały. Zabrałem się do opatrywania ran Mila; Sheckly zaczął krążyć po magazynie, rozkopując pirackie płyty, śmiejąc się i pomrukując w stronę zwłok Jeana Krausa, że jak się tak zastanowić, to z kilkaset razy wygrzebywał się już z większych kłopotów.



Niewiele pamiętam z wtorku i środy.

Pamiętam policjantów, Mila Chaveza w szpitalu, kolejną falę policjantów. Pamiętam, że przez wiele godzin spałem w pokoju przesłuchań, że kilkakrotnie rozmawiałem z Samem Barrerą i Gene'em Shaefferem i że miałem okazję poznać paru sympatycznych znajomych Barrery z FBI i ATF. Kiedy zapadałem w sen, śniłem o oddawaniu kolejnych litrów krwi, o tym, że prosiłem o pączki i wodę, a dostawałem tylko naklejki z uśmiechniętymi buziami i napisem: „JESTEM DAWCĄ”.

Obudziłem się w czwartek rano na futonie pod numerem dziewięćdziesiątym na Queen Anne, zastanawiając się, w jaki sposób się tam znalazłem. W moim umyśle zaczęły się pojawiać niewyraźne wspomnienia podróży na tylnym siedzeniu musztardowożółtego bmw, osoby pachnącej wodą kolońską Aramis i przeklinającej imię mojego ojca w czasie wyciągania mnie z samochodu, wciągania po schodach i bez pardonowego rzucania na łóżko.

Odmrugalem zaskorupiałe oczy. Robert Johnson leżał zwinięty na moich stopach. Telewizor był włączony.

Gapilem się na piękne barwy i plastikowe twarze dziennikarzy prowadzących program. Wydawane przez nich dźwięki zaczynały się powoli przekształcać w język angielski.

Podsumowywali wydarzenie tygodnia, mówiąc o rzeczach, które już wiedziałem. Policja dokonała drugiej największej konfiskaty pirackich płyt

CD w historii Stanów Zjednoczonych, a doszło do tego w Alamo Heights, dzielnicy naszego San Antonio. Przejęto półtora miliona dolarów w gotówce i trzysta pięćdziesiąt tysięcy albumów niemal dziewięćdziesięciu piosenkarzy country. Policja zareagowała na doniesienie o odgłosach strzałów w jednym z magazynów na North Side w poniedziałkowy wieczór. Jeszcze przed przybyciem funkcjonariuszy zginęło trzech mężczyzn. Jedną z ofiar był zastępca szeryfa hrabstwa Avalon, który najwyraźniej działał w zмовie z fałszerzami. Dwie pozostałe były narodowości luksemburskiej. Kłótnia między złodziejami – podsumował jeden z reporterów.

Tilden Sheckly, lokalny przedsiębiorca działający w branży muzycznej, został zatrzymany na miejscu i zdecydował się udzielić policji wyjaśnień na temat swoich powiązań z europejską szajką przemytników. Przedstawicielom urzędu celnego wskazał trzy inne magazyny, w których znajdowały się płyty CD, gotówka i kilka skrzynek broni automatycznej. Jak oceniła ATF, były one pierwszym transportem w zaplanowanej operacji przemytu broni do Stanów Zjednoczonych, która miała korzystać z sieci dystrybucji pirackich płyt CD. Uważa się, że kilka morderstw, do których doszło niedawno w San Antonio i okolicach, miało związek właśnie z działalnością luksemburskiej szajki. Co najmniej jeden obcokrajowiec pozostawał nadal na wolności i był poszukiwany za zamordowanie zastępcy szeryfa hrabstwa Avalon Elgina Garwooda. Prowadzący zaprezentował twarz poszukiwanego mężczyzny – trzeciej osoby, która znajdowała się w bmw Jeana Krausa – i podał nazwisko, które nic mi nie mówiło. Narzędzie zbrodni znaleziono kilka przecznic dalej – niezarejestrowany pistolet kalibru .357, z którego sprawca usunął odciski palców.

Trwały poszukiwania lokalnego łowcy talentów Lesa Saint-Pierre'a. Według Samuela Barrery, prywatnego detektywa pracującego dla ASPF,

który samodzielnie doprowadził do zatrzymania przestępców, pan Saint-Pierre nie znajdował się w gronie podejrzanych. Barrera wyjaśnił, że Saint-Pierre zniknął jakiś czas wcześniej, gdy odgrywał rolę policyjnego informatora, i niestety prawdopodobnie nie żyje.

Jeżeli chodzi o Tildena Sheckly'ego, to okazał się tylko płótką. Rzecznik policji San Antonio, naciskany przez dziennikarzy, potwierdził, że Sheck ma spore szanse na łagodny wyrok, jeżeli tylko zgodnie z obietnicą pomoże władzom kilku stanów i co najmniej trzech państw Unii Europejskiej, dzieląc się informacjami na temat swoich luksemburskich wspólników.

Wyłączyłem telewizor.

Jakimś cudem wziąłem prysznic, potem zjadłem trochę płatków z zimnym mlekiem.

Około dziesiątej zadzwoniłem do znajomego z działu rozrywki „Express-News” i dowiedziałem się wszystkiego, o czym nie powiedziano w telewizji. W środowisku branży muzycznej krążyły pogłoski, że Les Saint-Pierre zdefraudował kilkadziesiąt tysięcy dolarów z funduszy swojej agencji i uciekł na Karaiby. Inni twierdzili, że do Mazatlán. Jeszcze inni że do Brazylii. Wielu mówiło, że współpracował z Luksemburczykami. Kierowana przez niego agencja upadła czterdzieści osiem godzin wcześniej, mimo że jeden ze współpracowników Lesa, Milo Chavez, bohaterstwo stawiał czoła piratom i ujawnił całą operację. Chavez dochodził podobno do zdrowia i przygotowywał lukratywny kontrakt z Century Records dla Mirandy Daniels. W wyniku trwających negocjacji oraz rozgłosu otrzymał propozycje pracy od kilku dużych agencji z Nashville. Za Milem miałyby podążyć jego klientka Miranda Daniels oraz spora część artystów, którymi wcześniej zajmował się Saint-Pierre. Milo najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z własnej pozycji.

Według mojego znajomego z „Express-News” taśma demo nagrana przez

Mirandę Daniels zawierała dobre piosenki – na tyle dobre, że złota płyta wydawała się pewna. W środowisku aż huczało, cokolwiek to miałyby znaczyć. Mój znajomy przypuszczał, że Miranda podpisze kontrakt z Century Records i znajdzie się na liście przebojów „Billboardu” jeszcze przed Nowym Rokiem. Jego zdaniem spore znaczenie miał aspekt ludzki – przede wszystkim niedawna tragiczna śmierć brata Mirandy, który napisał kilka z jej najlepszych piosenek. Morderstwo byłej skrzypaczki również mogło pomóc.

– Tabloidy rzuciły się na ten temat – mówił Carlon McAffrey. – Nie masz przypadkiem dojść do tego całego Chavez, co? Albo do Daniels?

Odłożyłem słuchawkę.

Niemal do południa ćwiczyłem tai-chi na werandzie. W połowie długiego zestawu moje mięśnie ponownie zaczęły pracować na normalnych obrotach. Obezwładniające uczucie mdłości osłabło. Gdy doszedłem do ćwiczeń z mieczem, odzyskałem już niemal całkowicie zdolność pełnej koncentracji. Akurat kiedy kończyłem ostatni zestaw, zadzwonił telefon.

Wszedłem do środka i odebrałem po trzecim dzwonku.

– Allen Meissner – powiedziała Kelly Arguello.

– Co?

– Weź długopis, głupolu.

Wyciągnąłem długopis zza deski do prasowania. Kelly podyktowała mi numer ubezpieczenia społecznego, numer tablicy rejestracyjnej z Teksasu i numer lotu.

– Meissner złożył podanie o numer ubezpieczenia społecznego dwa miesiące temu – wyjaśniła – w wieku czterdziestu pięciu lat. Przed dwoma tygodniami wydział komunikacji wydał mu prawo jazdy. Kupił również bilety lotnicze do Nowego Jorku w American Airlines; wylatuje jutro. Niezłe osiągnięcie, biorąc pod uwagę, że gość zmarł w 1995 roku. Meissner

pracował jako wewnętrzny audytor w Texas Instruments.

– Jasna cholera! – zawołałem.

– Powiedziałaś przecież „do piątku”, prawda?

– Znalazłaś go.

Kelly się roześmiała.

– Właśnie to próbowałam ci powiedzieć, *chico loco*. Twój klient będzie zadowolony?

Wpatrywałem się w numer lotu.

– Kiedy dokonano rezerwacji?

– Wczoraj. Słuchaj... to są dobre wieści, prawda?

Zawahałem się.

– Zdecydowanie. Kelly, jesteś niesamowita.

– To też od dawna próbowałam ci powiedzieć. A zatem w sprawie tej kolacji...

– Pogadaj z Ralphem.

– O rany, tylko nie to.

Oparłem się o deskę do prasowania i przeczesalem palcami włosy. Zamknąłem oczy i zacząłem się wsłuchiwać w delikatne trzeszczenie linii telefonicznej.

– Nie – odpowiedziałem. – Chodziło mi o to, że powinnaś do niego zadzwonić.

Przez dłuższą chwilę próbowała w milczeniu zinterpretować ton, którym wypowiedziałem te słowa.

– Co się stało? W co się tym razem wpakowaliście?

– Powinnaś do niego zadzwonić, rozumiesz? A najlepiej tu przyjedź. Spędź z nim dzień, dobrze? On potrzebuje... sam nie wiem, ale myślę, że potrzebuje jakiegoś potwierdzenia, że istniejesz. Jakiegoś siostrzenicowego

wpływu.

- Jest takie słowo jak „siostrzenicowy”?
- Słuchaj, rozmawiasz z doktorem anglistyki. Daj se siana.
- Tak mają wyglądać podziękowania za pomoc, jakiej ci udzieliłam?
- Przyjedziesz?

Kelly westchnęła.

- Przyjadę. Przy okazji zajrzę do ciebie.

Zabrzmiało to jak najstraszliwsza groźba, jaką potrafiła wystosować pod moim adresem. Nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

- *Bueno?* – zapytała.
- *Bueno* – zgodziłem się.



Dopiero w piątek rano udało mi się ponownie porozmawiać z Milem i Mirandą. Nie mam pojęcia, w jaki sposób rzeczy Mirandy zostały zabrane z kryjówki na South Side – Ralph jakoś to po prostu zorganizował. Do mnie nie zadzwonił. Co o czymś świadczyło.

Milo i Miranda zgodzili się zjeść ze mną śniadanie w Sunset Cafe. Spotkanie umówiła Gladys, była recepcjonistka dawnej agencji Lesa Saint-Pierre’a.

Sunset Cafe to tego rodzaju lokal, na który normalnie nie zwrócilibyście najmniejszej uwagi – mała buda z cegły zbudowana na pagórku przy Broadway, wciśnięta między galerię sztuki a biuro firmy ubezpieczeniowej. Wbrew nazwie *cocina* była otwierana i zamykana wcześnie. Robotnicy przychodzili tam na śniadania złożone z jajek na bekonie, *tacos carne guisada* oraz kawy. Kiedy wtoczyłem się moim volkswagenem po stromym podjeździe i zatrzymałem go na maleńkim parkingu, jeep Miła był już na miejscu.

Obok zobaczyłem również brązowo-białego forda pikapa Danielsów, tym razem bez przyczepy do transportu koni. Za kierownicą siedział Willis Daniels. Nawet jeśli mnie zauważył, w żaden sposób nie dał tego po sobie poznać. A przynajmniej dopóki nie zatrzymałem się na kilka sekund przy jego oknie.

Staruszek podniósł wzrok znad książki i posłał mi cierpki uśmiech.

– Panie Navarre.

Wyciągnął elegancko dłoń. Ucisnął mi rękę zupełnie bez energii, z jaką

zrobił to podczas pierwszego spotkania przed Silo Studios ze sto lat temu.

– Nie jest pan głodny? – zapytałem.

W jego uśmiechu pojawił się cień smutnego rozbawienia.

– Tylko bym przeszkadzał. Lepiej idź sam.

Westchnął i powrócił do lektury. Wolałbym już, żeby na mnie nawrzeszczał albo przynajmniej obrzucił mnie surowym spojrzeniem. Poszedłem do środka.

Milo i Miranda pili kawę przy oknie.

Nie muszę nawet mówić, że Milo wyglądał dobrze, niemniej przeżyłem lekki szok, widząc go ponownie w nienagannym stanie po tym, jak leżał rozciągnięty na podłodze magazynu, a potem w szpitalnym łóżku. Miał na sobie ciemne, świeżo wyprasowane spodnie i białą wykrochmaloną koszulę. Ukryte pod nią bandażę sprawiały, że jego lewe ramię wydawało się bardziej pękate od prawego. W uchu miał kolczyk z diamentem, a jego krótkie czarne włosy wyglądały na dopiero co przystrzyżone.

Na mój widok chwycił różowe krzesło i wyciągnął je spod stołu.

– Siadaj, Tres.

Usiadłem między nimi.

Miranda miała na nosie lekko przyciemnione okrągłe okulary przeciwsłoneczne. Ubrała się całkowicie na biało – długa spódnica, bluzka z wystarczającą ilością ćwieków z masy perłowej, aby było wiadomo, że śpiewa w kategorii country & western, białe buty do kostek. Nawet swoje ciemne, kręcone włosy spięła białą opaską, przez co ciemne okulary wyróżniały się jeszcze bardziej na tle wysokiego czoła.

Siedziała ze spojrzeniem wbitym w kawę, trzymając kubek w obu dłoniach. Zerknęła tylko na mnie, po czym ponownie spuściła wzrok.

– Proszę. – Postawiłem pudełko po butach obok talerza Mila, na którym

leżały owinięte w folię aluminiową *tacos*.

Milo skrzywił się, uniósł pokrywkę i natychmiast ją opuścił.

Jeden z robotników budowlanych siedzących przy sąsiednim stoliku najwyraźniej zauważył, co znajdowało się w środku, i powiedział pod nosem: „O kurwa”, trącając w ramię swojego kumpla.

– Przyniosłeś mi kasę? – zapytał z niedowierzaniem Milo.

– Tę samą, którą znalazłem.

Milo wydawał się lekko zdezorientowany tonem mojego głosu.

– Okej. Pięćdziesiąt tysięcy?

– Połowę.

Spoglądał na mnie przez dłuższą chwilę.

– Masz z tym jakiś problem? – zapytałem.

– No chyba.

– Resztę przekażę Allison. Biorąc pod uwagę, jak wyglądają obecnie sprawy, być może będzie to jedyna rzecz, jaka jej przypadnie.

Wzrok Mila zsunął się na Mirandę, która wyraźnie posmutniała.

– Allison – powtórzył Milo. – Zdajesz sobie sprawę, że te pieniądze należą do agencji, do Lesa i do mnie. Zdajesz sobie sprawę, że ona nie ma do nich żadnego prawa... po co zatem, do kurwy...

– Chcesz wyjaśniać sprawę z urzędem skarbowym, proszę bardzo. Nie wątpię, że zamierzałeś zgłosić fakt odzyskania funduszy.

Milo zamknął usta. Po jego wzroku widziałem, że jest rozjuszony jak byk, ale starał się za wszelką cenę tego po sobie nie pokazać.

– Miałem nadzieję, że będziemy nieco bardziej konstruktywni. Nie zamierzałem... – Pokręcił głową wyraźnie zawiedziony. – Na litość boską, Tres, to jasne, że jesteśmy twoimi dłużnikami, ale...

Odsłonił przede mną kawałek swojego wnętrza, odrobinę poczucia

krzywdy i skrępowania, czym chciał mnie zapewnić, że nadal jesteśmy przyjaciółmi.

– Jesteś zadowolona z kontraktu? – zapytałem Mirandę.

Zaskoczyłem ją tym pytaniem, a może zdziwiło ją to, że w ogóle się do niej odezwałem.

Wyprostowała się i lekko ode mnie odsunęła.

– Tak, będę zadowolona. Jestem ci wdzięczna. Ale...

Zbierała się w sobie, żeby coś powiedzieć, prawdopodobnie jakąś kwestię, którą przećwiczyli z Milem przed moim przyjściem. Nie zdołała jej z siebie wydusić. Przełknęła ślinę; wyglądała, jakby miała się za chwilę rozpłakać. Tę minę opanowała do perfekcji.

– Miranda przeprowadza się do Nashville – dokończył za nią Milo. – Oboje się przeprowadzamy.

Przeniosłem wzrok z powrotem na niego.

– Oboje się przeprowadzacie.

Z jakiegoś powodu słowa te zabrzmiały absurdalnie. Miałem poczucie, jakbym mówił coś po hiszpańsku i natrafił na nieznaną idiom, który pozbawił mnie złudzeń, że potrafię się płynnie porozumiewać w tym języku.

Milo rozwinął jedno ze swoich *tacos*, odginając folię aluminiową z beznamiętnym spojrzeniem koronera. Z jajek uniosła się zygzakiem smuga dymu.

– Na szczęście sprawy ułożyły się dla nas naprawdę dobrze – wyjaśnił. – Wielkie szczęście. Jesteśmy ci za to niepomniernie wdzięczni, ale uznaliśmy, że tak będzie najlepiej... Miranda powinna się znaleźć bliżej centrum wydarzeń.

Wpatrywałem się w Mirandę. Nie podniosła wzroku.

– Chcieliśmy, żebyś usłyszał o tym od nas – ciągnął Milo. – Istnieje wiele

nierozwiązanych problemów, które pozostały po całej sprawie. Dopóki kariera Mirandy nie rozkręci się na dobre, sytuacja pozostanie napięta. Miranda musi się całkowicie odciąć od wszystkiego, co się tu wydarzyło.

Nie odrywałem od niej wzroku.

– Straciła tu rodzinę – ciągnął Milo. – Nie może przypominać sobie o tym na każdym kroku. Chcemy dopilnować, abyś czuł się odpowiednio wynagrodzony, ale musisz zniknąć z jej życia, Tres. Będę na to nalegał.

– Wynagrodzony – powiedziałem. Kolejne niezrozumiałe słowo. Spojrzałem na Mirandę. – Planujesz wynagrodzić również innych? Cama, Shecka, Lesa? A co z Brentem i Julie Kearnes?

Miranda otarła łzę. Przeskakiwała między żalem a gniewem, nie mogąc się zdecydować, które podejście będzie skuteczniejsze.

– To nie fair, Tres – mruknęła zachrypniętym głosem. – To naprawdę nie fair.

Skinąłem głową.

– Ile czasu upłynie, zanim Milo usłyszy taki sam komunikat o potrzebie nowego startu od kogoś z Nashville, od trochę grubszej grubej ryby, która będzie potrafiła trochę lepiej zadbać o twoje interesy? Tydzień temu powiedziałaś mi, że Allison jest jedyną osobą, która budzi w tobie śmiertelne przerażenie. Tak się złożyło, że poznałem kogoś jeszcze bardziej przerażającego.

– Przestań – powiedział Milo.

Teraz całkowicie wcielił się w rolę prawnika. Nasza znajomość trwała około trzydziestu sekund i miała zaniknąć zaraz po zakończeniu rozmowy – jak odciski palców na świeżym cieście na babkę drożdżową.

Wstałem. Podeszła do nas kelnerka i przepaszającym tonem zaproponowała mi kawę, najwyraźniej wystraszona, że nie obsłużyła mnie

odpowiednio szybko. Kiedy nie zareagowałem, uniosła brwi i odeszła obrażona.

– Dotrzymałeś swojej obietnicy, Chavez – powiedziałem. – Dopilnowałeś, aby sprawy nie zakończyły się w taki sposób, jak poprzednim razem.

Wyszedłem.

Kiedy mijałem jego samochód, Willis Daniels nie raczył nawet podnieść wzroku znad książki. Twarz rozjaśniał mu jego spokojny uśmiech Świętego Mikołaja.

Przez witrynę Sunset Cafe widziałem płaczącą Mirandę. Milo obejmował ją wielkim ramieniem. Pocieszał ją, prawdopodobnie mówił, że zrobiła to, co konieczne. Że teraz będzie już tylko lepiej.

Nikt nie czekał na mnie w volkswagenie.

I całe szczęście, bo chyba bym mu przywalił.

Po dojechaniu do Broadway skręciłem w prawo i skierowałem się na lotnisko. Chciałem pomachać pewnej osobie na pożegnanie.



Główny terminal lotniska w San Antonio ma kształt lizaka – długi korytarz zwieńczony karuzelą wyjść. Pośrodku koła znajdują się kiosk, drogi bar oraz stoisko z pamiątkami, gdzie turyści mają ostatnią okazję kupienia autentycznych teksańskich piklowanych papryczek *jalapeños*, wypchanych pancerników i desek klozetowych z grzechotnikiem zatopionym w plastiku.

Pasażerowie lotu American Airlines do Nowego Jorku mieli wchodzić przez bramkę numer dwanaście. Do odlotu została godzina. Chwilę przed moim przyjściem w terminalu pojawili się pasażerowie lotu z Denver – kilku biznesmenów, para studentów i masa bladych emerytów, którzy planowali przezimować w Teksasie.

Kupiłem sobie za cztery dolary piwo z beczki i usiadłem przy stoliku za rzędem doniczek z bromeliami, przodem do bramki. Przy sąsiednim stoliku dwóch ubranych po cywilnemu pilotów wymieniało się historyjkami. Dostali przepustkę ze szkolenia w Lackland i lecieli na tydzień do domów. Jeden opowiadał o swojej żonie.

Do bramki nie podszedł jak na razie nikt, kogo spodziewałem się tam zobaczyć. Nikt nie zgłosił się jeszcze do odprawy. Dwie stewardesy wyszły wolnym krokiem z rękawa – obie były długonogimi blondynkami i ciągnęły za sobą walizki. Za nimi kroczył lekko grubawy kapitan, rozkoszując się widokami.

Przy oknie mały latynoski chłopiec, przypominający bardzo Jema, przyciskał twarz do szyby, za którą widać było pasy startowe. Nadymając

policzki, dmuchał w szybę, po czym przebiegał metr i powtarzał całą operację. Szyba była obśliniona na odcinku dobrych dziesięciu metrów. Jego ojciec siedział parę rzędów dalej i oglądał sport na podwieszonym kilka metrów nad podłogą telewizorze. Był chyba niewiele starszy ode mnie. Chłopaczek miał może z pięć lat.

W końcu pracownik linii lotniczych zmienił napis na wyświetlaczu przy bramce. „NOWY JORK. O CZASIE”. Nacisnął kilka klawiszy na terminalu, po czym wymienił jakąś żartobliwą uwagę z ochroniarzami.

Zaczęli się pojawiać pasażerowie.

Piloci wstali, uścisnęli sobie dłonie i się rozeszli. Jeden leciał do Montany. Nie znałem planów drugiego.

Kupiłem kolejne piwo za cztery dolary.

Latynoskiemu chłopcu znudziło się obślinianie szyb, podbiegł do taty i zaczął się na niego wdrapywać. Ojciec nie zwracał na niego większej uwagi. Chwilę później wyglądało, jakby z obojczyków wyrastała mu para młócających powietrze rączek.

W końcu pojawił się nowo narodzony Allen Meissner – równo dwadzieścia minut przed odlotem, dokładnie wtedy, kiedy obsługa zaczęła wpuszczać pasażerów na pokład. Miał kowbojski kapelusz, który całkiem skutecznie osłaniał jego twarz, okulary i sprane dżinsowe ubranie, które nie pasowało do jego normalnego wyglądu. Miał lekko rozjaśnione włosy, podejrzewałem również, że podeszwa kowbojskich butów jest nieco grubsza, niż to konieczne. Musiał opanować sztukę ukrywania swojej prawdziwej tożsamości, podobnie jak musiał opanować sztukę stworzenia dokumentacji dla swojej nowej tożsamości. W takim przebraniu nie zwracał na siebie uwagi postronnych osób. Nie ryzykował też przypadkowego spotkania z dawnymi znajomymi, chyba że ktoś wiedział, czego szukać. Ja wiedziałem.

Nie miałem wątpliwości, że to on.

Świeżo upieczony pan Meissner podróżował z niewielką ilością bagażu – pojedynczym ciemnozielonym plecakiem. W zasadzie identycznym z moim.

Podszedłem do niego od tyłu, kiedy odbierał kartę pokładową.

Pozwoliłem mu dokonać odprawy, odpowiedzieć na pytania i wymruczeć „dziękuję” do stewarda. Kiedy się odwrócił, wpadając na mnie, stałem tak blisko, że nie zdążył zauważyć mojej twarzy. Zaczął mnie wymijać w taki sposób, jak się wymija obcą osobę – kolejną przeszkodę na drodze.

Chwyciłem go za ramię i pociągnąłem do siebie.

Spojrzał mi w twarz.

– Cześć, Allen – powiedziałem.

Widziałem w życiu wiele odcieni czerwonego, ale nigdy tak intensywnego i tak szybko rozlewającego się po twarzy. Nie jestem pewien, jak Brent Daniels zachowałby się w innych okolicznościach, ale w tłumie na lotnisku, pozbawiony planu awaryjnego, nie wiedział, co zrobić. Decyzja należała do mnie.

– Postaw mi piwo – zarządziłem.

Przez moment sądziłem, że rzuci się do ucieczki. Jego palce zaciśnięte na pasku od plecaka zbieleły. W końcu jednak przecisnął się obok mnie powoli, mimo że był wściekły, i ruszył w stronę baru jak dzieciak, którego wysłano do gabinetu dyrektora i który znał na pamięć drogę.

Usiedliśmy przy tym samym stoliku, który zajmowałem wcześniej. Moje krzesło wciąż było ciepłe. Brent usiadł naprzeciwko z piwem. Jednym. Przesunął je w moją stronę i czekał na reakcję, zupełnie jakby się spodziewał, że dostanie pozwolenie, żeby sobie pójść.

Nie dostał.

– Nowy Jork – powiedziałem. – A potem?

Z ust Brenta wydobył się cichy syk. Wyglądał dziwnie w okularach, jakby starzej. Dziwnie wyglądał również dlatego, że po raz pierwszy przyłożył się do swojego wyglądu. Naprawdę się przyłożył. Był gładko ogolony i czyściuteńki. Nieźle jak na gościa, który kilka dni wcześniej był kupką popiołu.

Widziałem, że do głowy przyszło mu kilka kłamstewek; ostatecznie nie zdecydował się użyć żadnego z nich.

– Nie wiem.

– Les nie miał aż tak rozbudowanych planów? – zapytałem. – Czy po prostu nie masz pojęcia, co zamierzał zrobić?

Brent pokręcił głową.

– Czego chcesz, Navarre?

Odpowiedź chyba niespecjalnie go interesowała.

– Nie zależy mi na przyznaniu się do winy – powiedziałem. – Wiem mniej więcej, co się wydarzyło. Les musiał dokądś pójść, po tym jak został przepłoszony z kryjówki nad jeziorem Medina. Już wcześniej uważał cię za bratnią duszę: spędzaliście czas w swoim towarzystwie, miałeś wszystko gdzieś i wiedziałeś, co to znaczy doświadczać poczucia wewnętrznej pustki. Wiedziałeś również, jakie to uczucie zostać wyrolowanym przez Mirandę.

Czekałem, żeby zaprzeczył. Nie zrobił tego.

– Les przyjechał do ciebie, a ty zgodziłeś się przechować go w pokoju na stryszku. Kiedy to było? Tydzień, półtora tygodnia temu?

Brent bardzo powoli pokiwał głową.

– Pewnego dnia Les się upił. Potem mu odwaliło. Był lekomanem. Wydawało mu się, że znalazł coś znajomego w twojej szafce z lekarstwami, coś podobnego do jednego z jego ulubionych narkotyków. Zażył to i zapadł w śpiączkę cukrzycową. Może nawet nie zmarł od razu. Może przez jakiś

czas pozostawał nieprzytomny, a ty w końcu zdałeś sobie sprawę, że masz w mieszkaniu umierające warzywo. Les dysponował gotowym planem, nową tożsamością, pieniędzmi, drogą ucieczki i wszystkim, co potrzebne do rozpoczęcia nowego życia. Czterdziestoparoletni mężczyzna z pieniędzmi, ale bez żadnych zobowiązań. Les już tego nie potrzebował, więc postanowiłeś sam skorzystać. Brent Daniels nie mógł liczyć na specjalnie ciekawą przyszłość, prawda? A już na pewno nie miał specjalnie ciekawej przeszłości. Spaliłeś ciało Lesa w swoim mieszkaniu wraz z tożsamością Brenta Danielsa.

I tym razem trafność swych domysłów mogłem ocenić jedynie po wzroku Brenta. Nic się nie zmieniło w wyrazie jego twarzy. Moje słowa spłynęły po nim, nie próbował ich w jakikolwiek sposób zatrzymać, nie okazał w żaden sposób, że się pomyliłem. A może był zbyt oszołomiony, żeby cokolwiek po sobie pokazać.

– To dlatego Les nie zabrał pięćdziesięciu tysięcy dolarów ze swojej łodzi. On już nie żył, a ty nie wiedziałeś o istnieniu pieniędzy. Ile tak naprawdę wiedziałeś, Brent? Mając dostęp do nowej tożsamości Lesa... wystarczyło pewnie zmienić jedno, dwa zdjęcia... i mogłeś robić, co chciałeś. W tym celu musiałeś mieć hasła co najmniej do kilku kont świętej pamięci pana Meissnera.

– Chcesz już iść? – zapytał. Było wyraźnie widać, że tak naprawdę miał na myśli „nas”, spodziewał się, że lada chwila ktoś go zakuje w kajdanki.

– Nie – odpowiedziałem.

Brent wpatrywał się w moje piwo. Jego ramiona opadły pod ciężarem plecaka.

– Nie?

Całkowity szok. Niedowierzanie. Czułem to samo, mimo to pokręciłem

głową. Usłyszałem, jak mówię:

– Masz dziesięć minut. Może uważam, że na to zasługujesz. Zdecydowanie bardziej niż Les Saint-Pierre.

W pierwszej chwili Brent siedział jak sparaliżowany. Potem powoli podniósł się z krzesła, sprawdzając prawdziwość moich słów.

– Tylko jedno – powiedziałem. – Potrzebuję odpowiedzi na jedno pytanie. Czekaj.

Wypiłem łyk piwa. Nasze spojrzenia się spotkały.

– Istnieje inny możliwy scenariusz. Scenariusz, którego nie potrafiłbym zaakceptować. Scenariusz, w którym podałeś Lesowi te pastylki celowo, wiedząc, jaki skutek będą miały dla jego zniszczonej przez alkohol wątroby. W tym scenariuszu Les zmarł znacznie wcześniej, nie żył od dostatecznie dawna, żebyś mógł zrekonstruować cały plan. Te szamba za stodołą... jeden z nowych pojemników został wcześniej zakopany, potem z powrotem wyciągnięty z ziemi tuż przed pożarem. To nie był przypadek. Ten zbiornik nie służył jedynie do gromadzenia brudnej wody.

Brent czekał.

– Powiedz mi, że było inaczej. Że nie doszło do tego celowo.

Brent pokręcił głową. Potem niemal bezgłośnie powiedział:

– Nie.

Z nieco większą pewnością poruszył ramionami, poprawiając plecak.

Spojrzał mi głęboko w oczy.

– Nie mogłem dłużej słuchać tych piosenek – powiedział. – Popełniłem błąd, oddając je. Gdybym usłyszał je w radiu, gdybym usłyszał, jak Miranda je śpiewa...

Zacisnął powieki tak mocno, że wyglądał jak człowiek, który przystawił sobie lufę do skroni i zamierza pociągnąć za spust.

– Spóźnisz się na samolot – powiedziałem.

Trudno mi było wypowiedzieć te słowa w przekonujący sposób, jakby to rzeczywiście było najlepsze rozwiązanie. Jeszcze więcej kosztowało mnie spokojne przyglądanie się, jak odchodzi, ale tak właśnie zrobiłem. Na końcu widziałem tylko jego kowbojski kapelusz, tuż przed tym jak latynoski chłopiec niesiony przez ojca na ramionach znalazł się w kolejce do tunelu i chwilę później w nim zniknął. Podrygiwał i wyciągał ręce na boki, jakby był samolotem, zasłaniając Brenta.

Stewardesa uśmiechnęła się i posłała znaczące spojrzenie stojącemu obok niej bagażowemu z pustym wózkiem inwalidzkim. Ech, te dzieciaki.

Wstałem, spojrzałem na piwo, które kupił mi Brent. Wylałem zawartość szklanki do doniczki z bromelią i wyszedłem.



Rozmowa telefoniczna z profesorem Mitchellem z Uniwersytetu Tekszańskiego trwała dokładnie trzydzieści sekund. zaproponował mi objęcie stanowiska. Ja odpowiedziałem, że czuję się zaszczycony i że muszę się nad tym zastanowić.

– Rozumiem, chłopcze. – Starał się, żeby jego ton nie zdradzał wszystkiego, żeby nie okazać, że nie rozumie, że muszę być idiotą, jeżeli chcę się zastanawiać nad propozycją. – Kiedy możemy się spodziewać odpowiedzi?

Obiecałem, że udzielę jej w następnym tygodniu. Wyjaśniłem, że muszę wcześniej skończyć inne szkolenie.

– Nie ma sprawy – odparł.

Po odłożeniu słuchawki przez długi czas wpatrywałem się w lagerstremię rosnącą za kuchennym oknem. Poczułem ulgę, kiedy dwadzieścia minut później Erainia swoim zwyczajem wykonała synkopowane *stuk-stuk-stuk* w drzwi frontowe.

Kiedy je otworzyłem, Jem się roześmiał i prawie wpakował mi w klatkę piersiową dwupiętrowy tort. Na szczęście zdążyłem złapać tort, póki znajdował się wciąż w jednym kawałku, i unieść go w górę, umożliwiając tym samym Jemowi przypuszczenie nieskrępowanego ataku na moje nogi.

Robert Johnson miauknął z wyrzutem i zniknął w szafie. Prawdopodobnie wciąż miał w pamięci poprzednią wizytę rodziny Manos.

Erainia weszła do środka i rozejrzała się po moim mieszkaniu.

– Więc wciąż żyjesz. A nie zadzwoniłeś, bo co? Zapomniałeś numeru?

Jem skarżył mi się w sprawie tortu. Powiedział, że będziemy musieli poczekać, aż odpracuję brakujące godziny, żeby go zjeść, ale że upiekł go sam z wykorzystaniem zestawu do barwienia ciast i że nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jakie kolory znajdują się w środku. Zewnętrzna warstwa wyglądała dostatecznie przerażająco – grudkowaty szary lukier, który przypominał raczej rezultat sesji malowania palcami w betonie. Warstwy miały nierówną grubość i były przesunięte względem siebie; ciasto wyglądało, jakby wychylało się z talerza.

– To chyba najpiękniejsze ciasto, jakie widziałem, brachu.

Jem zachichotał, po czym ruszył na poszukiwanie kota.

Na górnej półce w szafie drgnęło jedno z pudełek na buty.

Erainia nadal czekała na odpowiedź na swoje pytanie. Piorunowała mnie wzrokiem; wlepiała we mnie czarne oczy i stukała pazurzystymi palcami po swoim ramieniu.

– Zostało mi dziesięć godzin – powiedziałem. – To mniej więcej jedna sprawa. Myślisz, że uda nam się przez tak długi czas powstrzymać od kłótni?

– Dwadzieścia – przypomniała mi. – Nie mam pojęcia, złociutki. Planujesz znowu zajmować się czymś na boku?

– Profesor Mitchell prawdopodobnie zadaje sobie to samo pytanie.

Zmarszczyła brwi.

– Jaki znowu Mitchell?

– Powiedziałem już, że tak. Jestem gotów skończyć. A ty?

Erainia zastanawiała się przez chwilę, rozważając wszystkie za i przeciw.

– Tak sobie myślę, złociutki, że sprawa Longorii mogłaby pójść łatwiej, gdybym mogła wykorzystać w charakterze przynęty kogoś o wyglądzie przygłupa. Od biedy dałoby się znaleźć jakieś plusy twojej obecności. Może

tkwi w tobie jakiś potencjał. Oczywiście bez przesady. A co po tych dwudziestu godzinach?

Jem wrócił z Robertem Johnsonem, którego trzymał za przednie łapy. Tyłne zwisały prawie do ziemi, odsłaniając małe białe V na jego podbrzuszu. Na pyszczku malowała się taka mina, jakby lada chwila miał umrzeć ze wstydu.

Jem miał zatroskany wyraz twarzy.

– Gdzie się podziała Miranda?

Chwilę wcześniej musiał coś skojarzyć; przypomniał sobie swoją towarzyszkę z Halloween i to, że miała ona jakiś nieokreślony związek z Tresem, kiedy akurat nie była jego panną Muffett.

Erainia wyczekiwała odpowiedzi na oba pytania, swoje i Jema. Przygryzła usta od środka; wargi miała przekrzywione na bok.

– Miranda musiała wyjechać, brachu. Zostanie piosenkarką w Nashville. Fajnie, co?

Jemowi chyba niespecjalnie to zaimponowało. Podobnie jak Robertowi Johnsonowi. Obaj odwrócili się i odeszli. Prawdopodobnie po to, żeby pobawić się w łazience w „mokry kotek–suchy kotek”.

– Potrzebujesz czegoś, złociutki? – Głos Erainii był teraz łagodniejszy, nawet do tego stopnia, że musiałem na nią spojrzeć, żeby się upewnić, że to faktycznie ona wypowiedziała te słowa.

Natychmiast zmarszczyła brwi.

– No co?

– Nic. Nie, nie potrzebuję niczego. Dzięki.

Erainia wyjrzała przez okno, za którym toczyło się popołudnie. Gary Hales stał na trawniku przed domem i podlewał chodnik. Po drugiej stronie ulicy czerwona mazda zatrzymywała się akurat przed domem Suitezów. Mazda

została do tego stopnia wyładowana kartonami, że kłapa bagażnika była uchylona i prowizorycznie przywiązana na krzyż sznurkiem. Allison Saint-Pierre spojrzała na drugą stronę ulicy, upewniając się, że dobrze zapamiętała lokalizację mojego domu. Podczas poprzedniej wizyty była pijana.

Wymieniliśmy z Erainią spojrzenia.

– Nashville, złociutki?

– Ona akurat nie.

Machnęła ręką w powietrzu.

– Ech. Zawinę ciasto w folię spożywczą. Może wytrzyma.

Ponieważ wiedziałem, w jaki sposób Erainia posługuje się folią spożywczą, miałem przeczucie, że tort wytrzyma kilka stuleci.

Wyszedłem przed dom.

Allison zobaczyła, że się zbliżam, i wyczekująco usiadła na masce czerwonej mazdy. Trzymała plecak – mój plecak, który zostawiłem w jej domu w Monte Vista.

Kiedy przechodziłem przez Queen Anne, Allison rozgrzewała się w kręceniu głową. Zanim do niej podszedłem, szło jej to już całkiem nieźle.

– Co to ma być? – zapytała ostrym tonem. Uniosła plecak w powietrze za pasek.

– Bardzo stary plecak – wyjaśniłem. – Pamiątka. Doszedłem do wniosku, że już go nie potrzebuję.

Westchnęła.

– Chodziło mi o to, co jest w środku, kochaniutki. Upadłeś na głowę?

– To pieniądze Lesa – odparłem. – A przynajmniej ich część. Zapomniał zabrać je z kryjówki, my je znaleźliśmy. Uznałem, że miałaś rację... że część powinna trafić do ciebie.

Allison nie mogła skoncentrować na mnie wzroku. Przesuwał się po

zajmowanym przeze mnie fragmencie przestrzeni, tak naprawdę mnie nie widząc. Tego dnia wyglądała niechlujnie, przeprowadzkowo – miała upięte włosy, T-shirt pobrudzony pajęczynami, a nogi wystające z obciętych dżinsów były podrapane i pobrudzone. Jej pokryta białymi zmarszczkami twarz przypominała popękane szkło.

– I tak po prostu dajesz mi dwadzieścia pięć tysięcy dolarów? – zapytała z niedowierzaniem.

– Dwadzieścia cztery tysiące trzysta dolarów – poprawiłem ją.

– Wiem. – Musiała przeliczyć. Fakt, że ja również to zrobiłem, wprowadził ją w jeszcze większe zdumienie. – Czy to dlatego...?

Pokręciłem głową.

– Nie zrobiłem tego z żadnego powodu. Wiem, jak wygląda sprawa majątku po Lesie. Wiem, że jego nazwisko nie będzie warte tyle, na ile liczyłaś. Sąd nakaze w pierwszej kolejności spłacenie wierzycieli, a wątpię, żeby wiele po nich zostało. Jesteś splukana.

Najwyraźniej to nie wyjaśniało jej wątpliwości. Tyle wiedziała sama. Wpatrywała się we mnie z wściekłością.

– W takim razie oddaj te pieniądze sędziemu, tak jak chciałeś – powiedziała.

– Nie znam sędziego. A ciebie tak.

W końcu opuściła plecak. Nadal wyglądała na zagniewaną.

– No właśnie.

Wyminął nas jakiś samochód. Za moimi plecami Gary Hales nadal podlewał chodnik, ale słychać było, że kropelki wody rozpryskują się też na trawie. Musiał nas obserwować i nie celował tak dokładnie jak chwilę wcześniej.

– Wracasz do Falfurrias? – zapytałem.

– Na pewno chcesz wiedzieć?

Nasze spojrzenia się spotkały. Pierwszy odwróciłem wzrok.

– Cholera. – Ponownie zaczęła kręcić głową. Próbowwała podtrzymać gniew, ale na jej usta zaczął się wkradać delikatny uśmiezek.

– Tak?

– Oczywiście musiałeś zostawić uchylone drzwi, prawda? Musiałeś dać mi do myślenia, żebym zaczęła się zastanawiać, że może jednak nie wszyscy mężczyźni są skończonymi skurwielami. Po jakiego chuja to robisz?

– Nie zapominaj o Lesie – zasugerowałem. – Nadal nic nie wiadomo.

Westchnęła.

– Miałaś rację – powiedziałem. – O tym, że uciekł, że uwolnił się od problemów i zostawił wszystkim innym na głowie ten cały bałagan. Od początku miałaś rację.

– Wielka mi pociecha.

Odwróciła się i wrzuciła plecak przez okno na fotel obok kierowcy.

– Poza tym pierwotnie było dwadzieścia pięć tysięcy – powiedziałem.

Zmarszczyła brwi.

– Co?

– Mówię o pieniądzach. Planowałem dać ci dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Buchnąłem siedem stów. Widzisz? O to możesz mieć do mnie pretensje.

Wpatrywała się we mnie.

Uniosłem stopę.

– Zwróciłem sobie za te oto piękne buty. Zapłaciłem czynsz. Obie rzeczy kosztują mniej więcej tyle samo.

Allison wyszczerzyła zęby.

– Widziałam twoje mieszkanie. Lepszy interes zrobiłeś na butach.

Wstała i mnie objęła. Sunęła palcami po mojej skórze, okrążając ranę po mieczu. Pamiętała dokładnie jej lokalizację. Potem złożyła na moich ustach na tyle długi pocałunek, że Gary Hales zdążył podlać drzewo, ulicę i przedni zderzak mojego volkswagena. Na tyle długi, że ja zapomniałem, jak się oddycha.

Potem lekko mnie odepchnęła, stukając swoim czołem w moje.

– Wpadnij kiedyś do Falfurrias – powiedziała.

– Przedstawisz mnie swoim czterem braciom? – wydusiłem.

Uśmiechnęła się. Uszczypnęła mnie w ucho; poczułem pieczenie.

– Akurat z nimi byś sobie poradził, kochaniutki.

Kiedy czerwona miata odjechała, stałem pośrodku Queen Anne Street, aż w końcu nadjechał jakiś land rover i mnie otrąbił. Zawadza pan.

Przeszedłem na trawnik przed domem i spojrzałem na Gary’ego Halesa.

– Ta już nie wróci – poinformowałem go.

– No taaa – zgodził się Gary. Rozczarowany.

Na szczęście zapłaciłem czynsz. Dawało mi to trzydzieści dni na zdobycie pieniędzy albo kolejnych blondynek. Doszedłem do wniosku, że w obu kategoriach mam mniej więcej równe szanse.

Wszedłem do środka, żeby sprawdzić, co się dzieje w sprawie pewnego tortu.

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Podziękowania

Motto

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

[1] Lao Tzu, *Tao Te Ching*, tłum. Michał Lipa, Wydawnictwo HELION, Gliwice 2016, s. 125.